

Świętokrzyskie

środowisko, dziedzictwo kulturowe, edukacja regionalna

28(32) październik 2021 r. ISSN 1895-2895

Legimi

WOJEWÓDZKA
BIBLIOTEKA
PUBLICZNA
IM. WITOLDA
GOMBROWICZA
W KIELCACH

Ponad 62 000 e-booków

najlepsi autorzy
polscy i zagraniczni,
bestsellery,
nowości wydawnicze
i codziennie nowe tytuły!

Zapytaj bibliotekarza o kod dostępu do Legimi

Szczegóły w REGULAMINIE korzystania z serwisu internetowego Legimi
w ramach pakietu zakupionego przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną
im. Witolda Gombrowicza w Kielcach - www.wbp.kielce.pl



Czas refleksji

Na mocy uchwały sejmiku polskiego, rok 2021 ogłoszono rokiem Cypriana Kamila Norwida. Gdy przywołujemy nazwiska naszych narodowych wieszczów, każdorazowo budzą się w Polakach refleksje związane z przemijaniem oraz z dramatycznymi dziejami ojczyzny. Do takich refleksji pobudza listopad, w którym wspominamy ze szczególnym wzruszeniem naszych zmarłych przodków. To miesiąc Niepodległości, w którym sięgamy pamięcią do roku 1918.

W bieżącym roku przypada kolejna – 190. rocznica Powstania Listopadowego. Co wiemy o udziale naszego regionu w tej insurekcji? Na ogół chyba niewiele. W listopadzie 1830 r. powołano w Kielcach tzw. gwardię ruchomą oraz straż bezpieczeństwa. W myśl założeń planu rządu powstańczego, każde województwo miało powołać pod broń liczbę osób w wysokości około 2% ogólnej populacji. Limit dla województwa krakowskiego ze stolicą w Kielcach wyniósł 8 000, w tym dla Kielc – 120 żołnierzy. W styczniu 1831 r. oddziały gwardii ruchomej przekształcone zostały w dwa regularne pułki – 9. i 10, ponadto utworzono dwa pułki Lekkiej Jazdy Krakusów w sile 1000 jeźdźców każdy. 1. Pułk Krakusów w lutym 1831 r. włączony został w skład dywizji Józefa Dwernickiego i już w pierwszym boju pod Nową Wsią w powiecie kozienickim zapisał się chlubnie, zdobywając rosyjską baterię armat i biorąc 158 jeńców. 2 pułk wyruszył w pole w maju 1831 r.

W marcu 1831 r. powstańcze władze ewakuowały z Warszawy do Kielc zasoby Banku Polskiego. Jako miejsce przeprowadzki wybrano Kielce, jedyne miasto wojewódzkie między Warszawą a Krakowem. Transport konny rozpoczął się 4 marca w dwóch etapach.

Na zawartość transportu składały się listy zastawne, depozyty różnych towarzystw i trybunałów, kaucje Komisji Spraw Wewnętrznych i Komisji Wojny oraz depozyty prywatne, wszystko w sumie na kwotę ponad 44 mln złotych. Miejscem docelowym transportu był Gmach Leonarda w Kielcach. Po wiosennej ofensywie naszych wojsk władze powstańcze zdecydowały w kwietniu o powrocie skarbu do stolicy.

Dowódcą wojsk powstańczych w województwie krakowskim (kieleckim) w połowie 1831 r. został generał Samuel Różycki, pochodzący z Zagorzyc w powiecie wiślickim. Najważniejsze bitwy stoczył pod Chotczą Górną nad rzeką Iłżanką oraz pod Łagowem. Analizując udział naszego regionu w powstaniu, należy pamiętać, że Kielecczyzna odegrała w powstaniu ważną rolę jako region aprowizacyjny, produkujący broń i wyposażenie wojskowe.

Rosyjskie oddziały generała Fiodora Rudigera, ścigające po bitwie pod Łagowem powstańców generała Różyckiego, zajęły całe nasze województwo. Dnia 24 września wkroczyły do Kielc. Smutną pamiątką dnia 24 września 1831 r. jest krzyż wzniesiony w 1981 r. u zbiegu ulic Zagórskiej i Źródłowej w miejscu rozstrzelania czterech powstańców. Jak co roku, uczniowie szkół kieleckich w dniu 29 listopada spotkają się pod krzyżem, by oddać cześć bohaterom Powstania Listopadowego.

Oby refleksje związane z Listopadem 2021 r. oraz z 28. numerem naszego pisma pozostały z Państwem na dłużej.

(red)

Grafiki na okładce: str. 1 – autoportret Cypriana Kamila Norwida, str. 4 – portret Lucjana Siemieńskiego, 1846, rysunek ołówkiem w szkicowniku C. Norwida; Muzeum Narodowe w Krakowie

Wydawca

WOJEWÓDZKA
BIBLIOTEKA
PUBLICZNA
IM. WITOLDA
GOMBROWICZA



Dyrektor: Andrzej Dąbrowski

25-033 Kielce
ul. ks. P. Ściegiennego 13

Tel. 41 344 70 74
fax: 41 344 59 21

sekretariat@wbp.kielce.pl
www.wbp.kielce.pl

Redakcja Andrzej Dąbrowski

Jerzy Osiecki

Korekta Iwona Kornacka

Andrzej Dąbrowski

Jerzy Osiecki

Skład Mariusz Stec

Nakład 300 egz.

© Copyright by WBP
im. W. Gombrowicza w Kielcach
ISSN 1895-2895

Druk COMPUS
Drukarnia Cyfrowa
compus.net.pl



W numerze

Anna Kurska Norwid i Święty Krzyż	4
Edyta Chlebowska Piórką, pędzlem i rylcem	13
Eugeniusz Niebelski W dawnych dobrach rodu Ossolińskich – w Klimontowie i okolicach...	21
Piotr Kardyś IN ARCHIVO KIELCENSI	33
Karina Berkowicz Ucieczka z fortyfikacyjnego obozu pracy w Młodzawach Dużych	40
Bartosz Kozak Pozostałości po niemieckich szklanych minach przeciwpiechotnych w Paśmie Cisowskim i Orłowińskim	58
Adam Malicki Edmund Wierusz-Kowalski – powstaniec z Ojstawic	64
Dariusz Kalina Osada Jarząbek na terenie wsi Czarnów Duży	73
Dariusz Kalina Kaczorów koło Chmielnika	76
Andrzej Dąbrowski Opowieści ostatnie	84
Grzegorz Wiatr Powrót postów...	87





Tadeusz Banaszek <i>Garnizon Wierzbnik w pierwszych latach niepodległej Polski</i>	91
Jerzy Osiecki <i>Albin Fleszar „Satyr”. Żołnierz – Artysta – Uczony</i>	98
Robert Osiński <i>Wierne Złote Polskie Serce</i>	103
Robert Osiński <i>Bój pod Zagajowem – prawdy i fikcje</i>	107
Jarostaw Machnicki <i>Józef Franciszek Bacza – niezwykły człowiek w niezwykłych czasach</i>	112
Elżbieta Stec <i>Oferty dla podróżnych w Kielcach w latach trzydziestych XX wieku</i>	114
Jarostaw Machnicki <i>Wyjątkowa wycieczka Klubu Urzędników Państwowych w Kielcach</i>	119
Andrzej Piskulak <i>Baszta</i>	129
Anna Mordeusz <i>Mały epizod wielkiej wojny w Kielcach. Część 2</i>	137
Stanisław Sobczyk <i>Wspomnienia nauczyciela</i>	159
Jerzy Daniel <i>Ten mały Jaś</i>	174





Widok Św. Krzyża na pocztówce z końca XIX w. Pocztówka ze zb. Jerzego Osieckiego

dr hab. Anna Kurska

Norwid i Święty Krzyż

O wędrowce Cypriana Norwida na Święty Krzyż wiemy wyjątkowo mało. Nie udało się nawet ustalić dokładnej daty jego pobytu na Łysej Górze, ani też czasu wyjazdu z Warszawy w podróż po Polsce.

Autorki *Kalendarza życia i twórczości Cypriana Norwida* zaproponowały kilka hipotetycznych terminów rozpoczęcia włości Norwida po kraju. Powoływały się na list Alberta Potockiego do Andrzeja Edwarda Koźmiana, wskazując na 3 sierpnia; przywoływały także stanowisko Wiktora Gomulickiego, który z kolei podawał datę 9 sierpnia¹ lub też mniej konkretnie – pierwszą jego dekadę². Na pewno

wiadomo jedynie, że poeta wędrował przez około trzy miesiące, a do Warszawy powrócił w końcu października. Mógł więc być na Świętym Krzyżu w sierpniu, wrześniu lub październiku 1841 roku³.

Inicjatorem wyprawy był Władysław Wężyk, przyjaciel poety, podróżnik, dobrze znany w warszawskim

¹ W. Gomulicki, *Norwid w cieniu Cytadeli*, „Stolica” 1961 nr 40.

² W. Gomulicki, *Kalendarz biograficzny Cypriana Norwida*, w: C. Norwid, *Pisma wszystkie*, Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami

krytycznymi opatrzył J.W. Gomulicki, t. 11, PIW, Warszawa 1976, s. 40.

³ Z. Trojanowicz, Z. Dambek, I. Grzeszczak, *Kalendarz życia i twórczości Cypriana Norwida 1821 – 1860*, t. 1, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2007, s. 97.

środowisku literackim⁴. W *Pierwszych wrażeniach podróznego. Liście z Poznania do Cypriana Norwida* przywoływał w zarysie trasę wędrówki:

Obiecałem ci skreślić pierwsze wrażenia, których doznam, ujrawszy się wśród murów jednego z najstarożytniejszych i najznakomitszych miast polskich, co ma obecnie na siebie zwrócone oczy całego kraju, i dziś wystrzelił nad inne tak, jak za czasów Przemysława. – Dopelniam chętnie tej obietnicy, uczynionej w imię naszej przyjaźni i w imię przyjemnych wspomnień odbytej wspólnie w pozaprzyszłym i przeszłym roku podróży do Czarnolesia, Sandomierza, Ojcowa, Częstochowy, Krakowa, słowem, całej Małopolski i Mazowsza, ziem Wieluńskiej, Sieradzkiej⁵.



Brama od wschodu. Fot Jerzy Osiecki

Wskazana trasa była w latach czterdziestych XIX wieku stosunkowo popularna. Tym szlakiem wędrował już w końcu XVIII wieku Zygmunt Vogel, a potem

⁴ Tamże, s. 92. Autorki *Kalendarza* uważają, że organizatorem wyprawy i jej pomysłodawcą był Władysław Wężyk. Ich zdaniem świadczą o tym informacje zamieszczone zarówno w wierszu Antoniego Czajkowskiego *Do Władysława Wężyka*, jak i wzmianki o wędrówce Norwida i Wężyka w prasie (s. 92).

⁵ W. Wężyk, *Pierwsze wrażenie podróznego. List z Poznania do C.N.*, „Rok 1843”, t. 2, s. 128. Autorki *Kalendarza* piszą, że Juliusz Gomulicki uzupełnia trasę wskazaną przez Wężyka o ziemię wieluńską i sieradzką. Gomulicki nie musiał nic uzupełniać, ponieważ Wężyk i ten szlak w liście przywołał.



Końcowy odcinek Drogi Królewskiej od Nowej Słupi do Św. Krzyża. Fot Jerzy Osiecki

Julian Ursyn Niemcewicz, także Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Można sądzić, że Norwid wraz z Wężykiem przybył na Święty Krzyż z Sandomierza, czyli podobnie jak kilkanaście lat później Jadwiga Łuszczewska, która jednak po drodze zatrzymała się we dworze w Janowicach i stamtąd dopiero udała się do Nowej Słupi i dalej na Łysiec. Norwid zaś w Słupi nocował i, jak wolno się domyślać, wszedł na górę (podobnie jak Łuszczewska) piechotą.

Wędrówce towarzyszyło zainteresowanie prasy⁶. Informowano o niej w „Orędowniku Naukowym” oraz w „Rozmaitościach”. W centrum uwagi nie znalazł się jednak młody i mało jeszcze znany poeta, lecz słynny już wówczas podróżnik Władysław Wężyk, autor mającej się właśnie ukazać *Podróży po starożytnym świecie*⁷. Zaciekawienie wyprawą miało jeszcze inną ważną przyczynę. Narastała moda na wędrowanie po kraju, którego owocem były podrózne relacje.

⁶ O podróży Wężyka i Norwida pisał również Alfred Potocki do Andrzeja Koźmiana. Nazwał ją romantyczno-próżniacko-naukową. W szczególności sposób widział też relacje między podróżnikami: „Biedny Cyprian z każdym się zgodzi, ale więcej jest daleko powinowactwa z ogniem i wodą aniżeli między nim a Wężykiem. Zapowiadam zawczasu: Norwid będzie śleczął, zbierał, pisał i odda wszystko Wężykowi, który później ubierze bezzcelnie swój dandyzm w piórka smętnego poety. Dawno tyle kogo nie kochałem, dawno tyle godnym kochania kogo nie znałem, jak Norwid. Biedny on, między ludźmi jest jak gołąb pośród sępów, jastrzębiów i krogulców” (Cyt. za: J. W. Gomulicki, *Kalendarz biograficzny Cypriana Norwida*, w: Cyprian Norwid, *Pisma wszystkie*, t. 11, s. 40; K. Wyka pisał o połączeniu wojażu romantycznego z podróżą starożytniczą (*Norwid w Krakowie*, w: tenże, *Cyprian Norwid. Studia, artykuły, recenzje*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989, s. 300).

⁷ A. Czajkowski: „W roku 1842” [Czajkowski pomylił się, podając rok 1842; wędrówkę po kraju Wężyk z Norwidem odbył rok wcześniej] Władysław Wężyk [...], któregośmy zwali między sobą pielgrzymem, bo rzeczywiście zasłużył na te nazwę zwiedzając grób Zbawiciela, wybierał się wraz z Cyprianem Norwidem na wędrówkę po kraju. Wtedy do niego ten wierszyk napisałem. „Słowo. Dodatek miesięczny” 1859 z.1, s. 143.



Zabudowania Świętego Krzyża wraz z kościołem od strony Drogi Królewskiej. Fot. Jerzy Osiecki

Toteż gazety informowała: „Pan Władysław Wężyk z poetą Norwidem, który również niepospolitym jest rysownikiem, odbywają podróż malowniczą i naukową po Królestwie i potem zamyślają ją wydać”⁸; „Znani z kilku utworów beletry[sty]cznych pp. Władysław Wężyk i Norwid, z których ostatni jest także rysownikiem, odbywają podróż malowniczą i naukową po Królestwie i potem zamyślają ją wydać”⁹. Za każdym razem pisano o „malowniczej”¹⁰ i „naukowej” wędrowce, której celem miało być wydanie ilustrowanego dzieła. Odwoływano się więc do tradycji wędrowek po kraju Zygmunta Vogla, który utrwał w rysunku dawne, będące najczęściej w ruinie, zabytki polskiej architektury. Wydaje się, że podobną rolę w tym przedsięwzięciu miał spełnić Norwid, przedstawiano go bowiem przede wszystkim jako rysownika. Można się domyślać, że Wężykowi, doświadczonemu wędrowcy i autorowi *Podróży*, przypisywano w tym wydawniczym zamyśle rolę „naukową”. Wiedza o charakterze przygotowywanej relacji z podróży po Polsce była przez prasę systematycznie uzupełniana. W kolejnej notatce zamieszczonej w grudniowym numerze „Orędownika Naukowego” po powrocie wędrowców do Warszawy, Norwida przedstawiano już nie tylko jako rysownika, lecz także autora poetyckich opisów:

Władysław Wężyk (którego dzieło o Egipcie w dwóch tomach już przygotowane do druku), znany z podróży po Wschodzie i śmiesznych miłośnek krokodylowych, zebrał notatki z Cyprjanem Norwidem, poetą-malarzem, towarzy-

*szem swej podróży po kraju naszym. Niech jak najkrócej ich notatki o Polsce i rysunki Norwida z opisami (zapewne poetycznymi) przezeń także ułożonymi, leżą w ukryciu*¹¹.

Wydaniem książki interesowano się i później. Świadczy o tym fragment listu Aleksandra Tyszyńskiego do Józefa Kraszewskiego z 3 stycznia 1842 roku:

*Do ludzi najinteresowniejszych należy zapewne p. Wł[adysław] Wężyk pielgrzymujący całe życie, już po Europie, już po Afryce i wybierający się teraz do Ameryki, tego lata ze Święckim w rękę odbyli z Cypr[ianem] NORWIDEM podróż po królestwie zebrali masę nowych szczegółów, które tu wydać mają z rycinami.*¹²

Z notatek prasowych oraz wspomnianej korespondencji, można wnosić, że zamiysł powstającego w podróży dzieła opierać się miał na doświadczeniu miejsca. Informacja zamieszczona przez Norwida w *Pamiętniku podróżnym* odsłania jednak jeszcze inny aspekt: „mieliśmy ze sobą kilkadziesiąt tomów książek, mianowicie historii dotyczących kronik i pamiętników”¹³. Podróżnicy przywiązywali więc dużą wagę do narracji historycznej związanej z konkretną przestrzenią. Trudno jednak powiedzieć, jak wyobrażali sobie ostateczny kształt opowieści, której mieli być autorami. Można się jedynie domyślać, że wiedzę o przeszłości konfrontować chcieli z „przeżyciem” miejsca, a materiał ikonograficzny wzbogacać poetyckim słowem. Pewnym natomiast jest, że środowisko literackie Warszawy wiele się po tym wojażu spodziewało. Czekano na dzieło, które opowie o rodzimej historii wpisanej w geograficzną mapę Polski. Potwierdza to choćby *Wyciąg z listu z Kijowa d. 12 lutego 1842* podpisany inicjałami X. X.: *Odebraliśmy tu z Wilna wiadomość, iż tam wkrótce w podobnym rodzaju okażą się Podróże po Wschodzie Władysława Wężyka, który zajmuje się także opisem podróży po kraju. Myśl ta jest wyborna, tem więcej, że wszystkie w tym względzie prace nie odpowiadają oczekiwaniu publicznemu; Kraszewski zbyt powierzchowny w swoich wspomnieniach, Przędziecki nudny i ciężki kompilator, Grabowski*

⁸ „Orędownik Naukowy”, 1841 nr 44, s. 355.

⁹ „Rozmaitości”, 1841 nr 47, s. 379.

¹⁰ Zob. J. Kamionka-Straszakowa, *„Do ziemi naszej”. Podróże romantyków*, Kraków 1988, s. 48–54.

¹¹ Ludwik Z., „Orędownik Naukowy” 1841, nr 52, s. 418.

¹² Rkps BJ 6458 IV, k. 272 r.

¹³ C. K. Norwid, [Pamiętnik podróżny], w: tenże, *Pisma wszystkie*, Proza. Część pierwsza, t. 6, Warszawa 1971, s. 211.

w listach drukowanych w jednym z dzienników polskich, więcej zbliża się do celu. Mojem zdaniem, nam by potrzeba było, aby kto w formie podróży z wielkim zapasem nauki o miejscach i dziejach krajowych, z niezmordowaną cierpliwością w badaniu Akt, Archiwów itp. chciał zająć się opisem, gdzie by rzeczy gruntowne pomieszał z lekkimi i obrazowemi, a przez to uczynił dzieło swe przystępnem i miłym dla wszystkich¹⁴.



Dawna dzwonnica. Fot Jerzy Osiecki

Zamysł Wężyka nie do końca chyba mieścił się w zarysowanych przez autora Wyciągu z listu z Kijowa ramach.

Według Marii Dernałowicz podróż Wężyka i Norwida, miała na celu zebranie materiałów do historyczno-etnograficznego obrazu kraju ujętego w formę gawędy pod tytułem *Podróż po Koronie*:

Niedoszły autor [mowa o Wężyku] zakreślił jej ramy tak obszernie, że ich wypełnić nie mógł. Brakło mu odpowiedniego przygotowania, a jego niespokojny los nie sprzyjał wykonaniu tak zamierzonej pracy. Nie wyszła ona nigdy ze stadium przygotowań, których ślad pozostał w obszernym



Ołtarz w kościele na Świętym Krzyżu. Fot Jerzy Osiecki

rękopiśmiennym tomie zachowanym w Bibliotece PAN w Krakowie, a zatytułowanym Materiały do „Podróży po Koronie”. Jest to kompilacja z kronik i dzieł historycznych przede wszystkim z Naruszewicza i Bielskiego, doprowadzona do początków panowania Jadwigi. Zanotowany przez Wężyka na wewnętrznej stronie przedniej okładki plan przewidywał dalsze tomy owych Materiałów mające objąć całość polskich dziejów. Inny, w tejże bibliotece zachowany, rękopis Wężyka zawiera dwa apokryfy: Dopelnienie nie dostającego w „Historii polskiej” wydanej przez Naruszewicza tomu pierwszego z rękopismu starego słowiańskim charakterem pisanego Żeliza, wojewody współczesnego przybycia Lecha I do kraju Sarmatów, od roku 550 do roku 1028, oraz Rys początkowej historii: Wielkie Księstwo Litewskie z manuskryptu Żelizy. Ten drugi rękopis świadczy, że Wężyk obok historyczno-etnograficznego obrazu Korony projektował też analogiczną pracę o Litwie. Przymierzał się więc do dzieła ogromnego, nie na siły jednego człowieka, który na domiar wszystkiego interesował się zbyt wielu sprawami na raz – jakby miał przed sobą nie jedno krótkie życie, ale wiele wypełnionych po brzegi żywotów¹⁵.

¹⁴ X.X., Wyciąg z listu z Kijowa d. 12 lutego 1842, „Biblioteka Warszawska” 1842, t. 2, s. 221.

¹⁵ M. Dernałowicz, Wstęp do: W. Wężyk, *Kronika rodzinna*, PIW, Warszawa 1987, s. 13.

W pismach Norwida zachowały się jedynie dwa odwołania do pobytu na Świętym Krzyżu. Pierwszy dotyczy motta, które zamieścił w misterium *Wanda*:

*Tak kościół trzyma, że gdy Pan Umierał,
Na PÓLNOC, głowę skłoniwszy, pozierał,
Na Oliwnej
Górze dziwnej
Kończąc mękę, skłaniał rękę
Ku – PÓLNOCNYM LUDZIOM...*¹⁶

Opatrzył je uwaga: „Stara pieśń (przepisana z książki w klasztorze na Górze Świętokrzyskiej w puszczy)”¹⁷. Zofia Szmydtowa odkryła, że autorem cytowanego przez poetę fragmentu był Wespazjan Kochowski. W książce *O misteriach Cypriana Norwida* (1932) napisała, iż jest to przekształcony fragment utworu pod tytułem *Góra Łyssa, depozytem Drzewa Krzyża Ś. w sandomierskim kraju sławna, do Ich MM. Podgórczanów tamecznych*¹⁸, czyli pieśń XXIX ze zbioru wierszy *Niepróżnujące próżnowanie ojczystym rymem na lirka i epigramata polskie rozdzielone* Kochowskiego. W przytoczonej przez Norwida strofie zwraca uwagę wers drugi. U Kochowskiego brzmi: „Na Akwilon głowę skłoniwszy, pozierał” u romantycznego poety zaś: „Na północ głowę skłoniwszy, pozierał”... O tyle jest to ciekawe, że identyczny zapis, jak u Norwida, pojawia się w poprzedzającym *Drzewo żywota z rajy* utworze, któremu autor dzieła Jacek Jabłoński nadał tytuł *Opisanie Góry Świętokrzyskiej*. Okazuje się ono ową przywoływaną pieśnią barokowego poety. Liryk Kochowskiego – co warto podkreślić – przytoczony przez Jabłońskiego (pomijając tytuł) w dużej mierze

jest zgodny z oryginałem¹⁹. Z wyjątkiem wspomnianego wersu drugiego (w pieśni w. 32) odmiennie zapisanego przez autora *Wandy*. Tożsamość redakcji Norwida i Jabłońskiego pozwala wysnuć wniosek, że książką, z której romantyczny wędrownik przepisał urywek w klasztorze na Świętym Krzyżu były nie poezje barokowego poety, lecz *Drzewo żywota z rajy* z poprzedzającym je utworem Kochowskiego pod zmienionym tytułem. Trudno powiedzieć, czy dziejopis miał dostęp do jakiejś jego wersji, czy też, co prawdopodobne, sam tekst przekształcił, by, na przykład, zadbać o jednoznaczną wymowę *Góry Łyszej*. Łacińskie *aquil* (bóg i uosobienie wiatru północnego oraz północnej strony świata w mitologii rzymskiej) zamienił na zapis – „Na Północ”, korespondujące z końcowym wersem strofy. Warto tu na marginesie dodać, że sam Norwid zaproponował inny niż w oryginale układ graficzny, a także wprowadził nową redakcję ostatniego wersu strofy (zapis „Na północnych ludzi”, przemienił na: „Ku – PÓLNOCNYM LUDZIOM”), której nie ma ani u Kochowskiego, ani u Jabłońskiego.

Drugim bezpośrednim odwołaniem Norwida do pobytu na Świętym Krzyżu było wspomnienie z przeszłości wpisane do wykładów *O Juliuszu Słowackim w sześciu publicznych posiedzeniach (z dodatkiem rozbioru „Balladyny”)*²⁰. Poeta w wykładzie II powracał pamięcią do tego czasu:

¹⁶ C. Norwid, *Wanda. Rzecz w obrazach sześciu*, w: tenże, *Pisma wszystkie. Dramaty*, t. 4, część pierwsza, Warszawa 1971, s. 129.

¹⁷ Tamże, s. 129.

¹⁸ Tekst pochodzi z poetyckiego zbioru: *Lirykorum polskich ks. II. Pieśń XXIX*, w: W. Kochowski, *Niepróżnujące próżnowanie ojczystym rymem w liryka i epigramata polskie rozdzielone*, Kraków 1674. Cytat przytoczony przez Norwida nie jest dokładny, na co właśnie zwróciła uwagę Zofia Szmydtowa (*O misteriach Cypriana Norwida*, Warszawa 1932, s. 12); Zob. K. Wyka, *Norwid w Krakowie*, w: tenże, *Cyprian Norwid. Studia, artykuły, recenzje*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989, s. 325. Tekst Wespazjana Kochowskiego:

*Tak Kościół trzyma, że gdy Pan umierał,
Na Akwilon, głowę skłoniwszy, pozierał;
Na Oliwnej Górze dziwnej
Kończąc mękę, Skłaniał rękę
Na północnych ludzi.*

Cytat pochodzi z wydania: W. Kochowski, *Utwory poetyckie*. Wybór, oprac. Maria Eustachiewicz, Wrocław – Warszawa – Kraków 1991, s. 94.

¹⁹ Jabłoński nie podtrzymuje charakterystycznego dla Kochowskiego układu graficznego wersów; inne, drobne zmiany w redakcji: w. 16 zamiast: „Leć większa Polskę fortuna potyka” u Jabłońskiego: „Lecz większa Polskę fortuna potyka”; w. 21: „Dar, znaczą cząstkę krzyża zbawiennego”, u Jabłońskiego:

²⁰ „Dar znaczna cząstka krzyża zbawiennego”; w. 30: „Skąd wsze złe pochodzi” u Jabłońskiego zaś „Skąd złe wsze pochodzi”. Zob. J. Jabłoński, *Opisanie Góry Świętokrzyskiej*, w: *Drzewo żywota z rajy...* Kraków [1737], strony bez numeracji, w kolejności 4 – 5.

Kazimierz Wyka komentował kolejne odwołanie poety do poematu Kochowskiego zapisane w wykładach *O Juliuszu Słowackim*: „dokonując interpretacji *Króla-Ducha*, [...] podał w poprawionej postaci (>>gdy w oliwnym gaju dziwnym wszcząwszy mękę<<) i przypomniał – >>znalazłem był u Benedyktynów na Święto-Krzyskiej-Górze, kiedy podróżowałem po Polsce<<. Dokonując owej poprawki, poeta usunął pomyłkę Kochowskiego, pomyłkę, jakiej nie poprawił w *Wandzie*: przecież Chrystus na Górze Oliwnej wszczynał mękę swoją, a nie kończył – kończył ją na Golgocie (*Norwid w Krakowie*, s. 326). W nowej wersji Norwida tekst Kochowskiego brzmi:

*Tak Kościół trzyma, że gdy Pan umierał,
Na Północ, głowę skłoniwszy, spojierał,
– Gdyż w oliwnym
Gaju dziwnym
Wszcząwszy mękę,
Skłaniał rękę
Ku północnym ludziom.*

Kiedy podróżowałem po Polsce, byłem na górze Ś. Krzyńskiej i ostatni benedyktyn pokazywał mi bibliotekę. Ze stosu zakurzonych foliałów podniósł książkę, dostrzegłem tytuł: „O szlachetnym z zacnymi domy paragonowaniu, to jest Manuel du bon ton du XVII siecle”²¹.

Autorki *Kalendarza życia i twórczości Cypriana Norwida* zatytułowały fragment dotyczący podróży i pobytu poety na Łyścu: „Wężyk i Norwid zwiedzają bibliotekę klaszorną benedyktynów na Górze Świętokrzyskiej”. Problem jednak polega na tym, że wówczas nie było co w bibliotece zwiedzać. Podróżnicy, którzy byli tam wcześniej, w 1835 roku, jak choćby Żegota Pauli, ale także mniej więcej w tym samym czasie co Norwid, jak Paweł Bogusław Podczaszyński, pozostawili przygnębiający jej obraz.

Pauli pisał:

*Obejrzeliśmy wszystkie miejsca klasztoru. Biblioteka była w sali z galerią, mogącej około 10000 książek pomieścić, zabrano ją dla biblioteki uniwersyteckiej, leży jeszcze na podłodze ze dwieście podartych i podefektowanych woluminów*²².

Kilka lat później nic się nie zmieniło. Paweł Podczaszyński relacjonował:

[...] udaliśmy się na drugie piętro do biblioteki niegdyś znakomitej a teraz cóż? Oto ujrzałem kupę śmiecia,

*książek ze dwieście w kącie starych, w pergamin niegdyś oprawnych; rzuciłem się do nich myśląc, że co było dobrego, już to zabrane, a reszta, chociaż z tekstu szacowna, bo pisma kościelne, ale pod bibliograficznym względem niewiele warta. Wydania najwięcej późniejszego niemieckiego i to jedna połowa w jednym a druga w drugim kącie rzucona*²³.



Kaplica Oleśnickich. Fot. Jerzy Osiecki

Warto powrócić do wspomnienia Norwida dotyczącego biblioteki. Interesujący bowiem wydaje się sam zapis. Na tle świadectw Żegoty Paulego, piszącego o podartych woluminach oraz Pawła Podczaszyńskiego, nazywającego zniszczone książki „kupą śmiecia” zdanie Norwida, nie układające się w tradycyjny opis, ma dramatyczny ton: „Ze stosu zakurzonych foliałów podniósł książkę...”. Rzeczownik „stos” organizuje charakter wypowiedzi poety; jakby niechcący przywołuje pamięć o dramatycznych losach książek w ludzkich dziejach i wpisuje ją w przestrzeń klasztoru na Świętym Krzyżu.

Nie zachowały się żadne inne dyskursywne wypowiedzi Norwida o pobycie na Łysej Górze. Ów wyjątkowo skromny materiał uzupełniano streszczając to, co poeta zapisał w niezachowanym *Wierszu przecu-*

C. Norwid, *O Juliuszu Słowackim w sześciu publicznych posiedzeniach (Z dodatkiem rozbioru „Balladyny”)*, w: tenże, *Pisma wszystkie*, zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz W. Gomulicki, t. 6 *Proza*, część pierwsza, PIW, Warszawa 1971, s. 452.

Maria Eustachiewicz – autorka opracowania utworów poetyckich Kochowskiego fragment „Na Oliwnej Górze dziwnej/Kończąc mękę” opatrzyła komentarzem: „Poeta utożsamia Górę Oliwną, miejsce wniebowstąpienia Chrystusa z Golgotą, miejscem męki” (s. 94).

²¹ Poeta pozwolił sobie na zamieszczenie komentarza do fragmentu książki, którą podniósł „ze stosu”: „W rozdziale w którym uczono, jakie formy ma przybierać młody człowiek starający się o rękę panny, ojciec jezuita radzi, aby młodzieniec, wchodząc do komnaty, gdzie są antenatów wizerunki, do żadnej figury malowanej tyłem się lub bokiem nie obrócił. Posadzając jezuitów o chytrłość i przebiegłość: tu widna, że i owszem, najszczerzej autor rzecz określił, gdyż im ród szlachetniejszy, tym więcej wizerunków, tak dalece, że nareszcie do arcystarożytnego rodu wcale bez obrazu wejść nie można, ludzką mając ciała budowę. Takie same jest właśnie położenie i każdego pisarza, skoro głos podnosi w społeczeństwie, które nie mogło się ustrzec ekstremów, chociażby one najszanowniejszymi były” (*O Juliuszu Słowackim w sześciu publicznych posiedzeniach (z dodatkiem rozbioru Balladyny)*, w: *Pisma wszystkie*, *Proza*. Część pierwsza, t. 6, s. 417).

²² Żegota Pauli, *Kościół Św. Krzyża na Łysej Górze* r. 1347, „Lwowiainin czyli Zbiór Potrzebnych i Użytecznych Wiadomości” 1835, z. 16, s. 137.

²³ M. Radwan, Świadectwo Pawła Bolesława Podczaszyńskiego o stanie techniki, hutnictwa i górnictwa żelaznego w zagłębiu Staropolskim z r. 1842, w: *Studia z dziejów górnictwa i hutnictwa*, red. J. Pazdur, t. 1, Ossolineum, Wrocław 1957, s. 402.

downym, który po powrocie z podróży do Warszawy wygłosił w salonie hr. Leona Łubieńskiego²⁴. Antoni Czajkowski – poeta napisał rodzaj objaśnień do nie zachowanego utworu, opowiadając, że wędrowców zajmowały zabytki czasów pogańskich; w wierszu *Do poety* próbował – jak wolno się domyślać – poetycką wypowiedź Norwida parafrazować:

*A na twoich zakłęć nutę,
Stają duchy mgłą osnute,
Gdzieś pożółkły oset stary,
To szarańcza, to Tatory
Pył pogaństwa wzbity w chmury. –
To korowód Łysej Góry²⁵.*

Nie możemy okiem Norwida zobaczyć Świętego Krzyża. Możemy natomiast przywołać zarysy obrazów, które mógł widzieć, będąc na Łyścu. Przekazał je Paweł Podczaszyński który, przypomnę, był tam w sierpniu 1842, a więc zaledwie rok później niż Norwid:

*Grzeczny zakrystian i organista razem wnet pobiegł
po klucze, a myśmy się tymczasem powierzchownie
klasztorowi przypatrywali. Część jego ku północy
obrócona wydała mi się najstarszą, może dlatego,
że najbardziej opuszczona, w niej jest kilka strzelnic
armatnich u drugiego piętra, które wespół z będący-
mi zapewne niegdyś u dolnego muru wokoło klasz-
toru haubicami z samej natury już i tak niedostępne
miejsce nader obornym czyniło i bezpiecznym skła-
dem dla bogactw i drogich świętości. Kościół i reszta
murów późniejszej struktury jak i napis na ścianie
kościelnej od wschodu zaświadcza.*

²⁴ Juliusz Gomulicki: „W jakiś czas po powrocie Cyprian bierze udział w jednym z niedzielnych porannych przyjęć u Leona Łubieńskiego (w oficynie Pałacu Łubieńskich przy ul. Królewskiej) i odczytuje zebrany swój *Wiersz przecudowny*, w którym opisał, co widział podczas niedawnej wędrowki. >>To nam mówił o Babinie, gdzie krajczymi tych wybierano, którzy byli niezręczni i szaty drugim, krając, plamili; to znowu dawano tytuł łowczych sławnym kłamcom, którzy się przechwalali, że na ogary ptaki łowią; dalej prawił nam o Czarnolesiu, o Łysej Górze, której korowód złożony, w mniemaniu ludu, z czarów i czarownic nazywał poetycznie pyłem dawnego pogaństwa wzbitym w chmury. To znowu mówił o skale w Sandomierskiem, której odłamy, podobne do kształtów ludzkich w zbrojach, lud uważa za skamieniałych rycerzy, i o oście starym żółkłym, którym mają być, wedle mniemania gminu, zakłęci tam przed wiekami Tatarzy<<” (cyt. za: J. W. Gomulicki, *Kalendarz biograficzny Cypriana Norwida*, s. 40). Gomulicki w notatce posługuje się cytatem, nie podaje jednak, skąd pochodzi. Cytat ów jest rodzajem streszczenia wiersza Antoniego Czajkowskiego *Do poety*, który po raz pierwszy drukowany był anonimowo w „Tygodniku Literackim” w 1843 (nr 4, s. 25–28). Po raz drugi zaś ukazał się z nazwiskiem autora oraz ze zmienionym tytułem *Do Norwida* w petersburskim „Słowie” w 1859 (Dodatek Miesięczny, z. 1, s. 144–146).

²⁵ A. Czajkowski, *Do poety*, „Tygodnik Literacki” 1843, nr 4, s. 26.

*Wszedłszy do klasztoru idzie się naprzód na korytarz,
w kwadrat zamknięty oknami od małego czworo-
grannego dziedzińca, w którym studnia z kamienia
ciosowego na sposób dawnych włoskich klasztornych
studzien. Po rogach jarzębiny czerwonymi pokryte
jagodami, bruk trawą zarosły. Wysokie otaczające
mury z oknami bez szyb dziwny kontrast przedsta-
wiały, a smutne myśli i uczucia rozniecały. Mimo
to jednak jakaś chętką mię brała dłużej tam pozostać,
oczekiwałem – zdawało się – momentu, że który z po-
bożnych i świątobliwych ojców skończywszy różaniec
wyjrzy przez puste okno, a ujrzawszy obcych ofiaruje
się być przewodnikiem i tłumaczem tego, co można
tu widzieć, lepszym aniżeli organista. Lecz to były
próżne tylko marzenia, bo z pustych okien tylko ja-
skółki i wróble szkodniki wylatywały. Udał się
przeto dalej ze ściśnionym już zawczasu sercem²⁶.*

Doświadczenie ruiny było szczególnie eksponowanym przez wędrowców przeżyciem w podróżach po dawnej Polsce²⁷. Zetknął się z nim także Norwid. Więcej, poeta temat ruiny uczynił przedmiotem swej refleksji estetycznej i filozoficznej w dojrzałej twórczości. Oczywiście nie ma tu miejsca na tego typu rozważania. Niemniej warto odwołać się do wiersza *Memento*, który, jak sugerują jego komentatorzy (Gomulicki²⁸, Wyka²⁹, Trybuś³⁰), najprawdopodobniej zrodził się z podróznego doświadczenia:

Widziałem w jednym zamku z średnich wieków

²⁶ M. Radwan, Świadek Pawła Bolesława Podczaszyńskiego o stanie techniki, hutnictwa i górnictwa żelaznego w zagłębiu Staropolskim z r. 1842, s. 403.

²⁷ Szczególnym tego świadectwem jest relacja z podróży Juliana Ursyna Niemcewicza, *Podróże historyczne po ziemiach polskich między rokiem 1811 a 1828 odbyte*, Petersburg–Paryż 1858.

²⁸ Juliusz Gomulicki przedstawił alegoryczną próbę czytania *Memento* w: *Cyprian Norwid, Dzieła zebrane*, t. 2, PIW, Warszawa 1966, s. 702–704: „Owe dębowe wrota to po prostu Polska (nb. zawiasy w kształcie narodowych orłów), >>ćwieki<< – to symbole niewoli, >>nieznane zbrodnie<< – to może rozbiory albo ucisk narodowy ze strony państw rozbiorowych, >>wycia zawias<< – to chyba aluzja do rewolucyjnych ruchów wolnościowych z lat 1831–63, a >>piorunne, złote mgnienia<< – to oczywiście wizja jakiejś przez poetę – polityka (Norwid wiele się w tym czasie zajmował polityką) wojny europejskiej” (s. 702). Nadto Gomulicki rozszyfrował wszystkie nazwiska zapisane przez „turystów” na dębowych wrotach. Nie są zmyślane. Odnoszą się do konkretnych osób, które wypowiadały się o Polsce (Boissy), były w Polsce (Lola Montez) albo zasłynęły jak Nadar – Feliks Taumachon z rekordowego przelotu w balonie własnej konstrukcji na trasie Paryż – Hanower czy z tłumaczeń Homera, Wergiliusza, Miliona jak Jacek Przybylski.

²⁹ K. Wyka, *Norwid w Krakowie*, s. 322–323.

³⁰ K. Trybuś, *Memento – kilka uwag*, w: *Rozjaśnianie ciemności. Studia i szkice o Norwidzie*, red. J. Brzozowski, B. Stelmaszczyk, Universitas, Kraków 2002, s. 111–122.

*Dębowe wrota, na kształtnych zawiasach,
Formę mających orła, bitą z ćwieków
Tak, że wiatr, który błędził po tarasach,
Ilekcio ciężkie okręcił podwoje,
I jęk wydawał ochryply rdzą wieków,
Nie mogąc skrzydeł wytargnąć spod ćwieków³¹.*

W wierszu tym zwraca uwagę owo Norwidowskie „widziałem” pozwalające na biograficzny klucz lektury. Tekst oczywiście nie odnosi się bezpośrednio do świętokrzyskiego klasztoru. Chodzi mi jednak o zwrócenie uwagi na pewne znamienne dla Norwida widzenie ruiny i doświadczenia z nią związanego, które mogło być także udziałem poety na Świętym Krzyżu. W wierszu przyroda (hulający wiatr, bijące pioruny) dostarcza dramatycznego języka, ruina – zamek zaś materii dla opowieści z przeszłości. W tym współbyciu natura i kultura zdają się mówić do wędrowcy o zagrożeniu, bowiem na ciele ruiny – drewnianych wrotach, turysta ciągle coś zapisuje:

*Rył na nich, pokąd milczały zawiasy,
Datę pamiętną lub słynne nazwisko
Tam – „Lola-Montez”, owdzie znów – „Boissy
Margrabia”, czasem – dwa serca, „Speranza!”
„Nadar”, „Washintong-Irving”, „Sancho-Panza”,
„Przybylski Jacek z Kujaw” i tam dalej...
Scyzorykami się zapisowali.*

Dla Norwida owe napisy i rysunki (dwa serca) wyryte na wrotach nie układają się w żadną spójną całość; odsłaniają przypadkowość i brak więzi, w konsekwencji odkrywają dramatyczną przepaść między dawnością i tym, co ona mówi, a „rytami” współczesności. Owa potrzeba „zapisowania” na ruinach – nachalnego wciśnięcia się teraźniejszości w przeszłość wprowadza chaos, zaciera ciągłość, mimo że w wierszu Norwida ów opustoszały zamek broni swojej historii. Nie może jednak powstrzymać wędrowców przed pozostawianiem na swoim „ciele” znaków, które zagłuszają opowieść, zacierają ślady dawności wprowadzając dysharmonię. Poeta ironicznie konkluduje:

*„i wyróżnąc myśliłem na dębie
Rym... i umieścić nazwisko pod spodem,
Kaligraficznie – tudzież: dwa gołębie
Albo kotwicę, by wielki historyk...*

³¹ C. Norwid, *Memento*, w: tenże, *Pisma wszystkie*, t. 1, część pierwsza, s. 386.

Wspominał, że będąc tu... miałem scyzoryk³².

Norwid, będąc na Łyścu, musiał pracę owych rytowników widzieć także na szczycie wieży. Paweł Podczaszyński w relacji z pobytu na Świętym Krzyżu bez cienia zażenowania wyznawał *zapisawszy nasze imiona na miedzianym wieży obiciu pomiędzy tysiącami znanych i nieznanymi [...] zesłiśmy z wieży³³*. Tej modzie wiele uwagi poświęcił inny wędrownik, Władysław Maleszewski, w *Wycieczce w Świętokrzyskie Góry. Wyjątki z wędrówki na kwestarskim wózku*. W jego opowieści ksiądz – przewodnik po Świętym Krzyżu komentuje ów zwyczaj:

Ale panie, idź na wieżę, cóż tam pustoty? Wszystkie banie pokłute, porąbane nożami, miedź biedna najwięcej cierpi na tej gorączce uwieczniania swych nazwisk. Był i dziś tu przed kilku godzinami jakiś młody podróżnik, znikł mi z oczów: zapewne wszedł na wieżę i tam pracuje na wieczność! [...] Jedynie zaciekawiony ostatnimi słowami księdza, wdrapałem się po wielu schodach na wyniosłą wieżę [...] Wieża ukuta z grubej blachy miedzianej umocowana jest tysiącami nazwisk, a kule połączone utwierdzone na barierach zamkowych, kiedyś mocą swych napisów, będą nieocenionym zabytkiem archeologicznym. Nigdzie już kącika choćby na jedną literę, lecz radzą sobie jak mogą, na podłodze zaczynają wyrzywać nazwiska³⁴.

I rzecz ostatnia. Cezary Jastrzębski w książce *Podróż po przeżycie. Wyprawy krajoznawcze w widłach Wisły i Pilicy w okresie międzypowstaniowym (1832 – 1862)³⁵* pisząc o pobycie Norwida na Świętym Krzyżu wspominał o uroczystości, która miała miejsce 11 listopada 1994 roku. Z okazji 110. rocznicy śmierci poety wmurowano pamiątkową tablicę. Przy tej okazji zebrani mieli się dowiedzieć, że autor *Promethidiona* pod wpływem przeżyć doznanych w pustoszejącym opactwie napisał dramat *Krakus*. Być może. Tyle, że o doświadczeniu Norwida na Łyścu, nic nie wiemy. Warto też zauwa-

³² Tamże, s. 386.

³³ M. Radwan, Świadek Pawła Bolesława Podczaszyńskiego, s. 404.

³⁴ W. Maleszewski, *Wycieczka w Góry Świętokrzyskie. Wyjątki z wędrówki na kwestarskim wózku*, „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych” 1857, nr 147, s. 3.

³⁵ C. Jastrzębski, *Podróż po przeżycie. Wyprawy krajoznawcze w widłach Wisły i Pilicy w okresie międzypowstaniowym (1832–1862)*, Wydawnictwo Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego Jana Kochanowskiego, Kielce 2010, s. 162.

żyć, że obydwaj misteria poety *Wanda* i *Krakus* mają swe źródła w podróży do Krakowa 1842 roku i mocno związane są ze wskazanym przez niego miejscem³⁶. Świadczy o tym również bardzo osobliwa dedykacja zamieszczona w pierwszym z wymienionych misterii.

Autor zadedykował utwór nie osobie, lecz mogile Wandy pod Krakowem. W *Krakusie* zaś wyeksponował zamek – Wawel, który w symbolicznym planie utworu może być rozpoznawany jako Polska. Nadto w *Krakusie* umieścił akcję w Karpatach. I raczej nie ma to nic wspólnego z poematem Kochowskiego, który Świętokrzyską Górę nazwał „wyniosłością Sarmatów Karpatu”, gdyż poeta dookreślił geograficzny trop. W misterium Starzec zaleca bohaterom: *Książęta, jedźcie za siódmą skałą, / Gdzie śniegi leżą na Tatrach białe*³⁷. Pozostaje jeszcze puszcza. W jej przestrzeni bohater przekracza próg – kamień, by znaleźć się w grocie szmaragdowej i doświadczyć prawdy – wtajemniczenia w sens dziejów. Agnieszka Ziolkowicz pisze:

*Bohater uczestniczy w akcie kultowym o strukturze doświadczenia inicjacyjnego, jakim jest liturgia eucharystyczna. Stół zastawiony pokarmem, tryskające źródło, grotta – to znaki liturgiczne. Krakus spożywa posiłek ofiarny jak eucharystyczne ciało, pije wodę jak eucharystyczne wino, a wszystko to dokonuje się w przestrzeni grotty, która uczyniona ze szmaragdów przywołuje wyobrażenie wnętrza kielicha Graala*³⁸.

Norwid wybrał więc synkretyczną formę, połączył baśniowo-mityczną poetykę z misterium, a przeżycia bohatera poddał uniwersalizacji. Dlatego doświadczenie bohatera trudno wiązać z rzeczywistym miejscem.

Niemniej jakiś drobny trop można by wskazać. Mówi się w *Krakusie* o „zębrach smokowych” („Żebra smokowe, czy widzisz, jak wielce / Czernieją? – sterczą w księżycu, / Podobne żebrom nawy skołatanej”)³⁹. Można by pomyśleć, że to jakieś echo obrazu z klasztoru na Świętym Krzyżu przywołujące pamięć o ol-



Tablica pamiątkowa na murze klasztoru świętokrzyskiego odsłonięta w 110 rocznicę wizyty Norwida (1994 r.). Fot. Jacek Pernal



Muzeum Przyrodnicze Świętokrzyskiego Parku Narodowego na Świętym Krzyżu. Fot. Jerzy Osiecki

brzymich kościach, które w legendowych opowieściach miały należeć do Cyklopów⁴⁰... Ale czy norwidowski bohater – cichy i etyczny o chrystusowym sercu, taki właśnie jak Krakus – narodził się na Świętym Krzyżu? Na to pytanie nie ma odpowiedzi...

Fragment książki „Wędrówki romantyków na Święty Krzyż w XIX w”.

³⁶ O związkach misterii z Krakowem: K. Wyka, *Norwid w Krakowie*, s. 292 – 304,

³⁷ C. Norwid, *Krakus*, w: tenże, *Pisma wszystkie. Dramaty*, t. 4, część pierwsza, s. 171.

³⁸ A. Ziolkowicz, *Pomiędzy tragedią a misterium. O Krakusie Cypriana Norwida*, w: tenże, *„Misteria polskie”. Z problemów misteryjności w dramacie romantycznym i młodopolskim*, Universitas, Kraków 1996, s. 57.

³⁹ C. Norwid, *Krakus*, s. 221.

⁴⁰ Że kości te wisiały na murach kościoła podczas pobytu Norwida na Świętym Krzyżu świadczy relacja Dziekońskiego, który, podobnie jak autor *Krakusa*, był na Łyścu w 1841 roku. Pisał: „Na chwilę wierzyć by się chciało, iż owe wielkie kości u podwoi kościoła świętokrzyskiego zawieszono, należały do twórców tej pogańskiej świątyni” (*Łysa Góra. Wspomnienia z wędrówek po kraju*), „Jaskułka”. Pamiętnik wydany przez Romana Zmorzkiego i Józefa Bohdana Dziekońskiego, Warszawa 1843, s. 6.

Piórkiem, pędzlem i rylcem

Prawdziwych szkiców robić nie można *umyślnie* – one się same narzucają. Odpycha się je piórem lub ołówkiem i zostaje ślad, notatka, szkic. Są to dlatego zazwyczaj karteczki i złamki, które *żadnej rzeczowej wartości nie mają. Aucune valeur effective!* Atoli, żaden fotograf nie zastąpi nigdy prawdziwego szkicu.

N. 1874.

Ten krótki tekst, który Cyprian Norwid wpisał w formie wstępu do niewielkiego albumu, mieszczącego kilkanaście jego rysunków, akwarel i grafik, słusznie uznaje się za rodzaj deklaracji, a nawet artystycznego *credo*. Jego autor podkreśla przywiązanie do szkicu, traktowanego nie jako etap pośredni, przygotowawczy do jakiegoś pełniejszego, bardziej skończonego dzieła, lecz jako autonomiczna forma wypowiedzi artystycznej. Tak rozumiany szkic cechuje swoboda i spontaniczność, silny związek z bezpośrednią obserwacją, a zarazem skupienie na istocie rzeczy. Ponadto niezależność wobec konwencji, podporządkowujących dzieło sztuki wymogom stylu i regułom gatunku. Z kolei widniejąca poniżej tekstu data ujawnia, że jest on owocem przemyśleń dojrzałego, ponad pięćdziesięcioletniego artysty, który już od kilku dekad uprawiał różne dziedziny sztuk plastycznych. Malował obrazy olejne, zajmował się litografią, rytownictwem, a z mniejszą intensywnością także rzeźbą, ale głównym obszarem jego artystycznych działań był rysunek oraz studium akwarelowe. Warto pokrótce nakreślić drogę życiową Norwida-artysty, na której towarzyszyło mu owo szczególne upodobanie do szkicowej formy, wyrażone również w późnym wierszu *Lapidaria*:

*Cała plastyki tajemnica
Tylko w tym jednym jest,
Że duch – jak błyskawica,
A chce go ująć gest –*

Już w latach gimnazjalnych podejmował Norwid pierwsze, jak się wydaje udane, artystyczne próby. „Rzucił po kajetach własnych lub kolegów – jak wspominał po latach jego przyjaciel z lat młodzieńczych – mnóstwo fantazyjnych obrazków, których treść brał zwykle z życia szkolnego”, a szczególnie celował w robieniu szkiców, które „nierzadko były wesołymi szarżami i wielkim się cieszyły powodzeniem”. Współcześni cenili łatwość pędzla i ołówka, „bystrą obserwację, fantazję iście naszą, polską”, a w lepionych z gliny figurkach dostrzegali zapowiedź wielkiego talentu. W 1837 r. Norwid podjął naukę w prywatnej szkole malarskiej Aleksandra Kokulara, która na mapie artystycznej Warszawy zajmowała miejsce szczególne, gdyż – po zamknięciu Uniwersytetu – jako jedyna miała ambicje kształcenia zawodowych malarzy. Przyszły twórca *Vade-mecum* uczył się również malarskiego fachu pod okiem Jana Klemensa Minasowicza, którego po wielu latach wspominać będzie jako swego mistrza. Znane fragmenty Norwidowskiej spuścizny plastycznej z okresu warszawskiego obejmują ledwie

kilkanaście rysunków oraz akwarel. Obok drobnych szkiców portretowych przeważają wśród nich sceny o charakterze rodzajowym, w których zmysł bystrej obserwacji połączony z niezłą sprawnością rysunkową oraz skłonnością do ujęć o charakterze humorystycznym nadają tej małej galerii „rodzimych typów” swoisty urok.

Gdy w 1842 r. Norwid opuszczał granice Królestwa Polskiego, środowisko warszawskie żegnało go jako jednego z najlepiej zapowiadających się poetów młodego pokolenia. Oficjalnym powodem wyjazdu z Warszawy była chęć kształcenia się w dziedzinie rzeźby, choć podjęte w tym zakresie – wraz z nauką rytownictwa – doraźne i nieformalne studia we florenckiej Akademii Sztuk Pięknych nie trwały długo. Ostatecznie Norwid nie zdobył pełnego akademickiego wykształcenia, a w jego artystycznej praktyce najważniejszą rolę odgrywać będą drobne formy oraz grafika, w zakresie której stworzył bodaj najwybitniejsze swoje dzieła. Pierwsze kilka lat emigracji upływały poecie na artystyczno-literackich podróżach: odwiedził między innymi Monachium, Berlin, Brukselę, a także Florencję, Wenecję oraz Rzym, by w 1849 roku osiąść na dłużej w Paryżu. Utrzymywał wówczas ożywione kontakty z różnymi kręgami rozsianej po Europie Polonii, odwiedzał artystyczno-literackie salony, w których nawiązywał liczne znajomości (m.in. z Zygmuntem Krasińskim, Adamem Mickiewiczem oraz Fryderykiem Chopinem), ale przede wszystkim z pasją oddawał się twórczości. W opiniach krytyków, którzy początkowo z uznaniem wypowiadali się o jego poezji, zaczęły jednak coraz częściej przeważać sądy nieprzychylny, zarzuty o ciemność i hieroglificzność mowy, „manierowaną niejasność myśli”, czy „płody epileptycznej wyobraźni” a podejmowane przez Norwida liczne próby publikacji nowych utworów coraz częściej pozostawały bezskuteczne. Sytuacji nie ułatwiała bezkompromisowa postawa ich autora oraz narastające konflikty ze środowiskiem. Poeta boleśnie odczuwał falę krytyki, narastającą w okresie jego pierwszego pobytu w Paryżu, a gorzyc braku uznania dawała o sobie znać poprzez rozpaczliwe gesty i deklaracje porzucenia twórczości literackiej oraz plany opuszczenia Francji. Nie mniej dotkliwy musiał być ciągły brak środków do życia. Autor *Pro-methidiona* wielokrotnie zmuszony był zmieniać adres zamieszkania, coraz częściej uciekał się do pożyczek zaciąganych u lepiej sytuowanych rodaków.

W tej sytuacji na początku lat 50. Norwid podjął decyzję o opuszczeniu Europy, licząc na poprawę swej sytuacji życiowej za oceanem. W Ameryce podejmował się różnych zajęć, między innymi wykonywał prace malarskie w kajucie okrętu „Black – Warrior” oraz modelował bliżej nieokreślone płaskorzeźby, ale najbardziej znaczącym było zatrudnienie w pracowni graficznej, przygotowującej album z Wystawy Światowej w Nowym Jorku. Pracował jako rysownik, przygotowujący na podstawie dagerotypów rysunki eksponatów przeznaczone do drzeworytów, komponował również dekoracyjne inicjały. Dobra passa nie trwała jednak długo, po kilku miesiącach zlecenie zakończyło się, a Norwid nie potrafił odnaleźć się na rynku pracy. Na domiar złego samotność w obcym środowisku wyjątkowo mu nie służyła. Narastające kłopoty finansowe zmusiły artystę do powrotu na łono Europy, do Paryża, z którym jego losy spletały się na długie lata, aż do śmierci w 62. roku życia. Po przyjeździe odnowił dawne znajomości, brał udział w życiu kulturalnym nad Sekwaną, nie ograniczając się wyłącznie do polskiej diaspory, ale przede wszystkim ponownie podjął pióro literata oraz pędzel i dłuto artysty. Wszystko wskazuje na to, że starał się wykorzystać zdobyte za oceanem doświadczenie oraz referencje i próbował uczynić twórczość artystyczną głównym źródłem swego utrzymania. Rozsyłał znajomym oferty usług rytowniczych i ilustratorskich, ale otrzymywane z rzadka zlecenia nie wystarczały na zapewnienie finansowej niezależności i nie dawały poczucia artystycznego spełnienia. Po raz pierwszy eksponował swoje dzieła w ojczyźnie na wystawach w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. W tym czasie starał się również – niestety bezskutecznie – o udział w ekspedycji księcia Napoleona na biegun północny, licząc na posadę rysownika.

Pierwsze lata po powrocie zza oceanu były okresem najbardziej ożywionych kontaktów Norwida z przybyłymi do Paryża polskimi artystami, m.in. z Leonem Kaplińskim, Juliuszem Kossakiem, Wojciechem Gersonem i Henrykiem Rodakowskim. Odwiedzał ich pracownie, gdzie uczestniczył w dysputach dotyczących polskiej sztuki oraz zapoznawał się z aktualnym dorobkiem gospodarzy. Interesującym świadectwem jednej z takich wizyt jest wiersz *Na portret generała Dembińskiego*, napisany pod wrażeniem obrazu, za który Henryk Rodakowski otrzymał złoty medal na paryskim Salonie. Jedynymi malarzami spoza śro-

dowiska polonijnego, z którymi Norwid utrzymywał bliższe kontakty, byli paryscy artyści: Ary Scheffer i Paul Delaroche. Równolegle autor *Promethidiona* nie zarzucał twórczości literackiej; spuścizna z tego okresu jest obfita i bardzo różnorodna. Oprócz licznych utworów lirycznych oraz przekładów warto przede wszystkim wspomnieć poematy: *Szczesna*, *Epimenides*, *Wędrowny sztukmistrz* oraz arcydziełny *Quidam*. Odnosił pewne sukcesy tak na polu twórczości literackiej, jak i artystycznej: wygłosił cykl wykładów poświęconych Juliuszowi Słowackiemu oraz recytował publicznie swój poemat *Rzecz o wolności słowa*, co zostało doskonale przyjęte w środowisku paryskiej polonii; w lipskim wydawnictwie F.A. Brockhaus opublikował tom poezji w ramach Biblioteki Pisarzy Polskich, a paryskie pismo „l'Artiste” zamieściło na swoich łamach dwie jego akwaforty: *Sforzę w więzieniu* oraz *Sybillę*.

Coraz gęstszy cień spowijał jednak codzienność Norwida, który stale borykając się z niedostatkiem, na spłaty zaległych długów zaciągał kolejne pożyczki, a jego sytuacja bytowa raz po raz była poważnie zagrożona. Życiowej stabilizacji nie służyły burzliwe relacje z kręgiem znajomych i przyjaciół, a nade wszystko dramatyczne wydarzenia dziejowe: najpierw te związane z wybuchem Powstania Styczniowego, a po kilku latach z wybuchem wojny francusko-pruskiej wraz z następującym tuż po jej zakończeniu terrorem Komuny Paryskiej. Mimo trudów wojennej egzystencji i zamrożenia życia kulturalnego, Norwid nie zaniechał swych twórczych zajęć, pracując między innymi nad obrazem ołtarzowym *Widzenie św. Stanisława Kostki* (zaginiony), przeznaczonym do Domu św. Stanisława, prowadzonego przez polskie siostry zakonne ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo (tzw. szarytki). Kilka lat później jego biografia, wbrew rozpaczliwym staraniom i planom przeniesienia się na południe Europy, do Włoch, trwale połączy się ze wspomnianym zgromadzeniem, bowiem poeta – znajdujący się w dramatycznej sytuacji finansowej, bez najmniejszych szans na utrzymanie samodzielnej egzystencji – zamieszka w innym, prowadzonym przez szarytki domu, przeznaczonym dla polskich weteranów i sierot, a mianowicie w Zakładzie św. Kazimierza, zlokalizowanym w podparyskim Ivry.

Kilka ostatnich lat życia, mimo oczywistych ograniczeń i izolacji, było dla Norwida nad wyraz twórczych

i artystycznie płodnych. Powstała wówczas między innymi tzw. włoska trylogia, złożona z nowel: *Stygmata*, „*Ad leones*” i *Tajemnica lorda Singelworth*, a uprawiana w zaciszu niewielkiego pokoju, który zajmował, twórczość rysunkowa i akwarelowa „była mu ratunkiem, podporą i pociechą”. Nawiązał również kontakt z warszawskim Towarzystwem Zachęty Sztuk Pięknych, gdzie wysłał dwie kompozycje: szkic olejny *Rusalka* (zaginiony) oraz akwarelową ilustrację ewangelicznej sceny pt. *Kobieta chananejska*, które znalazły się na dorocznych ekspozycjach w 1877 i 1879 r.

Jeden z malarzy młodszego pokolenia pozostawił interesującą, choć nie pozbawioną ciemnych tonów, charakterystykę sylwetki Norwida u schyłku życia, wspominając, że: „często go widywać można było w paryskich pracowniach polskich artystów, z papierosem w ustach, rozprawiającego o sztuce, z zapalonym i wiarą lat młodzieńczych, których ani wiek, ani rozterki życiowe przyćmić nie zdołały. Słowa barwne, piękne myśli płynęły z ust schorzałego starca; sztuce pozostał wiernym, choć mu ona macochą była”.



Powyższy zarys Norwidowskiej biografii artystycznej mimo swej zwięzłości rzuca sporo światła na trwałą i ważną pozycję sztuk plastycznych w twórczej sylwetce autora *Promethidiona*. Bez wątplenia obraz i słowo układają się w naprzemienny rytm, organizujący całą jego artystyczną aktywność, wzajemnie się dopełniając i komentując. W związku z tym, mimo że dzieło Norwida-plastyka wyraźnie ustępuje rangą jego twórczości literackiej i nie znajdziemy w nim arcydzielnych dokonań na miarę *Fortepianu Szopena*, *Bema pamięci żałobnego rapsodu*, poematu *Quidam* czy nowelistycznej „trylogii włoskiej”, bez wątpienia zasługuje na zainteresowanie „późnego wnuka”.

Chcąc w ogólnych zarysach ująć specyfikę spuścizny plastycznej twórcy *Solo*, obok wspomnianej na wstępie skłonności do ujęć szkicowych, fragmentarycznych, należałoby podkreślić, że głównym, a właściwie jedynym jej tematem jest człowiek. Podobnie jak u Norwida-poety, Norwida-dramaturga czy też Norwida-epistolografa, człowiek stoi w centrum tej twórczości, jest głównym aktorem „Norwidowej dramy”. Artysty właściwie nie interesuje w sensie plastycznym szersze otoczenie przyrodnicze i kulturowe, stąd wła-



Łódź apostołska na jeziorze Genezaret – tusz-pióro;
23,5x31,7 cm (1856). Fot. www.polona.pl

ściwie brak tu samodzielnych ujęć krajobrazowych czy widoku architektonicznego, co więcej – nawet w przedstawieniach figuralnych nakreślona wokół bohaterów sceneria poddana jest daleko idącej redukcji. O tym, że jest to zabieg celowy, wynikający ze świadomej postawy twórczej, przekonywał sam Norwid, gdy formułując ofertę świadczonych przez siebie usług artystycznych, obejmujących prace rytownicze, dobitnie podkreślał: „Nie robię wcale pejzażu”. Zwracając się ku „rzeczy ludzkiej”, twórca *Solo* poszukiwał niezmiennej prawdy o człowieku, o jego naturze, najważniejszych życiowych doświadczeniach i najgłębszych pragnieniach. Tematyka antropologiczna była wszakże trwale związana z perspektywą religijną, stąd Norwidowska twórczość, pozostająca zawsze blisko człowieka i jego spraw, starała się wskazywać transcendentny horyzont, sakralny wymiar bytu. Taka postawa wyrastała wprost z głębokich przemyśleń Norwida na temat miejsca i znaczenia sztuki, najpełniej wyrażonych na kartach *Promethidiona*, dowodzących, że sztuka winna być zawsze wychylona ku ideałowi i transcendencji, miała też przybliżyć człowiekowi prawdy wiary, prowadzić ku Bogu. Miała to czynić, sięgając z jednej strony do utrwalonych w kulturze i historii religii tematów, z drugiej zaś – do tematów i zagadnień, zaczerpniętych wprost z otaczającej rzeczywistości.

W swej artystycznej działalności rzadko sięgał Norwid po wielkie tematy z dalszej czy bliższej przeszłości, nie pozostawił też – co wydaje się zadziwiające w kontekście jego zaangażowania w sprawy zniewolonej Ojczyzny – żadnych kompozycji ilustrujących bieżące wydarzenia, związane choćby z dramatycznym przebiegiem Powstania Styczniowego, których tak liczne ilustracje trafiały przecież na łamy francuskiej

prasy. W artystycznym geście Norwida nie mieszczą się bowiem, podobnie jak na kartach jego utworów literackich, szerokie, panoramiczne ujęcia, prezentujące kluczowe zdarzenia i historyczne momenty dziejowe. Z jednej strony związane jest to zapewne z niedostatkami artystycznego wykształcenia, stanowiącymi źródło trudności w zakresie komponowania scen wielofiguralnych, z drugiej natomiast ze wspomnianą na wstępie skłonnością do fragmentarycznych, kameralnych ujęć. Ludzkiej wielkości i godności częściej szukał poeta w prostej codzienności, w gotowości do czynienia dobra, w czułej, ofiarnej miłości niż w przełomowych historycznych zdarzeniach i w heroicznych czynach. Wśród rysunków Norwida znajdziemy zatem wiele utrzymanych w lirycznym tonie podobizn kobiet i dzieci oraz scen ujmujących ich wzajemne relacje, ponadto liczne sceny przedstawiające w wąskim kadrze zdarzenia prozaiczne, codzienne lub też takie, których właściwe znaczenie ukryte bywa pod pozorną prostotą gestów.

Rysunkową oraz akwarelową twórczość autora *Solo* stale zasilala zatem – z różną intensywnością i w różnych wariantach – tematyka rodzajowa, zainicjowana we wczesnych pracach z okresu warszawskiego. Szkicowniki i albumy z pierwszych lat emigracji oraz luźne rysunki z tego okresu zawierają szczególnie bogactwo obyczajowych obrazków, rejestrowanych bądź to a vista, bądź przywołujących wciąż żywe wspomnienia lat dziecięcych i młodzieńczych spędzonych na mazowieckiej wsi oraz w stolicy. Pojawiają się w nich zatem sceny z karczm i zajazdów, figury chłopów, wiejskich dzieci, żebraków, ale także bywalców salonów. Uderzająca jest trwałość rodzimych obrazów w Norwidowskim imaginarium; jeszcze w latach 50. w jego twórczości pojawiały się polskie „typy i charaktery”. Równocześnie zaczęły wkraczać w tę twórczość motywy i postaci związane z życiem bieżącym, sceny z włoskich, potem paryskich ulic, salonów i kawiarni. Obrazom współczesności, zwłaszcza w szkicownikach oraz w zbiorze rysunkowych kartonów *Awantur arabskich* z 1848 r., niemal stale towarzyszyły imaginacyjne wizerunki „człowieka wiecznego”, w dostojnych pozach i o szlachetnych rysach, najczęściej przybranego w antykizowany kostium. Były to sylwetki nobliwych długobrodego starców, przywołujących na myśl postaci proroków i mędrców, bądź młode niewiasty o idealizowanym typie urody.

Na przeciwnym biegunie sytuował się talent satyryczny, który ujawnił się już w latach szkolnych, a przez kolejne lata dochodził do głosu w licznych kreślonych naprędce „karteczkach i złamkach”, których szczególną obfitość przyniosły lata 70., kiedy to powstała między innymi ilustrowana humoreska *Klary Nagnioszewskiej samobójstwo*, w której tekst łączy się organicznie z warstwą wizualną. Obok licznych karykaturalnych portretów znajomych i przyjaciół oraz własnych żartobliwych podobizn poeta kreślił niewielkie figuralne sceny, w których znajdował odbicie jego krytyczny stosunek do salonowych konwenansów, zwyczajów panujących w środowisku paryskiej polonii, ale również wobec pogardliwego stosunku rodzimego ziemiaństwa do świata kultury i sztuki. Nadzwyczaj trafny jest zbiór norwidowskich szkiców poświęconych szlachcicowi, który „z książką idzie spać do ogrodu” oraz lubi „nogi moczyć i słuchać, jak mu żona gra na fortepianie Chopina”. Pod ostrze satyry trafiały także ludzkie przywary i słabości, których obszerny katalog pozostaje niezależny od zmieniających się czasów i okoliczności, a to wszystko ujmowane w syntetycznych, kreślonych śmiałą, lapidarną kreską, rysunkowych notatkach. Karykatury stanowią niewątpliwie przejaw Norwidowskiej skłonności do ironii oraz przerysowywania rzeczywistości, która stale dochodziła również do głosu w jego twórczości literackiej oraz w epistolografii. Norwid – karykaturzysta mawiał wszakże, że „prawdziwy humor musi mieć łzę na dnie”, co więcej – żartobliwy stosunek artysty wobec ułomności bliźnich nie może nam przesłonić bogactwa obecnych w jego plastycznej twórczości tematów i motywów, obejmujących istotne aspekty życia ludzkiego.

Tematyka rodzajowa w obu realizowanych przez Norwida odmianach – idealizującej oraz satyrycznej – pozostawała stale obecna, wypada jednak zauważyć, że wraz z upływem lat motywy i obrazy zaczerpnięte z bezpośredniej obserwacji rzeczywistości coraz częściej stawały się zaledwie punktem wyjścia dla scen o charakterze alegorycznym bądź symbolicznym. Skłonność do przekraczania optyki realistycznej dostrzegalna była już we wczesnych szkicach i rysunkach twórcy *Solo*, aczkolwiek w późniejszych latach stale przybierała na sile, przynosząc liczne kompozycje wykraczające poza reprezentację doczesności. Tym niemniej w przedstawieniach o charakterze lub intencji symbolicznej nad wyraz



Starzec z lampką – piórko, tusz brązowy ; 18,3x10,7 cm (1845).
Fot. www.polona.pl

często znajdziemy ujęcia, motywy stanowiące same w sobie genialne obrazki rodzajowe: portret rodziny w *Sprzedawcy laurów*, scena przy stole, stanowiąca punkt wyjścia do alegorycznego obrazka *Śmierć, starzec i dziecko*, czy niemowlę wyrwijące się z objęć matki w stronę Zbawiciela w rysunku *Chrystus błogosławiący dzieci*.

Tematów dla swej twórczości plastycznej szukał poeta nie tylko w realiach otaczającej rzeczywistości. Często sięgał do Biblii, zwłaszcza do Nowego Testamentu, oraz do pierwszych, męczeńskich wieków chrześcijaństwa. Przedstawiał sceny z życia Chrystusa (ze szczególnym uwzględnieniem motywów pasyjnych) i świętych oraz pozostawał pod ogromnym wrażeniem sztuki rzymskich katakumb. W swych szkicach podejmował również tematy literackie, a w opinii współczesnych jego artystyczny talent miał szansę na pełną realizację właśnie w zakresie ilustratorstwa. Józef Ignacy Kraśzewski pisał: „Szkice szczególnie Cypriana Norwida są prawdziwie znakomite, gdyby mu Bóg dał trochę zimniejszej krwi i praktyczności (byle nie nazbyt)... byłby to może najgenialniejszy ilustrator”. Stosunek samego artysty do sztuki ilustratorskiej naznaczony



Dwie karykatury – tusz-pióro ; 22,4x31,1 cm (1873).
Fot. www.polona.pl

był jednak zarówno w zakresie praktyki twórczej, jak i refleksji nad tą dziedziną artystycznej działalności duchem sprzeciwu i zmagania. Z jednej strony, twórca *Muzyka niepotrzebnego* podkreślał podrzędną pozycję tego medium względem tzw. „samodzielnych” gatunków sztuki, z drugiej doceniał jego rolę w budowaniu rodzimej szkoły artystycznej. W jego spuściźnie plastycznej rysunki o charakterze ilustracyjnym stanowią całkiem pokaźny zbiór. Sięgał Norwid między innymi do dzieł Szekspira, Dantego, Goethego i Byrona, a także Mickiewicza, Krasińskiego i Lenartowicza; ponadto wykonał cykl ilustracji do pieśni *Bogurodzica* (zaginiony) oraz wysunął pomysł wydania Biblii ilustrowanej przez polskich artystów.

Norwid – o czym była już mowa – najczęściej sięgał po technikę rysunku i akwarelowego studium, przy czym stylistyka jego prac wykonywanych w tych technikach ulegała rozmaitym przeobrażeniom: od uproszczonych, konturowych szkiców, poprzez rysunki wypełnione gęstą siatką szrafowań aż po prace wykonane energiczną, płynną linią. Akwarela z reguły pełniła w tych pracach podrzędną rolę, najczęściej ograniczając się do tonowania kompozycji rysunkowej rozcieńczoną plamą barwną, aczkolwiek z biegiem lat następowało coraz silniejsze uniezależnianie się tej techniki, szczególnie chętnie stosowanej w pracach wykonywanych przez artystę w celach zarobkowych. W ostatnich latach życia Norwida akwarela zyskała szczególne znaczenie oraz nieznanie wcześniej oblicze: mroczny, przygaszony koloryt wydobywany przy użyciu nasyconych, rozlewających się plam o gęstej fakturze, zacierających kontury obiektów. Ale nawet w tych późnych

pracach przejawiał artysta predylekcję do ograniczonej palety barwnej, a nawet ujęć monochromatycznych, czego przykładem czteroczęściowy cykl *Fantazji ilustracyjnych* o trudnej do rozszyfrowania ikonografii, *Chrystus i kobieta chananejska* i ostatnia datowana kompozycja *Muza ukraińska* (1882), wykonana z okazji 80. urodzin Józefa Bohdana Zaleskiego. W ówczesnej korespondencji Norwida znajdziemy wypowiedzi świadczące o szczególnej roli, jaką przypisywał temu artystycznemu medium: „Maluję głównie akwarelą, bo o wiele wieków od olejnego starsza i większą gamę obejmuje” oraz „chcę tam doprowadzić akwarelę, gdzie jeszcze nie była, to jest, aby po równi i więcej niż olejne wyrażać mogła wszystko. Czyli nie żeby były «subjects d'aquarelle», ale żeby nią spokojnie myśleć można było. Otóż to w tym kierunku jest robione!”.

Zarówno praktyka artystyczna, jak i Norwidowska refleksja nad sztuką i twórczością z jednej strony wyrażały silne przywiązanie do tradycji i zapatrzenie w dzieła wielkich mistrzów, z drugiej natomiast ujawniały ciągłe poszukiwanie własnego języka artystycznego, wbrew przyziemnym trudnościom i ograniczeniom warsztatowym. W późnym okresie twórczości, właśnie w technice akwareli Norwid stał się twórcą w pełni oryginalnym, przekraczającym nawet współczesne mu style i konwencje (jak np. impresjonizm), a jego dzieło – mimo że szalenie nierówne – należy uznać za zjawisko całkowicie osobne i pozostające poza głównym nurtem artystycznych przemian, a co za tym idzie, pozbawione nawiązań i kontynuacji.

Nie mniej istotną częścią artystycznej spuścizny, mimo znacznie skromniejszej liczebności, jest twórczość graficzna, która pozwala określić Norwida mianem peintre – graveura, czyli rytownika wykonującego swe dzieła według własnych kompozycji. Twórca *Muzyka niepotrzebnego* niechętnie podejmował się opracowywania cudzych rysunków, stąd tego typu realizacje, których przykładem jest teka litograficzna *Łapigrosz. Szkice obyczajowe* autorstwa Artura Bartelsa oraz wykonany w stalorycie frontytypis edycji dwóch poematów Teofila Lenartowicza *Zachwycenie* i *Błogosławiona*, zaprojektowany przez Antoniego Zaleskiego, stanowią w jego dorobku dużą rzadkość. Najchętniej sięgał Norwid po technikę akwaforty oraz litografii, w której wykonał bodaj najsłynniejsze swe

dzieła: *Scherzo*, *Solo* oraz *Echo ruin*, będące owocem współpracy z zakładem litograficznym Saint Aubin w Paryżu. W tych symbolicznych przedstawieniach, pomimo zastosowania prostego schematu kompozycyjnego, polegającego na usytuowaniu ludzkiej postaci (jednej bądź kilku) w oszczędnej scenerii, zawarł Norwid niezwykle bogactwo sensów i znaczeń, wymykających się jednoznaczemu odczytaniu.

Akwafortą posłużył się natomiast artysta między innymi przy realizacji kameralnych wizerunków: *Lodovica Sforzy* (dwie wersje), *Pythii* oraz *Sybilli*. W 1865 r. prace te były eksponowane na wystawie w Nîmes, a kilka lat później dwie z nich opublikował artysta na łamach paryskiego pisma „L'Artiste”. Do *Sybilli* dołączono kilkudzianową notę na temat autora, utrzymaną w kurtuazyjnym tonie, z której można się było dowiedzieć, że „Pan Norwid jest akwafortystą, który studiował w wielkich szkołach Alberta Dürera i Rembrandta. Nie tylko lubi rysunek, ale pasjonuje go ekspresja – czasem posunięta aż do karykatury – podobnie jak innego wielkiego mistrza, Leonarda da Vinci”. Opinia francuskiego redaktora, w której przywołano nazwiska najbardziej cenionych przez Norwida artystów, stała się dla twórcy *Solo* źródłem wielkiej satysfakcji; dość powiedzieć, że wielokrotnie powoływał się na nią w swej korespondencji.

Graficzny dorobek Norwida nie jest oczywiście tak wybitny, jakby to mogła sugerować przywołana charakterystyka, tym niemniej stanowi wyróżniający się zbiór kompozycji. Tematycznie przeważają wśród nich sceny biblijne, z bardzo ciekawym przedstawieniem sceny *Wskrzeszenia Łazarza*, oraz symboliczne, wśród których warto jeszcze wymienić *Muzyka niepotrzebnego* i *Rozmowę umarłych: Rembrandt-Fidiasz*.

Najtrudniej charakteryzować malarstwo olejne Norwida, które było stosunkowo nielicznie reprezentowane w jego dorobku, a co gorsza większość namalowanych przez niego obrazów zaginęła i znane są wyłącznie z krótkich wzmianek i zdawkowych opisów. Wiemy, że chętnie malował portrety, sceny biblijne, a także przedstawienia rodzajowe, z kolei najbardziej znaczącą realizacją w tej dziedzinie był wspomniany w zarysie biograficznym obraz ołtarzowy, przedstawiający *Widzenie św. Stanisława Kostki*. Dzieła, które zachowały się do dziś, takie jak *Jutrznia*,



Domek wiejski w zimie – ołówek; 31,2x22,5 cm. (1873).
Fot. www.polona.pl

nia, *Kościół na Litwie* czy wizerunek szekspirowskiej *Lady Makbet*, nie pozwalają na sformułowanie jakichkolwiek wiążących ocen tego dorobku. Zasadniczo różnią się między sobą pod względem zastosowanej techniki malarskiej, potwierdzają natomiast obecność w pozostałych dziedzinach artystycznej twórczości Norwida skłonność do symbolizowania i komplikowania sensów. Szczególne zainteresowanie krytyków i badaczy wzbudzała *Jutrznia*, przedstawiająca zakonnicę modlącą się w ciemnej izbie o wschodzie słońca, którą interpretowano jako przedstawienie zniewolonej ojczyzny lub Kościoła.

Pisząc o artystycznym dorobku twórcy *Solo* warto również pamiętać o Norwidzie-rzeźbiarzu, mimo że znamy tylko jedną w pełni autorską realizację, a mianowicie medalion Zygmunta Kasińskiego, wykonany w 1860 r., w rocznicę śmierci autora *Irydiona*. Sam Norwid był bardzo zadowolony ze swego dzieła, podkreślając, że chciał w nim uzyskać efekt „wielu tej samej osoby momentów (...), momentów sumę!”, dzięki czemu o portrecie tym pisano, że jest „od fotografów podobniejszy”. To udane dzieło świadczy o niewątpliwym talencie rzeźbiarskim Norwida, który nie został w pełni wykorzystany, mimo że jego twórca angażował się niekiedy w inne inicjatywy w tym zakresie. W młodości zaprojektował na przykład pomnik Jana Kochanowskiego, który miał stanąć na Wawelu, ale plany zostały porzucone po przyłączeniu Krakowa do Cesarstwa Austrii, a w latach późniejszych projektował płaskorzeźbione dekoracje

polskich grobów na paryskich cmentarzach, jednak przy braku stosownej dokumentacji trudno ustalić zakres tej działalności.

Na zakończenie przedstawionej charakterystyki spuścizny artystycznej Norwida – siłą rzeczy niepełnej i ograniczonej do wybranych kwestii i zagadnień – wypada odnotować, że spośród nieco ponad dwóch tysięcy rysunków, akwarel, grafik i innych artefaktów, które wyszły spod ręki twórcy *Solo* niemal połowa przepadła w zawirowaniach dziejowych. Po dziś dzień zachowało się około 1200 obiektów, przy czym zdecydowana większość znajduje się w polskich zbiorach publicznych, muzeach i bibliotekach, nieliczne tylko – w instytucjach zagranicznych oraz w kolekcjach prywatnych. Najbogatsze zbiory norwidowskie posiadają Muzea Narodowe w Warszawie i Krakowie oraz Biblioteka Narodowa, która zgromadziła również największe archiwum rękopiśmienne autora *Vade-mecum*, ponadto Biblioteka Jagiellońska, biblioteki naukowe PAU i PAN w Krakowie, Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie oraz Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu. Rozmiary zaginionej spuścizny twórcy *Solo* są z kolei stosunkowo dobrze znane dzięki inwentaryzacyjnej działalności Zenona Przesmyckiego, odkrywcy i pierwszego wydawcy Norwida, utrwalonej w rękopiśmiennych zapiskach z początków XX stulecia, zachowanych w zbiorach Biblioteki Narodowej.



Album, który trafia do Państwa rąk, stanowi próbę nakreślenia portretu Norwida-artysty poprzez prezentację jego twórczości plastycznej. Uwzględnia wszystkie uprawiane przez twórcę *Solo* dziedziny sztuki, jednak ze zdecydowaną przewagą ilościową rysunków i akwareli, co odzwierciedla rzeczywiste proporcje spuścizny autora *Vade-mecum*, w której drobne szkice i studia akwarelowe stanowią ponad 90% wszystkich zachowanych dzieł.

W zestawie ilustracji znalazły się zarówno samodzielne, luźne kompozycje, jak i prace zaczerpnięte z norwidowskich szkicowników oraz albumów, by wspomnieć *Album dla Teodora Jełowickiego*, *Książkę pamiątek* czy *Album Orbis*, gromadzący w trzech tomach pokaźną liczbę szkicowych kopii fragmentów dzieł sztuki, pochodzących z różnych epok i różnych

kręgów kulturowych. Sięgano również do albumów znajomych i przyjaciół, którym Norwid ofiarowywał swe prace. Spośród nich na szczególne wyróżnienie zasługuje album *Umarli żywi* Teofila Lenartowicza, mieszczący ponad dwadzieścia interesujących Norwidowskich kompozycji.

Warto mieć na uwadze, że artysta najczęściej wykonywał niewielkie, kameralne prace, których rozmiary nie przekraczają rozmiarów kartki ze szkicownika, a niekiedy są to ledwie kilkucentymetrowe „karteczki i złamki”, by posłużyć się określeniem samego Norwida, z rzadka natomiast sięgał po większe formaty, czego przykładem kompozycja *Christiani ad leones* mierząca niemal 45 x 50 cm. O tym, że na równi z większymi realizacjami traktował drobne, ulotne szkice, niech świadczą trzy przykłady, które jednocześnie uchylają rąbka tajemnicy warsztatu Norwida. Pierwszy to wizerunek Sybilli Kumańskiej, opatrzonego napisem „Ecce Deus”, który Norwid obciął poniżej głowy postaci (niezadowolony z jej wykonania), a następnie nakleił tę akwarelę na stronicę albumu, na której domalował poprawioną wersję głowy. Drugi to studium przygotowawcze do akwareli *Kobieta chananejska* wykonany na arkuszu sklejonym pieczętowanym z trzech mniejszych wycinków papieru, a z kolei szkic *Na cmentarzu – scena alegoryczna* został przez artystę „zmontowany” z dwóch niezależnych rysunków, połączonych we wspólną całość.

Album po raz pierwszy prezentuje tak obszerny wybór dzieł plastycznych Norwida w układzie chronologicznym: zamieszczono tu 200 prac z liczącej ok. dwóch tysięcy pozycji znanej (zachowanej i zaginionej) spuścizny plastycznej artysty. W 200-lecie urodzin twórcy *Solo* liczba reprodukcji ma oczywiście swoją symboliczną miarę i znaczenie. Biograficzne uporządkowanie ikonograficznej antologii daje możliwość podążania za Norwidem jego artystyczną drogą, a zarazem składa z tych drobnych realizacji wielowymiarowy, a przede wszystkim – mam taką nadzieję – jego WIERNY-PORTRET.

*Dr Edyta Chlebowska pracuje w Ośrodku Badań nad Twórczością Cypriana Norwida Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Powyższy tekst jest wstępem do albumu *Wierny-portret*, który w 2021 roku ukazał się nakładem kieleckiego Pewnego Wydawnictwa. Przedruk za zgodą autorki.*



Klimontów, 2006 r. Fot. autor

Eugeniusz Niebelski

W dawnych dobrach rodu Ossolińskich – w Klimontowie i okolicach...

(Wspomnienie)

Klimontów ze swoją interesującą historią, kilkoma jakże oryginalnymi zabytkami, pięknym położeniem jest w Ziemi Sandomierskiej miejscem wyjątkowym – niegdyś prawie zapomnianym, już tylko z powodu pobliskiego Sandomierza i Opatowa, które przyciągały większą uwagę i historyków i turystów. Miasto nie tak znów stare, bo zakładali je na początku XVII wieku Ossolińscy, spośród których Jerzy wybija się w połowie tego wieku na jedną z pierwszoplanowych postaci Rzeczypospolitej. Miało krótki błysk świetności, potem trwało pod innymi już włodarzami, ale nieustannie – i dziś także – bardziej dostrzegało się tamte ważniejsze miasta. Tu była „prowincja”, ale o jakże wielkim uroku – trzeba tylko chcieć to zauważyć i zapoznać się z nią. I najważniejsze – stale troszczyć się, by z tych uroków miejsca i historii nic nie przepadło. To obowiązek, ale i przywilej wszystkich mieszkańców tej „małej ojczyzny”. Dobro wspólne.

**

Czas szybko mija... Klimontów zobaczyłem po raz pierwszy około 1968-1969 roku; przyjechałem tam wtedy motorem z bratem Tadeuszem z Przedborza nad Pilicą. Było to latem. Pierwszy widok z drogi od Opatowa robił wrażenie: dolina z dalekim widokiem... otoczona pagórami, w dole dachy miasteczka, z bujnej zieleni wyłaniają się kościoły: grynspanowa kopuła z krzyżem oraz nieduża wieża i czerwone dachy klasztoru (człowiek automatycznie rozgląda się, czy nie dostrzeże więcej). Słońce, srebrzystoniebieska poświata lekko przesłaniała uroczy landszaft (wiele lat później pewien malarz z Kazimierza nad Wisłą, „Diabeł” zwany¹, coś takiego namalował – pełen podziwu patrzyłem z całą rodziną, jak to szkicował). Warto byłoby tu zamieszkać – pomyślałem, gdy zjeżdżaliśmy z dość wysokiej góry do miasteczka.



Fara. Widok od strony klasztoru. 2010 r. Fot. autor

Ryneczek, kocie łby, wokoło kamieniczki... trochę jak w moim Przedborzu! Podobało mi się. Zwiedzałem przepiękne kościoły, penetrowałem ich tajemne, ciemne podziemia z zachowanymi wieloma trumnami dawnych mieszkańców i mnichów-dominikanów, podziwiałem dworek proboszczowski, i duża murowana synagoga robiła wrażenie, ale raczej smutne – miejsce skupu owoców. Puste, surowe (bo zniszczone jeszcze w czasie wojny) wnętrza założone skrzyniami owoców i warzyw, na zabłoconym placu obok stoją furmanki załadowane płodami okolicznych sadów i ogrodów. Później o Klimontowie zapomniałem.

¹ To był znany malarz Waldemar „Diabeł” Wojczakowski, zmarły w styczniu 2020 r. w Kazimierzu Dolnym.

Traf chciał, a chyba raczej Opatrzność, że na studiach w Lublinie poznałem moją przyszłą żonę Basię, okazało się – z Klimontowa! Więc wróciłem... na stałe! do tego uroczego miasteczka.



Ruiny zamku Ossolińskich w Ossolinie XVII w. Fot. Jerzy Osiecki



Kaplica Betlejemaska w Ossolinie. Fot. Jerzy Osiecki

Ale już wtedy patrzyłem na nie inaczej – oczami historyka, a także zapalonego wędrowcy. Poznawałem okolicę, bliższą i dalszą, historię miasteczek i wsi, zakątków, gdzie nikt wtedy nie zaglądał. Zatoczyłem „historyczny krąg” – Klimontów w centrum, a wokoło niego: Rybnica (pole bitwy w 1863 r. i pomnik poległych Rosjan), Górki (pałac Ledóchowskich), Olbierzowice, Goźlice (przed wiekami kalwińskie), Ossolin (gniazdo rodu Ossolińskich), Konary (słynne z walk Legionów Polskich Piłsudskiego w 1915 r.) i nieco dalej Sulisławice (sanktuarium Ziemi Sandomierskiej), Jurkowice, Wiązownica, Dzieki („rosyjski” pałac Pogodina i szachisty Pietrowa²), Ujazd

² Dziś sławne zagranie Aleksandra Pietrowa, wielkiego sympatyka Polacy i Polaków, ożenionego z córką gen. Pogodina, właściciela donacji „Osiek” w XIX w., znają dobrzy szachiści. Pisałem o nim i o pałacu w Dziekach m.in. w książce o Klimontowie; sporo

(zamek „Krzyżtopór”), Łoniów, Koprzywnica (klasztor cystersów), Świątyniki.



Pomnik pamięci poległych pod Rybnicą w 1863 roku. Fot. J. Osiecki

To wszystko „zagubione” – choć tam tyle historii i uroków! – w trójkącie znanych i odwiedzanych Opatowa, Sandomierza i Baranowa. Zauroczyłem się... wsiąknęłam w tę historię i krajobrazy, ale zaniedbałem swój rodzinny Przedbórz (nic o nim do dziś nie napisałem). Wyruszyłem na wędrowki, zacząłem czytać, badać, a następnie pisać różności o tej części historycznej Ziemi Sandomierskiej, wydałem książeczkę o Klimontowie (1993 r.), następną... znów o Klimontowie (1999 r.), ale i jego pobliżu³. Obydwa nakłady rozeszły się błyskawicznie, budząc duże zainteresowanie, ja miałem satysfakcję, że obrałem dobry kierunek. Historię tę chciałem podarować Żonie oraz pokazać choćby w Małopolsce, co znaczy Klimontów, wypromować zapomniane „prywatne miasto rodu Ossolińskich” (tych sławnych w XVII wieku, Zbigniewa i Jerzego) i okolice.

o Pietrowie znaleźć także można w Internecie, również na stronach rosyjskich.

³ E. Niebelski, *Klimontów miasto prywatne rodu Ossolińskich 1240-1990*, Klimontów 1993; tenże, *W dobrach Ossolińskich. Klimontów i okolice*, Klimontów 1999.

To było moje prywatne pomysły i plany, Klimontowem chciałem „zarazić” innych. Toć tu na miejscu można spędzić na zwiedzaniu i wędrówce nawet kilka dni. I codzienne odkrywać coś nowego.

Klimontowem zauroczyli się niegdyś moi oryginalni znajomi. Gdy rodziła mi się pierwsza dwójka dzieci (a urodziły się w Staszowie), w Klimontowie zamieszkało małżeństwo młodych lekarzy – Maria i Janusz Kaczmarzykowie, ogromnie mili, kulturalni ludzie, także wędrowcy... Jak tu się znaleźli? Ano, jadąc kiedyś na południe w góry, zobaczyli panoramę Klimontowa. I natychmiastowa decyzja – tu zamieszkamy! Później z Januszem przeszedłem kawałek Bieszczadów, które obydwaj lubiliśmy. Kiedy im już podrosła gromadka dzieci, wyprowadzili się (nie tylko ku naszemu żalowi) na Dolny Śląsk. Nasze ponowne spotkanie po latach w Klimontowie było dość przypadkowe: Kaczmarzykowie wycieczkowo przyjechali w te okolice ze swoimi wzrosłymi dziećmi i znajomymi – odświeżyć znajomość z pięknym Klimontowem i okolicami. Dziś ze smutkiem odnalazłem w Internecie wiadomość, że doktor Janusz Kaczmarzyk zmarł w listopadzie 2019 roku.

Wróćmy jednak do historii Klimontowa i do książki. Rozpocząłem od poszukiwań literatury, ale także od zbierania opowieści starszych mieszkańców Klimontowa. Najzabawniejsze było z cicią Anną W., od której dowiedziałem się, że m.in. jednym z najstarszych rodów Klimontowa są Skórscy (z tych Skórskich jest właśnie moja żona), szlachta, czyli herbowi (jaki herb? – nie wiedziała) i przybyli tu z Kaliskiego. A skąd to wiadomo? – Z opowieści rodzinnych, a dowodem jest grób na cmentarzu, gdzie leżą Białokórcy, my od nich się wywodzimy. Sprawdziłem. Faktycznie, jest na cmentarzu grób z drugiej połowy XIX wieku: żeliwny (zapewne roboty znanej odlewni w Stąporkowie), z takimż płotkiem; napis głosi, że leżą tam dwaj bracia Białokórcy. Odkryłem, że jeden zginął w Jurkowicach podczas bitwy powstańczej w 1863 roku, drugi służył carowi – wykrył spisek księdza Piotra Ściegiennego, którego zesłano na Sybir, a ten Białokórski został gubernatorem radomskim. Idę do cici... opowiadam, i mówię, że chyba Białokórcy i Skórscy to różne rodziny. Cicia uparcie obstaje przy swoim, więc tłumaczę: w jednym tylko przypadku może się ten związek rodzinny potwierdzić. No w jakim? – Ano, jesteście...

z nieprawego łoża (nic takiego nie było, ale tak sobie powiedziałem, „rozwiązując” zagadkę). Jak to! skąd to możesz wiedzieć? – zakrzyknęła. A tak, z niesakramentalnego związku i dlatego od Białoskórskich otrzymaliście tylko połowę nazwiska: Skórski. – Bądź miły, Gienku, tylko tego nie rozpowiadaj, proszę cię! Nie rozpowiadałem, ale zbadłem. Związku Białoskórscy–Skórscy nie było, ale dawne rody miały ten sam herb „Jastrzębiec”, a Skórscy, a dokładnie dwaj bracia Skorscy (tak!) przybyli do Polski w XVII wieku z daleka. Jeden wzenił się na Ziemi Sandomierskiej w Mikułowicach, drugi gdzieś na Lubelszczyźnie. Wyszli aż z Inflant, kiedy tamte ziemie opanowali Szwedzi⁴. Na cmentarzu Wojciechowice-Mikułowice są jeszcze pięknej roboty kamienne nagrobki z XIX wieku – Skórskich!

Rozmów, spotkań, kontaktów i w związku z przygotowaniem książek o Klimontowie, a także po ich opublikowaniu miałem wiele: jedne bardzo miłe, inne mniej, jeszcze inne – przykre i zaskakujące. Obydwa wydania sfinansowała gmina, bo się o to starałem, wspomagany przez księdza proboszcza Nowaka. Szczególnie za pierwszym razem „władza” dała mi wyraźnie odczuć, że robi mi wielką łaskę. Książkami przecież wyraźnie się chwalono, sprzedawano. Reakcja zwykłych ludzi była sympatyczniejsza, zbierałem życzliwe słowa. Za drugim razem było już lepiej, nowa władza rozumiała potrzebę promocji miejsca.

Gdy wydałem pierwszą książkę, krótko potem napisał do mnie do Lublina Żyd z Izraela, Szalom Karmeser. Okazało się urodzony w Klimontowie. Jako młody człowiek wyjechał w okresie międzywojennym do Palestyny, na krótko wrócił do Polski, ale tu zastała go wojna – uratował się tylko dlatego, że miał już wtedy brytyjskie obywatelstwo⁵. Pisał o tym do mnie, dziękując wylewnie za książkę o Klimontowie (ktoś mu ją przesłał do Izraela), że taka obiektywna, prawdziwa itp. Przez ładnych kilka lat wymienialiśmy się listami (korespondencję zachowałem), a on posyłał do mnie prosto z izraelskich sadów duże paczki pomarańczy. Piękne, pachnące, słodkie! Mieliśmy z tego wiele frajdy. Później foto-

grafię i odrobinę historii rodziny klimontowskich Karmeserów zamieściłem w drugim (kolorowym) wydaniu książki „W dobrach Ossolińskich”. Za tę samą książkę, te same słowa i te same historie o Żydach w Klimontowie spotkała mnie po latach wielka przykrość, gdy pani profesor Joanna Tokarska-Bakir z Warszawy, „antropolożka kultury i eseistka”, napisała w swoich ważnych publikacjach⁶, jakoby „rozwiązał” po „polsku” (rozumie się, niezgodnie z prawdą) zagadkę zabójstwa pewnego młodego klimontowskiego Żyda, którego w czasie frontu rosyjskiego oskarżano o wydawanie ludzi podziemia w ręce NKWD. Faktem jest, że w tym przypadku posługiwaliśmy się obydwoma relacjami ludzi⁷, z tym że ja jednym, a pani profesor (zebranymi przez jej pomocników) drugimi, i to zbieranymi w różnym, dość odległym od siebie czasie. Nic natomiast pani profesor nie zechciała wspomnieć, że ja pierwszy odsłaniałem dobrą oraz tę bolesną stronę relacji Żydzi – Polacy w miasteczku (były niestety zabójstwa Żydów, nieszczęśliwych, ocalałych z Holocaustu). Tak więc, czytając teksty pani profesor, poczułem się naznaczony jako antysemita, nieuczciwy „regionalista KUL”, a może nawet przez czytelników publikacji napiętnowany. Cóż, tak chyba miało być. Kilka lat temu, serdecznie zachęcony przez klimontowskiego kolegę, odbyłem rozmowę z „redaktorem, wydawcą, pisarzem” Andrzejem Nowakiem-Arczewskim, z Ostrowca Świętokrzyskiego, gdy on – jak to deklarował – miał obiektywnie i ostatecznie wyjaśniać trudne i bolesne sprawy Polacy–Żydzi w historii Klimontowa, szczególnie czasów wojny i powojnia. Faktycznie, książkę wydał, ale o jej obiektywizmie trudno byłoby rozmawiać.

Teraz znów będzie o Żydzie wywodzącym się z Klimontowa, ale historia w przyjemniejszym kontekście.

Kilkanaście lat wstecz, a raczej więcej – dzwoni telefon w moim mieszkaniu w Lublinie. Przedstawia się pani i mówi, że mnie zna z książki o Klimontowie, chce się spotkać i poznać osobiście. Jest Brazylijką, teraz w Polsce, nazywa się Natalia Inês Klidzio. Mówi z akcentem, ale ładnie po polsku. Tak, spotykamy

⁴ E. Niebelski, *Z Inflant do Klimontowa (Przyczynek do genealogii rodów Ziemi Sandomierskiej)*, „Zeszyty Sandomierskie” 1997, nr 6.

⁵ Losy Szaloma Karmesera opisałem w tekście *Jedno żydowskie życie*, „Na przykład” (Lublin), 1997, nr 45, s. 16-18.

⁶ M.in. *Okrzyki pogromowe. Szkice z antropologii historycznej Polski lat 1939-1946*, Wołowiec 2012.

⁷ Nie miałem wówczas żadnego finansowego wsparcia, by móc sprawę badać dogłębniej i konfrontować opowieści klimontowian z dokumentami w archiwach.

się na lubelskim miasteczku akademickim – jako znak rozpoznawczy trzyma w ręku mój *Klimontów*. Gdzie Brazylia, a gdzie Klimontów? Rzecz w tym, że pani Natalia naukowo zajmuje się urodzonym w Klimontowie Żydem, który w 1936 wywędrował z rodziną do Ameryki Południowej, a nazywał się Samuel Rawet; obroniła potem doktorat o tym Rawecie⁸, a później podarowała mi książkę – z dedykacją dla mnie (Co za miły gest. Dziękuję, Natalio!). Okazuje się, że ów Rawet to w Brazylii ktoś bardzo ważny: z wykształcenia inżynier, miał duże zasługi przy budowie miasta Brasillii, potem głośny pisarz (debiutował w 1956 roku), który swoim pisarstwem dokonał w literaturze brazylijskiej wielkiego przełomu. Żadna tu zasługa Klimontowa, ale jednak warto kimś takim się pochwalić. A sama Klidzio? Dziwiłem się nazwisku, bo raczej nie brazylijskie, mówiłem, że trochę mi brzmi „po naszymu”, czyli po słowiańsku. A potem, penetrując materiały archiwalne o powstańcach i zesłańcach 1863 roku natrafiłem przypadkowo na pewnego Klidzio – z Litwy! Pani doktor Klidzio uczyła potem w Lublinie na UMCS (Katedra portugalistyki) mojego najstarszego syna Pawła języka portugalskiego. Wiem, że chętnie by się z Klimontowem zaprzyjaźniła.

Na klimontowskim cmentarzu już u początku mojego tam pobytu znalazłem ładny pomnik z piaskowca ks. Aleksandra Jankowskiego (zmarłego 1911 r.), który na początku XX wieku osiadł przy kościele i klasztorze poddominikańskim, gdy w 1901 roku zmarł tam ostatni dominikanin. Tyle początkowo wiedziałem. Znow trochę czasu upłynęło – tym razem wybrałem się na Syberię, by w Irkucku i innych archiwach szukać dokumentów o losach polskich księży tam zapędzonych za udział w powstaniu styczniowym. Dokumenty odnalazłem, o Jankowskim także (skazany na zsyłkę za udział w powstaniu 1863 r.), a nawet ulicę w syberyjskiej wiosce Tunka (położona w ogromnej dolinie, pomiędzy rozległymi górami Sajanami a Chamar-Daban), przy której ks. Jankowski zamieszkiwał, w kręgu 156 innych zesłańców duchownych zgromadzonych w wiosce przez władze syberyjskie⁹. W Tunce Jankowski był długo (ostatnie kilkanaście lat to był już pobyt dobrowol-

ny), spotkał go jeszcze młody Józef Piłsudski¹⁰, którego tam osiedlono w 1890 roku za udział w spisku na życie cara. Jankowski, jak opowiadano w kręgu zesłańców, wrócił do kraju z kapitałem, bo przez kilka dekad pobytu w Tune żył nie jak duchowny, ale całkowicie na sposób świecki, jak inni zwyczajni Sybiracy – zajmował się różnymi interesami, głównie handlem! Refleksja moja: Przedbórz, potem Lublin, potem Klimontów i Syberia, i ten pomnik i książka! Co to za związki? Przypadek?



Grób ks. Aleksandra Jankowskiego. Fot. autor

Więc ten Klimontów i moje spotkania z historią i ludźmi też chyba nie przypadek! I Klimontów stale leży mi na sercu. Tak było od mojego związku rodzinnego i od codziennego już poznawania miasteczka – od 1978 roku. I wszystko nadal mnie tam interesuje. Ale od tamtego czasu Klimontów stracił wiele ze swojej oryginalności (bo też świat się zmienia, niekoniecznie na lepsze), choć przybyło mu sporo estetyki, ale niekiedy nazbyt „nowoczesnej”. Na przykład rynek! który nie tak daw-

⁸ N.I. Klidzio, *Itinerario urbano na vida e obra de Samuel Rawet*, Editora da Universidade de Passo Fundo, 2010.

⁹ O księżach zesłańcach zob. E. Niebelski, *Tunka. Syberyjskie losy księży zesłańców 1863 roku*, Wrocław 2011; tenże, „Wiosna i jesień

trwa tu krótko”. *Księża zesłańcy 1863 roku w syberyjskiej Tunce*, Lublin 2017.

¹⁰ *Józef Piłsudski na Syberii 1887-1892*, oprac. naukowe E. Niebelski, Lublin 2018.



Rynek w Klimontowie po II wojnie (fot. archiwalna). Ze zbiorów autora

no „zrewitalizowano”, nie bardzo wiedząc chyba, co znaczy rewitalizacja. Bo go całkowicie rozorano i splantowano, a potem zbudowano inny, wycinając zielen, stare drzewa – na środku postawiono pseudofontannę, z kulą ziemską obmywaną przez sikającą wodę. Takiej sikającej wody, karłowatych drzewek, płytek betonowych na polskich rynkach są dziesiątki i setki. Po rosyjsku – urawniłowka! Może tylko Afrykanie poczują się tu latem dobrze, ale i oni przecież szukają w upały także cienia. Ot! afrykański rynek. A co z zielenią w ogóle? Znikała i znika: przy uliczkach miasteczka pozostałe jeszcze rachityczne drzewa zabetonowano!, wycięto korony (długo nie pożyją! w betonie wody nie ma!), oczyszczono z zieleni przestrzeń wokoło kościołów, zniknął dawny sad proboszczowski (a pierwszy zakładano jeszcze w I poł. XIX wieku), jakby tej zieleni było tam za dużo. By było świetliście? widokowo? Przepędzono tym samym mrowie przeróżnych ptaków śpiewających, zające, bażanty – całe stworzenie, które umiłało ludziom chwile wytchnienia w okolicach klasztoru i fary. Przepędzono urok i odrobinę tajemnicy, który stworzyła sama natura i dawni klimontowianie. Powiedziałbym jeszcze: cała bujna przyroda i ptactwo wokoło tych pięknych świątyń wyspiewywały Bogu chwałę. Niechby tak zostało! Słowiki już tam chyba nie śpiewają.

W ogóle przez ostatnich kilkadziesiąt lat w Klimontowie nie posadzono ani jednego normalnego drzewa, chyba, że w prywatnych ogródkach. Obawiam się też o pagórek obok fary – ten, gdzie dziś łąka traw,

a pośrodku niej duży kamienny krzyż. To miejsce po pierwszym drewnianym klimontowskim kościółku i cmentarzu wokół. Słyszałem o pomysłach, by tam zrobić parking samochodowy. Niepojęte! To miejsce musi być chronione przed takimi zakusami. Powinno pozostać nienaruszone! Jest poświęcone! Rzeczy i działania dobre w Klimontowie – szczególnie dbałość o kościoły – mieszą się z niepojętymi...

Dawnemu proboszczowi śp. ks. Stanisławowi Wróblowi, prawdziwemu gospodarzowi kościołów i parafii, takie pomysły nigdy by nie przyszły do głowy. Był rzadko już spotykanym oryginałem, bardzo pozytywnym – duszpasterzem, a równocześnie... rolnikiem; dbałym o kościelny detal, ale także o parafialną ziemię. Sam uprawiał pole, doglądał inwentarza, wiedział co to ciężka praca; niekiedy dopiero krótko przed nabożeństwem schodził z pola lub od obrządku. Wielu widziało to niechętnie, inni byli pełni uznania. Praca na roli to była jego pasja. Sam się o tym przekonałem. Nowy sad pomiędzy farą i klasztorem głównie jego był dziełem (niekiedy chodziłem tam na pachnące papierówki). Po nim przyszli inni. Nowsze czasy...

To głównie za „infułata” księdza Adama Nowaka (w parafii bardzo lubianego) ładnie odnowiono farę (XVII-XVIII wiek), o elipsoidalnej oryginalnej kopule (podobną oglądać można nawet dość blisko – bo we Lwowie), także klasztor poddominikański. Dziś nowy proboszcz kontynuuje prace renowacyjne. Obydwa kościoły funkcjonują jako



Fara klimontowska. Poczłtówka pocz. XX w. Ze zbiorów autora

świątynie, ale z samym klasztorem nikt chyba nie wie, co teraz zrobić. Jednakże w zapędach nowych „renowacji i rewitalizacji” wcześniejszy ksiądz rektor klasztoru (samodzielny w swych decyzjach) „uporządkował” podziemie w prezbiterium, usuwając oryginalne (obite sukrem i ozdobnymi gwoźdźmi) trumny (raczej je spalono), a kości i zmumifikowane postaci zamurowano w kącie katakumby, chyba pustakami. Wielki Boże! Jak można było? A takie rzeczy dziś się eksponuje, a nie doszczętnie niweluje! Do czego teraz miałyby służyć ta katakumba? Kiedyś widziałem w skarbczyku kościoła zrobiony „porządek” (przez ministrantów?): pomiędzy drewniane fragmenty zniszczonych mebli ktoś wcisnął, jak pakułę – okazało się – olejny obrazek na płótnie jakiegoś świętego. Nie rewelacja, ale przecież zabytkowy. Co z nim się stało? Inny ksiądz rektor przekopał wzgórze klasztorne, robiąc drogę dojazdową, może potrzebną (?), ale kiepsko zabezpieczoną. Woda zniszczy wzgórze. A podobno przestrzeń między klasztorem a farą miała być chroniona!? Były już nowe pomysły, by w kościele wymienić posadzkę, bo ta jest już nieładna i zniszczona (nawet organista miał w tym względzie coś do powiedzenia). A jeśli nieco zniszczona – to posadzka z XVII wieku! Wyklęczana przez pokolenia! Można ją tylko przełożyć, uzupełnić. Jest tam jeszcze cudami słynący obraz – tzw. ikona Matki Boskiej Różańcowej, też z tamtego wieku. Więcej już nie napiszę...

Ale jednak do budynku poklasztornego powrócę. Przez cały XX wiek był wykorzystywany przez mieszkańców, gminę, kuratorium szkolne (czy dzierżawę płacono?). Po drugiej wojnie założono tam dobre liceum, potem je w ramach dziwnej „reformy” zlikwidowano, pozostawiając kościołowi zniszczone budynki – niech sobie radzi. Czy tak powinno być? To jest ogromny budynek! Owszem, była pomoc gminy, kuratorium, ministerstwa, ale jednakże nadal niedostateczna. Remonty tam trwają chyba już ponad dwadzieścia lat... można powiedzieć: bez końca! Wyremontowano fragment klasztoru, reszta popada w ruinę! Dosłownie!

Gmina powinna przyjąć na siebie stały obowiązek, by w tym względzie wspierać kościół klimontowski. Jakiś czas temu powstało społeczne „Stowarzyszenie na rzecz klasztoru Wspólne Dobro”, dobra i potrzebna inicjatywa, ale jego działania (głównie promocja i okazjonalne zbieranie funduszy) to kropla w morzu potrzeb.

Synagoga z XIX wieku – trzeci ważny obiekt klimontowski, niemy świadek licznie tu zamieszkujących przez kilka wieków Żydów. Za mojej pamięci wyprowadzono z niej „skup owoców”, a potem była kilkakrotnie odnawiana, dziś znów popada w ruinę. Chyba nie jest już własnością gminy. A czyją? Gdzie opiekun? Mogłoby tam być muzeum Żydów

Ziemi Sandomierskiej. Świat by do niego zjeżdżał! Albo choćby urządzić tam stałą ekspozycję poświęconą klimontowianinowi z urodzenia, głośnemu swojemu czasowi pisarzowi i poecie Brunonowi Jasińskiemu i jego ojcu (koniecznie!), nazywanemu „Judymem”, szlachetnemu i ofiarnemu lekarzowi i społecznikowi Jakubowi Zysmanowi¹¹, zmarłemu w okresie międzywojennym i pochowanemu (żegnany go tłumy¹²) na katolickim cmentarzu (grób nadal istnieje). Również kolejnemu lekarzowi, też Żydowi, o nazwisku Kapłan (może coś o nim mają w Yad Vashem?), o którym niektórzy starzy klimontowianie nadal wspominają, że biedaków leczył darmo. A tak? Synagoga chyba spokojnie może się rozsypywać. Zmartwienie będzie z głowy... Ale kiedyś i Żydzi i klimontowianie zapłaczą, że przepadła możliwość choćby na symboliczne utrwalenie pamięci o wspólnych kilkuwiekowych losach, jakiegokolwiek by one nie były... i może już ostatnia szansa na wyciągnięcie ręki na pojednanie.

Teraz jeszcze o drzewach i alei kasztanowej prowadzącej z Klimontowa do pałacu w pobliskich Górkach (wcześniej chwalono się, jakoby była najdłuższa w Europie, co chyba nieprawdziwe). Cienista, osłonięta łączącymi się koronami drzew, którą sadzili w XIX wieku znani Ledóchowscy (z tej rodziny i tamtejszego pałacu wyszedł abp. Mieczysław Halka Ledóchowski, więzień pruski okresu Kulturkampf) albo Karscy – długości ponad 1000 metrów. Nie można wykluczyć, że drogę tę zakładał jeszcze sam Zbigniew Ossoliński. Piękne, okazałe, rozłożyste drzewa. Aleja była piękna! Była! Przed kilku laty „zrewitalizowano” ją, wycinając od dołu na kasztanach nazbyt wiele gałęzi, w niektórych miejscach pozostawiając jedynie wysokie kikuty pni (nikt chyba nie może nawet wątpić, że to uczyniono „dla bezpieczeństwa” i z powodu „zagrożenia”!) i... żadnych innych działań ochronnych nie widać. Miała to być

historyczna aleja, podobno pomnik przyrody? Ten „pomnik” już się w dawnym kształcie nie odrodzi... Nie sadi się też nowych drzew w miejsce obumarłych. A może jednak się mylę, może właśnie tak trzeba? Dziś przecież w całej Polsce na ten sam sposób „goli” się drzewa, „doskonalc” naturę (wszystkie rodzaje drzew wedle tego samego wzoru! Chyba pilarz decyduje!), i się je zabetonowuje. Moda na „betonozę” i likwidację „groźnych” drzew opanowała miasta i miasteczka w Polsce (także Sandomierz, a ostatnio Lublin są tego wyjątkowym przykładem) – napisał pewien autor. Klimontów patrzy w tym względzie na „dziwny ten świat”... własnych pomysłów nie ma. Chociaż, może w alei posadzi się drzewa „bezpieczne”? „Aleja drzew bezpiecznych” – to dopiero byłaby oryginalność!

Przypomniałem sobie jeszcze, że zbierając niegdyś materiał do książki, odwiedziłem w Warszawie Stanisława Szwarz-Bronikowskiego, urodzonego w Górkach Klimontowskich, głośnego podróżnika i filmowca-reportażystę czasów ludowej Polski, który tworzył wtedy piękną książkę o drzewach; pokazywał mi mnóstwo fotografii drzew (takich, jakie stworzyła natura, „niegolonych”). Czy byłoby możliwe, by choć folderek napisać o drzewach w Klimontowie? O jakich? Jeśli nawet jakieś resztki zostały, wszystkie wyglądają tak samo! Może tylko o jednym, zarejestrowanym jako „pomnik przyrody” – o potężnej, pięknej lipie rosnącej od kilku wieków przy bramie wiodącej na plac kościelny przy farze. Dwie okazałe stare lipy przy kościele klasztornym obaliła kiedyś wichura, warto by tam posadzić nowe.

„Nowoczesność” wykracza też poza miasteczko... na przykład do Gór Pęczowskich i Beradza. Tam jest cmentarzyk Legionistów Piłsudskiego, z drugiego roku pierwszej wojny światowej, a obok zalesione pagóry, na których trwały walki frontowe określane mianem „bitwy pod Konarami”, i piękny lessowy wąwóz – nie uwłaczając temu sandomierskiemu – ładniejszy aniżeli „Królowej Jadwigi”: kręty, miejscami wysoki, świetlisty. Wędrowanie po nim było wielką przyjemnością, skłaniało do refleksji; ilu w okolicy padło młodych ludzi walczących o wolną Polskę! Parę lat temu ściany wąwozu „poprawiono”, na dnie położono asfalt! Wszystko się skończyło!

¹¹ Doktor Jakub Zysman przybył do Klimontowa z Warszawy, gdzie w roku 1894 wziął ślub w kościele pod wezwaniem św. Andrzeja z panną Eufemią Modzelewską, szlachcianką. Zob. W. Bartkowski, *Wspomnienia Zbyszkowi i Rysiowi do przeczytania*, „Zeszyty Sandomierskie” 2017, nr 22, s. 59, przypis 32.

¹² W Internecie zamieszczono fotografię z pogrzebu, na której oglądać można tłumy przechodzące przez rynek miasteczka; zmarłego Zysmana żegnali pastor, rabin i zapewne klimontowski infułat (a napisano błędnie, że był to biskup). W tamtym czasie nie żegnano tak żadnego innego klimontowianina.



Wąwóz kpt. Herwina Piątka, przed wyasfaltowaniem. Fot. autor



Młyn w Rybnicy z 1910 r. Fot. autor



Pomnik poległych legionistów na cmentarzu legionowym w Górach Pęczowskich. Fot. Jerzy Osiecki

Teraz można się tam natknąć na szybki samochód ścigających się nierozsądnie nastolatków, albo – o zgrozo! – inne auta i pojazdy po kryjomu wywożące wory śmieci. Wąwóz uznano niedawno za ulicę o nazwie „Wąwóz kpt. Kazimierza ‚Herwina‘ Piątka”, legionisty Piłsudskiego, poległego¹³ w okolicach

¹³ Ciekawą książkę o Herwinie-Piątku i jego miejscu pochówku napisała Urszula Oettingen, *Grób Herwina: przyczynek do losów miejsc pochówków żołnierzy I Brygady Legionów Polskich*, Kielce 2001,

w maju 1915 roku; gmina może się chwalić nowym bohaterem, ale walających się przy tej szumnej „ulicy” i w jej pobliżu śmieci nie sprząta.

Droga zupełnie nie była tam konieczna, bo do pobliskich wsi są inne dobre dojazdy, choć to odrobinę dalej. A „Wąwóz Legionów” (są też przy nim dwa cmentarzyki poległych żołnierzy, także Węgrów, z armii austro-węgierskiej i rosyjskiej) winien być ogłoszony jako pomnik przyrody i historii. Bo jest w nim tragiczna historia tamtych bojów. Znam fragmenty wąwozu, na których w maju-czerwcu wspomnianego roku stały furmanki, a z góry podawano na dół rannych i zabitych żołnierzy. Odpryskiwały wtedy z mundurów guziki – znaleźć je można jeszcze dziś na skrajach lessowych ścian. Na wspomnianym cmentarzyku legionowym leży z innymi „Wicus Borończyk, ur. 29 III 1893 † 25 VI 1915” – miał tylko 17 lat.

Można by tak więcej... a choćby o szlaku i szynach (te przepadły) kolejki wąskotorowej, który prowadził przez okolice (jakaż to by była dziś atrakcja turystyczna!), albo o cmentarzu i pomnikach, albo o licznych jeszcze w okolicy kamiennych (dobrej rzeźbiarskiej roboty) krzyżach stawianych (podobno w ramach pokuty) przez jednego z Ledóchowskich, albo, albo... Ale będzie już tylko o ładnie położonej pośród lasu Rybnicy, gdzie były zażarte walki jesienią 1863 roku, a latem 1944 r. punkt zborny okolicznych oddziałów partyzanckich ruszających w marsz z pomocą walczącej Warszawie, choć nie o nich chcę powiedzieć, ale o starym wodnym młynie z 1910 roku (na szczycie jednej ściany wisi jeszcze data wycięta z drewna),



Rynek klimontowski po „odnowieniu”, 2019 r. Fot autor

który wznosili i urządzali klimontowscy polscy i żydowscy rzemieślnicy. Jeszcze w latach osiemdziesiątych przeszłego wieku był czynny (ale pracował już na elektryczność); potem stał beczynny, zamknięty. I znów jakieś osiem (?) lat temu wysłano tam samochód i robotników. Wyrwano serce młyna: zdemontowano i rozbito wszelkie mechaniczne żelazne urządzenia i wywieziono na złom, potem inni po cichu powycinali bele stropowe, rozebrali wszystko co z drewna. Jeszcze mury stoją – jak długo? A można było to zostawić jako zabytek-muzeum, choćby dla działwy okolicznych szkół, by niekiedy tam zajrzała z nauczycielami dla zapoznania się z dawnością rzemiosła młynarskiego. Miał ktoś taki pomysł? Chyba nie, ale już pomysł na destrukcję – o, tak! Podobnych młynów było w okolicy Klimontowa więcej... ostał się jeden! Piętrowy, od dawna nieczynny, zamknięty – w Szymanowicach¹⁴. I więcej, więcej można by pisać o innych zaniechaniach i zaniedbaniach. A wszystko dlatego, że włodarzom brak wyobraźni i humanistycznego myślenia; nie sposób mi sobie wyobrazić, że byłby to wynik złej woli. Trzeba jednakże swoją małą ojczyznę kochać, a nie tylko zarządzać terenem i społeczną masą.

¹⁴ Młyn w Szymanowicach Dolnych jest ceglany (mury w dobrym stanie), w pobliżu zalewu i rzeki; odremontowany (z pozostawionymi młyńskimi urządzeniami; jeśli jeszcze są) mógłby służyć choćby jako hotelik na lato, albo dla przybywających licznie nad wodę wędkarzy. Inny, tym razem pozytywny przykład: spalony młyn w Górkach klimontowskich obecnie został pięknie odbudowany przez nowych właścicieli tamtejszego pałacu, choć z pewnością pełnić już będzie inną funkcję.

Klimontów, Klimontów, Klimontów. Jakże niezmiennie we mnie tkwi... Dziś powrócony do rangi miasteczka, mógłby być wraz z opisanym okręgiem „krajobrazu i historii” nowoodkrywaną przez turystów perełką sandomierskiej ziemi. Ale wydaje się, że sami klimontowianie, władze lokalne, a nawet Towarzystwo Miłośników Klimontowa nie mają takiej wizji. A szkoda – można tu sobie wyobrazić oazę spokoju, czystości, miejsce odpoczynku dla pracoholików, ludzi zmęczonych codzienną gonitwą, a choćby tylko weekendowych przyjazdów turystów: jest co zobaczyć, wyciszyć się lub pośmięgać na rowerach po dobrych okolicznych drogach (pagóry, wąwozy, dalekie widoki), powędrować z plecakiem. Tereny te mają dużo do zaproponowania, a na turystyce można dobrze dziś zarabiać! Sporo o atrakcjach napisałem w drugim wydaniu książki. Ale dziś turysta długo się tu nie zatrzyma.

Nie ma infrastruktury, hoteliku, knajpki, przez sam środek miasteczka prowadzi główny, uciążliwy ruch (warkot, smród spalin, drżenie gruntu) ciężkich tirów (każdy 30-40 ton! Najmniej 700-800 dziennie) z pobliskiej kopalni dolomitu (w miasteczku zrobiono wszystkie ułatwienia, by ten ruch nie napotykał żadnych przeszkód!), rozjeżdżających się na kawał Polski. Przemykają już przez uliczki (choć to nie drogi na takie ciężary! przy jednej z takich ulic mieszkam) Klimontowa także tiry kierujące się na Ukrainę; władze miejskie robią wszystko, by ten ruch mógł „gładko” płynąć przez sam środek miasteczka. O co tu chodzi? Są też inne dro-

gi, nie tylko przez Klimontów! Idzie tymi ulicami także rowerowy, reklamowany szlak green velo, ale po tym samym asfalcie, tuż tuż przy rowerzystach, suną ciężkie samochody – od świtu do późnej nocy! Były protesty umęczonych mieszkańców (a gdzie troska o nich? tego akurat nie zauważyłem), ale one toną w powodzi papierowych, wykrętnych tłumaczeń miejscowych i wojewódzkich urzędów. I nic! Klimontów już jest rozpoznawany jako miejsce na szybkie zwiedzanie... i równie szybki odjazd.

Przez całe lata miałem niepełną nadzieję, że ten „mój” Klimontów da się wypromować, ochronić jego oryginalność, zachować czego inne okoliczne miasteczka nie mają. Stworzyć miejsca przyjazne swoim i przyjezdnym, a nawet tym „obcym”. Jak długo można mieć nadzieję? Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat? Miałbym też jeszcze pomysły, by coś nowego napisać, ale w tym „odnowionym” Klimontowie z kim rozmawiać? Przykre.

Temu miasteczku potrzebne kompleksowe opracowanie planów na przyszłość. Może są takie?... ale nie widać efektów. W ostatnich latach nasiliła się kampania na rzecz budowy tzw. obwodnicy, powstanie której postrzega się jako remedium na wszystkie bolączki miasteczka i społeczności. Tę budowę ogłasza się od lat, corocznie!!! Ale z całą pewnością nic z niej nie będzie; nie było i nie ma pieniędzy! nie ma pod nią wykupionych gruntów, a stary plan fragmentu „klimontowskiej obwodnicy” – którym przez lata chwaliły się władze Klimontowa – przechodzi już do historii. Historia podobno nie lubi się powtarzać, ale w przypadku rozslawionej już obwodnicy tak się zapewne stanie, bo pan burmistrz teraz ogłasza rozpoczęcie budowy w roku 2027!! Tymczasem wspomniany ciężki tirowski ruch powoduje spękania domów, wielu mieszkańców obawia się o kościoły, szczególnie o farę i dworek infułatów, w pobliżu których prowadzi droga. Jeśli zaczną pękać, będzie już za późno. Kościoły w Klimontowie są najcenniejszymi obiektami, którymi miasteczko może się szczycić, ważnymi także w krajobrazie sandomierskiej ziemi i Małopolski, ba, nawet Polski! Bez nich Klimontów byłby jak wiele innych miasteczek w Świętokrzyskiem czy w Polsce – nijaki!

Patrzyłem przez te kilkadziesiąt lat na to, co w Klimontowie i okolicy bezpowrotnie przepada, marnieje, znika... I patrzę nadal. Jaka rada? Nikt mnie o radę nigdy nie zapytał. A tu wszystko ważne i cenne: przestrzeń, przyroda, pagóry, wąwozy, zabytki, przydrożne krzyże i kapliczki, pomniki historycznych zdarzeń, cmentarze – szczególnie te dawne. Wszystko wymaga pielęgnacji i ochrony. I oczywiście historia miejsca i człowiek, zarówno ten dawny, jak i współczesny. Dobro wspólne...

**

Nie pisałem tego z myślą, że przypadnie wszystkim klimontowianom i władzom (zarówno świeckim, jak i kościelnym) do gustu, ale też nie chcę nikogo dotknąć. To właściwie moje przemyślenia i refleksje... i wielka troska. Chciałbym klimontowian uczulić na to co dobre i wartościowe, co winno być zachowane lub poprawione w Klimontowie. Ludziom władzy, jakiegokolwiek by nie były i w jakimkolwiek byłoby to czasie, trudno przyznać się do nietrafionych decyzji i zrezygnować z niedobrych planów i zamierzeń. Niezadowolonym odpowiem tak. Mam do tej krytyki prawo jako miłośnik miejsca, mieszkaniec i jego historyk, który zrobił wiele, by ukazać barwy miasteczka i okolic, ich przyrodnicze oraz historyczne i zabytkowe walory. Oczywiście, był przede mną ktoś lepszy – ksiądz Wawrzyniec Kukliński, który napisał i wydał piękną historię Klimontowa¹⁵, ale to było jeszcze przed pierwszą wojną światową. Ja poszedłem tylko jego śladem, uwierzywszy, że rozbudzę dobrego ducha Klimontowa. A jednak to mi się nie udało. Czy przyjdą jeszcze „dobre zmiany”?

**

Włączę tu jeszcze pewną anegdotę, opartą na autentycznym zdarzeniu, a opowiedzianą mi przez pana Krzysztofa Burka z Warszawy, wieloletniego redaktora ważnych i cennych „Zeszytów Sandomierskich”. Przypomniał mi fragment wypowiedzi znanego historyka, profesora Aleksandra Gieysztorra, inaugurującej kiedyś działalność Towarzystwa Naukowego Sandomierskiego, w której Profesor przytoczył słowa jednego ze swoich mistrzów:

¹⁵ W. Kukliński, *Miasto prywatne Klimontów i jego kościoły*, Sandomierz 1911.



„Ukłony z Klimontowa”. Fotografie zapewne sprzed II wojny (fotograf F. Napierkowski, Opatów). Pocztcówka ze zb. Krzysztofa Lorka

Kiedys jeden z synów tej ziemi, Kazimierz Konarski¹⁶, znakomity archiwista, ale i bardzo dobry pisarz, zresztą dla najtrudniejszych czytelników, bo dla dzieci, mówił że jego zdaniem najpiękniejszy widok na świecie to zjazd do Klimontowa od strony Opatowa. Przemawiała w nim wtedy silna emocja, która jest także twórczynią wartości, bez których nie ma poznania¹⁷.

Nie mogę przy tej apologii Klimontowa nie cytować wspomnianego księdza Wawrzyńca Kuiklińskiego:

Od strony północnej oko przechodnia z przyjemnością zatrzymuje się na majestatycznie wyglądającym kościele dominikańskim, kościół zaś parafialny to drogi przedmiot zachwyty, którego piękność bardziej potęguje śliczna dolina, okiem prawie niedojrzana, a gubiąca się gdzieś daleko w kierunku wsi Nawodzice i dolnych Szymanowic.

W tej dolinie, w której kiedyś królowały łąki, błyszczą teraz tafla sztucznego jeziora. Też pięknie!

Tak się widzi do dziś Klimontów z góry od strony Pęczowa. I ja miałem takie odczucia, spoglądając na Klimontów po raz pierwszy kilkadziesiąt lat temu. I kiedykolwiek podążam do Klimontowa od strony tego widoku, zawsze robi na mnie równie miłe wrażenie.

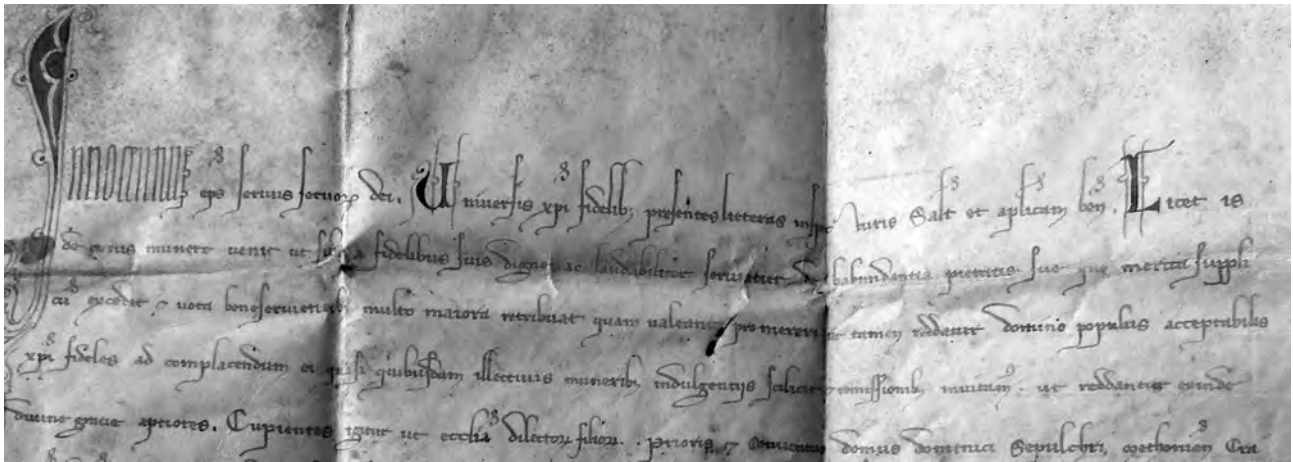
Życzę Klimontowowi i klimontowianom, by równie pięknie urządzili wnętrze miasta – swoje go domu. Dla siebie i kolejnych pokoleń, które po nas przyjdą.

Pisałem na przełomie 2020/2021 roku

Prof. dr hab. Eugeniusz Niebelski, wieloletni nauczyciel akademicki KUL, m.in. przewodniczący Komisji Historycznej PAN Oddział w Lublinie, członek Komisji Syberyjskiej PAN w Warszawie, członek rady naukowej „Polskiego Słownika Biograficznego”, badacz dziejów Polski XIX wieku, autor i redaktor naukowy ponad czterdziestu książek, w tym wielu o powstaniu styczniowym i losach zesłańców polskich na Syberię po 1863 r., także licznych tekstów o Klimontowie i okolicznych „urokach miejsc i historii”. W roku 2019 odznaczony został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

¹⁶ Kazimierz Konarski (1886-1972; urodzony w Jeleniowie nad Pokrzywianką, w pow. opatowskim), historyk, archiwista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, także autor powieści i wierszy dla dzieci i młodzieży.

¹⁷ Zob. A. Gieysztor, *Sandomierz i Ziemia Sandomierska w dziejach narodu i państwa*, „Zeszyty Sandomierskie”, nr 1. 1994, s. 6.



Najstarszy z przechowywanych dyplomów pergaminowych w AD Kielce, fot. P. Kardys: 1251, 11 kwietnia (III idus Aprilis), Lyon (Lugdunum). Papież Innocenty IV nadaje 40 dni odpustu kościołowi w Miechowie z racji Święta Dedykacji Kościoła. J. lac., perg., 32 x 24,5 x 3,5 cm. Na odwrocie: zapiska średniowieczna Nostre Indulgentiarum per Innocentium concessa pro divisione apostolorum; indulgentia XL concessa; następne późniejsze i zatarte, m.in.: Indulgentiae 40 dierum pro dedicatione Ecclesiae Miechoviensis ab Innocentio 4, pergamin liniowany; ozdobny inicjał [I]nnocentus, wyciągnięty w dół na ok. 6 wersów, w górę na ok. 3 wersy; dwa mniejsze inicjaliki w tekście: [U]niversis, [L]icet (typowy dla kancelarii papieskiej dokument, wykonany minuskułą kurlianą).

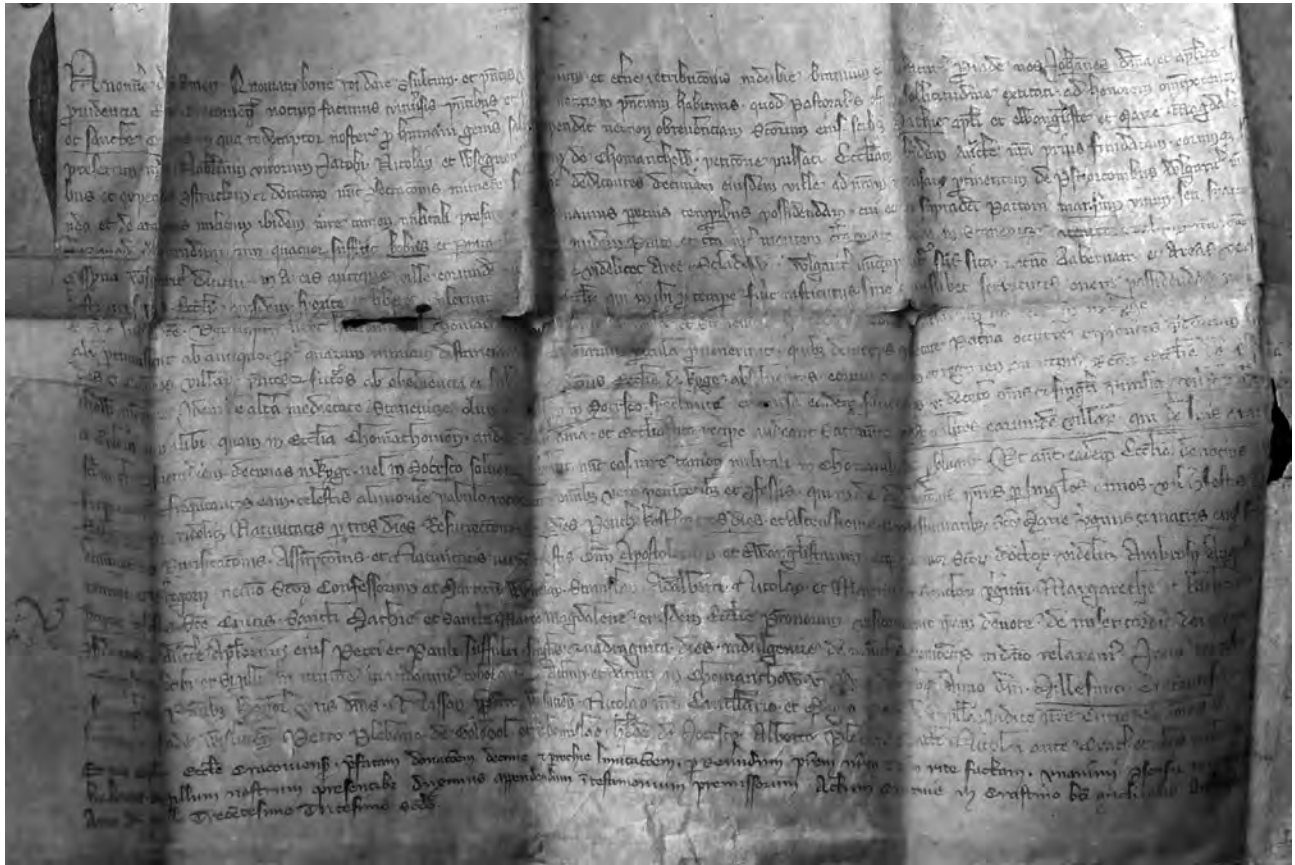
dr Piotr Kardys

IN ARCHIVO KIELCENSI

Bezcenne archiwalia Kościoła kieleckiego przechowywane w Archiwum Diecezjalnym w Kielcach

Cz. 1 Dokumenty pergaminowe i papierowe

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że bezcenne archiwalia Kościoła przechowywane w Archiwum Diecezjalnym w Kielcach wciąż czekają na swoje przysłówkowe „5 minut”, jeśli chodzi o ich rozreklamowanie wśród mieszkańców Kielc i regionu świętokrzyskiego. Rozreklamowanie w najlepszym tego słowa znaczeniu. Tytułem wstępu wystarczy wspomnieć, że najstarszy przechowywany dokument wystawiony został w 1251 r. przez papieża Innocentego IV, że zgromadzono w nim kilka tysięcy bezcennych dla badań genealogicznych ksiąg metrykalnych, przechowywane są bulle nominacyjne biskupów kieleckich, bulla erekcyjna wystawiona dla biskupstwa kieleckiego i wiele, wiele innych, równie cennych i niezwykle ważnych.



Dokument erekcyjny kościoła w Chomentowie, AD Kielce, fot. P. Kardyś: 1331, 8 grudnia (VI idus Decembris), Chomentów; 1332, 30 września Kraków: Jan biskup krakowski transumuje przywilej konsekuracyjny kościoła pod wezwaniem św. Mateusza Apostoła i Ewangelisty i św. Marii Magdaleny w Chomentowie, ufundowanego przez dziedziców Mikołaja, Jakuba i Wszegneja, wyznacza granice parafii oraz przydziela dziesięciny plebanowi (1331). Kapituła krakowska konfirmuje akt biskupi (1332). J. łac., perg., 43,2 x 28,3 x 3 cm, na czerwono-zielono-brązowym sznurze jedwabnym pieczęć kapituły krakowskiej wyciśnięta w wosku, zatarta i ukrukszona, na jednej stronie podobizna kościoła krakowskiego, na drugiej popiersie; po drugiej pieczęci ślad w postaci kawałka sznura jedwabnego koloru żółto-brunatnego.

Historia Archiwum Diecezjalnego w zasadzie jest dosyć dobrze rozpoznana i opracowana. Wystarczy przytoczyć w tym miejscu najważniejsze fakty za takimi uznanymi historykami Kościoła, jak ks. Józef Zdanowski¹, ks. Tomasz Wróbel², ks. Daniel Olszewski³, ostatnio o archiwum pisali ks. Andrzej Kwaśniewski⁴ i Piotr Kardyś⁵, a swoją „cegiełkę” do-

łożył także Ośrodek Archiwów Bibliotek i Muzeów Kościelnych, zwłaszcza Maria Dębowska. Obecne archiwum jest bezpośrednim spadkobiercą archiwum konsystorza kurii krakowsko-kieleckiej, i trzeba przyznać, że ten początkowy okres działalności jest wciąż najslabiej rozpoznany⁶.

Oficjalna erekcja archiwum przy kurii diecezjalnej w Kielcach, miała miejsce w 1939 r.⁷, ale analiza li-

¹ T. Wróbel, Zdanowski Józef, [w:] *Słownik Polskich Teologów Katolickich*, t. 7, red. L. Grzebień, Warszawa 1983, s. 485-487.

² D. Olszewski, Wróbel Tomasz (1908-1985), [w:] *Słownik Polskich Teologów Katolickich*, t. 8, red. J. Mandziuk, Warszawa 1985, s. 639-641; R. Skrzyniarz, *Książka Tomasz Wróbel (1908-1985) – archiwariusz diecezji kieleckiej i historyk Kościoła*, „Archiva Ecclesiastica” 4, 2007, s. 143-147.

³ D. Olszewski, *Wprowadzenie historyczne. Archiwum diecezjalne*, [w:] *Katalog duchowieństwa i parafii diecezji kieleckiej*, Kielce 1999.

⁴ A. Kwaśniewski, *Księgozbiór Kapituły Kieleckiej w świetle inwentarza z 1598 r.*, „Archiwa Biblioteki i Muzea Kościelne” 99, 2013, s. 43-92.

⁵ P. Kardyś, *Zbiór dokumentów pergaminowych i papierowych Archiwum Diecezjalnego w Kielcach*, „Rocznik O/PTH w Sku-Kam. Z dziejów regionu i miasta” 4, 2013, s. 35-56; tenże, *Wykaz dokumentów ze „Zbioru dokumentów pergaminowych i papierowych” Archiwum Diecezjalnego w Kielcach*, „Studia Muzealno-Histo-

ryczne” 10, 2018, s. 223-273; tenże, *Signa notarialia in Medieval Parchment Documents Stored in Kielce Diocese Archives as Discussed in the Discussion on Notarial Signs in Medieval Poland (Notárské signety ve středověkých pergamenových dokumentech chovaných v Diecézním archivu v Kielcích na pozadí polských bádání o nich v středověkém Polsku)*, [in:] *Sborník Archivních Prací*, Praha 2019, s. 279-308.

⁶ Zob. M. Janakowski, „Compendium Archivi Kielcensis” – kilka uwag nad kieleckim archiwum i kancelarią zadworną biskupa krakowskiego Kajetana Sołtyka, „Archiwa Biblioteki i Muzea Kościelne” 115, 2020, s. 131-147; R. Skrzyniarz, *Archiwum Diecezjalne w Kielcach*, „Archiva Ecclesiastica” 4, 2007, s. 137-141.

⁷ *Erekcja Archiwum Diecezjalnego*, „Kielecki Przegląd Diecezjalny” 26, 1939, s. 162-169; *Statut organizacyjny i regulamin Archiwum Diecezjalnego w Kielcach*, Kielce 1939; *Encyklopedia Katolicka*, t. 1,



Falszyfikat udający dokument pergaminowy z XIV w., AD Kielce, fot. P. Kardys: 1313 (sic!), 8 października (8 mensis Octobris), Johannes Ballon rycerz maltański funduje kościół parafialny w Kuczkowie. J. łac., perg., 47 x 24,3 x 3 cm. Na odwrocie: piśmem z XVII/XVIII w. Erectio Ecclesiae Kuczkoviensis; ks. J. Wiśniewski dopisał: Jest to falszyfikat. Był fałszerz, który w ten sposób fałszował erekcje wielu kościołów.

teratury przedmiotu, a zwłaszcza prac ks. Jana Wiśniewskiego pozwala cofnąć jego początki co najmniej o kilka dekad. W swoich pracach wspomina on wielokrotnie o wykorzystywaniu zasobu źródłowego Archiwum Konsystorza Kieleckiego, wyliczając różne fakty z okresu staropolskiego, które zaczerpnął z tejże instytucji, przechowującej już na pocz. XX w. szereg dokumentów ściągniętych z terenu diecezji. Np. przy opisie dekanatu iłżeckiego, wydanej w latach 1909-1911 podał informację: „[...] korzystałem z archiwów: [...] Konsystorzów: dyec. sandomierskiej i kieleckiej [...]”⁸; przy dokumentach Mnina i Mniowa w dekanacie koneckim, wydany w 1913 r.: „Z pergaminu przepisane w Ac.[ta] Act.[orum] [...] w konsystorzu kieleckim”⁹ i wiele podobnych. Wspominają o tym także biografowie ks. J. Wiśniewskiego, Jarosław Fidos i ks. Daniel Olszewski¹⁰. O podobnych przykładach z 2 poł. XIX w. i pocz. XX w., dotyczących zarówno ks. J. Wiśniewskiego, jak i innych księży zbierających po parafiach „starożytności” oraz przekazujących różne zabytki kultury materialnej instytucjom kościelnym, pisali ks. Bogdan Stanaszek i Feliks Kiryk¹¹. O takiej praktyce pisali również biografowie ks. Władysława

Siarkowskiego, który nie tylko rejestrował i dokumentował, ale także gromadził oraz przekazywał różnym instytucjom pamiątki przeszłości¹².

W tym miejscu warto przypomnieć, że wraz z przybyciem do Kielc ks. bpa Wojciecha Górskiego, w 1809 r. zaczęła faktycznie funkcjonować diecezja i kuria, w tym konsystorz biskupi (foralny, inaczej zamiejskowy – tzn. poza miejscem stałego rezydowania biskupa, był już wcześniej), ale czy był to początek archiwum, w sensie „spływania” dokumentów z terenu trudno powiedzieć. Z pewnością nie służyły temu zmiany administracyjne, powstanie Królestwa Polskiego i ustanowienie biskupstwa w Sandomierzu (1818 r.)¹³. Mimo wszystko pozostał jednak w Kielcach konsystorz, a to sprzyjało gromadzeniu bieżącej dokumentacji służącej urzędowaniu¹⁴, ale też gromadzeniu źródeł o charakterze archiwalnym i tych, które straciły na aktualności¹⁵. Ks. D. Olszewski podkreślał wielokrotnie wartość tak narastającego w XIX w. zasobu archiwalnego¹⁶. Natomiast w pełnym tego słowa znaczeniu Archiwum zaczęło funkcjonować po przywróceniu diecezji kieleckiej przez Leona XIII w 1882 r. Powiększanie zasobu archiwalnego doprowadziło zapewne tuż po 1917 r. do mianowania notariusza Kurii z tytułem Archiwariusza Diecezjalnego¹⁷, a sam Statut Organizacyjny z 1939 r.

Lublin 1985, koll. 881 (jako reorganizacja!); M. Dębowska, *Archiwa Kościoła Katolickiego w Polsce. Informator*, Kielce 2002, s. 43-44.

⁸ J. Wiśniewski, *Dekanat iłżecki*, Radom 1911, s. 428.

⁹ Tenże, *Dekanat konecki*, radom 1913, s. 161, 383, 550.

¹⁰ J. Fidos, D. Olszewski, *Ksiądz Jan Wiśniewski 1876-1943. Życie i działalność*, Kielce 2000, s. 101. Podobnie: W. Wójcik, *Wiśniewski Jan*, [w:] *Słownik Polskich Teologów Katolickich*, t. 7, s. 414-417. O roli ks. J. Wiśniewskiego pisze F. Kiryk, zob. *Inwentarz rękopisów Archiwum Kapituły Kolegiackiej i Katedralnej w Sandomierzu XIII-XX wieku*, oprac. F. Kiryk, Sandomierz 2010, s. XI.

¹¹ B. Stanaszek, *Wkład w kulturę na przykładzie diecezji sandomierskiej w okresie dwudziestolecia międzywojennego*, „Archiwa Biblioteki i Muzea Kościelne” 86, 2006, s. 29; *Inwentarz*, s. IX-XI.

¹² L. Michalska-Bracha, K. Bracha, *Ks. Władysław Siarkowski (1840-1902). Wokół postaci i twórczości*, [w:] *Ks. Władysław Siarkowski. Materiały do etnografii ludu polskiego z okolic Kielc*, oprac. L. Michalska-Bracha i K. Bracha, Kielce 2000, s. XIV-XV (tam pełna literatura przedmiotu). Warto w tym miejscu dodać, że w latach 70. XIX w. pełnił on funkcję regensa Kieleckiego Konsystorza, dla którego sporządził inwentarz akt, zatem prawdopodobne jest, iż on również mógł przekazywać znajdujące po parafiach dokumenty do kurii kieleckiej, zob. D. Olszewski, *Wprowadzenie historyczne. Archiwum*, s. 39.

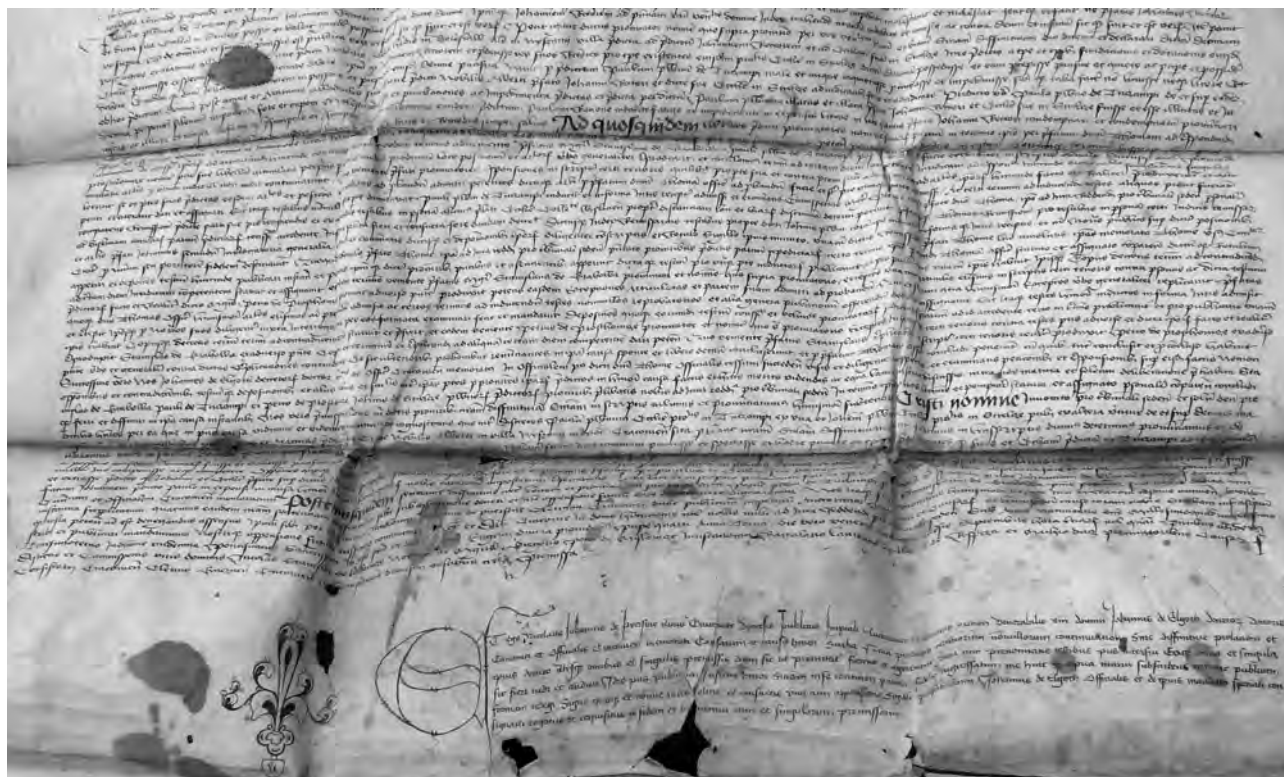
¹³ Tenże, *Historyczne uwarunkowania powstania diecezji kieleckiej*, „Kieleckie Studia Teologiczne” 4, 2005, s. 18-20.

¹⁴ Zob. tenże, *Wprowadzenie historyczne. Archiwum*, s. 38-41, gdzie informacja o pierwszej inwentaryzacji aktów Konsystorza Kieleckiego już w 1834 r.

¹⁵ R. Prejs, *Zasoby archiwalne Kościoła w przekazywaniu kultury*, „Archiwa Biblioteki i Muzea Kościelne” 86, 2006, s. 65-73.

¹⁶ D. Olszewski, *Akta Konsystorza Kieleckiego jako podstawa źródłowa do badań nad parafiami i duchowieństwem pierwszej połowy XIX wieku*, „Archiwa Biblioteki i Muzea Kościelne” 19, 1969, s. 5-30; tenże, *Diecezja kielecka w XIX wieku. Zarys problematyki badawczej*, [w:] *250 lat Seminarium Duchownego w Kielcach. Księga jubileuszowa 1727-1977*, Kielce 1977, s. 223 (archiwalia polskich diecezji XIX w., analogie i podobieństwa, w tym Kielce).

¹⁷ G. Bujak, *Kuria diecezjalna w Kielcach w latach 1918-1938. Studium kancelaryjno-archiwoznawcze. Zarys problematyki badawczej*, „Archiwa Biblioteki i Muzea Kościelne” 64, 1995, s. 49-57. Taki wniosek nasuwa się w związku z wprowadzeniem w 1917 r.



Przywilej dla sołectwa w Krajnie, AD Kielce, fot. P. Kardys: 1375, 27 września (translationis S. Stanislai de mense Septembris), Kraków: Biskup krakowski Florian Mokroski nadaje sołectwu w Krajnie przywilej zwalniający z czynszu z lasu, zatrzymując dziesięcinę i prawo do rybołówstwa. J. łac., perg., 51 x 32 x 7 cm. Na odwrocie: pismem nowożytnym: Privilegium qui in Scultetia Kraynensi de novo Sylvas dicaverint, ad annos aliquos libertans a censu non tamen a Decima. Sobko quidam perpetuus Scultetia constituitur. Piscatio tamen in ejus Piscina reservat Episcopo libera cum reliquis intro contentis conditionibus a Floriano NN Eppo. Cracoviensis. d. 27 Septembris in Festo translationis S. Stanislai, podpisano MA; Anno Dni 1601 die vero luna 6 mensis decembris sub felici regimine Serenissimi et Rev. Dmi. Bernardi Maciejowski Eppli. Crac. cum de mandato eiusdem [...], podpisano Martinus Kloczinski [...], kolejna zapiska wyblakła i nieczytelna, czytelna jedynie data 1603 r. W dokumencie szereg informacji o sołectwie w Krajnie, m.in. o młynie i wysokości czynszów.

był efektem reorganizacji i zatwierdzenia stanu faktycznego¹⁸. Archiwum Diecezjalne w Kielcach od początku też miało dużo szczęścia co do kwalifikacji osób pełniących ten urząd. Wystarczy przypomnieć, że od 1930 r. był nim ks. Józef Zdanowski, historyk Kościoła, wykładowca w Wyższym Seminarium Duchownym w Kielcach, od 1942 r. przez wiele lat ks. Tomasz Wróbel. Z dokumentacji wytworzonej przez jej archiwariuszy zachowały się do dnia dzisiejszego maszynopisy autorstwa ks. T. Wróbla zatytułowane: Archiwum Diecezji Kieleckiej (napisany nie wcześniej jak w latach 80. XX w.) i Kronika Archiwum Diecezjalnego (rkps w AD Kielce) założona dopiero

przez ks. J. Szarka w 1986 r. (powtarza informacje zaczerpnięte z mps. ks. T. Wróbla¹⁹).

Zbiór samoistnych dokumentów pergaminowych i papierowych gromadzi zabytki pisane dotyczące kolegiaty – później katedry kieleckiej, innych kościołów w obecnej diecezji kieleckiej, miast i wsi położonych na wskazanym obszarze oraz szlachty, mieszczaństwa, rzadko chłopów, a przede wszystkim jednak duchowieństwa. Był już wykorzystywany w szeregu prac tak o charakterze monograficznym, jak i przyczynkarskim. Należy zwłaszcza przypomnieć o „Monografiach dekanatów” ks. Jana Wiśniewskiego, który wykorzystał sporą część tegoż zbioru archiwalnego, zaledwie cztery średniowieczne przedrukowano w wydawnictwach o charakterze edycji źródłowych. Inne, które posłużyły szeregu autorom do opracowania dziejów poszczególnych parafii, miejscowości czy rodzin, pozostają mniej

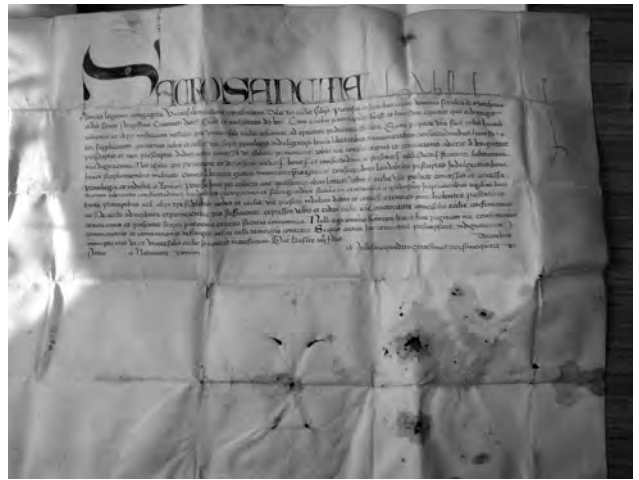
nowego Kodeksu Prawa Kanonicznego, którego przepisy wyraźnie mówiły o wyodrębnieniu składnicy akt, jako osobnej instytucji pod nazwą „Archiwum”. Podobne zapisy powtórzył kolejny Kodeks z 1983 r., zob. T. Zahajkiewicz, *Polskie archiwa kościelne – liczące się zasoby i obiekt zainteresowań badawczych*, „Archiwa Biblioteki i Muzea Kościelne” 70, 1998, s. 11-13.

¹⁸ Jak zmieniło się pojęcie „archiwum” zob. *Encyklopedia Kościelna*, wyd. M. Nowodworski, t. 1, Warszawa 1873, s. 378-383.

¹⁹ J. Szarek, *Kronika Archiwum od 3. X. 1986 roku*, rkps w AD Kielce, s. 1-2.

znane ze względu na charakter tych publikacji. Ostatnio ukazało się kilka publikacji podejmujących próbę monograficznego ujęcia tegoż zbioru²⁰.

Na chwilę obecną jest to ok. 140 jednostek²¹, których zakres chronologiczny obejmuje okres od XIII w. do 1963 r. Na średniowiecze – tj. do końca XV w., przypada 14 (w tym 4 z nich są falsyfikatami z XVII w.); na XVI – XVIII w. 70; na okres od pocz. XIX w. do 1963 r. 54 jednostki. 89 sporządzono na pergaminie (najstarszy z 1251 r.), 49 na papierze (najstarszy pochodzi z 1509 r.), 1 dokument pergaminowo-papierowy. W zdecydowanej większości, bo aż 124 spisano po łacinie, co nie powinno dziwić zarówno ze względu na ich pochodzenie i przeznaczenie, jak i czas powstania. Zespół ten dzieli się na: dokumenty proweniencji papieskiej – bulle, brewe, przywileje i potwierdzenia oraz listy papieskie, oraz pozostałe, m.in. wyroki sądowe i rozstrzygnięcia sporów, potwierdzenia przywilejów i łask wystawione w kancelarii biskupów krakowskich, wreszcie przywileje, dokumenty i listy królewskie, darowizny i fundacje osób prywatnych na rzecz instytucji kościelnych, i inne, pojedyncze, jak odpisy z akt miejskich czy grodzkich. Zdecydowanie dominują dokumenty dotyczące instytucji kościelnych co jest oczywiste, ze względu na proweniencję zbioru, tj. instytucję kościelną. Koniecznie trzeba też przypomnieć, że zbiór ten został pomniejszony o kilkanaście dokumentów (15), które ubyły z tegoż zbioru, wskutek przekazania 8 marca 1996 r. do nowo powstałego Archiwum Diecezji w Sosnowcu²² lub zaginęły w niewyjaśnionych okolicznościach, jak choćby opublikowany przez ks. J. Wiśniewskiego dokument pergaminowy z 1444 r. dotyczący Korytnicy, który przepisał przed 1930 r. w kurii kieleckiej²³, a którego obecnie nie udało się zlokalizować.



Potwierdzenie przywilejów Bożogrobców w Miechowie wydane przez Sobór bazyilejski w 1434 r., w okresie sede vacante, AD Kielce, fot. P. Kardyś: Sobór bazyilejski potwierdza przywileje i łaski dla kościoła Bożogrobców w Miechowie. J. łac. perg., 49 x 28,5 x 8 cm, dokument rozpoczyna zwrot *Sacro sancta* ozdobnymi literami, pismo o charakterze kuryały papieskiej.

Z pewnością do najciekawszych należy podzespół dokumentów związanych z klasztorem Bożogrobców w Miechowie, liczący 21 jednostek z lat 1251-1903. Przede wszystkim dokumenty te mają szereg adnotacji w postaci zapisek dorsalnych (tj. na zewnętrznej stronie dokumentu) – najczęściej są to streszczenia – wykonane różnymi rękoma, na przestrzeni od średniowiecza po XVII/XVIII w., dzięki czemu można obserwować, w jaki sposób były pieczołowicie przechowywane i regularnie inwentaryzowane w archiwum miechowskim. Równie ciekawy jest fakt, że wszystkie, pomimo oczywistych różnic w wielkości, składane były do zbliżonego formatu, ok. 11 x 9 cm. Z notatek na odwrocie pergaminów wynika, że najprawdopodobniej prowadzono coś w rodzaju „księgi inwentarzowej” Bożogrobców, w której stosowano metodę wpisywania dokumentów pod „hasłem” *sub numero* oraz przechowywano je w skrzynkach (skrzyniach). Zapewne podobne były do tych znanych z inwentarzy skarbców i zakrystii kościelnych, gdzie służyły m.in. do przechowywania dokumentów i książek²⁴. Nie mamy natomiast pewności, czy zapis *Ex Scatula* i numer oznaczają numer owej skrzynki (skrzyni), czy kolejny numer dokumentu w skrzyni²⁵.

²⁰ P. Kardyś, *Wykaz dokumentów*, passim; tenże, *Zbiór dokumentów*, passim; tenże, „*Signa notarialia*”, passim.

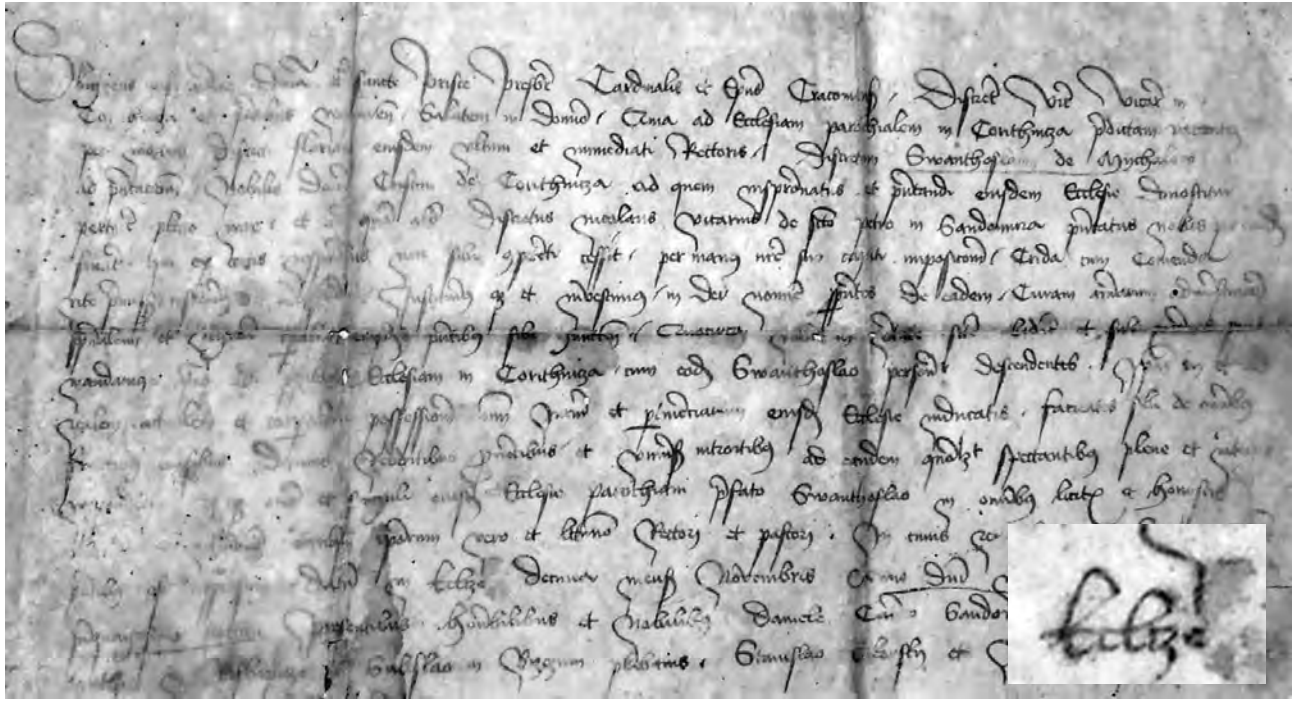
²¹ Na obecnym etapie prac w AD Kielce, związanych m.in. z opracowywaniem poszczególnych zespołów nie można wykluczyć odnalezienia kolejnych dokumentów lub przeniesienia do tegoż zbioru samoistnych dokumentów przechowywanych w innych zespołach.

²² Diecezja z siedzibą w Sosnowcu powstała w 1992 r. Z diecezji kieleckiej wyłączono wówczas dekanaty Olkusz Północ, Olkusz Południe, Wólbroń, część pilickiego i sułozowskiego. Przekazano dokumenty z zespołów parafii, które znalazły się w nowej diecezji, figurujące w ówczesnym katalogu kartkowym pod sygnaturami: 5, 10, 13, 15, 19, 22, 28, 30, 31, 32, 33, 37, 40, 66, 67 (z lat 1313 – 1798).

²³ Zob. J. Wiśniewski, *Historyczny opis kościołów, miast, zabytków i pamiątek w jędrzejowskiem*, Mariówka 1930, s. 422-423.

²⁴ Zob. P. Kardyś, *Przyczynki do dziejów księgozbioru kolegiaty kieleckiej w średniowieczu i okresie wczesnonowożytnym*, „Biuletyn Biblioteki Jagiellońskiej” 56-57, 2006-2007, s. 22-23.

²⁵ O owych skrzynkach informuje już Nakielski, wspominając też o archiwistracie zarządzającym archiwum, S. Nakielski, *Miechovia sive promptuarium antiquitatem Monasterii Miechoviensis*, Cracoviae 1634, s. 305, 314. Raczej chodzi o numer skrzyni, zob. M. Dębowska, R. Skrzyniarz, *Materiały do dziejów Bożogrobców w Archiwum*



Jeden z nielicznych dyplomów wystawionych w Kielcach, AD Kielce, fot. P. Kardyś, 1453, 10 listopada (decima mensis Novembris), Kielce (Kelcze). Kardynał i biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki dokonuje inwestytury i instytucji Świętosława z Michałowa (rec-toris discretum) na beneficjum plebańskie kościoła parafialnego w Korytnicy. J. lac., perg., 26 x 14,5 cm, ślad po pasku od pieczęci kardynalskiej. Na odwrocie: pismem nowożytnym Sbigneus Olesnicki Dei gratia et Sancta Sedis Apostolicas Cardinalis Episcopus Dux Severiensis; Honorandis Venerabilis Vicarijs Tedesiarum quarumnis; Institutio ad Ecclesiam parochialem in Korytnica anni 1453.

Ze względu na fakt ustanowienia biskupstwa w Kielcach za wyjątkowo cenne należy potraktować te z dokumentów, które traktują o nominacji biskupa Macieja Majerczaka²⁶, biskupa ordynariusza kieleckiego Tomasza Teofila Kulińskiego²⁷, erekcji diecezji, katedry i kapituły kieleckiej²⁸ czy potwierdzenia wykonania przywrócenia diecezji i kapituły kieleckiej. Równie cenne są te, traktujące o nominacjach kolejnych biskupów: Augustyna Łosińskiego²⁹, Czesława Kaczmarka i biskupa sufragana Franciszka Sonika. Ich kopie powinny stać się jednymi z głównych „bo-

haterów” ewentualnej stałej ekspozycji przy Archiwum ze względu na znaczenie dla historii diecezji.

Ciekawostką jest akt erekcyjny prepozytury mansjonarzy w Książnicach wystawiony przez bp. Jana Konarskiego w 1508 r. na papierze (w zasadzie jest to składka składająca się z kilku papierowych kart przeszytych centralnie) i zatwierdzenie statutów mansjonarzy przy tejże instytucji. Dla Kielc być może najciekawszy jest dokument erekcyjny ołtarza św. Anny w kolegiacie, wystawiony przez bp. Jana Konarskiego w 1517 r.

Bardzo interesujące są prywatne listy królów polskich, m.in. Augusta III, w których zachowały się nie tylko pieczęcie królewskie, ale też autografy królewskie.

Równie interesującym zjawiskiem są falsyfikaty (5) z XVIII w., autorstwa Stanisława Morawskiego, które licznie występują także w innych kościelnych archiwach małopolskich (np. Archiwum Kapituły Katedralnej w Sandomierzu i Archiwum Diecezjalnym

Parafialnym w Miechowie, „Archiwa Biblioteki i Muzea Kościelne” 86, 2006, s. 83-105. O podobnej praktyce gromadzenia dokumentacji, tj. w skrzyniach oznaczonych numerami (układ rzeczowy i chronologiczny), zob. W. Urban, *Katalog dokumentów Archiwum Archidiecezjalnego we Wrocławiu*, cz. 1, Rzym 1970, s. VIII-XI.

²⁶ D. Olszewski, *Biskup Maciej Majerczak (1800-1870) – reformator życia religijnego w diecezji kielecko-krakowskiej*, [w:] *Chrześcijaństwo*, t. 5, Warszawa 1980, s. 9-38.

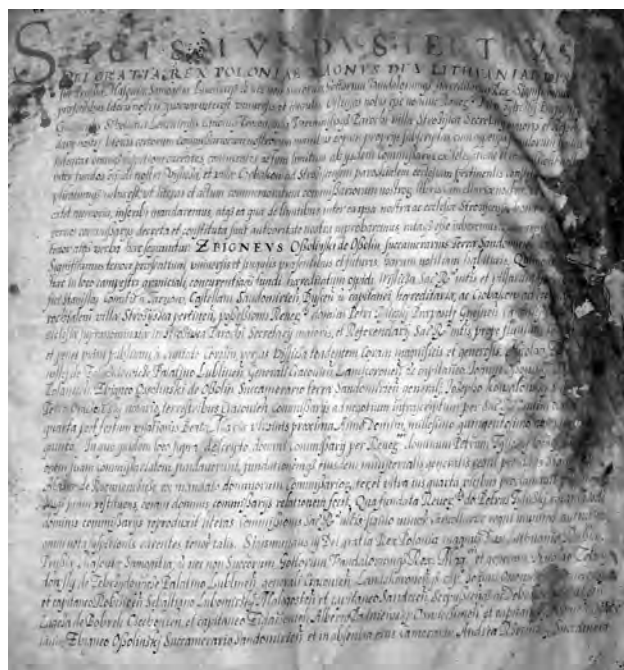
²⁷ Zob. D. Wojciechowski, *Działalność duszpasterska biskupa kieleckiego Tomasza Kulińskiego (1870-1907)*, NP 57, 1982, s. 9-44.

²⁸ Zob. B. Kumor, *Organizacja terytorialna diecezji kieleckiej*, „Nasza Przeszłość” 17, 1963, s. 187-232; D. Olszewski, *Życie religijne w diecezji kieleckiej w XIX w.*, tamże, s. 119.

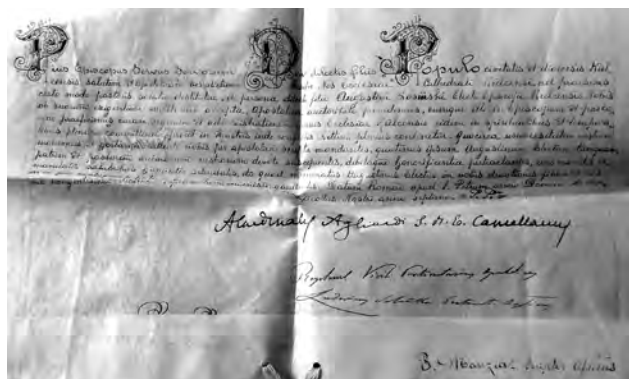
²⁹ Zob. S. Fert, *Działalność duszpasterska biskupa kieleckiego Augustyna Łosińskiego (1910-1937)*, tamże, s. 227-255; A. L. Szafran-ki, *Augustyn Łosiński biskup kielecki (1910-1937) w świetle listów pasterskich, opinii i faktów*, tamże, 59, 1983, s. 215-240.



Erekcja altarii św. Anny w kolegiacie kieleckiej, AD Kielce, fot. P. Kardys, 1517, 21 września, Kraków: Biskup krakowski Jan Konarski eryguje altarię św. Anny w kościele kieleckim. J. łac., perg., 78 x 48 x 7,7 cm.



Dyplom królewski dla miasta Wiślicy, AD Kielce, fot. P. Kardys: 1595, 12 lipca, Król Zygmunt III zatwierdza dokument Zbigniewa Ossolińskiego, podkomorzego sandomierskiego, określający fundi miasta Wiślicy. J. łac., perg., 27,5 x 42 cm, kart 4. Na odwrocie: zapis visitatio 1615, co oznacza, że był przedstawiony lustratorom w 1615 r. Całość rozpoczyna zwrot SIGISMUNDUS TERTIUS ozdobnym majuskulnym pismem, litery w kolorze czerwono-turkusowym, na zakończenie podpis własnoręczny króla.



AD Kielce, fot. P. Kardys: 1910, 7 kwietnia, Rzym, bulla papieża Piusa X do mieszkańców Kielc i diecezji kieleckiej informująca o nominacji ks. Augustyna Łosińskiego na biskupstwo kieleckie. J. łac., perg., 39,5 x 27,5 x 4 cm, ołowiana bulla o średnicy ok. 4,5 cm na białym jedwabnym sznurze.

w Tarnowie)³⁰. Pokazują one, jak intratnym było „produkowanie” takich dokumentów i jak trudnym było wykonać dokument na pergaminie choćby odrobinę przypominający średniowieczny oryginał.

Zbiór dokumentów pergaminowych i papierowych Archiwum Diecezjalnego w Kielcach prezentuje się niezwykle interesująco, m.in. ze względu na ilość

dokumentów, ich dobry stan zachowania i wielką różnorodność, tak ze względu na wystawcę i odbiorcę, jak też wygląd zewnętrzny, różną formę (w tym dokumenty o charakterze uroczystym), zachowane częstokroć kilkusetletnie pieczęcie przywieszono pod dokumentami, ozdobne inicjały, nierzadko iluminacje, ołowiane papieskie bulle czy autografy królewskie.

Wartość naukowa dla badań regionalnych i historii lokalnej wynikająca z zawartości omawianego zbioru jest bezsporna. Także jego znaczenie dla całości zasobu archiwalnego – ze względu na charakter, tj. dokumenty pergaminowe i papierowe, często o charakterze uroczystym i licznych elementach zdobniczych (wartości muzealno-kolekcjonerskie i artystyczne) – pozwala go zaszeregować do najcenniejszej spuścizny archiwalnej przechowywanej w tymże archiwum i szerzej, w regionie świętokrzyskim.

Piotr Kardys
(PTH O/Sko-Kam., Towarzystwo Przyjaciół Archiwum Diecezjalnego im. bł. Wincentego Kadłubka w Kielcach)

³⁰ Zob. W. Kętrzyński, Stanisław Morawski. Przyczynek do historii fałszerstw w Polsce, „Przewodnik Naukowy i Literacki” 3, 1875, s. 657-669. O fałszerzu i jego dokumentach pisał też B. Kumor, Nieznane fałszyfikaty Stanisława Morawskiego, „Małopolskie Studia Historyczne” 2, 1959, z. 2/3, s. 114-121.



Ludność cywilna przy kopaniu rowów przeciwczołgowych 1939-1945. Ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

Karina Berkowicz

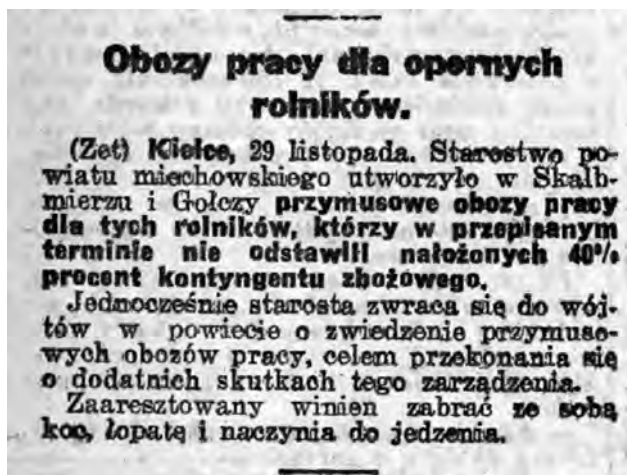
Ucieczka z fortyfikacyjnego obozu pracy w Młodzawach Dużych w relacji Stanisławy Popek

Do masowych form represji stosowanych podczas okupacji przez Niemców wobec Polaków należały między innymi różnego typu obozy pracy przymusowej. W drugiej połowie 1944 roku w obliczu zbliżającego się frontu wschodniego zorganizowano system obozów związanych z budową fortyfikacji. Jeden z tych obozów, kierowany przez zbrodniarza niemieckiego Theo van Eupena, znajdował się w Młodzawach Dużych nad Nidą, niedaleko Pińczowa. Przez ten obóz przeszło ok. 20 000 Polaków.

O skali wykorzystania przez Niemców okolicznej ludności cywilnej do budowy umocnień do dziś przypomina zachowany odcinek rowu przeciwczołgowego mający ok. 6,5 km długości. W jego kopaniu jesienią 1944 roku brała udział wówczas szesnastoletnia Stanisława Popek (z domu Skotnik) z Biedrzykowic.

DARMOWA SIŁA ROBOCZA

Obozy związane z robotami fortyfikacyjnymi należały do obozów pracy (*Arbeitslager*), obok zwykłych obozów pracy, obozów pracy o charakterze karnym i obozów tzw. Służby Budowlanej (*Baudienst*). W wielu przypadkach obozy pracy przymusowej były jednocześnie obozami karnymi.



Informacja o utworzeniu obozów pracy dla opornych rolników ukazała się w prasie gadzinowej: „Goniec Krakowski” nr 279 z 30 XI 1940, s. 4.

Celem tych obozów była eksploatacja darmowej siły roboczej, ale także biologiczne wyniszczenie przez pracę (*Vernichtung durch Arbeit*).¹ Niewolnicze wykorzystanie ludności i grabież przynosiły III Rzeszy ogromne korzyści.² Obozy pracy pełniły także rolę środka zastępczego dla kary więzienia, m.in. za niedostarczenie kontyngentów³, za uchylenie się od wezwań *Arbeitsamtu* na roboty do Niemiec, za szmugiel żywności ze wsi do miast, za handel bez pozwoleń i inne wykroczenia przeciw prawu okupacyjnemu.⁴ W obwieszczeniach Ern-

¹ Wiadomości ogólne na temat obozów pracy pochodzą z książki Józefa Marszałka, *Obozy pracy w Generalnym Gubernatorstwie w latach 1939-1945*, Lublin 1998.

² O skali eksploatacji siły ludzkiej świadczy lista branż w których wykorzystywano system obozów pracy: melioracja, budowa dróg, kolei, lotnisk, poligonów; w przemyśle: wydobywanie torfu (m.in. okolice Miechowa i w jędrzejowskim, w okręgu radomskim), wydobywanie ropy naftowej i gazu, kopalnie fosforu, do produkcji nawozów sztucznych, cementownie, cegielnie, huty szkła (także obóz w fabryce porcelany w Ćmielowie), wydobywanie wapienia i jego wypału, przemysł drzewny, fabryki amunicji i zbrojeniowe, przemysł lotniczy, produkcja odzieży i zakłady wielobranżowe.

³ W 1940 roku w rejonie Skalbmierza przy pracach melioracyjnych zorganizowano obóz karny dla rolników, którzy nie uiszcili kontyngentów płodów rolnych. Zob. J. Marszałek, *Obozy pracy...*, s. 20, przyp. 28. Informacja o utworzeniu obozów pracy dla opornych rolników ukazała się w prasie gadzinowej: „Goniec Krakowski” nr 279 z 30 XI 1940, s. 4.

⁴ W Zakładach Starachowickich od sierpnia 1943 r. także obóz karny (wychowawczy) o zaostrowym reżimie dla robotników-Polaków, podejrzanych o sabotaż, opuszczających pracę, pracujących zbyt wolno, wykonujących „zamówienia” na własny rachunek, udzielających pomocy materialnej i moralnej pracującym Żydom. Zob.: J. Marszałek, *Obozy pracy...*, s. 99. Wg informacji podanej w prasie gadzinowej do karnego obozu pracy Treblinka I trafił np. Edward Zawodny, kierownik ciężarówki, próbujący nielegalnie przewieźć mięso do warszawskiego getta. Zob.: „Nowy Kurier Warszawski”, nr 60, z dn. 11.03.1942 r., s. 3.

sta Gramssa, starosty powiatowego w Sokołowie w dystrykcie warszawskim, obóz pracy Treblinka I jest nazywany *Wychowawczym Obozem Pracy* dla elementów opornych.⁵ W wielu przypadkach również obozy fortyfikacyjne służyły okupantowi jako obozy karne.

Prace fortyfikacyjne w Generalnym Gubernatorstwie zostały podzielone na pięć odcinków; na każdym miało pracować co najmniej 10 tys. Polaków. Największy kontyngent roboczy miał dostarczyć dystrykt krakowski – 30255 robotników przymusowych.⁶

Do dostarczenia siły roboczej zostały zobowiązane władze cywilne: sołtysi, wójtowie i burmistrzowie. Narzędzia potrzebne do pracy oraz środki transportu (podwozy konne) także miały zapewnić gminy. Urzędnicy, duchowieństwo oraz nauczyciele mieli obowiązek szerzenia propagandy zachęcającej do wyjazdu na roboty. Gdy dobrowolny werbunek nie dawał pożądanego rezultatu władze niemieckie zastosowały przymus. Z raportu Komendy Głównej AK z 12 czerwca 1944 roku:

*Zapewnieniom niemieckim, że obowiązek pracy kończy się po dwóch miesiącach nikt w GG nie daje wiary (...) Postawa ludności wobec zaciągu jest zdecydowanie oporna, a w niektórych gromadach sołtysi oświadczyli władzom, że nie będą ryzykować życia i zlecenia nie wykonywać. Dotąd nie spadły na nich represje. Inne gminy i gromady dostarczają część kontyngentu, albo materiał ludzki – bezwartościowy. W przewidywaniu represji i środków przymusowych znaczna ilość młodzieży w Krakowskim i we Lwowskim opuściła miejsca zamieszkania i udała się do lasów dla wyczekiwania dalszych wydarzeń. W niektórych miejscowościach lokalne łapanki już się rozpoczęły. Tak np. zaczęto obławę na kolejach zwłaszcza na liniach podkarpackich. Branka jest przeprowadzana jednak najintensywniej w dystrykcie krakowskim.*⁷

Sytuacja robotników przymusowych uległa pogorszeniu w lipcu 1944 roku po przekazaniu robót for-

⁵ Władysław Ważniński, *Na przedpolach stolicy 1939-1945*, Warszawa 1974, s. 96.

⁶ J. Marszałek, *Obozy pracy...*, s. 124.

⁷ Tamże, s. 126, przyp. 47.

tyfikacyjnych przez Hitlera pod nadzór *Reichsfürera* SS Heinricha Himmlera, który mianował swoim pełnomocnikiem Wyższego Dowódcę SS i Policji w GG *Obergruppenführera* Wilhelma Koppego (1896-1975; uniknął odpowiedzialności karnej za zbrodnie). Koppe powołał specjalny sztab z *SS-Gruppenführerem* Jakobem Sporrenbergiem⁸. Oprócz jednostek SS, policji i Wehrmachtu zaangażowano organizację Todt oraz Centralny Urząd Techniczny w celu nadzorowania od strony technicznej budowy fortyfikacji frontowych.⁹

„VENUS” i „MERKURY”

Niemiecki plan obrony pozostałego terytorium Generalnego Gubernatorstwa zakładał m.in. budowę na tyłach frontu dwóch linii umocnień:

- A1 – „Venus” długości 380 km, od Wojnicza wzdłuż Dunajca, a dalej wzdłuż Nidy do Pińczowa, stamtąd przez Jędrzejów, Małogoszcz, Krasocin, Cermno do Skotnik i Sulejowa nad Pilicą.
- A2 – „Merkury” o długości 330 km, nad Popradem do Starego Sącza, dalej Dunajcem do Zakliczyna, następnie do Bochni, potem Rabą, a dalej Szreniawą do Miechowa i Pilicą do Skotnik.

Realizację planu umocnień rozpoczęto od budowy linii „Venus” (A1) – prace obejmowały kopanie rowów strzeleckich i przeciwpancernych, budowę bunkrów oraz zasieków z drutu kolczastego i pól minowych po wschodniej stronie umocnień. Realizację podzielono na trzy odcinki. Odcinek trzeci od Żabna do wideł Nidy Czarnej i Białej obejmował teren powiatu pińczowskiego. Punktem strategicznym był łuk Żabno – Nowy Korczyn – Wiślica.

Oprócz zaangażowania tysięcy ludzi dowożonych codziennie z całej okolicy na miejsce pracy, nad Nidą powstały obozy dla około 3000 osób (przeciętny stan zaludnienia). Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce z 1946 roku wymienia w tym rejonie siedem obozów (ujęte je-

dyne obozy w których średnio przetrzymywano ponad 100 więźniów)¹⁰:

Koniecmosty (od IX 1944; 700 osób)

Wiślica (od IX 1944; 140 osób)

Chotel Czerwony (od X 1944; 250 osób)

Żurawniki (od 15 X 1944; 150 osób)

Młodzawy Duże (od 20 VIII 1944; 1000 osób)

Michałów (od 8 VIII 1944; 600 osób)

Pińczów (od IX 1944; 500 osób).

Józef Marszałek podaje dodatkowo obozy w Szczerbakowie (od XII 1944; 137 osób), Górkach (od 18 XII 1944; 200 osób), Sielcu (od 15 X 1944 do 28 XII 1944; 70 osób) oraz Jędrzejowie (od 1944; 500 osób), natomiast nie wymienia obozu w Michałowie.¹¹

Z kolei u Władysława Ważniewskiego znajdujemy wzmiankę o obozie w Chrobrzu, przez który miało przejść 30 000 ludzi. Najprawdopodobniej jest to wynik pomyłki i zacytowania dwóch różnych zeznań wójta gminy Chroberz, który w kwestionariuszu z 1946 roku podaje informacje o obozie w Młodzawach przez który przeszło 20 000 osób, natomiast w zeznaniu z roku 1947 podaje liczbę 30 000 osób. Co istotne w drugim zeznaniu wyraźnie zaznacza, że w gminie Chroberz był tylko jeden obóz pracy – w Młodzawach Dużych.¹²

Linia „Merkury” A2 była usytuowana bardziej na zachód, równoległe do linii „Venus”. Była podzielona na siedem odcinków, z czego pięć przebiegało przez powiaty: krakowski, miechowski, jędrzejowski, konecki i piotrkowski, wzdłuż rzek Szreniawy i Pilicy. Łącznie na linii „Merkury” były 33 obozy pracy (22 na terenie dystryktu krakowskiego, a 11 w radomskim) dla ok. 12-15 000 osób. Ogółem na dwóch liniach fortyfikacyjnych utworzono co najmniej 80 obozów, w których koncentrowano jednocześnie ponad 30-40 tys. robotników przymusowych. Większość znalazła się

⁸ Jakob Sporrenberg (1902-1952), SS-Gruppenführer, Wyższy Dowódca SS i Policji w dystrykcie lubelskim, przed polskim sądem oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości, m.in. *Aktion Erntefest* („Dożynki”); więziony w jednej celi z gen. Augustem Emilem Fieldorfem „Nilem”; skazany na karę śmierci, którą wykonano 6.12.1952 r.

⁹ Tamże, s. 130-131.

¹⁰ Zofia Czyńska, Bogumił Kupś, *Obozy zagłady, obozy koncentracyjne i obozy pracy na ziemiach polskich w latach 1939-1945*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce” 1946, t. I, s. 36-39.

¹¹ J. Marszałek, *Obozy pracy...*, s. 132.

¹² Władysław Ważniewski, *Walki partyzanckie nad Nidą 1939-1945. Z dziejów walki podziemnej na ziemi miechowsko-pińczowskiej*, Warszawa 1975, s. 276; Skany oryginałów zeznań Piotra Gila, wójta gminy Chroberz w czasie okupacji, dostępne na stronie www.zapisyterroru.pl. Dostęp 30.06.2021.

w 49 obozach na terenie dystryktu krakowskiego, a reszta w 31 obozach w dystrykcie radomskim.

Nie jest możliwe ustalenie liczby robotników przymusowych, którzy przeszli przez te obozy – nie ma dokumentacji wytworzonej przez kancelarie obozowe. Hans Frank we wrześniu twierdził, że ogółem angażowano wówczas 250 000 osób, a według szczegółowych danych Wehrmachtu z listopada pracowało łącznie 215 000. Na tej podstawie Józef Marszałek szacuje, że między sierpniem a grudniem 1944 r. przy fortyfikacjach pracowało średnio ok. 230 000 osób, przy czym ok. 30% ogółu pracujących było skoncentrowanych w obozach.¹³ Według Czesława Łuczaka ogółem do budowy fortyfikacji Niemcy wykorzystali ponad 1 mln osób.¹⁴

Z raportu Delegatury Rządu na Kraj za okres od 1 października do 20 grudnia 1944 roku:

Od lipca [1944] Niemcy rozpoczęli ogromną akcję propagandową na terenie Krakowa i w całym GG zachęcając do dobrowolnego zgłaszania się na roboty fortyfikacyjne dla wojska niemieckiego. Akcja ta trwa ze wzrastającym nasileniem do ostatniej chwili. Kolorowe afisze na murach miast i miasteczek, na dworcach kolejowych, w urzędach, gminach przedstawiają w jaskrawych barwach i wyrazistych rysunkach grozę niebezpieczeństwa bolszewickiego. Wezwania szumnie krzyczą o „obronie ojczyzny”, kultury polskiej, spełnieniu ostatecznego obowiązku wobec swego kraju „z łopata w rękę”.¹⁵

Zdjęcia propagandowe przedstawiały mężczyzn, którzy zdjąwszy marynarkę, w białej koszuli pracują przy okopach w towarzystwie uśmiechniętych kobiet. Każdemu robotnikowi obiecywano 1 litr wódki, po 1 kg cukru i soli oraz 30 papierosów. Obok zachęty na afiszach znajdowały się także groźby zastosowania sankcji wobec wezwanego i jego rodziny w razie niestawienia się. Władze niemieckie w Kielcach już w początkach sierpnia zapowiadały,

że każdy uchylający się od robót przymusowych „będzie traktowany jako agent wroga i zostanie rozstrzelany”. W miastach w razie szerszego oporu stosowano odpowiedzialność zbiorową w postaci zaprzestania wydawania żywności, zamknięcia sklepów, wyłączenia prądu, wysiedleń.

Za uchylanie się od pracy karano śmiercią – między innymi w Młodzawach Dużych Niemcy zastrzelili 3 kobiety.¹⁶ Kary za brak dostarczania kontyngentów stosowano przez cały okres okupacji, także wobec sołtysów. Przykłady konsekwencji w razie niewypełnienia żądań podaje Jakub Gajewicz, wójt gminy Sancygniów od 1942 roku, w zeznaniu z 3.06.1947 r.:

Wszyscy sołtysi i zarząd gminy wraz ze mną siedzieliśmy w Działoszycach w r. 1941 za niedostarczenie ludzkiego kontyngentu na roboty – dni czternaście w areszcie. Mieliśmy być wywiezieni do obozu, lecz przyszło zarządzenie, żeby nas wypuścić. Oprócz tego za niedostarczenie kontyngentu mięsnego wyznaczili Niemcy kontrybucji w roku 1943 czy 1944 siedem tysięcy złotych, a mnie jako wójta za niedostarczenie ludzkiego kontyngentu na roboty – pięć tysięcy złotych.¹⁷

W niektórych okolicach roboty przy umocnieniach obowiązywały całą ludność zdolną do pracy, a uchylający się byli wyłapywani przez żandarmerię lub policję. W czasie żniw przymusowe branki na roboty stanowiły duży problem i zdarzało się, że aby ich uniknąć, a jednocześnie zebrać plony prace polowe wykonywano nocą. Jednocześnie wymogi co do wielkości kontyngentów rolnych były coraz bardziej dotkliwe. W miejscowościach w pobliżu budowanych umocnień mieszkańcy mieli obowiązek przyjąć na nocleg pracowników przymusowych, a chłopcy musieli się pogodzić ze zniszczeniami na polach lub z odcięciem drogi przez wykopany rów do dalej położonych pól.¹⁸

¹³ J. Marszałek, *Obozy pracy...*, s. 136-137.

¹⁴ *Eksploracja siły roboczej i grabież ziem polskich przez Wehrmacht w końcowym okresie II wojny światowej*, wybór źródeł i oprac. Eugeniusz Kozłowski, Piotr Matusak, *Documenta Occupationis*, t. XII, Poznań 1986, s. 14.

¹⁵ J. Marszałek, *Obozy pracy...*, s. 129 (na podstawie AAN, VI/O Delegatura Rządu RP na Kraj, 202/III-26, s. 7).

¹⁶ W. Ważniewski, *Walki partyzanckie...*, s. 275, przyp. 5 i 6.

¹⁷ Zeznanie dostępne w oryginale na stronie www.zapisyterroru.pl Dostęp 30.06.2021. Jakub Gajewicz (1903-1991), członek ruchu oporu BCh-AK ps. „Górka”. Zob.: Bogusław Bojko, *Wykaz żołnierzy Ruchu Oporu na terenie b. gminy Sancygniów w latach 1939-1945*, maszynopis, Katowice 1993, s. 5 (przedruk w: Adam Sznajderski, *Partyzancka odyseja*, Tuchów 2004, s. 81), B. M. Nieczuja-Ostrowski, *Inspektorat AK „Maria” w walce*, t. II, cz. II, Elbląg 2007, s. 240.

¹⁸ http://www.archiwum.olsztyn-jurajski.pl/kategorie/fortyfikacje_walu_wschodniego_z_1944_roku_w Dostęp 30.06.2021.

Pomimo propagandowych zapewnień władz okupacyjnych, ze względu na niebezpieczeństwo wywożenia młodych mężczyzn do Niemiec czy obozów koncentracyjnych, do robót przy okopach zgłaszały się głównie kobiety i dziewczęta. Dla Niemców każdy młody mężczyzna był podejrzany o przynależność do ruchu oporu dlatego szczególnie starali się zajmować im czas – stosowano obowiązek szkolny i przymus pracy¹⁹ oraz imienne wezwania poszczególnych roczników do Służby Budowlanej lub wyjazdu do Niemiec.²⁰

U schyłku okupacji niezwykle rozpowszechnione były oblawy na robotników przymusowych, przeprowadzane przez różne formacje niemieckie, a połączone z likwidacją osób podejrzanych o przynależność do ruchu oporu. W całej strefie przyfrontowej (20 km od linii frontu) w październiku żołnierze z 4 Armii Pancerniej przeprowadziły dwie ogromne łapanki, w czasie których ujęto sześć – siedem tys. mężczyzn.²¹

Większość osób pracujących przy kopaniu rowów przeciwpancernych była przywożona na jeden dzień lub na tydzień, jednak zdarzało się, że zatrzymywano ludzi w obozie na czas nieokreślony, a także przewożono między obozami lub wywożono do Niemiec i obozów koncentracyjnych.

¹⁹ Przymus pracy (*Arbeitszwang*) dla ludności polskiej w Generalnym Gubernatorstwie został wprowadzony rozporządzeniami z 28 i 31 października 1939 r. (ludność od 18 do 60 lat), ale 14 grudnia 1939 roku rozciągnięto ten przymus na młodzież od 14 roku życia. Zob.: Czesław Łuczak, *Praca przymusowa Polaków w Trzeciej Rzeszy i na okupowanych przez nią terytoriach innych państw (1939-1945)*, Poznań 2001, s. 22 oraz J. Marszałek, *Obozy pracy...*, s. 12.

²⁰ W wielu relacjach z czasu okupacji przewija się informacja o tym, że młodzi mężczyźni sypiali poza domem – w stodółach i na strychach budynków gospodarczych, z przygotowaną drogą do ucieczki. Potwierdza to Marian Popek z Jakubowic, k. Działoszyc, ur. 26.12.1925, członek ruchu oporu od lutego 1943 r. (BCh-AK ps. „Sroka”; dow. Mieczysław Latos, ps. „Nieznany” BCh-AK). Przenosił meldunki, przewoził broń i partyzantów oraz brał udział w akcjach m.in. rozbijania Stützpunktu w Działoszycach 25/26.07.1944 r. jako przewodnik podprowadzający grupy partyzantów Tomasa Adrianowicza ps. „Pazur” z Jakubowic do Działoszyc (Archiwum Zakładowe Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, akta nr ewidencyjny K8064147). Kilkakrotnie nie zgłosił się po otrzymaniu imiennego wezwania na roboty do Niemiec. Urzędnik dostarczający wezwanie, gdy dowiedział się o zniszczeniu druku, rozplakał się z nerwów, wiedząc, co może grozić i jemu i wzywanemu. Od tamtego czasu musiał się ukrywać. W 1944 roku, gdy sołtys Jakubowic zbierał ludzi do kopania okopów w miejsce osiemnastoletniego Mariana pojechała jego matka – Józefa Popek (15.12.1906-24.11.1996). Relacja ustna.

²¹ Tamże, s. 299.

Codziennosc życia w konspiracji na terenie pińczowskiego latem 1944 roku obrazowo przedstawia Andrzej Braun²²:

Coraz więcej mężczyzn znikało Bóg wie gdzie z dniem każdym, teraz zaś jeszcze zaczęto wzywać do kopania przeciwczołgowych rowów, łapiąc dziewczyny w miejsce mężów czy braci [...] Niemiec z „Todta” stojąc wyjaśniał jej rozporządzenie kreishauptmanna oraz landkommissara z Kazimierzy Wielkiej o pełnej mobilizacji wszystkich mężczyzn i kobiet zdolnych do pracy, dla kopania rowów, w ramach obrony cywilnej Generalgouvernement. Na podstawie owych zarządzeń „cała wspomniana ludność” ma stawić się jutro od rana w wyznaczonych punktach zbornych, przynosząc ze sobą odpowiedni sprzęt do prac ziemnych, jak łopaty, wiadra, oskardy i rydle. W każdym gospodarstwie czy rodzinie zostać może w domu najwyżej jedna osoba. [...] Odpowiednie plakaty jak i zarządzenia otrzymał już sołtys, odpowiedzialny za ich wykonanie; również księża w parafii [...] ogłaszają mają to co dzień z ambony. Przy okazji zaś zarządzenia te winny być wywieszane we wszystkich majątkach zatrudniających siłę roboczą [...] Tu i tam, przy tablicach z rozkładem jazdy, ludzie czytali rozwieszane świeżo afisze o powszechnym poborze do kopania przeciwczołgowych rowów... [...] Do wagonu ładują się młodzi chłopcy złowieni do Baudienstu. Żaden z nich nie ma więcej niż osiemnaście, dwadzieścia lat. Zachowują się jak tradycyjni rekruci wiezieni do wojska, pijani lub udający pijanych, zawodzący cienkimi głosami smutne ludowe piosenki. Naczelnik patrzył na te chłopięce twarze, zdziwiał w desperacji czy beznadziejności, i zagniewanie na przemian z litością ogarniało go na widok owych wyrastających niewolników. To był los przeznaczony ich pokoleniu, pół więźnia, pół parobka u wroga. [...] Nocą na tym nagrzanym stryszku, pod dachem z eternitu, w owej klitce o niskim stropie, żebrowanym krokwiemi, z zapachem zielska, kurzu i koniczyzny, gdzie przez otwór wykuszu wymknąć się mógł w dowolnej chwili na przyległą gruszę i dalej

²² Andrzej Braun (1923-2008) w czasie okupacji wraz z rodziną przesiedlony z Łodzi do Krakowa, członek AK, po wojnie członek PPR i PZPR, korespondent, pisarz i poeta; brat Michaliny Wisłockiej, ojciec Ewy Braun. https://pl.wikipedia.org/wiki/Andrzej_Braun Dostęp 30.06.2021 r.

*w krzaki aż „do pola”, tak się bowiem sypiało wtedy, z drogą do ucieczki, „jak zając pod miedzą”.*²³

UCIECZKA

Obóz w Młodzawach Dużych (gm. Pińczów), według opisu więzionej tam Stanisławy Popek (z d. Skotnik, ur. 27.04.1928 w Biedrzykowicach, ob. gm. Działoszyce), składał się z ogrodzonego placu, na którym była stodoła i stary budynek gospodarczy. Stodoła służyła za noclegownię. W nocy osadzeni sypiali z braku miejsca ułożeni blisko siebie, w dużym ścisku. Warunki sanitarne były bardzo złe. Jak wspomina, było jeszcze upalnie (koniec sierpnia lub wrzesień 1944 r.).

Miejsce jej pracy znajdowało się ponad kilometr od obozu, po przeciwnej stronie drogi i torów kolejki wąskotorowej przecinających las. Każda osoba zmuszana do pracy dostawała łopatę i przydzielony odcinek do wykopania. Ziemię wyrzucano do góry, poza kopany rów. Kopiający ustawieni byli w rzędach po dwóch stronach rowu, naprzeciwko siebie, każdy wykopywał przydzielony odcinek. Całość prac była wykonywana ręcznie, bez użycia maszyn czy sprzętu innego niż łopaty, szpadle i kilofy.

Łopaty były ciężkie, nabierałam mniej ziemi i machałam ile mogłam. Niemcy bardzo pilnowali. Po wykopaniu wyznaczona sekcja przechodziła wzdłuż rowu i wyrównywała ziemię by się nie osypywała. Pracujący byli bardzo dobrze pilnowani – co kilka metrów stał Niemiec, a każde wyjście za potrzebą odbywało się pod eskortą. Niemcy przechadzali się wzdłuż kopanego rowu, pilnie obserwując pracujących. Na terenie otwartym i niezalesionym nie było potrzebnych aż tylu pilnujących. Przyjeżdżający na dniówki także mieli mniejszy dozór, bo wiedząc, że wracają wieczorem nie myśleli by narażać się uciekając. Będąc na stanowisku widziało się niekończący sznur ludzi po dwóch stronach rowu. Większość stanowiły kobiety.

Jedni byli zebrani z łapanek, a inni dowożeni na dany dzień podwodami – każda wieś czy gmina miała wyznaczoną liczbę ludzi, którą miała dostarczyć. Rano na szóstą godzinę zawieźli, a na wieczór około szóstej odwozili z powrotem.

²³ Andrzej Braun, *Rzeczpospolita chwilowa*, Warszawa 1982, s. 35, 37-38, 66-67, 360.



Nastoletnia Stanisława Popek ze starszym rodzeństwem. Ok. 1940 rok, ze zbiorów rodzinnych.

Mnie wystali z domu, bo ja byłam najmłodsza, byłam dziewczyna, Józek²⁴ był, ale była obawa, że chłopaków mogą zabrać do obozu lub na roboty do Niemiec. Była też koleżanka ze wsi ze mną, z naszej wsi było jeszcze kilka osób. Myśmy pojechali na dniówkę, ale zanim przyjechały podwozy to nas zabrali do baraku. Nie wiem dlaczego, akurat nam to się przytrafiło. Po powrocie po pracy do obozu, na podwórzu ludzie zostali ustawieni w szeregach: osobno ci, co czekali na podwozy i osobno ci, co byli na stałe. My dwie zostałyśmy wyznaczone, by przejść do tych, co mieli zostać. Ci co byli na zawsze spali w stodole, w barłogu,

²⁴ Józef Skotnik (20.11.1925-14.06.1991), brat Stanisławy Popek, członek ruchu oporu od grudnia 1943 r. (BCh-AK, ps. „Szpilka” – szył i naprawiał mundury partyzantów; dow. Feliks Marzec ps. „Czarny” BCh-AK). W 1944 roku podczas łapanek został postrzelony (Archiwum Zakładowe Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, akta nr ewidencyjny K5045484). Zob.: Bogusław Bojko, *Organizacja Ruchu Oporu na terenie b. gminy Sancygniów r. 1939-1945*, maszynopis, Katowice, 1993, s. 5 (przedruk w: Sznajderski, *Partyzancka odyseja*, s. 76 (błąd w nazwisku – Skutnik) oraz Waław Kapsa „Herman”, *Organizowanie 3. Pułku Ułanów w Sancygniowie*, oprac. Krzysztof Wędrychowski, „Okrucy Wspomnień z Lat Walki i Martyrologii AK”, nr 43 (2002), s. 124. Bez nazwiska, jako *chłopiec z AK z Biedrzykowic*.



Rów przeciwczołgowy w lesie między Młodzawami Dużymi a Skrzypiowem, luty 2020 r.

na starej słomie. Lato to było, pcheł tam było co nie-miara, a nawet może i pluskwy, różne robactwo. My byłyśmy tam chyba dwie noce i w tym dniu kiedy skończyliśmy robotę, wszyscy po szóstej już byli na placu – ci, co byli zawsze i ci, co przyjeżdżali, odjeżdżali. Jeszcze nas nie wpakowali, nie zabrali do tej stodoły, tylko tak staliśmy w rzędzie, a obok nas stał szereg ludzi czekających na podwódkę, którzy mieli odjechać do domu. Tak stoimy i w pewnym momencie, jakoś tak było, odwaga była wielka, że ci ludzie co wychodzili ostatni... krok dałyśmy, dołączyłyśmy i wyszłyśmy z tego podwórka. Ja i ta koleżanka. Drżałyśmy jak nie wiem, bo może nas ktoś widział i nas złapią. Ci ludzie byli z obcych wsi, myśmy nawet tych ludzi nie znały. Weszłyśmy z innymi na jeden z wozów i odjechałyśmy kawałek, ale te wozy szły w zupełnie innym kierunku, więc zeskoczyłyśmy i weszłyśmy w las. Ludzie nic nie mówili, bo ludzie to nie wiedzą co i jak? Psy szczekały, ale to już człowiek idzie na wszystko. Z Gór szłyśmy polami do Węchadłowa. Znałyśmy teren, bo ona miała tam rodzinę. Nie szłyśmy szosą, Stępcice i Sancygniów, wszystko polami.

Przyszłyśmy do Biedrzykowic to była godzina po dwunastej, może nawet pierwsza w nocy. Jak weszłam na podwórko, w oknie się świeciło i widziałam jak mamusia się modliła przy stole przy lampie naftowej, bo przecież mnie zabrali, nie wiadomo co będzie. Zastukałam w okno, żeby mi otworzyła. Uściskała mnie i najpierw się wymyłam i w łóżko. I na tym się skończyło. Ta koleżanka była dwa lata starsza ode mnie, nazywała się Irena Krowa, już nie żyje.²⁵ Siostra jej była z mojego roku, razem chodziłyśmy do szkoły, też nie żyje...

Na pytanie, czy bały się iść nocą przez las, odpowiedziała: Nie bałyśmy się ze strachu... słyszałyśmy strzały w oddali. Nie rozmawiałyśmy. Gdy doszłyśmy do głównej drogi, w pobliżu Węchadłowa, siedziałyśmy w rowie i nasłuchiwałyśmy czy ktoś nie idzie lub nie jedzie i dopiero przeszłyśmy.

Ponownie do kopania rowów przeciwpancernych Stanisława Popek została zabrana do Jurkowa (powiat Busko); tam była dwukrotnie, za każdym razem przez około tydzień. Została wyznaczona do pogłę-

²⁵ Irena Młyńczak z d. Krowa zm. 7.05.2006 r. w wieku 82 lat. Pochowana na cmentarzu w Lubczy (pow. jędrzejowski).



Niemieckie zdjęcie propagandowe przedstawiające grupę kobiet przy kopaniu rowów przeciwczołgowych

biania częściowo wykopanych rowów. Warunki były lepsze pomimo tego, że ludzi było bardzo dużo – spali w stodołach gospodarskich we wsi (Jurków i Stawiszycy). Jako posiłki robotnicy dostawali wodnistą zupę z kartofli lub kromkę chleba z serem żółtym i łyżeczką marmolady. Nie pilnowano też tak bardzo jak w obozie w Młodzawach – ludzie wiedzieli, że przyjechali na kilka dni, a po tym czasie wrócą do domów.

Prawdopodobnie ze względu na ogromną liczbę ludzi potrzebnych do kopania i pośpiech związany z przesuwaniem się frontu Niemcy nie prowadzili ewidencji pracowników przymusowych. Dzięki temu ucieczka z obozu w Młodzawach nie pociągnęła za sobą konieczności ukrywania się.

Obozy na omawianym terenie różniły się liczbą więźniów, warunkami bytowymi, a także rodzajem wykonywanych przez więźniów prac fortyfikacyjnych.

- W obozie w Chotlu przebywali Polacy z terenu Ostrowca i przyfrontowych miejscowości, pracowali w skale gipsowej i przy budowie drogi Wiślica–Stopnica. Ludzie z okolicy podawali im jedzenie, za co często sami zostawali więźniami. Obóz znajdował się w budynku szkolnym.
- W Wiślicy znajdował się niewielki obóz – więźniowie kopali rowy w Gorysławicach i budowali drogę do Strożysk.
- W obozie w Sielcu k. Wiślicy przebywali ludzie ze Starachowic, około 70 osób – budowali drogę Wiślica–Szczerbaków, kopali okopy. Po likwidacji zostali przeniesieni do Szczerbakowa.
- W Konieczmostach obóz mieścił się w budynku stacyjnym kolejki wąskotorowej – budynek był



Stanisława Poppek ze znajomymi z grupy teatralnej w czasie okupacji niemieckiej (stoi z tyłu, druga od prawej), Wola Knyszyńska, ok. 1943 r. Działalność artystyczna była przykrywką dla działalności konspiracyjnej, umożliwiała organizowanie spotkań i przemieszczanie się, przewożenie meldunków. Zdjęcie ze zbiorów rodzinnych.

z desek, bardzo przewiewny, ludzie spali na podłodze. Ściągnięci byli od Działoszyc, Kazimierzy i z powiatu miechowskiego. Przez obóz w Konieczmostach przeszło ok. 10 000 osób. Pracowali przy budowie bunkrów, okopów i w lesie. Przy likwidacji obozu ci z bliższych okolic uciekli, inni zostali wywiezieni na zachód. W Konieczmostach kierownikiem był młody SS-man, który znęcał się nad ludźmi.

- W Żurawnikach obóz mieścił się w budynku dworskim. Przebywali tam mieszkańcy powiatu jędrzejowskiego i Kielc, stale około 200 osób (w sumie przez obóz przeszło około 600 osób); pracowali przy bunkrach, rowach przeciwczołgowych i okopach.
- W Michałowie więźniowie pracowali przy sypianiu szańców i przy okopach. Przez obóz przeszło około 10 000 osób, z okolicznych wsi, powiatu jędrzejowskiego i włoszczowskiego. Mieścił się

w dużej dworskiej stodole i spichlerzu. Budynek był z cegieł, ale ułożonych tak, że pomiędzy cegłami były dziury. Zimą wiatr hulał wewnątrz, przemarznięci więźniowie próbowali zasłaniać je wiązkami słomy.²⁶ Ludność z okolicy przynosiła żywność. Niemieckie kierownictwo obozu mieszkało na plebanii (ksiądz był zmuszony mieszkać u parafian). Przy obozie był doktor, Polak z Krakowa, dawał zwolnienia od pracy. Kierownikiem był Niemiec, *pijaczyna*, który czasem zwalniał od pracy za wódkę, natomiast załoga była bardzo brutalna, znęcała się nad więźniami.²⁷

Miejscowa AK próbowała dezorganizować Niemcom zabieranie ludzi do robót fortyfikacyjnych. Jedną z takich akcji przeprowadził OP „Jaksa” 24 lipca 1944 roku w Kalinie Małej, uwalniając około 50 osób.²⁸

Według kwestionariusza w zeznaniach z 9 października 1945 roku wypełnionego przez Piotra Gila, wójta gminy Chroberz, obóz pracy w Młodzawach Dużych istniał od 20 sierpnia 1944 do 12 stycznia 1945 roku. Znajdował się na terenie i w zabudowaniach podworskich. Budynki miały wymiary 20x8 m i 40x18 m. Przez obóz przeszło około 20 tysięcy Polaków, a przeciętny stan zaludnienia wynosił 1000 osób. Posiłki więźniów były bardzo liche i nie było szpitala. Kierownikiem obozu był *Hauptmann von Eupen*, który *zginął na terenie gminy Góry*.²⁹

W zeznaniu z 4 czerwca 1947 roku Piotr Gil wskazuje, że:

więźniowie mieszkali w pustych stodołach, szpitala ani pomocy lekarskiej nie mieli, odżywianie było bardzo złe, pracowali przy okopach i ścinaniu drzewa z lasu, robotę mieli bardzo ciężką.

²⁶ Relacja ustna Jadwigi Bartosik, której mąż Stanisław Bartosik przebywał w obozie w Michałowie zimą 1944 roku.

²⁷ Informacje o obozach w Chotlu, Wiślicy, Koniecmostach, Żurawnikach i Michałowie według zeznań Franciszka Matuszczyka, Jana Madeja, Józefa Madeja, Jana Adamczyka i Eugeniusza Stawiarskiego dostępnych jako skany oryginałów na stronie www.zapisyterroru.pl. Dostęp 30.06.2021. Treść zeznań odczytana z oryginałów niekiedy różni się istotnie od treści odpisów zamieszczonych przez Instytut Pileckiego na tej stronie.

²⁸ Bolesław Michał Nieczuja-Ostrowski, *Rzeczpospolita Partyzancka*, Warszawa 1991, s. 116.

²⁹ Według zeznań Piotra Gila dostępnych jako skany oryginałów na stronie www.zapisyterroru.pl. Dostęp 30.06.2021. Treść zeznań odczytana z oryginałów niekiedy różni się istotnie od treści odpisów zamieszczonych przez Instytut Pileckiego na tej stronie.

Piotr Gil podaje także informację o rozstrzelaniu więźnia próbującego uciekać.

W obozie tym podczas ucieczki z obozu został zastrzelony przez wartownika Michał Zadara ze wsi Michałowice, gminy Czarnocin, powiatu pińczowskiego. Został przez rodzinę zabrany i pochowany na cmentarzu parafialnym w Stradowie gminy Chroberz.³⁰ [...] Byli tam sami Niemcy z SS. Ci się bardzo ordynarnie i źle obchodzili, tak z ludźmi z obozu, jak i z ludnością.³¹

Presja propagandowa, terror, łapanki oraz nasycenie terenu przez jednostki Wehrmachtu, SS i policji sprawiała, że trudno było uniknąć robót przymusowych.

W roku 1944 latem było rozstrzelanych przez Niemców osiem (8) osób z samego Kozubowa mężczyzn młodych, wybrali z mieszkańców Kozubowa tych ośmiu, wywieźli w stronę wsi Zawarża i w polu ich rozstrzelali – odeszli po zabiciu, rodzina trupy zabrała. To było bez żadnego powodu. To robili SS-owcy wraz z Ukraińcami. W roku 1943 jesienią Niemcy zabrali we wsi Zawarża trzech mężczyzn młodych – dwóch rozstrzelali na miejscu w Zawarży, ciała zabrała potem rodzina. A trzeciego przywiezionego do Chrobrza, Niemcy rozstrzelali w Chrobrzu i tam zakopano. Rodzina odkopła i pochowała na cmentarzu.

Gil w zeznaniu wymienia liczbę Polaków aresztowanych, wywiezionych do obozów karnych z gminy Chroberz, a także wskazuje na straty materialne, m.in. Niemcy, by zdobyć budulec nie tylko wycinali okoliczne lasy, ale także rozbierali domy.

Łapanek było kilkanaście – wywieźli wtedy do robót do Niemiec (262) dwieście sześćdziesiąt dwie osoby. Część nie wróciła, jakie dwadzieścia osób. Co z nimi się stało, nie wiadomo. Niemcy nałożyli też za niewypełnienie kontyngentu kontrybucję na gminę Chroberz w roku 1943 roku w sumie pół miliona złotych. Dużo z tego ściągnięto, a oporni zostali wysiedleni [nieczytelne] a niektórzy zabrani do robót do Niemiec. Niemcy spalili rozmyślnie cztery budynki w Chrobrzu mieszkalne, dlaczego nie wiadomo. W czasie frontu rozebrali do okop dwanaście budynków. Z samolotu spalili

³⁰ Według napisu na nagrobku na cmentarzu parafialnym w Stradowie Marian Zadara, lat 21, zginął z rąk hitlerowców 28 XII 1944 r.

³¹ Skany oryginałów zeznań dostępne na stronie www.zapisyterroru.pl. Dostęp 30.06.2021.

*w Chrobrzu dziewięć budynków i we wsi Zagaje – dwa budynki. Te straty licząc na obecną walutę – piętnaście milionów złotych.*³²

Jedną z takich łapanek w Biedrzykowicach (ob. gm. Działoszycy) wspomina Stanisława Popek. Było to w październiku 1944 roku.³³ Niemcy szli tyralierą i wyłapywali ludzi próbujących uciec ze wsi i ukryć się w śródpolnych zagajnikach i parowach. Razem z innymi mieszkańcami udało jej się schronić w sąsiedniej wsi – Wymysłowie. Jej brat, Józef Skotnik, uciekając przez pola tuż za zabudowaniami wsi Biedrzykowice został postrzelony w okolicie lewego obojczyka.³⁴ Dwóch innych młodych mężczyzn z Biedrzykowic zostało pobitych (złamania żeber, uszkodzenie kręgosłupa) i zabranych w stronę Pińczowa razem z innymi złapanymi. Byli to Michał Bartosik i Zdzisław Bojko.³⁵ Wszyscy trzej byli członkami ruchu oporu. Józef Skotnik przeżył dzięki swojej matce, Ludwice Skotnik, która ukryła się w domu i po odjeździe Niemców zawiozła go do Działoszyc, do lekarza Karola Grębowskiego.³⁶

Za uchylanie się od obowiązku pracy przy budowie umocnień fortyfikacyjnych groziły surowe kary, a w kilku znanych przypadkach osoby zbiegłe z tak zwanego powszechnie „einsatzu” skazano na śmierć i wyroki te wykonano.³⁷

Pracę przy okopach w Młodzawach Dużych oraz ucieczkę z obozu pracy w Jędrzejowie wspomina



Nauka krawiectwa w Biedrzykowicach (1942 lub 1943 rok). Po prawej Józef Skotnik, w środku mistrz krawiectwa Czesław Sierpowski (wysiedlony z Wielkopolski, w czasie okupacji mieszkał w Biedrzykowicach), po lewej Z. Skwara. Zdjęcie ze zbiorów rodzinnych

także Krystyna Malik-Kwapieniowa, w czasie okupacji mieszkająca w Sancygniowie:

*Zostałam zagarnięta w czasie łapanki w początkach września i wywieziona na przymusowe roboty przy budowie okopów. Najpierw zostałam umieszczona w obozie pracy (używam tego terminu za W. Ważniewskim) w Młodzawach Dużych, a później wywieziona w okolice Jędrzejowa, skąd po upływie dwóch tygodni udało mi się uciec. Niewiele wiem o przeżyciach innych koleżanek i kolegów, ponieważ na te tematy niechętnie się wówczas rozmawiało może dlatego, że wrażenia były jeszcze zbyt świeże. Groza okupacyjnego życia zaciężyła na naszej psychice, byliśmy znerwicowani, przechodziliśmy nieraz okresy załamania, braku wiary we własne siły i możliwości, pojawiały się trudności w nauce.*³⁸

Theo van Eupen

Obóz pracy został utworzony w celu uzyskania bezpłatnej siły roboczej przy dalszej eksploatacji żwirowni jak i przy wykonywaniu różnych robót gospodarczych, a jednocześnie dla terroryzowania ludności polskiej. Komendantem obozu był SS Hauptsturmführer Theo von Euppen, sadysta, który pastwił się nad Polakami, a jeszcze bardziej nad Żydami tam pracującymi, strzelając do nich jak do kuropatw. Był on poprzednio urzędnikiem

³² Skany oryginałów zeznań dostępne na stronie www.zapisyterroru.pl. Treść zeznań odczytana z oryginałów niekiedy różni się istotnie od treści odpisów zamieszczonych przez Instytut Pileckiego na tej stronie. Dostęp 30.06.2021.

³³ Dowódca kompanii AK „Dzięcioł” z Działoszyc kpt. Walery Zaród ps. „Prądyński” wspomina, że w październiku 1944 r., w czasie kopania okopów, Niemcy przez kilkanaście dni robili poszukiwania na polach. Relacja z datą 1.07. 1968. Zob.: A. Sznajderski, *Partyzancka odyseja*, s. 495. O brankach do okopów także w oświadczeniu por. Witolda Łacha, zastępcy dowódcy kompanii „Dzięcioł” – przyjechali furmankami z Miechowa Niemcy w żółtych mundurach, zażądali od ówczesnego burmistrza ludzi do kopania okopów. I tak już codziennie, przez kilka tygodni. Relacja bez daty. Tamże, s. 512.

³⁴ Patrz przyp. 19.

³⁵ Michał Bartosik – BCH-AK; Zdzisław Bojko – ZWZ-AK, ps. „Leon”. Zob.: Bogusław Bojko, *Organizacja Ruchu Oporu na terenie b. gminy Sancygniów r. 1939-1945*, maszynopis, Katowice, 1993, s. 5 (przedruk w: A. Sznajderski, *Partyzancka odyseja*, s. 76).

³⁶ Karol Grębowski, członek AK ps. „Skalpel”, (zm. 30.08.1975). B. M. Nieczuja-Ostrowski, *Inspektorat AK...*, s. 238.

³⁷ Cz. Łuczak, *Praca przymusowa...*, s. 45.

³⁸ Wspomnienie Krystyny Malik, bez daty, w: Adam Sznajderski, *Działoszycy. Dzieje miasta i okolicy*, Tuchów 1995, s. 268. Brat Krystyny – Zygmunt Malik ps. „Pilot”, członek AK, aresztowany 5 sierpnia 1944 r. przez Gestapo z Miechowa, zmarł w obozie w Chemnitz 6 stycznia 1945 r. w wieku 22 lat. Zob.: Krystyna Malik-Kwapieniowa, *Do redakcji kwartalnika „Okruchy Wspomnień”*, „Okruchy Wspomnień z lat walki i martyrologii AK”, 12 (2003)/45, Kraków 2003, s. 158-161.



Niemieckie zdjęcie propagandowe przedstawiające ludność cywilną przy kopaniu rowów przeciwczołgowych – sprawdzanie poprawności wykonanej pracy, listopad 1944 r., Zeitungs-Verlag Krakau-Warschau (Wydawnictwo Prasowe Kraków-Warszawa), autor: Klacanek. Ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego sygn. 2-6339.

starostwa niemieckiego w Sokołowie Podlaskim. Obsługa obozu składała się z około 20 SS-manów i 100 Ukraińców. Do obozu kierowani byli Polacy za sabotaż gospodarczy, za nielegalny handel, za nie oddany w terminie kontyngent płodów rolnych, za jazdy pociągami bez zezwolenia i biletów. Dużo ludzi znalazło się tutaj po prostu w wyniku łapanek. [...] Był to obóz nie tylko pracy, ale i zagłady.

Tak charakteryzuje obóz pracy w Treblince i jego komendanta Franciszek Ząbecki (1907-1987), dyżurny ruchu na stacji kolejowej w Treblince oraz świadek w procesach zbrodniarzy hitlerowskich, któremu udało się ocalić kolejowe dokumenty świadczące o zbrodniczej i rabunkowej działalności załogi obozów.³⁹

³⁹ Franciszek Ząbecki, *Wspomnienia dawne i nowe*, Warszawa 1977, s. 19. Oficjalnie obóz powołano zarządzeniem gubernatora dystryktu warszawskiego Ludwiga Fischera z 15 listopada 1941 r. opublikowanym w Dzienniku Urzędowym dla Generalnego Gubernatorstwa („Amtlicher Anzeiger für das Generalgouvernement, nr 84 z 2 grudnia 1941 r.) oraz w Dzienniku Urzędowym dla Okręgu Warschau („Amtsblatt für den Distrikt Warschau Generalgouvernement”, nr 11–12 z 16 grudnia 1941 r.). Zob.: Stanisław Wojtczak, *Karny obóz*

Theodor van Eupen był komendantem obozu pracy w Treblince (tzw. obóz Treblinka I) przez cały okres działania obozu (od lata 1941 do 23.07.1944). Urodził się 24 kwietnia 1907 r. w Düsseldorfie, przed wojną był adwokatem w Berlinie. Jako urzędnik pracował w zarządzie kwater wojskowych (*Heeresunterkunftsverwaltung*), który miał siedzibę w Sokołowie Podlaskim przy ul. Adolfa Hitlera 12.⁴⁰

Z inicjatywą stworzenia obozu pracy wystąpił starosta powiatu sokołowsko-węgrowskiego *Sturmabführer* Ernst Gramss (ur. 17.12.1899 r. w Augsburgu, starosta w latach 1940-1944, AK zorganizowała na niego trzy nieudane zamachy, nieosądzony, data śmierci nieznana).⁴¹ Początkowo wydobywaniem żwiru w kopalni zajmowała się spółka niemieckich urzędników starostwa w Sokołowie. Żwir wykorzystywany był do produkcji betonu na potrzeby wojska. Zwiększenie wydobywania i zysków przez zaangażowanie darmowej siły roboczej było podstawą stworzenia wychowawczego obozu dla „opornych elementów” z okolicy (początkowo nazwa obozu to Wychowawczy Obóz Pracy – *Arbeitserziehungslager*). Według zeznań urzędniczki starostwa Gertrudy Erchardowej Theodor van Eupen został mianowany komendantem jeszcze przed ukazaniem się oficjalnego rozporządzenia.⁴²

W przeciwieństwie do powstałego później obozu zagłady Treblinka II, którego komendant podlegał władzom *Aktion Reinhardt*, komendant Treblinka I podlegał dowódcy SS i Policji w Warszawie (*Der SS – Und Polizeiführer im Distrikt Warschau Arbeitslager Treblinka*). Miał do dyspozycji sztab około

pracy Treblinka I i ośrodek zagłady Treblinka II, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce”, t. XXVI, Warszawa 1975, s. 155-156. Zarządzenie to obowiązywało wstecz od 1 września 1941 r. O powstaniu specjalnego obozu pracy dla niestosujących się do zarządzeń władz informowała prasa gadzinowa: „Nowy Kurier Warszawski”, nr 277 z dn. 22/23 XI 1941, s. 3.

⁴⁰ Zdzisław Łukaszkiewicz, *Obóz pracy w Treblince*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce” 1947, t. III, s. 112; Edward Kopówka, *Treblinka. Nigdy więcej*, Muzeum Walk i Męczeństwa w Treblince 2002, s. 87. Zob. także: Sebastian Różycki, Marek Michalski, Edward Kopówka, *Obóz pracy Treblinka I. Metodyka integracji danych wieloźródłowych*, Warszawa – Treblinka 2017, s. 16, 20-21.

⁴¹ Edward Kopówka, Paweł Rytel-Andrianik, *Dam im imię na wieki (Iż 56,5). Polacy z okolic Treblinka ratujący Żydów*, Warszawa 2011, s. 35, przyp. 2.

⁴² Z. Łukaszkiewicz, *Obóz pracy...*, „Biuletyn GKBZNwP” 1947, s. 110.

dwudziestu SS-manów oraz około stu strażników, w większości Ukraińców, dobrowolnie wykonujących obowiązki po przeszkoleniu w obozie w Trawnikach na Lubelszczyźnie.⁴³ W gestii komendanta było także prawo decydowania o umieszczeniu w obozie za różne wykroczenia przeciwko prawu niemieckiemu, np. za dostarczanie więźniom paczek.⁴⁴

Theo van Eupen lekko utykał na nogę, mówił szybko, zwracając się do wszystkich, używając słowa „Pan”(Sie) – nawet do więźniów. Chciał w ten sposób podkreślić swoje arystokratyczne niemiecko-holenderskie pochodzenie. Często na terenie obozu przebywała jego żona wraz z dwoma małoletnimi synami. W trakcie tych odwiedzin żona z synami najprawdopodobniej mieszkała w pałacu w Starej Wsi. Choć osobiście nie bił więźniów, to wszyscy bali się go, nawet esesmani z załogi. Gdy był niezadowolony z wykonywanej przez nich „pracy”, kierował ich na front wschodni. Podczas odwiedzin „gości” lubił chwalić się wyhodowanymi na piasku Treblinki kwiatami i znajomością muzyki. Po „znojenj pracy” wypoczywał w swoim ogrodzie, w którym zaaranżował nawet basenik z roślinnością i ptactwem wodnym.⁴⁵

W skład załogi obozu pracy w Treblince wchodził:

- zastępca komendanta *Sturmführer* Karol Gustaw Preif (Fritz Prüfi), ur. 9.09.1899 w Kaiserlauter, nazywany przez więźniów „Dziadek”, „Stary”, „Gołębiarz”.
- adiutant komendanta *SS-Untersturmführer* Lundecke (Lindeke), zw. „Lalka”, znał język polski, jeden z organizatorów „zabaw”.
- dowódca warty *SS-Untersturmführer* Herbert Stumpe (Stumpfe), zw. „Śmiejąca się śmierć”.
- *SS-Untersturmführer* Franz Schwartz (Schwarz), zw. „Kat”, wyróżniał się okrucieństwem, lubił alkohol.
- kierownik warsztatów rzemieślniczych *SS-Unterscharführer* Franz Leopold Lanz.
- zarządzający sprawami gospodarczymi obozu *SS-Unterscharführer* Hagen; szczególnie znę-

cał się nad kobietami, miał dziwnie osadzone oczy oraz amputowane palce stóp po walkach na froncie wschodnim.

- apele przeprowadzał SS-man Dingelman.
- kierownik przyobozowego gospodarstwa rolnego *SS-Rottenführer* Wilhelm Weishar (Weischart); mówił po polsku.
- magazynier i plutonowy wachmanów Emil Guthard, volksdeutsch ze Związku Radzieckiego, podobno cenił go komendant van Eupen; mizerny, znęcał się nad więźniami przy każdej okazji.
- kierowcy *SS-Unterscharführer* Willi Velten i *SS-Rottenführer* Mehbiss (Moebis).
- osobisty kierowca van Eupena Stanisław Cyb(a) (ur. 1921 r. w Ufie) – nosił mundur SS i był uzbrojony w krótką broń, często woził komendanta do Ostrowi Mazowieckiej, gdzie pomieszkiwała jego żona oraz do Warszawy, do komendanta niemieckiej policji.⁴⁶
- odpowiedzialny za żydowską część obozu Hans Heibusch.
- Ohann Röge (Roeger) – w lipcu 1944 r. brał udział w likwidacji obozu, rozstrzeliwał więźniów.

Oprócz nich do załogi należeli: Franz Scholtmann, Scholte, Berisch, Beneinen.⁴⁷ W Biuletynie GKBZHwP Łukaszkiewicz wymienia jeszcze nazwisko Einbuch.⁴⁸

Jedną z drastycznych scen z udziałem van Eupena zapamiętała kobieta z grupy żydowskich rzemieślników o nazwisku Figowa:

Przypominam sobie, gdy pewnego razu było otwarcie kasyna niemieckiego i przy tej okazji wszyscy Niemcy byli pijani. Van Euppen sprawdził wtedy do obozu swoją żonę i dwóch synków w wieku 3 i 4 lat. Jednego z tych chłopców wziął przed siebie na konia i jadąc galopem wjechał rozmyślnie w tłum robotników żydowskich, wracających z pracy. Za van Euppenem wpadli w tłum konno i inni Niemcy, tak, że w rezultacie kilkanaście osób zostało zatratowanych na śmierć. Rannych następnie rozstrzelano w lesie.⁴⁹

⁴³ Na temat załogi obozu w: E. Kopówka, *Treblinka...*, 2002, s. 87-89; Por. S. Różycki, M. Michalski, E. Kopówka, *Obóz pracy...*, s. 20-26.

⁴⁴ Z. Łukaszkiewicz, *Obóz pracy...*, „Biuletyn GKBZNwP” 1947, s. 114-115.

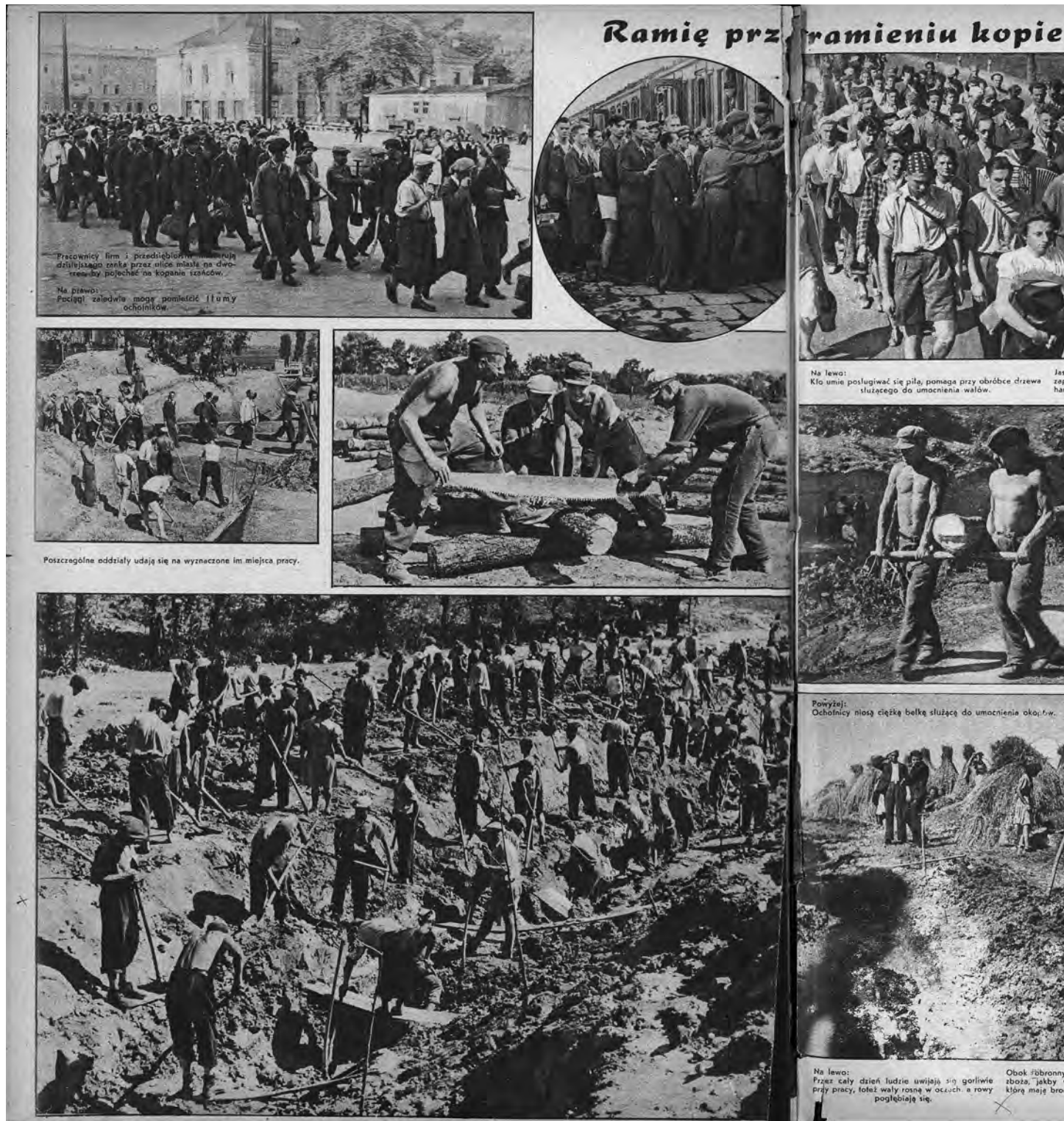
⁴⁵ E. Kopówka, P. Rytel-Andrianik, *Dam im imię...*, s. 42. Zob. też: S. Różycki, M. Michalski, E. Kopówka, *Obóz pracy...*, s. 21.

⁴⁶ S. Różycki, M. Michalski, E. Kopówka, *Obóz pracy...*, s. 24-25, przyp. 17.

⁴⁷ Tamże, s. 20-26.

⁴⁸ Z. Łukaszkiewicz, *Obóz pracy...*, „Biuletyn GKBZNwP” 1947, s. 112.

⁴⁹ Tamże, s. 119. Zob. także: S. Wojtczak, *Karny obóz...*, „Biuletyn GKBZHwP” 1975, s. 129.



Niemiecka propagandowa prasa zachęcała ludność do zgłaszania się do prac fortyfikacyjnych, „Ilustrowany Kurjer Polski” R.5, nr 36 z 3 września 1944 r.

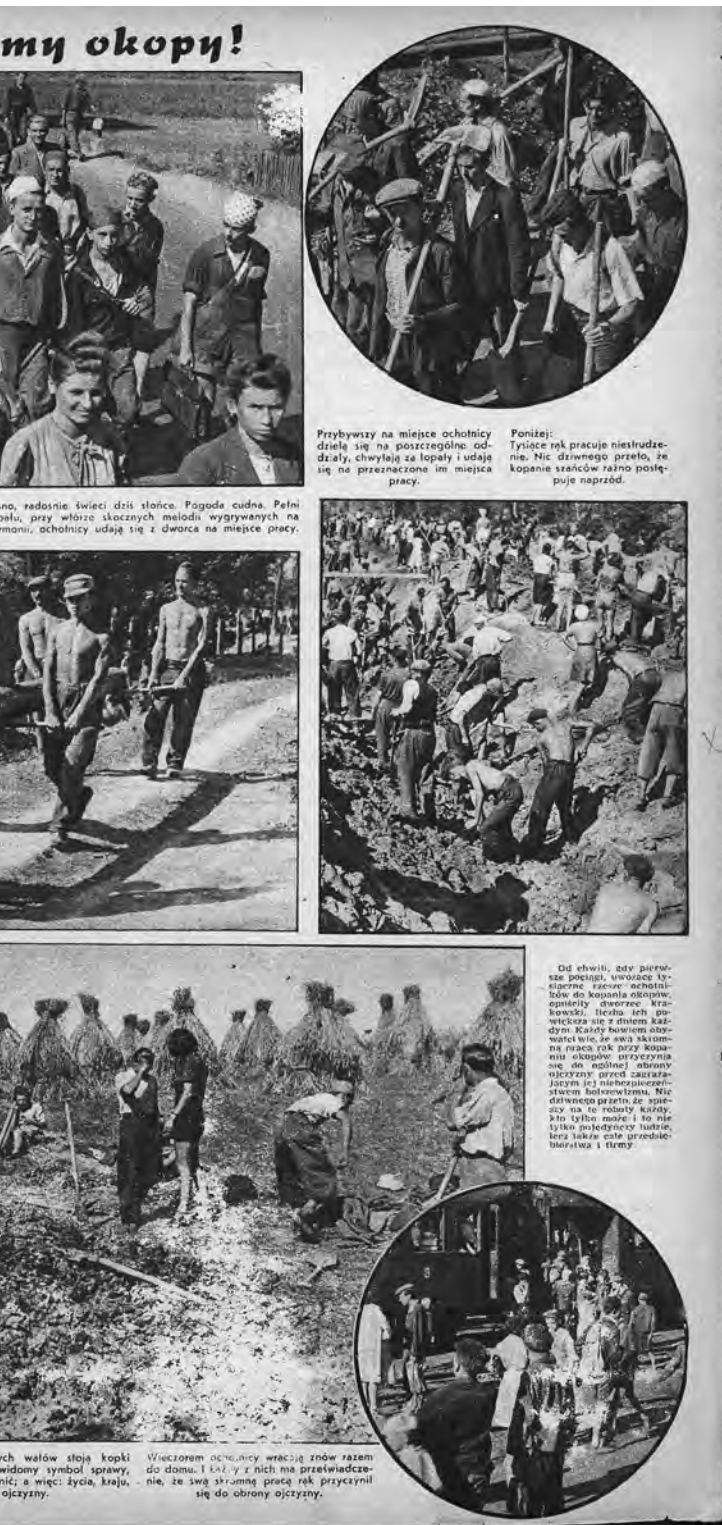
Według zeznań świadka Maksa Lewita w marcu 1942 roku do obozu trafiło kilkudziesięciu (60) nieletnich chłopców. Część z nich została zamordowana po wstępnej selekcji.

Następnych 15 chłopców zamordowano przy pracy lub w innych okolicznościach. W zbrodni tej brali

udział następujący SS-mani: Lanz, Hagen, Lindecke, Strumpf i komendant obozu Theo van Eupen.⁵⁰

Za ucieczkę jednego więźnia skazywano innych dziesięciu pracujących w tej samej grupie. Po uru-

⁵⁰ S. Wojtczak, *Karny obóz...*, „Biuletyn GKBZHWP”, 1975, s. 129.



pracy.⁵¹ Więźniowie podlegali codziennej selekcji i niezdolni do pracy byli rozstrzeliwani. Więźniowie umierali z wycieńczenia, głodu, chorób (m.in. epidemie tyfusu) i tortur.

SS-*Hauptsturmführer* Theo van Eupen prawdopodobnie uczestniczył także w likwidacji getta warszawskiego w styczniu 1943 roku:

W akcji styczniowej dowodzonej bezpośrednio przez SS i Pol. Führera v. Sammerna brały udział oddziały SS-Waffen, Schutzpolizei, Gestapo i kompania ukraińska z obozu śmierci w Treblinkach z komendantem Treblinki Hauptsturmführerem von Eupenem. [...] Niemcy strzelali do wszystkich, setki trupów żydowskich pokryło ulice, Eupen z Treblinki urządził na Umschlagu formalną rzeź. Podczas kontroli domu Franciszkańska 22, gdzie mieściła się firma wywózki śmieci Heiman znaleziono konia z ranami na grzbiecie, „litościwy” SS-mann zastrzelił za umęczenie biednego konia dziesięciu furmanów.⁵²

Obóz Treblinka I został zlikwidowany 23 lipca 1944 roku. Załoga zniszczyła dokumentację, zabrała nagromadzony majątek oraz kilku więźniów fachowców. Więźniów żydowskich i część Polaków rozstrzelano, resztę zwolniono. Zabudowania obozowe zostały spalone.

Po likwidacji obozu van Eupen z załogą przybył do Chrobrza, pow. Pińczów, gdzie rozpoczęto organizację obozów fortyfikacyjnych dla polskiej ludności.⁵³

Wybitny historyk i mediewista profesor Gerard Labuda (1916-2010) w czasie okupacji, od lutego 1940 roku, przebywał w pałacu chroberskim celem zinwentaryzowania zbiorów Wielopolskich. W pałacu znalazł też schronienie profesor Adam Skałkowski (1877-1951) oraz kilka innych rodzin wysiedlonych przez Niemców. 10 czerwca 1940 roku władze okupacyjne aresztowały właścicieli ziemskich, w tym margrabiego Zygmunta Wie-

chomieniu obozu zagłady Treblinka II (koniec lipca 1942 do listopada 1943 r.) kierownictwa obu obozów ściśle ze sobą współpracowały. Van Eupen otrzymywał z transportów do obozu zagłady Treblinka II partię żydowskich robotników do obozu

⁵¹ Z. Łukaszkiwicz, *Obóz pracy...*, „Biuletyn GKBZNWp” 1947, s. 110, 113.

⁵² I. Luber, *Życie i śmierć getta warszawskiego*, Rzym 1945, s. 25-26.

⁵³ S. Różycki, M. Michalski, E. Kopówka, *Obóz pracy...*, s. 50, przyp. 70. Przywołana dokumentacja: IPN, Ds. 12/73, t. 2, *Działalność w Chrobrzu oddziału SS-manów z byłej załogi Treblinki*, k. 19-20, 47, 89-90.

łopolskiego, którego dopiero po wielu zabiegach i wpłaceniu ogromnego haraczu udało się po jedenastu miesiącach uwolnić z obozu koncentracyjnego Oranienburg-Sachsenhausen.⁵⁴ 21 lutego 1941 klucz dóbr chrobberskich został przejęty przez Niemiecki Zarząd Nieruchomości (*Liegenschaftsverwaltung*) w Radomiu, a pałac objął niemiecki zarządca dóbr, *Oberleiter* Paul Rodewald.⁵⁵ Wszyscy mieszkańcy zostali usunięci z pałacu. Pozostał jedynie znający język niemiecki Gerard Labuda, który został tłumaczem, a po dwutygodniowym kursie w Krakowie także księgowym klucza dóbr chrobberskich. Jednocześnie Labuda wykorzystywał warunki pozycji urzędniczej do pracy konspiracyjnej⁵⁶ oraz wynoszenia nocą archiwaliów z biblioteki Wielopolskich w celu dostarczenia ich do opracowania profesorowi Skałkowskiemu.⁵⁷

We wspomnieniach Gerarda Labudy opublikowanych w 2004 roku pisze on, że w 1944 roku pałac Wielopolskich w Chrobrzu, umocniony zasiekami z drutu kolczastego, po wyprowadzeniu się „własowców” stał się miejscem stacjonowania dowództwa Organizacji Todt, a z Buska wrócił zarządca *Oberleiter* Rodewald.

*Niebawem przeniósł się tutaj pluton SS von Eupena z Młodzaw i urządził sobie własny „Stützpunkt w gospodarstwie Edmunda Wojtasika, ciągnąc za sobą kilkanaście osób liczącą obsługę złożoną z żydowskich rzemieślników. [...] Głównym zadaniem tego oddziału SS było nadzorowanie i mobilizowanie do kopania rowów wszystkich zdolnych do pracy mieszkańców wsi nadnidziańskich, włącznie z kobietami i młodzieżą od wczesnych godzin rannych aż do wieczora. SS-mani egzekwowali te czynności z niezwykłą brutalnością, nie cofając się przed strzelaniem do ludzi w domach i na wykopach.*⁵⁸

Prof. Labuda był jedną z osób, które miały bezpośredni kontakt z van Eupenem. Co ciekawe, stwierdził kategorycznie:

*Theo von Eupen był „Vizekomandantem des Vernichtungslagers Treblinka (widziałem na własne oczy jego pieczętkę na pismach kierowanych do biura Zarządu).*⁵⁹

W protokole przesłuchania z 1970 roku podaje, że oddział SS z zastępcą komendanta obozu w Treblince zjawił się w pałacu w Chrobrzu około 15 sierpnia 1944 roku i składał się z około 50 żołnierzy. W Chrobrzu przebywał do października 1944 roku, kiedy to został zastąpiony przez oddział organizacji Todt. *Żołnierze oddziału von Eupena maltretowali ludność polską przez bicie i szczucie psami, zwłaszcza tych, którzy ociągali się przy pracach ziemnych. Nie jest znany mi wypadek, by kogokolwiek zabili.*⁶⁰

Podpisy Theo van Eupena znajdują się na publikowanych dokumentach: „Der kommandant des Zwangsarbeitslagers Treblinka” – „SS-Hauptsturmführer” (podpis nieczytelny).⁶¹

W publikacjach istnieją rozbieżności co do okoliczności śmierci van Eupena. W 1966 roku w gazecie Ludowego Wojska Polskiego „Żołnierz Wolności” ukazał się artykuł pt. „Antolka, Lipówka i bitwa pod Trzonowem” w którym Norbert Michta⁶² opisuje wydarzenia z 11 grudnia 1944 roku. Theo van Eupen miał zginąć na drodze między Pińczowem a Działoszycami w rejonie wsi Lipówka w zasadzce zorganizowanej przez grupę partyzantów radzieckich „Awangarda”. Dowódcą grupy był Wasyl Tichonin. Ostrzelany przez partyzantów samochód zapalił się, a jadący nim Niemcy zaczęli uciekać. Oficer niemiecki usiłował prowadząc ogień z automatu, wyciągnąć dokumenty z teczki i rzucić je w ogień. „Wasył” celnym

bin, *Powstańcze reportaże z Żoliborza*, Warszawa 2004, s. 15.

⁵⁹ Tamże, s. 19, przyp. 7

⁶⁰ IPNKi, Ds.12/73, t. 2, *Działalność w Chrobrzu oddziału SSmanów z bylej załogi Treblinka*, k. 58-59, Protokół przesłuchania świadka Gerarda Labudy z Poznania.

⁶¹ E. Kopówka, P. Rytel-Andrianik, *Dam im imię...*, s. 51 oraz E. Kopówka, *Treblinka...*, s. 94, 96.

⁶² Norbert Michta (1923-2016) w czasie okupacji przebywał w Janowicach (pow. miechowski), członek AL, współdziałał z radzieckim ugrupowaniem „Awangarda”, po wojnie działacz partyjny PPR i PZPR, m.in. w 1945 r. sekretarz PPR w Miechowie, następnie w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Krakowie i Gdańsku; gen. brygady Ludowego Wojska Polskiego. https://pl.wikipedia.org/wiki/Norbert_Michta Dostęp 30.06.2021 r.

⁵⁴ Biogram wojenny margrabiego Zygmunta Wielopolskiego autorstwa Stanisława Piwowarskiego na stronie: http://www.kedyw.info/wiki/Stanis%C5%82aw_Piwowarski,_Zygmunt_hrabia_Wielopolski,_Margrabia_Gonzaga_Myszkowki Dostęp 04.05.2021.

⁵⁵ W. Ważniewski, *Walki partyzanckie...*, s. 20, przyp. 8.

⁵⁶ Członek AK, ps. „Kos”, prowadził nasłuchy radiowe. B.M. Nieczuja-Ostrowski, *Inspektorat AK...*, s. 221.

⁵⁷ Wynikiem tych prac jest studium *Aleksander Wielopolski w świetle archiwów rodzinnych 1803-1877*, tom 1-3, Gdynia 1948-1978. Zob.: Dariusz Łukasiewicz, *Nauka i okupacja. Adam Skałkowski w latach 1939-1945*, „Przegląd Zachodni”, nr 2, 1988, s. 102-107.

⁵⁸ Gerard Labuda, *Tygodnik konspiracyjny Armii Krajowej Ziemi Pińczowskiej (Chroberz: lipiec 1943-styczeń 1945)*, [w:] Jerzy Ku-

strzałem trafił oficera w łokieć prawej ręki. Pozostawiony własnemu losowi, gdyż załoga opuściła swego dowódcę, SS-man postanowił walczyć do końca. Ostrzeliwał się teraz z lewej ręki kryjąc się za płonącym transporterem. [...] To Wasilij Szkunda serią z automatu powalił trupem na miejscu, jak się okazało, SS-Hauptsturmführera Van Eupena, aktywnego uczestnika zamachu faszystowskiego w Niemczech w 1933 r., byłego komendanta obozu śmierci w Treblince. Według niemieckiego meldunku z 12.12.1944 r. zastrzeleni zostali w Lipówce: 1 oficer niemiecki, dwóch podoficerów i 1 żołnierz.

Partyzanci mieli zdobyć podczas tej akcji plany niemieckiego systemu obronnego nad Nidą. Za operację na Van Eupena dowódca oddziału „Awangarda” przedstawił do odznaczenia czterech partyzantów: radzieckich – Szkundę i Astachowa oraz polskich Dąbka i Stefana ze wsi Wały.⁶³ Warto zauważyć, że w artykule jest zdjęcie Wasilija Szkundy.

Inną wersję wydarzeń kilka lat później (1970 r.) przedstawia ten sam autor Norbert Michta w swojej książce pt. „Wspomnienia znad Nidzicy”.⁶⁴

Wasilij Tichonin zauważył, że jednemu z nich udało się uciec w głąb wsi. Nie czekając ani chwili wskoczył na konia, aby dopędzić faszystę. Ten zdążył już wpaść do domu Wincentego Bartosika i ukryć się na strychu. Domownicy nie zamierzali jednak litować się nad hitlerowskim oficerem i nawet pomogli Tichoninowi wejść po drabinie na strych. To Wasilij Tichonin serią z automatu zabił na miejscu, jak się okazało, SS-hauptsturmführera Theo van Eupena, byłego komendanta obozu śmierci w Treblince.

Najcenniejszą jednak zdobycz partyzantów stanowiła mapa operacyjna z naniesioną dyslokacją wojsk niemieckich nad Wisłą. [...] Portfel hauptsturmführera otrzymał na pamiątkę Dowódca okręgu PPR i AL „Wiślica” Franciszek Kucybała – „Stary Franek”.⁶⁵

⁶³ „Żołnierz Wolności”, R. 17, nr 78 z 2-3 kwietnia 1966, s. 3.

⁶⁴ Norbert Michta, *Wspomnienia znad Nidzicy*, Warszawa 1970 s. 252-254.

⁶⁵ Franciszek Kucybała (1908-1968), dowódca okręgu „Wiślica” Armii Ludowej, działacz Polskiej Partii Robotniczej, major rezerwy Wojska Polskiego, w latach 1948-1950 zastępca komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej w Gdańsku, od 1955 r. pracował w Warszawie. Stanisław Głuszek, *Kucybała Franciszek (1908-1968)* [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, t. 16, s. 66.



Lipówka, pozostałości zabudowań gospodarstwa Wincentego Bartosika

Władysław Ważniewski dodaje:

*Wszystkich zabrano na furmankę i zakopano w lesie. Ktoś jednak doniósł o tym Niemcom, którzy odnaleźli grób hitlerowców, przywieźli zwłoki do Lipówki, umyli, włożyli do trumny i powieźli do Pińczowa.*⁶⁶

Stanisław Wyrzycki, wnuk Wincentego Bartosika⁶⁷, zna te wydarzenia z opowieści dziadka. Według tych relacji domownicy nie byli świadomi, że ktoś ukrył się na strychu. Nagle wpadł do domu Rosjanin, krzyząc: Gdzie ukrył się Niemiec?! Zszokowani odpowiedzieli, że nie widzieli żadnego Niemca, na co Rosjanin, grożąc bronią, kazał Wincentemu Bartosikowi wejść na strych, osłaniając się w ten sposób przed ewentualnym ostrzelaniem. Na strychu, pod pamulą leżała wiązka słomy, spod której wystawały buty. Rosjanin serią z karabinu zabił ukrywającego się Niemca, po czym zrzucił jego ciało ze strychu do sieni i pozostawił przerażonym domownikom. Po pewnym czasie partyzanci radzieccy zabrali ciała zabitych Niemców na podwoły, wywieziono je poza wieś

⁶⁶ W. Ważniewski, *Bój o Republikę Pińczowską 1944*, Warszawa 1972, s. 141.

⁶⁷ Wincenty Bartosik (14.07.1895-14.08.1976) uczestnik wojny polsko-bolszewickiej w szeregach 4. Pułku Piechoty Legionów w Kielcach, sołtys wsi Lipówka w czasie niemieckiej okupacji. Urodził się i zmarł we wsi Lipówka, został pochowany na cmentarzu parafialnym w Sancygniewie.



Rachwalec, widok z lotu ptaka. Jezioro obecnie o długości około 140 m, szerokości w najszerszym miejscu około 60 m, w większości zarośnięte. Zdjęcie z 28.02.2021 r. Fot. K. Berkowicz.

i wrzucono do stawu zwanego Rachwalec.⁶⁸ Na drugi dzień, przybyła ekspedycja karna. Niemcy wypędzili ludzi z domów, oddzielili mężczyzn, których ustawili pod bronią maszynową, a po przesłuchaniu wywieźli do obozu fortyfikacyjnego. Odnalezione ciała zabitych w zasadzce Niemcy zabrali w stronę Pińczowa lub Jędrzejowa. W latach 70. XX w. Wasyl Tichonin odwiedził Wincentego Bartosika, by pokazać żonie miejsca związane z działalnością partyzancką.⁶⁹

Według Norberta Michty w konsekwencji po akcji na Niemców:

wybrano 13 osób spośród miejscowej ludności na rozstrzelanie. Udało się jednak hitlerowców przekonać, że napad był dziełem nieznanym ludziom skoczków rosyjskich.⁷⁰ W. Ważniewski na podstawie meldunków i dokumentów niemieckich podaje, że jako za-

kładników zabrali dziewięciu sołtysów z okolicznych wsi, lecz po czterech dniach ich zwolnili.⁷¹

Warto dodać, że wydarzenia we wsi Lipówka z 11 grudnia 1944 roku poprzedziło 9 grudnia zlikwidowanie w Woli Chrobrowskiej przez grupę „Awangarda” 15 żołnierzy nadzorujących ludność polską zapędzoną do budowy rowów przeciwczołgowych. Natomiast 13 grudnia Niemcy rozpoczęły operację *Schneesturm*, która miała na celu zlikwidowanie partyzantów radzieckich przebywających w okolicy lasów sancygniowskich (spacyfikowali wówczas kilka okolicznych wsi, m.in. Trzonów).⁷²

Gerard Labuda, powołujący się na informacje ze źródeł AK, zaznacza, że zna nieco inną wersję śmierci van Eupena niż podawana przez Ważniewskiego:

Uciekali jego ochroniarze, natomiast on sam jako pokurcz (koło 150 cm wzrostu; twarz syfilityka) wlaźł pod samochód i tam został zabity.⁷³

W zeznaniach Gerard Labuda podał też inne miejsce zabicia van Eupena – Dziewięczyce.⁷⁴ Jest to wieś sąsiadująca z Lipówką.

⁶⁸ Nazwa las Zwierzyniec Rachwalec jest umieszczona na rosyjskiej mapie z r. 1872. <https://maps.arcanum.com/en/map/europe-19century-thirdsurvey/?layers=160%2C166&bbox=2254758.5696131997%2C6520737.782094494%2C2278893.5612942437%2C6528878.325606865> Nazwa „Rachwalec” występuje także w 1929 roku jako określenie miejsca położenia gruntu należącego do osady włościańskiej we wsi Węchadłowie, gminy Góry, która to nieruchomość obejmuje 2 morgi ziemi ornej z lasem około 40 sosen. „Obwieszczenia Publiczne: dodatek do Dziennika Urzędowego Ministerstwa Sprawiedliwości”, R. 13, nr 27 z 3 kwietnia 1929 r., Warszawa 1929, s. 25. W 1893 roku jako „Rafalce” atynencja Węchadłowa w: *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, red. B. Chlebowski, t. 13, Warszawa 1893, s. 248.

⁶⁹ Relacja ustna z 23.02.2021 r.

⁷⁰ N. Michta, *Wspomnienia z nad Nidzicy*, Warszawa 1970, s. 253; Tenże, *Z lat walki*, Warszawa 1975, s. 166.

⁷¹ W. Ważniewski, *Walki partyzanckie nad Nidą*, Warszawa 1975, s. 318, przyp. 142.

⁷² Tamże, s. 318-319.

⁷³ G. Labuda, *Tygodnik Konspiracyjny...*, s. 15, przyp. 7.

⁷⁴ Różycki, Michalski, *Kopówka, Obóz pracy...*, s. 21, przyp. 8 (IPN, Ds.12/73, t. 2, *Działalność w Chrobrzu oddziału SSmanów z byleż*

Dalsze opracowanie tematu wymaga kwerend archiwalnych, np. by przeanalizować dokumenty, których skany znajdują się na forum [axishistory.com](https://forum.axishistory.com), a które dotyczą przebiegu służby wojskowej Theo van Eupena (*Dienstlaubahn*), nominacji na *SS-Hauptsturmführera* (*Ernennungsurkunde*; Berlin, 23.10.1941) oraz umorzenia postępowania dyscyplinarnego za zniewagę i nieposłuszeństwo wojskowe ze względu na śmierć Theo van Eupena (Prien, 30.01.1945). W tych dokumentach podane są m.in. data urodzenia (24.04.1907), SS-nr 4528, Personal-Akt nr 5104, decyzja o nominacji na *Hauptsturmführera* z dniem 21.10.1941 roku, a na dwóch dokumentach widnieje informacja o śmierci: na jednym dopisek odręczny – *gefallen 11.12.44*, na drugim – poległ w walce z bandytami 14.12.44, a 18.12.44 został pochowany w Jędrzejowie (*SS-Hstuf. von Eupen am 14.12.1944 im Kampfe mit Banditen gefallen ist. Am 18.12.1944 wurde er in Jędrzejow beigesetzt*).⁷⁵ Daty w drugim dokumencie mogą być wynikiem mylnego odczytania 14 i 18 zamiast 11 i 13 grudnia.

ŚLADY PRZESZŁOŚCI

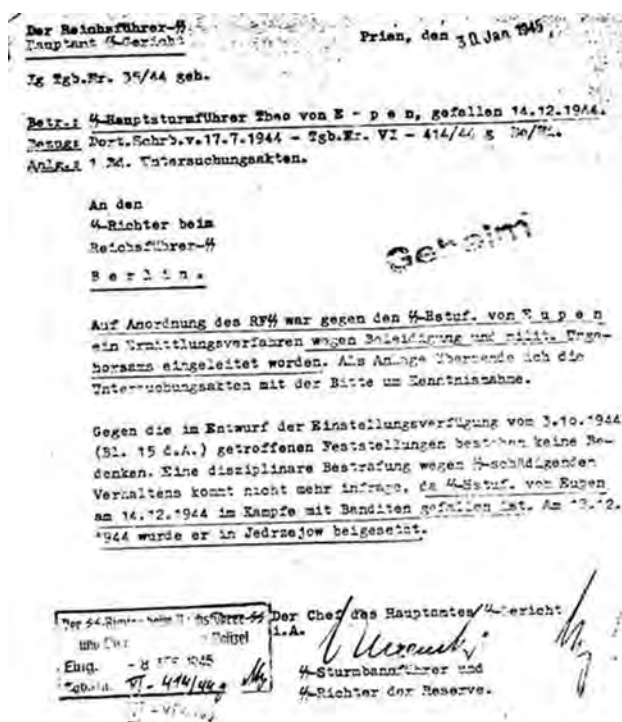
W 2021 r. rowy przeciwpancerne w okolicy Młodzaw wykopane przez przymusowych pracowników nadal są wyraźnie widoczne. Rów w całości znajduje się na terenie zalesionym i ma ok. 6,5 km długości (z kilkoma niewielkimi przerwami). Większa część znajduje się po wschodniej stronie drogi między Młodzawami Dużymi a Skrzypowem. Ściany, które były dość strome, dziś schodzą łagodnie. Głębokość rowu to obecnie około 2-2,5 m, a szerokość w górnej części około 6,5 m. Rów nieregularnie porastają drzewa i krzewy leśne. Według byłego leśniczego leśnictwa Michałów pana Mieczysława Przekopowskiego w niektórych miejscach rów jest lepiej zachowany, a jego ściany mają większe nachylenie.⁷⁶

Obozy niemieckie na ziemiach polskich były jednym z głównych środków polityki okupanta opartej

.....
załogi *Treblinka*, k. 56, Protokół przesłuchania świadka Gerarda Labudy z Poznania).

⁷⁵ <https://forum.axishistory.com/viewtopic.php?f=38&t=81747&p=731921&hilit=theodor+von+eupen#p731921> Dostęp 30.06.2021. Dokumenty zostały pobrane z już nieistniejącej strony <https://motlc.wiesenthal.com> Zob. także: W. Ważniewski, *Walki partyzanckie...*, s. 318, przyp. 142 (m.in. II PA/29a/Ko/br an den SS-Sonderstaab Jędrzejów, 21.XII.1944 r., AGKBZH, 368z/9, k. 738; MiD WIH, mikrofilm, zespół 501, rolka 222, klatka 24).

⁷⁶ Relacja ustna z 2 lutego 2020 roku.



Kopia dokumentu informującego o śmierci i pochówku Theo van Eupena ze strony: <https://forum.axishistory.com/viewtopic.php?f=38&t=81747&p=731921&hilit=theodor+von+eupen#p731921>

na ideologicznym micie o wyższości rasy nordyckiej i Niemców jako panów – *Herrenvolk*. Były również realizacją haseł Himmlera, Greisera i Franka „całkowitego wyćpienia Polaków po przejściowym okresie wykorzystania ich do ostateczności”.⁷⁷ Masowe, administracyjnie zorganizowane angażowanie ludności i liczne łapanki, szczególnie w drugiej połowie 1944 roku, miały na celu nie tylko wykorzystanie Polaków do niewolniczej pracy, ale także zdeorganizowanie zaplecza ruchu oporu. Było to wyjątkowo widoczne na omawianym terenie powiatu pińczowskiego, gdzie pod koniec lipca 1944 roku Polakom udało się stworzyć tzw. Republikę Partyzancką, będącą krótkim oddechem wolności w końcowej fazie niemieckiej okupacji.⁷⁸

⁷⁷ Z. Czyńska, B. Kupść, *Obozy zagłady...*, „Biuletyn GKBZNwP” 1946, s. 26.

⁷⁸ Rzeczpospolita Partyzancka (nazywana Republiką Pińczowską lub Rzeczpospolitą Kazimiersko-Proszowicką) – obszar wyzwolony przejściowo na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku spod okupacji niemieckiej. Obejmował około 1000 km² z miastami: Pińczów, Działoszyce, Skalbmierz, Kazimierza Wielka, Proszowice i Koszyce, dochodząc granicami do Nowego Korczyna. (B. M. Nieczuja-Ostrowski, *Rzeczpospolita Partyzancka*, Warszawa 1991).

Pozostałości po niemieckich szklanych minach przeciwpiechotnych w Paśmie Cisowskim i Orłowińskim

Wędrując przez zalesione tereny Cisowsko-Orłowińskiego Parku Krajobrazowego można niekiedy natknąć się na porozrzucone fragmenty dość grubego, zielonkawego szkła. Z reguły nie budzą one większego zainteresowania, interpretowane mimochodem jako kolejny przykład – ciągle niestety powszechnego – zaśmiecenia naszych lasów. Ot, ktoś potłukł wyrzuconą butelkę lub stoik... Dokładniejsze oględziny większych spośród znalezionych elementów wskazują jednak, iż nie są one pozostałościami typowych szklanych naczyń codziennego użytku, a ich obecność odnieść należy do końcowego okresu II wojny światowej.

W ostatnich dniach lipca 1944 r. w rejonie Baranowa Sandomierskiego radzieckie wojska 1 Frontu Ukraińskiego marsz. Iwana Koniewa zdobyły przyczółek na zachodnim brzegu Wisły, którego obszar w ciągu trwających przez kolejny miesiąc walk został znacznie powiększony. Działania te były zwieńczeniem trwającej od 13 lipca operacji lwowsko-sandomierskiej. Pod koniec sierpnia dowództwo Armii Czerwonej wydało rozkaz nakazujący wstrzymanie dalszej ofensywy i przejście do obrony; potrzebowano czasu na uzupełnienie stanów osobowych oddziałów, dostarczenie nowego sprzętu i amunicji, a także przegrupowanie wojsk. Spodziewając się niemieckiego kontrataku podjęto na ogromną skalę budowę umocnień ziemnych, obejmujących m.in. 1621 km okopów

i rowów łącznikowych (łącznie 3-4 linie obronne, po 3-4 rowy ciągle każda), 11 tysięcy stanowisk ogniowych artylerii oraz kolejnych 10 tysięcy – dla karabinów maszynowych. Pozycje zabezpieczało ponadto 110 km zasieków z drutu kolczastego oraz pola minowe, na których umieszczono ponad 285 tysięcy min przeciwpancernych i przeszło 275 tysięcy min przeciwpiechotnych¹. Tak umocniona linia frontu przebiegała od okolic Zawichostu przez Góry Wysokie, Daromin, Włostów, Modliborzyce, a następnie południowymi stokami Pasma Jeleniowskiego – przez Baćko-

¹ J. Juszczyk, K. Maj, *Ziemia rakowska w latach wojny i okupacji 1939-1945*, [w]: D. Kalina red., *Ociesęki i okolice. Dziedzictwo małych ojczyzn*, Białystok 2018, s. 131-136.

wice, Nieskurzów, Piotrów, gdzie zataczała łuk w kierunku południowym, wiodąc dalej przez Płucki, Bielową, Bardo, Wolę Wąkopną, Dębno, a następnie wzdłuż Czarnej Staszowskiej, przez okolice Kotuszowa i Gacek, wzdłuż rz. Wschodniej, przez rejon Żernik, Stopnicy i Pacanowa do Wiśły pod Szczucinem². W rejon przyczółka skierowano 8 radzieckich armii ogólnowojskowych, 2 armie pancerne, 5 samodzielnych korpusów oraz mniejsze wydzielone jednostki, które w przededniu ofensywy styczniowej liczyły łącznie ponad milion żołnierzy, około 3,5 tysiąca czołgów i dział samobieżnych, 9 tysięcy dział, 7 tysięcy moździerzy, tysiąc wyrzutni raketowych i tyleż dział przeciwlotniczych. Wojska lądowe mogły ponadto liczyć na wsparcie ponad 2,5 tysiąca samolotów³. Niemcy również podjęli budowę umocnień ziemnych; każda z kilku linii obrony składała się z trzech ciągów transzei, system uzupełniały zasieki z drutu kolczastego, pola minowe oraz rowy przeciwczołgowe. Ze względu na ogólną sytuację militarną do obrony liczącego 187 km odcinka frontu w obrębie przyczółka skierowano jedynie 7 dywizji piechoty, 2 dywizje pancerne, dywizję zmechanizowaną i kilka mniejszych jednostek; w skład wymienionych wojsk wchodziło ogółem 150 tysięcy żołnierzy, 474 czołgi i działa samobieżne, około 900 dział, ponad 1200 moździerzy i około 270 samolotów⁴. Pas obrony w okolicach Cisowa zajęła niemiecka 168 Dywizja Piechoty (3 pułki grenadierów, batalion fizylierów, batalion zapasowy, pułk artylerii, oddział przeciwpancerny, a także batalion saperów; razem 9 978 żołnierzy), pułk z 291 Dywizji Piechoty oraz dwa dywizjony artylerii. Po przeciwnej stronie linii frontu znajdowały się oddziały 3 Armii Gwardii (21, 76 i 120 korpus, razem 76 829 żołnierzy)⁵. Radziecka ofensywa rozpoczęła się rankiem 12 stycznia 1945 r. Natarcie ruszyło po niemal dwugodzinnym, potężnym przygotowaniu artyleryjskim, prowadzonym jednocześnie przez niemal 9

tysięcy dział, moździerzy i wyrzutni raketowych. Główny atak skierowano na pozycje 48 Korpusu Pancernego między Pierzchnicą a Stopnicą. Na kierunku tym, współdziałając z 13 Armią i 4 Armią Pancerną, od strony Rakowa prowadziła działania lewoskrzydłowa część 3 Armii Gwardii, podczas gdy jej prawe skrzydło zaatakowało niemiecką obronę w rejonie Pasma Cisowskiego i Orłowińskiego. Trudny, górzysty teren sprzyjał Niemcom. 13 stycznia dwukrotnie podejmowali oni kontrataki z kierunku Orłowin i Makoszyna. Wieczorem tego dnia oddziały radzieckie osiągnęły linię Cisów – Widełki – Sędek. W nocy z 13 na 14 stycznia oddział pancerny skutecznie zaatakował od południa niemiecką pozycję obronną pod przysiółkiem Duży Bór. W ciągu kolejnego dnia główne siły radzieckie przełamały front na linii Nidy. Z rejonu Widełek wojska niemieckie wyparło dopiero 15 stycznia, w wyniku nocnych walk. Oddziały radzieckie dotarły w okolice Lechowa, Makoszyna i Belna, gdzie przeszły do obrony, odpierając czterokrotne kontrataki nieprzyjacielskie na flankę rozciągniętej aż pod Kielce 3 Armii Gwardii⁶. W ciągu kolejnych dni front coraz bardziej oddalał się w kierunku zachodnim. Na polojowiskach zalegały ciała poległych żołnierzy, rozbity sprzęt oraz wiele innych niebezpiecznych pozostałości – także tych ukrytych celowo przez niemieckich saperów ze 168 Dywizji Piechoty...

W powszechnym odbiorze mina lądowa kojarzona jest najczęściej z metalowym przedmiotem o kształcie dysku, a więc typową miną przeciwpancerną (np. niemiecką *Tellermine 42*). Tymczasem, w zależności od przeznaczenia (m.in. przeciwpancerne, przeciwpiechotne, przeciwtransportowe, sygnalizacyjne) i możliwości produkcyjnych, miny miały bardzo różną postać i sposób działania, a ich obudowy wykonywano także z wielu innych materiałów, np. z drewna, betonu, porcelitu, czy szkła⁷. Wspomniane fragmenty, na które można natrafić w okolicach Cisowa, są pozostałościami niemieckich szklanych min przeciwpiechotnych typu *Glasmine 43*.

² Deutsche Heereskarte, Grossblatt Nr 374, Kielce, 1:100 000, XII.1944; Deutsche Heereskarte, Grossblatt Nr 375, Opatów, 1:100 000, XII.1944; Deutsche Heereskarte, Grossblatt Nr 382, Staszów, 1:100 000, XII.1944.

³ N. Bączyk, *Kielce 1945*, Warszawa 2003, s. 35; J. Juszczyk, K. Maj, *Ziemia rakowska... op. cit.*, s. 137.

⁴ N. Bączyk, *Kielce... op. cit.*, s. 24-31; J. Juszczyk, K. Maj, *Ziemia rakowska... op. cit.*, s. 137-138.

⁵ J. Juszczyk, K. Maj, *Ziemia rakowska... op. cit.*, s. 139-140.

⁶ Ibidem, s. 142-148; N. Bączyk, *Kielce... op. cit.*, s. 47-50.

⁷ Zob. *Encyklopedia techniki wojskowej*, wyd. II, Warszawa 1987, s. 380-383.



Fragment płyty naciskowej oraz szklanej pokrywy zabezpieczającej *Glasmine 43* w okolicach Widełek (wiosna 2020 r.).

Mina ze szkła... Już samo zestawienie tych apetywów wydaje się kuriozalne; z jednej strony mamy bowiem wyraz odnoszący się do ukrytego zagrożenia, niebezpiecznego przedmiotu używanego w warunkach wojennych, z drugiej zaś – słowo wskazujące na materiał kruchy, z reguły przezroczysty, bynajmniej nie kojarzący się z zastosowaniem militarnym. Jeżeli dodamy do tego niewykrywalność (lub ograniczoną wykrywalność) przez detektory metalu⁸ oraz trudności ze zlokalizowaniem szklanych odłamków w ciałach rannych żołnierzy na zdjęciach rentgenowskich⁹ nietrudno zrozumieć, dlaczego *Glasmine* zapisała się na kartach dziejów drugiej wojny światowej jako jedna z najbardziej znanych konstrukcji tego typu. Wśród przesłanek przemawiających za podjęciem produkcji wymienić można także jej trwałość¹⁰ (hermetyczność, niepodleganie korozji), braki surowcowe (niedobór metalu) oraz chęć wykorzystania na potrzeby wojenne potencjału cywilnych przedsiębiorstw (hut szkła). Łącznie

⁸ Warto tu przypomnieć, iż pierwszym seryjnie produkowanym wykrywaczem min był *Mine Detektor Polish Mark 1*, którego konstrukcję – opierając się na przedwojennym prototypie autorstwa kpt. inż. Tadeusza Lisickiego z Biura Badań Technicznych Wojsk Łączności – opracował na przełomie 1941 i 1942 r. przebywający w Wielkiej Brytanii por. inż. Józef Kosacki, przy współpracy plut. Andrzeja Garbosia. Wynalazek ten został nieodpłatnie przekazany armii brytyjskiej. Po raz pierwszy na szerszą skalę wykorzystano go podczas drugiej bitwy pod El Alamein (październik – listopad 1942 r.); <http://www.muzeumwp.pl/emwpaedia/wykrywacz-min-typu-polskiego.php> (dostęp: 5 II 2021 r.).

⁹ <http://artsdocuments.blogspot.com/search/label/DALLAPORTA%20Rapha%C3%ABl> (dostęp: 5 II 2021 r.).

¹⁰ O trwałości tej konstrukcji świadczy fakt, iż do dziś na terenie Parku Narodowego Eifel w zachodnich Niemczech znajdują się rozległe pola minowe *Glasmine 43* objęte stałym zakazem wstępu; <https://ermakvagus.com/Europe/Germany/Eifel%20National%20Park/Eifel%20National%20Park.htm> (dostęp: 5 II 2021 r.).



Mina szklana *Glasmine 43* – rekonstrukcja (źródło: <https://www.warrelrics.eu>, dostęp: 31 stycznia 2021 r.).

w latach 1944–1945 wyprodukowano około 11 milionów egzemplarzy *Glasmine*¹¹. Jej konstrukcja była bardzo prosta. Kształt wykonanej z lanego szkła obudowy był w przybliżeniu cylindryczny, węższy w części dolnej (średnica 116 mm), szerszy – w górnej (średnica 156 mm).

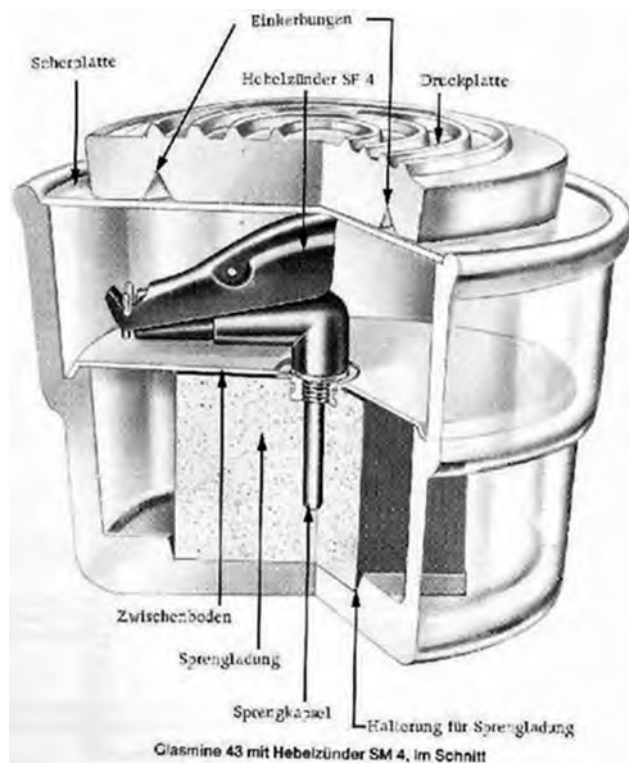
Wysokość korpusu wynosiła 106 mm, grubość ścianek wahała się od 6 do 7 mm. Na dnie znajdowały się 4 występy otaczające prostopadłościenny 200-gramowy ładunek wybuchowy *Sprengkörper 28* z umieszczonym w nim zapalnikiem. Dolną i górną część miny oddzielało przewężenie z wyraźnym wewnętrznym występem, na którym opierał się blaszany krążek stabilizujący wymienione elementy. *Glasmine 43* mogła być zaopatrzona w zapalnik mechaniczny typu *Hebelzünder 44*, bądź zapalniki chemiczne: w obudowie metalowej – typu *Büczzünder*¹² lub całkowicie szklany – *Topfminenzünder 42*¹³; w ostatnim przypadku mina nie posiadała żadnych elementów metalowych (szklany był także krążek stabilizujący), będąc całkowicie niewykrywalną przez detektor *Mark 1*. Górna część miny przykryta była krąż-

¹¹ https://pl.wikipedia.org/wiki/Glasmine_43 (dostęp: 5 II 2021 r.).

¹² Podlegająca zgnieceniu obudowa zapalnika zawierała szklaną ampułkę z kwasem siarkowym, który wchodząc w reakcję z otaczającą go substancją zawierającą naftalen inicjował eksplozję; <http://www.lexpev.nl/fuzesandigniters/germany/bueckzuender.html> (dostęp: 5 II 2021 r.).

¹³ Zapalnik ten składał się z cylindra mieszczącego dwie ampułki zawierające amalgamat płynnego potasu i metalicznego sodu oraz azotan etylu; po ich zgnieceniu przez szklany tłoczek następowała gwałtowna reakcja chemiczna inicjująca eksplozję; <http://www.lexpev.nl/minesandcharges/europe/germany/glasmine43.html> (dostęp: 5 II 2021 r.).

kiem z cienkiego szkła (grubości 1,2 mm); jego połączenie z obudową uszczelniano ciemnym lepikiem, zapewniającym hermetyczność. Całość nakrywała okrągła, masywna płyta naciskowa o średnicy 119 mm i grubości około 16 mm. Na jej dolnej powierzchni znajdowały się dwa równoległe wgłębienia; według różnych wersji były one przeznaczone dla drucianych widełek zabezpieczających minę podczas jej zakładania, lub służyły umieszczeniu cienkich patyczków, na których spoczywała płyta. Górną powierzchnię zaopatrzone w wypukłości w formie koncentrycznych kręgów, służących utrzymaniu na płycie cienkiej warstwy gleby (zapewniającej maskowanie i odpowiednią przyczepność)¹⁴. Znajdowane w okolicach Cisowa szklane fragmenty obudowy odpowiadają powyższemu opisowi, należy jednak pamiętać, iż istniały odmiany *Glasmine* różniące się kształtem wypukłości na dnie korpusu oraz na płycie naciskowej, jak również kolorem tej ostatniej (ciemnym, trudniejszym do zauważenia). Minę wkopywano na głębokość, przy której jej wierzchnia część znajdowała się na poziomie otaczającego gruntu. Po jej nadeptaniu przez żoł-



Przekrój Glasmine 43 (źródło: <https://www.pinterest.co.uk>, dostęp: 2 II 2021 r.).

¹⁴ Na wielu ilustracjach płyta naciskowa przedstawiana jest w pozycji odwróconej.

nierza patyczki łamały się, tafla cienkiego szkła ulegała skruszeniu, a wpadająca do wnętrza obudowy płyta naciskowa uruchamiała zapalnik¹⁵.

Pozostałe po zakończeniu działań wojennych miny jeszcze przez długi czas stanowiły zagrożenie dla okolicznych mieszkańców. Niektórzy z nich, chcąc jak najszybciej oczyścić uprawiane pola, z narażeniem życia podejmowali się ich usuwania. Przypadek taki opisany został z pobliskiego Czyżowa przez znanego regionalistę Jerzego Fijałkowskiego (1932-2011):

Pola były zaminowane. Tutaj znajdowały się niemieckie miny szklane, niewykrywalne z braku dostatecznej masy metalu. Zagrożony teren saperzy otoczyli drutem i powbijali tablice ostrzegawcze. Na polu jednak trzeba było pracować. Sąsiad poszedł orać. Był lekkomyślny. Koń wszedł na minę. Zabiło go, a gospodarzowi urwało nogę. Moja rozmówczyni Jadwiga postanowiła sadzić ziemniaki. Musiała je posadzić. Czekwały w workach, pożyczone od rodziny. Młoda kobieta znalazła przy drodze ponemiecki kabel od telefonu polowego. Ucięła około pięćdziesięciu metrów i poszła z tym powrozem na pole minowe. Tam uklękała i posuwając się ostrożnie na kolanach, obserwowała przed sobą grunt. Gdy zobaczyła wystające z ziemi metalowe wąsiki¹⁶, nakładała na nie pętelkę z kabla i zachowując największą ostrożność, wycofywała się tym samym śladem na długość trzymanego w dłoni przewodu. Potem kładąc się na ziemi pociągała za kabel. Huk był ogłuszający. Wstrząs ziemi uderzał leżącą w piersi jak młotem, a na kobietę leciały z góry grudki ziemi. Wiatr spychał z pola chmurę czarnego gryzącego dymu. W ciągu krótkiego czasu Jadwiga zlikwidowała tyle min, ile jest dni w roku. Pole zostało oczyszczone. Mąż powyrównywał łopatą leje i przystąpiono do orki¹⁷.

Większość min rozbroili jednak saperzy. Pozostałe po tych działaniach elementy miejscowa ludność wykorzystywała do celów gospodarczych. Oddajmy głos J. Fijałkowskiemu:

¹⁵ <https://archive.org/details/CatalogOfEnemyOrdnanceMateriel/page/n91/mode/2up?q=Glasmine> (dostęp: 5 II 2021 r.); <http://www.lexpev.nl/minesandcharges/europe/germany/glasmine43.html> (dostęp: 5 II 2021 r.).

¹⁶ Zapalnik zaopatrzone w tego typu elementy posiadały niemieckie miny przeciwpiechotne *Springmine* SMi-35 i SMi-44; Zob. *Encyklopedia techniki wojskowej*, op. cit., s. 383.

¹⁷ J. Fijałkowski, *Góry Świętokrzyskie nieznanne*, Staszów 1994, s. 98.

Kilka szklanych min znaleziono na przymie w lesie. Były bez zapalników, więc przywiezione zostały furgamką do domu. Na podwórku wydłubano nożem śmiercionośny ładunek i miny wykorzystano do posadzenia w nich kwiatów. Patrzyłem przez szybę. Na parapecie stały grube doniczki z zielonkawego szkła butelkowego. Miały pojemność jednego litra. W środku ziemia i kwitnąca pelargonia¹⁸. W dalszej części autor opisał pierwotną zawartość owych „doniczek”, jaką wyrzucono za stodołę: „W każdym słoju była garść „siekańców” czyli pociętego drobno drutu, „mydełko” trotylu z gwintowanym otworem na sponkę i smołowcowa czy też asfaltowa przykrywka uszczelniająca hermetycznie słoje minowy od góry¹⁹.

Przytoczony fragment świadczy o tym, że właściciel posesji rozmontował także niemiecką minę wyskakującą *Springmine* SMi-35 lub SMi-44, których korpusy – w przeciwieństwie do min szklanych – częściowo wypełniano opisanymi elementami rażącymi²⁰. Warto przy tym zauważyć, iż autor, opierając się na oględzinach przedstawionych mu znalezisk niewłaściwie zinterpretował konstrukcję *Glasmine*, czemu dał wyraz na zamieszczonym w publikacji rysunku²¹. Jedną z wymienionych „doniczek” J. Fijałkowski pozyskał do swojej kolekcji regionalnej²².

Potwierdzeniem wykorzystywania przez okolicznych mieszkańców elementów rozbrojonych min szklanych jest wyrzucona do lasu uszkodzona obudowa, znaleziona niedawno za jednym z gospodarstw w Cisowie, oraz płyta naciskowa, na którą natrafiono na śródleśnym śmietniku w Paśmie Cisowskim. Innym odnotowanym przez J. Fijałkowskiego przykładem pokojowego użycia elementów rozbrojonych min było wyłożenie przez zamieszkałego pod Czyżowem gospodarza błotnistego podwórka niegroźnymi już blaszanymi płytami naciskowymi z niemieckich *Tellermine* 43, które jednak wkrótce zostało „rozminowane” przez saperów²³.

¹⁸ Ibidem.

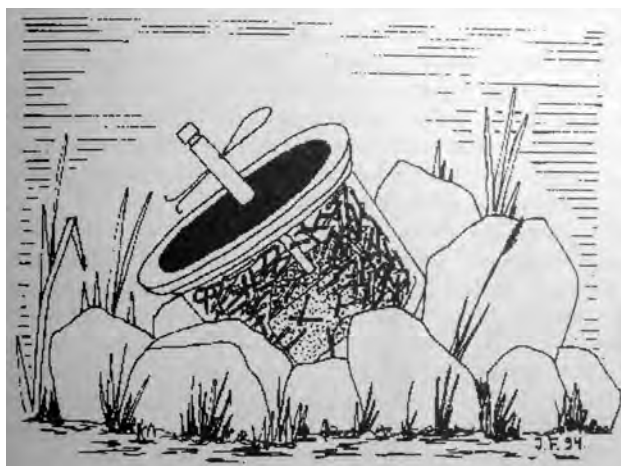
¹⁹ Ibidem, s. 99.

²⁰ Zob. *Encyklopedia techniki wojskowej*, op. cit., s. 383.

²¹ J. Fijałkowski, *Góry Świętokrzyskie.. op. cit.*, s. 97.

²² „Wyprosiłem jeden słoik dla siebie i kwiatek przesadzono do dziurawego garnka. Minę Jadwigi mam dotąd w szafie bibliotecznej i budzi ona zainteresowanie osób oglądających”; Ibidem, s. 99.

²³ Ibidem.



Mina szklana według J. Fijałkowskiego (1994 r.)



Obudowa *Glasmine* używana do celów gospodarczych przez mieszkańców Cisowa, znaleziona na leśnym śmietniku za jednym z gospodarstw (wiosna 2020 r.).



Fragment obudowy szklanej miny na leśnej drodze w okolicach Widełek (wiosna 2020 r.).

Wędrując po lasach okolic Widełek i Cisowa autor niniejszego artykułu fragmenty szklanych min napotykał m.in. w rejonie g. Wysokówki,



Płyta naciskowa Glasmine na śródleśnym śmietniku w Paśmie Cisowskim (wiosna 2019 r.).



Fragment obudowy Glasmine na poboczu przebudowywanej drogi wojewódzkiej nr 764 (Kielce – Staszów) w Łukawie (wiosna 2019 r.).

na drogach leśnych w obniżeniu między Pasmem Orłowińskim a Cisowskim (okolice przysiółka Zarobiny), w Łukawie (pojedynczy odłamek na poboczu przebudowywanej w tym czasie drogi Kielce – Raków) oraz na starotorzu dawnej kolejki wąskotorowej, po południowej stronie przysiółka Mały Bór. Sądząc ze stanu zachowania większość z nich powstała zapewne w wyniku potłuczenia już rozbitych min, jednakże niektóre okazy znalezione na linii dawnej wąskotorówki były charakterystycznie zgniecione pod wpływem eksplozji (biała, nieprzezroczysta struktura szkła).



Fragmenty Glasmine przy starotorzu kolejki wąskotorowej w okolicach Cisowa (wiosna 2018 r.).

Warto przypomnieć, iż w rejonie tym 13 stycznia 1945 r. doszło do jednej z potyczek (patrz powyżej)²⁴. Fragmenty napotkane przez autora w pozostałych miejscach świadczą zapewne o doraźnym minowaniu dróg leśnych podczas walk prowadzonych w dniach od 12 do 15 stycznia 1945 r.²⁵ J. Fijałkowski wspominał także o występowaniu szklanych min na g. Zamczysko koło wsi Koziel²⁶.

Ostatnia eksplozja miny w naszym regionie miała miejsce na Górze Jeleniowskiej latem 1957 r. Śmierć poniosło wówczas dwóch robotników zatrudnionych przy pracach geologicznych. Przybyli na miejsce zdarzenia saperzy znaleźli dwie kolejne miny przeciwpiechotne; z opisu J. Fijałkowskiego wynika, iż prawdopodobnie były to niemieckie betonowe *Stockmine* 43 z zapalnikami odciągowymi²⁷

Fot. autor

²⁴ J. Juszczyk, K. Maj, *Ziemia rakowska... op. cit.*, s. 148.

²⁵ Ibidem, s. 145-147.

²⁶ J. Fijałkowski, *Góry Świętokrzyskie... op. cit.*, s. 95.

²⁷ Ibidem, s. 99; http://www.primeportal.net/armory/yuri_pasholok/stockmine_beton/ (dostęp: 5 II 2021 r.).

Edmund Wierusz-Kowalski – powstaniec z Ojstawic

Marcin Edmund de Schmiden Wierusz-Kowalski urodził się w Bodziejowcach 11 listopada 1839 r. w parafii Irządze, a jego rodzicami byli Kazimierz, piszący się Saccander (Sakander, Zander) de Schmiden Kowalski herbu Wieruszowa, lat pięćdziesiąt dwa, i Antonina z Lohmanów (Lochmanów), lat dwadzieścia dziewięć, którzy w tym czasie dzierżawili majątek Bodziejowice. Kazimierz, ojciec Edmunda, urodził się 25 września 1789 r. w Bzowie, w parafii Kromotów, a jego rodzicami byli Jan Izydor de Schmiden Kowalski i Konstancja z Poniatowskich, którzy wzięli ślub w 1783 r. w parafii Sączów. Antonina Karolina, matka Edmunda, urodziła się w Tuliszwie 27 maja 1810 r., jej rodzicami byli Marcin i Kordela (Kordula) z Zakrzewskich Lohmanowie. Rodzice Edmunda pobrali się w parafii Potok Złoty 26 lutego 1829 r.

Marcin Edmund używał w późniejszym okresie tylko drugiego imienia i podpisywał się jako Edmund Kowalski, a człon Wierusz dodano do nazwiska Kowalski na początku XX w. Miał dziewięcioro rodzeństwa, sześciu braci (jeden z nich zmarł jako małe dziecko) i trzy siostry. W dniu 12 kwietnia 1830 r. w Osieku w parafii Koziegłównki urodził się Józef Jan, jego ojciec Kazimierz Kowalski, mający lat czterdzieści, był w tym czasie ekonomem dóbr Osiek, zaś stryj Adam Kowalski, mający lat czterdzieści pięć, był dziedzicem Tuliszwowa. W dniu 14 października 1831 r. urodził się w Osieku w parafii Koziegłównki Edward Michał Jan, który jako jedyny z braci pełnił później służbę w wojsku carskim, w jej trakcie ożenił się z Rosjanką i osiadł w Petersburgu.



Jedyné zdjęcie Edmunda Wierusza-Kowalskiego zachowane w archiwum rodzinnym, wykonane około 1910 r. w Krakowie. Fotografia udostępniona przez Annę Gruzewską

W roku 1833 rodzina Kowalskich mieszkała w Żeliszławicach, w parafii Siewierz, gdzie Kazimierz Kowalski był rządcą tychże dóbr, a 18 września urodził się Franciszek Konstanty Michał, kiedy Kowalscy mieszkali w Pradłach w parafii Irządze. Kazimierz Kowalski sprawował funkcję ekonoma dóbr Pradła, w tej miejscowości urodził się w dniu 4 sierpnia 1835 r. Dominik Edward Kazimierz, używający w późniejszym okresie imienia Kazimierz, który w 1866 r. wziął ślub w kościele parafialnym w Oksie z Marianną Heleną Rybarską, urodzoną w 1845 r. w tej samej parafii, której rodzice dzierżawili wieś Popowice. Dominik Edward Kazimierz zmarł 19 maja 1914 r. i został pochowany na cmentarzu w Seceminie.

Następnie w Pradłach urodziła się w dniu 23 maja 1837 r. Joanna Bogumiła, która wyszła za mąż 31 maja 1857 r. za Jana Kantego Jankowskiego z Łysin w parafii koniecpolskiej, będącego rządcą dóbr Moskorzew (1850–1857 r.) i Nagłowice (1866). W roku 1839 rodzina Kowalskich mieszkała w Bodziejowicach, który to majątek dzierżawił Kazimierz Kowalski od Michała Stojewskiego. W tychże Bodziejowicach w parafii Irządze najpierw urodził się w 1839 r. Marcin Edmund, o czym wspomniano wyżej, oraz jego dwie siostry: w dniu 14 kwietnia 1843 r. Antonina Marianna Kordula (wyszła za mąż w 1861 r. za Konstantego Augustyna Benjamina Nitschke, dzierżawcę wsi Łgota Gawronna, syna Augustyna i Petronelli z Ordowskich – akt małżeń-

stwa nr 11 z 1861 w parafii Dzierzgów), a 15 maja 1845 r. Zofia Antonina (wyszła za mąż w 1868 r. za Stefana Jankowskiego, syna Jana Kantego i Katarzyny Rogoskiej – akt ślubu nr 16 z 1868 w parafii Dzierzgów; w parafii Krzcięcice urodziły im się dzieci: w 1877 Zofia Ewa, a w 1879 Feliks Jan).

Niedługo po urodzeniu Zofii, w drugiej połowie 1845 r. rodzina Kowalskich przeniosła się do majątku Ojsławice w parafii Dzierzgów, gdzie w dniu 6 maja 1848 r. urodził się Stanisław Ludwik. Jako ostatni z rodzeństwa Wierusz-Kowalskich urodził się w Ojsławicach 15 maja 1850 r. Jan Nepomucen Antoni, który w 1876 r. ożenił się w parafii Piotrkowice Wodzisławskie z Izabelą Szuwalską.

Jak wcześniej wspomniano, opisując rodzeństwo Edmunda, jego ojciec Kazimierz był ekonomem w majątku w Osieku, później rządcą w Żeliszławicach, ekonomem w Pradłach, następnie dzierżawił Bodziejowice, by w końcu kupić majątek Ojsławice w dniu 11 czerwca 1845 r. za sumę 60 000 złp od Leopolda Kłodnickiego. Ta gałąź rodziny Wierusz-Kowalskich osiadła w Ojsławicach na równe 100 lat, gdyż przestali być właścicielami majątku w 1945 r.

Na wykazie Dyrekcji Ubezpieczeń w 1848 r. jako właściciel Ojsławic figuruje Kazimierz Kowalski. W latach 1856–1860 r. jako właściciela wpisywano: *sukcesorowie Kazimierza Kowalskiego*. Na wykazie



Małżonkowie Dominik Edward Kazimierz i Helena Marianna z Rybarskich Wierusz-Kowalscy (brat i bratowa Edmunda Wierusza-Kowalskiego, zdjęcia udostępnione przez Rafała Wierusz-Kowalskiego). Tablica grobowa Dominika Edwarda Kazimierza de Schmiden Wierusza-Kowalskiego umieszczona w kościele w Seceminie oraz grobowiec rodziny Kowalskich na cmentarzu w Seceminie. Fot. A. Malicki



Nagrobki rodziców Marcina Edmunda Wierusza-Kowalskiego na cmentarzu w Dzierzgowie: Kazimierza (zmarłego 24 marca 1854 r.) i Antoniny z Lohmanów (zmarłej 10 września 1883 r.). Fot. A. Malicki

budynków dworskich są wymienione: dwór, dwie owczarnie, stodoła, dom z oborami, chlew, kuźnia, stodoła, obora, szopa na młocarnię, szopa na maneż.

Po śmierci Kazimierza Kowalskiego, zaszłej 24 marca 1854 r., majątkiem gospodarowała owdowiała Antonina z pomocą dzieci. W dniu 19 czerwca 1866 r. majątek ojślawicki został zlicytowany ze względu na zaległości w Towarzystwie Ziemskim Kredytowym, ale udało się go wykupić Antoninie z Lohmanów Kowalskiej za sumę 15 000 Rs.

Edmund Kowalski w 1862 r., po skończeniu Wyższej Szkoły Realnej w Kielcach, wyjechał do Warszawy i zatrzymał się u brata stryjecznego Feliksa (ur. w 1830 w Drochlinie, syn Wojciecha Stanisława i Julianny ze Skublewskich; żonaty z Lubiną Rylską; zm. 12 listopada 1878 r. w Rogowie w parafii Jeżów). Feliks był bardzo aktywnym działaczem ruchu narodowego, naczelnikiem policji narodowej w Warszawie i dzięki któremu Edmund poznał członków organizacji niepodległościowych. W mieszkaniu Feliksa odbywały się spotkania Komitetu Centralnego Narodowego oraz prowa-

dzono tajną drukarnię. Ten krótki okres pobytu Edmunda w Warszawie, w czasie którego widział m.in. egzekucje wykonywane przez władze carskie na polskich patriotach, miał duży wpływ na jego dalsze postępowanie, gdyż wstąpił do organizacji niepodległościowej i został zaprzysiężony „na wierność Ojczyźnie”. W grudniu 1862 r. Feliks został aresztowany a Edmund opuścił Warszawę i wrócił do Ojślawic. Proces Feliksa zakończył się w lipcu 1863 r. i na mocy wyroku skazano go na osiedlenie w Kuźniecku w guberni tomskiej.

Po wybuchu powstania w styczniu 1863 r. Edmund początkowo był sceptycznie nastawiony do walki, o czym pisał w brudnopisie swoich wspomnień, przytaczając klęskę Kurowskiego w Miechowie, brak wykorzystania sukcesów Langiewicza i słabe zaopatrzenie w broń oddziałów powstańczych. Na początku maja wyruszył jednak z domu i przyłączył się do oddziału Kazimierza Błaszczyńskiego ps. Bończa (Kazimierz Konrad Błaszczyński ps. Bogdan Bończa vel Konrad Tomaszewski), będąc postawnym mężczyzną (miał około 190 cm wzrostu) i mając skończone 23 lata.

Po śmierci Bończy w potyczce w Górach Pińczowskich, kawaleria została włączona do oddziału Antoniego Pacyny ps. Zaborowski, w którym Edmund walczył pod Przedborzem 27 czerwca 1863 r., wspólnie ze zgrupowaniem Józefa Oksińskiego. Po rozwiązaniu oddziału wrócił do domu, lecz po kilku tygodniach wstąpił do kawalerii w oddziale Zygmunta Chmieleńskiego. Przeszedł szlak bojowy kawalerii Chmieleńskiego walcząc w Oksie (20 października), Strojnowie (4 listopada), Drugni (24 listopada), Ocieskach (28 listopada), Sprowie (4 grudnia) i Bodzechowie (16 grudnia). Oddziały Chmieleńskiego dwukrotnie w krótkim odstępie czasu stoczyły potyczki w okolicach Strojnowa i Drugni. Pierwsza wygrana bitwa miała miejsce 4 listopada, a sam Edmund jej przebieg opisał następująco:

Przyszlismy do Drugni w Stopnickiem, tam zastalismy oddzial kawalerii przeszlo 100 koni, pod czym dowodztwem zapomnialem. Tam po raz pierwszy poznalismy dowodcę wojewodztwa krakowskiego hr. Haukego pod nazwiskiem przybranym Bosak. Tam dowiedzial się Chmieleński, że dwa szwadrony dragonów ze Staszowa stoją o kilka wiorst w Strojnowie. Tu Chmieleński obmyślił urządzić zasadzkę na owych dragonów. Wybrawszy stu ludzi z oddziału piechoty, odważnych i dobrze strzelających, umieścił ich przy drodze w gęstym zagajniku, a sam z Bosakiem i kawalerią pomaszerował ku Strojnowu 87. Po wymianie ognia naszej awangardy z pikietą moskiewską w jednej chwili ujrzelismy wysuwający się cały oddział dragonów rozsypujących się na polu w tyralierę, co też i Chmieleński uczynił, prowadząc tyralierski ogień, cofając się do punktu strzałów ukrytej naszej piechoty. Patrzyliśmy na spadanie z koni dragonów, którym nasza piechota nabiegła tyły. To widocznie spowodowało u Moskali, że urządzili szarżę na naszą kawalerię, która im się nie powiodła, straciwszy około 40 ludzi, w rozsypce i nieładzie z pola bitwy uciekli. Mnie przy szarży dragon ciął konia w szyję, chcąc mi cugle przeciąć, aby przez to obezwładnić koniem moje ruchy, lecz mu się nie udało, przeciął mi średni palec u lewej ręki, a on za to przyplacił życiem od wystrzału z rewolweru. Zabrałem po nim konia z całym rynsztunkiem, z małym kociołkiem na krupy i sztuczerem. Koń zdobyty służył mi do końca mej partyzantki, tj. do 23 stycznia 1864 r. Z koniem

z początku miałem wiele kłopotu, bo na trąbkę komendy moskiewskiej rwał się w stronę głosu.

Drugie starcie miało miejsce 24 listopada i zakończyło się klęską powstańców:

Wtenczas to nastaly listopadowe deszcze. Przemoknieci do nitki przyszlismy na noc do Drugni. Tam dowiedzieliśmy się, że szwadron dragonów nocuje w Strojnowie. Rankiem dali znać Rzepeckiemu, że dragoni mają iść do Drugni. Rzepecki nie bardzo się spieszył z opuszczeniem noclegu. Któż mógł przypuszczać, że nam grozi niebezpieczeństwo spotkania z dragonami, bo nas było 80 koni. Kiedyśmy wsiadali na koń, ujrzelismy z drugiej strony parkanu jadących dragonów. Z podwórza klusem wyjechaliśmy na pole i tam Rzepecki tuż pod lasem rozsypać się kazał w tyralieri i dać ognia do pędzących na nas dragonów, nasze karabiny ognia nie dały z powodu namoknięcia wilgocią prochu na brantkach, co zrozumiawszy, dragoni zaczęli nas gonić, uciekających po wyciętym lesie i polach. W tej ucieczce dostałem cięcie w głowę, lecz że miałem czapkę futrzaną, więc tylko skórę mi dragon przeciął. W tej ucieczce Rzepeckiemu koń ustał i wpakował się w kępę tarek rosnących na polu, 2-óch dragonów gonilo za nim. Rzepecki zaczął wołać ratunku, ja i Aleksander Mazaraki zawróciliśmy się ku Rzepeckiemu, dragoni zrobili odwrót ku swoim cofającym się. My Rzepeckiego z tarek wydobyli. Rozproszonych dragoni gonili nas dwie mile i tak jak kuropatwy rozbite przez myśliwego, tak i my zbieraliśmy się przez dwa dni w Szczecnie, gdzie odliczyło się nas zaledwie 60. Takich to nieraz smarkacze powstańcy mieli dowódców. W tej to ucieczce wielu z naszych pogubiło sztucery, rewolwery, a konie zniszczone.

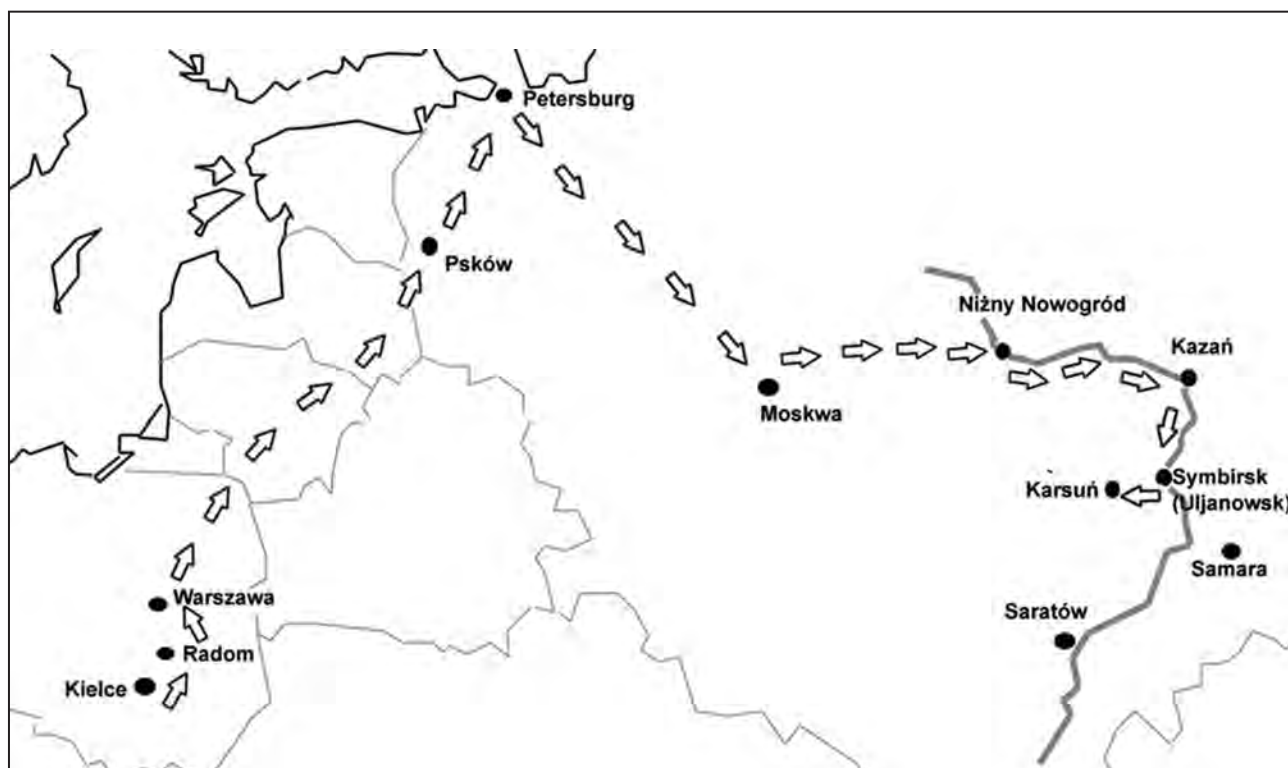
W bitwie pod Bodzechowem, jaka odbyła się 16 grudnia 1863 r. został ranny i dostał się do niewoli pułkownik Chmieleński (rozstrzelany później w Radomiu) a powstańcy ponieśli klęskę. Generał Hauke-Bosak zarządził reorganizację wojsk powstańczych, które podzielono na dywizje i pułki. Edmund znalazł się w Szwadronie Kieleckim dowodzonym przez Napoleona Zygmunta Rzewuskiego ps. Krzywda, wchodzącym w skład Pułku Kieleckiego im. Chmieleńskiego w Dywizji Krakowskiej. Podczas wyjazdu po broń dla powstańców został zatrzymany przez żołnierzy rosyjskich w Rudzie Zajązkowskiej 23 stycznia 1864 r.

Oddziałem carskim dowodził major Barbarow, stacjonujący w Jędrzejowie, gdzie też Edmund trafił do aresztu. Po zatrzymaniu w Rudzie otrzymał 100 nahajek i przeżył dzięki staraniu państwa Komornickich z Zakrzowa, gdzie zatrzymał się oddział Barbarowa w drodze do Jędrzejowa. Po dwóch tygodniach został przewieziony do więzienia w Kielcach, skąd próbowała wykupić go matka za pośrednictwem kupca Einsenberga (zwanego Kaczką) z Chęcina, ale został rozpoznany w trakcie śledztwa przez osadzonego w więzieniu Teodora Belardiego, byłego oficera wojsk powstańczych, który próbując ratować się przed karą śmierci wydawał współtowarzyszy. W połowie marca wraz z dużą grupą więźniów został pod eskortą przeniesiony do więzienia w Radomiu, a następnie trafił do Pawilonu X w Cytadeli w Warszawie. Na mocy wyroku sądowego został zesłany na zamieszkanie w głębi Rosji, trafił do powiatowego miasteczka Korsunia (Karsunia) w guberni symbirskiej (obecnie obwód uljanowski). Trasa zesłania prowadziła przez Psków, Petersburg, Moskwę, Niżny Nowogród i Kazań, gdzie następował podział na tych zesłanych na Sybir i tych, którzy mieli osiąść w bliższych guberniach, do transportu wykorzystywano kolej oraz statki, które pływały po Wołdze i Kamie. Z Kazania drogą wodną Edmund trafił do Simbirsk (obecnie

Uljanowski), a następnie drogą lądową do Korsunia (Karsunia). Wtedy też zachorował na tyfus, ostatni tydzień drogi jechał na wozie nieprzytomny. Bliski śmierci trafił do szpitala, w którym leżał kilkanaście dni, tam też okradziono go z całego dobytku i została mu jedynie bielizna, jaką miał na sobie. O propagandzie carskiej wśród własnych obywateli niech świadczą pytania, z jakimi Edmund spotkał się podczas pobytu w Korsuniu:

Kiedy przyjechał oficer żandarmski z Simbirsk i zwiedzał szpital, przyszedł do mnie, siadł na łóżku i zaczął mi się wypytwać, czy byłem w powstaniu, czy to prawda, że powstańcy żołnierzom ruskim uszy obrzynają, oczy wydłubują wziętym do niewoli, zapewnilem go, że Polacy są cywilizowanym narodem i podobnych rzeczy nigdy się nie dopuścili. Lecz przeciwnie, żołnierze ruscy zabitych Polaków obdzierają, rannych dokłuwają bagnietami. Na co odpowiedział mi: Wierzę panu, bo to straszna dzicz poszła do Polski w 1863 r.

Edmund był pierwszym Polakiem, jaki trafił do tej miejscowości, stąd na początku traktowano go z dużą nieufnością, lecz z czasem zyskał przychyłność mieszkańców Korsunia. Po opuszczeniu szpitala otrzymał



Trasa zesłania Edmunda Kowalskiego z Kielce do Karsunia licząca ponad 3000 km, które przebył pieszo, na wozie, koleją i statkiem. Oprac. A. Malicki

samodzielną kwaterę i znalazł zatrudnienie u miejscowego księgowego, pilnując budowę jego domu i nadzorując pracę szynkarzy w dwóch karczmach. Do Korsunia wkrótce przybyli inni polscy zesłańcy, m.in.: Aleksander Trylski, urzędnik izby obrachunkowej z Warszawy, Teofil Tajchert, aptekarz z Łęczycy, Stanisław Madalański, właściciel majątku Brzoza pod Wieluniem i Władysław Niemirycz, były oficer powstania listopadowego z Radomia.

Był tu także doktor z Pińska mińskiej guberni z dwoma córkami Pinkiewicz, stary człowiek bez żadnych funduszków, praktyki nie dozwolono mu, a 19 kop. dziennie, jakiesmy wszyscy tam pobierali, nie było mowy, aby mu na utrzymanie wystarczyć mogło. Córki, nie mając matki ani rodziny, same dobrowolnie ze starym ojcem wyjechały na wygnanie, obiecując im w Mińsku gubernator, że będą mogły gdzie na wsi lub w mieście przyjąć obowiązki nauczycielek, a kiedy przyjechały, tu wzięli ich pod dozór policyjny i nie wolno było im uczyć nikogo. Było nas tu z Królestwa sześciu, Litwinów siedmiu i jeden z Galicji. Galicjanin i jeden z łomżeńskiej guberni byli na prawach aresztanckich, nie byli brani do żadnych publicznych robót, pobierali po dwie kopiejki, tj. na dwa funty chleba razowego, bo tu funt kosztował kopiejkę. My zaś brali 15 kop. na życie i 4 kop. na kwaterę dziennie. Obaj więc utrzymywani byli przez nas, z Królestwa.

Wielokrotnie przez Korsuń przechodziły transporty zesłańców na Sybir, które Edmund opisał następująco: *Przez Korsuń przechodziła droga etapowa z Kijowa na Sibir. Toteż w tydzień widzieliśmy partie Wołyniaków i Podolaków pędzonych w katorgi, okutych w kajdany na obie nogi, a łańcuchem od tych przepasanym w pasie. Oprócz kajdan na nogach byli jeszcze okuci na rękach parami, tj. jeden miał na prawej ręce, a drugi na lewej ręce złączone łańcuszkami, nadto przechodził długi łańcuch od pierwszej pary do drugiej, tym sposobem szli tak okuci czwórkami, pierwsza para naprzód, druga w tyle. Widzieliśmy kilku obywateli ziemskich, których własni chłopci mordowali, bili, wieszali i w końcu mało żyjących odstawiali do Kijowa, oddając w ręce Moskali, majątki konfiskowali i na Sibir na osiedlenie z całą rodziną wysyłali, pozwalając im z całego majątku wziąć konia z kibitką i na tej jechać etapem*



Kwaterna grobowa rodziny Wieruszów-Kowalskich na cmentarzu w Dzierzgowie z wysokim obeliskiem Edmunda Wierusz-Kowalskiego (dziedzica Ojstawic, zmarłego 10 kwietnia 1913 r.) oraz płytami grobowymi członków jego rodziny: Leokadii z Kozłowskich (żony, zmarłej 5 kwietnia 1933 r.), Zofii (wnuczki, zmarłej 31 października 1925 r.) Ignacego (syna, zmarłego 3 sierpnia 1937 r.) i Karoliny (córki, zmarłej 31 maja 1966 r.). Fot. A. Malicki

na Sibir. Dziś jeszcze pamiętam takiego żołnierza z kijowskiej guberni, Morzyckiego, który z żoną i trojgiem dzieci tak jechał do tomskiej guberni. Serce się krajało, patrząc na tę młodzież w kajdanach skutą. Jaki to lud doborowy wzrostem i siłą ducha patriotycznego, jaka była w tych ludziach silna wola zgodzenia się z tak przykrym losem w siermięgach aresztanckich po śniegu do półtora łokcia brnąć wśród mrozu 30°, z obliczem uśmiechniętym pragnącym jak najprędzej dobić do miejsca przeznaczenia, po większej części skazanych do nerczyńskich 136 kopalni lub do aresztanckich rot nad jezioro Bajkał.

Z okresu pobytu Edmunda na zesłaniu w Korsuniu zachowały się trzy listy pisane do niego przez jego brata stryjecznego Feliksa, który od sierpnia 1863 r. przebywał na zesłaniu w Kuźniecku, leżącym w głębi Rosji, oddalonym od Korsunia o ponad 3000 km. Edmund z zesłania wyniósł przekonanie, że *naród*

rosyjski to dobrzy ludzie, tylko te czynownicy, ci carscy słudzy to dranie bez sumienia i lud w Rosji bardzo cierpi. Podobnie o miejscowej ludności na Syberii pisał w jednym z listów Feliks do Edmunda:

Nasze położenie w Syberyi nie jest tak straszne, jak sobie wyobrażasz, a nawet jeżeli zastanowić się, to powiem, że lepsze jak Wasze. Lepsze dlatego, że żyjemy wśród ludu bardzo sympatycznego, wesołego, uczynnego, nieznającego nienawiści nacjonalnej i religijnej. Znam wprawdzie tylko dwa miasteczka i część okolicznej ludności, ale wzbudzili we mnie mieszkańcy miłość i poszanowanie ku sobie. Szanuję tutejszą społeczność za to, że nie ma pomiędzy nimi próżniaków, tak jak np. u nas cały stan właścicieli ziemskich, tu każdy zajmuje się pracą mniej albo więcej produkcyjną, bardziej albo mniej ciężką, ale zawsze pracuje. Kapitałiści nawet tutejsi nie mają miny polskich, rentierów żyjących jak indyjscy Nababi. Syberyak żadną pracą i pracującym nie gardzi. Syberyak, jak każdy niepodniesiony do wysokiego wykształcenia człowiek, kłania się kapitałiście, ale tylko wtenczas, gdy obliczy, że może od niego coś zyskać, inaczej ani kiwnie mu głową. Wielką cnotą także jest Syberyaków, że szanują wyższość umysłową, przymiot rzadki u pospólstwa, u plebiszytu. W Syberyi przeżyć można, ale trzeba wziąć się do fizycznej pracy, bo o inne, dla braku życia manufakturowego i przemysłowego, bardzo trudno. Nasi ziemianie,

co się nie lenili i poszli do cieśli, biorą miesięcznie po 6 rubli i życie, co poszli na parobków, biorą po 3 i po 4 ruble miesięcznie i życie. Trudno, ale trudność największa, że nam się nie chce pracować, że wolelibyśmy jakieś pisarstwo, jakieś służalstwo, jak ciężką, ale dającą nam niezależność pracę. Od miesiąca blisko krzątam się około własnego zakładu, już dzięki Bogu i poczciwym Syberiakom uszyłem kilka par trzewików i zarobiłem około 5 rubli, jak jestem rad z siebie, jakie mam wewnętrzne zadowolenie, nie umiem Ci opisać. Czasami jeszcze odzywa się we mnie owo niegodziwe szlacheckie wychowanie i wstyd mnie iść za robotą, albo odnosić takową, to wtenczas stoję przed zwierciadłem, pluję sobie w oczy i mówię jesteś Kiepi, i idę z odwagą.

Dzięki staraniom swojej matki oraz w wyniku ogłoszonej amnestii Edmund Kowalski w 1869 r. powrócił z zesłania, by 2 lutego 1876 r. poślubić Leokadię Katarzynę Salomeę z Kozłowskich, córkę Kacpra (byłego rachmistrza rządu gubernialnego radomskiego) i Julii z Makólskich. W Ojstawicach urodziło im się sześcioro dzieci, jako pierwsza urodziła się 1 maja 1877 r. Jakobina Zofia, która w 1896 r. wyszła za mąż za Jana Zarańskiego. Następnie urodził się 30 czerwca 1878 r. Ignacy Ludomir, który ożenił się z Zofią Julią Linowską, córką właścicieli Jaronowic (Ignacy zmarł 3 sierpnia 1937 r. w Krakowie i został pochowany obok swoich rodziców



Dzieci Edmunda Wierusz-Kowalskiego i Leokadii z Kozłowskich: Zofia na obrazie Teodora Axentowicza, Ignacy Ludomir, Karolina i Maria Antonina. Zdjęcia udostępnione przez Annę Gruzewską

na cmentarzu w Dzierzgowie). Po nim urodził się Feliks w 1882 r., ale zmarł w wieku trzech lat. Jako kolejna urodziła się 23 grudnia 1884 r. Karolina Wiktoria Janina, u której w Krakowie pod koniec swojego życia mieszkał Edmund, Karolina zmarła 31 maja 1966 r. i została pochowana w Dzierzgowie przy grobach rodziców. W dniu 7 sierpnia 1887 r. urodziła się Marianna (Maria) Antonina, która w 1916 r. wyszła za mąż za Karola Ruszczyńskiego, zmarła 26 lipca 1978 r. w Poznaniu, a została pochowana w Wilanowie. Jako ostatni urodził się 21 marca 1889 r. Feliks Tadeusz, który zmarł 5 marca 1899 r., w wieku 10 lat i został pochowany w Dzierzgowie.

Edmund Kowalski w dniu 18 czerwca 1880 r., po wyjeździe pozostałych braci z Ojsławic, został formalnie dziedzicem majątku. Swojej matce wybudował w pobliżu starego drewnianego dworu czteropokojowy dom, zwany dworkiem. Antonina z Lohmanów Kowalska zmarła 10 września 1883 r., doczekawszy

się wnucząt. W 1893 r. stary dwór został rozebrany, a na jego miejscu postawiono ośmiopokojowy dwór murowany z ładnymi wykuszami od strony ogrodu, ukończony w 1894 r., w tym czasie rodzina mieszkała w oficynie.

Edmund nigdy nie zaprosił do domu żadnego urzędnika carskiego czy któregoś z wojskowych, jacy czasami przyjeżdżali do Ojsławic, zawsze przyjmował ich na ganku, aby obecność osób symbolizujących ucisk carski i cierpienia, jakich zaznał, nie zakłócały spokoju jego domu.

W dniu 28 czerwca 1908 r. nowym właścicielem Ojsławic został Ignacy Ludomir Kowalski, syn Edmunda, który przejął majątek spłacając zaległości wynoszące 37 000 Rs., Edmund zaś wraz z żoną Leokadią i córką Marią przeprowadził się do Krakowa, gdzie mieszkała już Karolina. W akcie sprzedaży Edmund zastrzegł sobie *do wyłącznego użytku swój pokój we dworze ojsławickim z prawem spędzania*



Na schodach dworu w Ojsławicach w 1933 r. po pogrzebie Leokadii z Kozłowskich Wierusz-Kowalskiej, żony Edmunda Wierusza-Kowalskiego. W górnym rzędzie od lewej: Zofia po mężu Zarańska (córka), Ignacy (syn), Zofia z Linowskich (synowa), Karol Ruszczyński (zięć, zamordowany w Katyniu w 1940 r.), Karolina (córka), Maria Antonina po mężu Ruszczyńska (córka), w dolnym rzędzie od lewej: Józef Ruszczyński (wnuk, zginął w powstaniu warszawskim w 1944 r.), Jan Zarański (wnuk), Elżbieta po mężu Socharska (wnuczka), Krystyna Ruszczyńska (wnuczka), Maria po pierwszym mężu Grużewska, po drugim Mniszek-Tchorznicka (wnuczka). Zdjęcie z prywatnego archiwum rodziny Ruszczyńskich



Okładki opublikowanych wspomnień Marii z Kowalskich Ruszczyńskiej i Edmunda Wierusza-Kowalskiego

w Ojślawicach tyle czasu w okresie wiosenno-letnim, ile będzie chciał.

Edmund Kowalski zmarł 10 kwietnia 1913 r. w Krakowie i został pochowany na cmentarzu w Dzierzgowie. We wspomnieniach jego córki Marii zachował się opis przewożenia zwłok Edmunda z Krakowa do Dzierzgowia:

Zawiadomiony telegraficznie brat mój, Ignas, przyjechał z Ojślawic, by zająć się licznymi formalnościami związanymi z przewiezieniem zwłok Ojca przez granicę dzielącą Kraków od zaboru rosyjskiego, gdzie leżał Dzierzgow. Musiały być trzy trumny, jedna z wyciętą szybą, by władze graniczne widzieć mogły twarz zmarłego, druga właściwa, a trzecia blaszana dla zabezpieczenia od ewentualnych zarazków. Ojciec spoczywał w trumnie na katafalku ustawionym w saloniku, zamienionym na rodzaj kaplicy, z usuniętymi meblami, czarnymi zasłonami na oknach i drzwiach, obstawiony świecami stale płonącymi i kwiatami, całe cztery dni. Wszyscy znajomi powiadomieni klepsydrami rozlepionymi przy drzwiach domu i wielu kościołów przychodzili, składając przy trumnie kwiaty, a nam kondolencje. Piątego dnia rano była eksportacja na dworzec. Mnóstwo znajomych szło aż do końca. Załadowano trumnę do wagonu w naszej obecności, a potem wróciliśmy z Matką i Jasiami Zarańskimi, którzy z Wiednia przyjechali na eksportację, by zabrać rzeczy i wyjechać pociągiem tym, co wiozł trumnę Ojca do stacji Sędziszów, gdzie czekał mój brat z karawanem, który wprost do kościoła w Dzierz-

gowie trumnę dowiózł. My pojechaliśmy do Ojślawic, gdzie stanęliśmy wieczorem.

Leokadia z Kozłowskich Kowalska zmarła 5 czerwca 1933 r., przeżywszy Edmunda o dwadzieścia lat, i została pochowana obok swojego męża na cmentarzu w Dzierzgowie.

Po stuletnim okresie gospodarowania Ojślawicami przez rodzinę Wierusz-Kowalskich w marcu 1945 r. majątek wraz z młynem Bieganów i folwarkiem Zalesie został przejęty przez państwo w ramach reformy rolnej od spadkobierców Ignacego Kowalskiego, tj. Elżbiety po mężu Socharskiej, Marii po mężu Grzędzkiej i Andrzeja Kowalskiego. Granice majątku opisano następująco: dział I od południa i zachodu graniczy z gruntami wsi niescalonej Dąbrówka, Rędziny Prażykowa, od północy i wschodu z gruntami niescalonej wsi Ojślawice; dział II graniczy od północy z lasami i łąkami maj. Bieganów, od wschodu z łąkami niescalonej wsi Dzierzgow, od południa z łąkami scalonej wsi Brzeście, od zachodu z lasem majątku Bieganów. Ogólny obszar wynosił 268 ha, w tym grunty orne 182 ha, łąki dwukośne 15 ha, lasy 34 ha, sady 2 ha, park 0,5 ha, podwórza zabudowania i drogi 12,5 ha, stawy rybne 22 ha.

Obecnie jedyną pozostałością po budynkach dworskich w Ojślawicach jest figura Matki Boskiej w resztach parku, zaś pamięć o rodzinie Wieruszów-Kowalskich w Ojślawicach utrwalono we wspomnieniach Marii Ruszczyńskiej pt. *Echa przeszłości* i Edmunda Wierusza-Kowalskiego pt. *Wspomnienia moje z roku 1863*.

Bibliografia

- Boniecki A., *Herbarz Polski*, Warszawa 1908, t. 12.
 Ruszczyńska M., *Echa przeszłości*, Jelenia Góra 2016.
 Wierusz-Kowalski E., *Wspomnienia moje z roku 1863 oraz wybór źródeł do dziejów powstania styczniowego na terenie powiatu włoszczowskiego w zasobach Archiwum Państwowego w Kielcach*, oprac. A. Malicki, Włoszczowa 2018.
 Archiwum Sądu Rejonowego we Włoszczowie, sygn. 89 t.1 *Księga hipoteczna dóbr Ojślawice*.
 APK, 21/17 DU, sygn. 224a, Ojślawice.
 APK, Akta Stanu Cywilnego parafii: Koziegłównki, Potok Złoty, Wojkowice Kościelne, Irządze, Dzierzgow, Oksa.
 ADK, Akta Stanu Cywilnego parafii Irządze.
 Muzeum Wojska Polskiego, sygn. 458/1/C, 458/2/C, 458/3/C.



Lokalizacja osady Jarzabek na mapie okolic Kielc (północnej i zachodniej) z 1799 r., za: Der Gesellschaft Naturforschender Freunde zu Berlin. Neue schriften, Berlin 1799 r.

Dariusz Kalina

Osada Jarzabek na terenie wsi Czarnów Duży

Jarzabek to dawna osada młynarska i karczemna położona przy szosie prowadzącej z Kielc przez Piekoszów do Małogoszcza, u stóp północnego stoku Góry Machownicy. Według D. Kopertowskiej założona przez hipotetycznego Jarzabka*.

* H. Kmieć, *Dzieje...*, s. 138; D. Kopertowska (*Toponimia...*, s. 79), pisze, że była w tym miejscu kuźnica Jarzabka założona w 1647 r. Zob. Z. Guldon, L. Stepkowski, rec. „W. Dzikowski, D. Kopertowska, *Toponimia Kielc...*”, „*Studia Kieleckie*”, 1977, nr 1, s. 145.

Teren ten początkowo należał do wsi Niewachłów. Oto bowiem w 1355 r. Bodzenta biskup krakowski (1348–1366) powierzył Jakubowi z Posłowic zwanemu Kwiecień, lokację wsi *Wachłów* (późniejszy Niewachłów) w lesie położonym między wsiami Czarnów i Kostomłoty. Wieś miała liczyć 18 łanów kmiecych a zarządzana miał być wedle prawa średzkiego¹. Sołtys miał otrzymać sołectwo obejmujące dwa łany, pastwiska, lasy i młyn wodny położony nad rzeką Łopienicą, przy wspomnianym trakcie. Akcja lokacyjna przeprowadzona została pomyślnie, co można wywnioskować z dokumentu Zbigniewa Oleśnickiego, biskupa krakowskiego (1423–1455) wydanego w dniu 30 IX 1448 r. Aktem tym biskup uwolnił łan należący do Stanisława Duchnika, sołtysa w Niewachlowie, od wszelkich ciężarów jako rekompensatę za odebranie mu młyna i stawu².

W roku 1635 Jakub Zadzik biskup krakowski (1635–1642) zbudował na rzece niedaleko Góry Machnowica młyn zwany Jarząbek

...wsadziło się do niego karpia in Anno 1634 kop 20, spust przypada In anno 1637. Młyna na tym stawie nie masz, leje opodał, do złowienia dobry...³.

W kolejnym opisie z 1645 r. również wymieniony został wśród młynów czarnowskich Młyn Jarząbkowski, który:

...należy do Ciarnowa, na którym Stanisław Piotraszek zasiadł za prawem śp. nieboszczyka JMci Zadzika z konsensem kapitulnym. Na co daje do skarbu fl. 30 na św. Jan a drugą ratę a św. Marcin fl. 30, kanonu kapitulnego fl. 2, Powinien siekiera robić dzień 1 jako i inni młynarze⁴.

Ten Stanisław Piotraszek (Pietraszek) był wcześniej posiadaczem młyna *Zmorzyński* zbudowanego na Bobrzy (Pietraszki), na podstawie przywileju biskupa Jakuba Zadzika (1635-1642)⁵.

Z przytoczonych danych możemy stwierdzić, że w miejscu zwanym Jarząbek najpierw zbudowano

staw rybny na Łopienicy (dziś rzeka ta zwana jest Sufraganiec) na północ od obecnej szosy, a następnie Stanisław Piotraszek zbudował młyn wodny, który aktem z dnia 22.01.1646 r. zakupił Jan Gibboni i przebudował go na kuźnicę żelaza⁶.

W tym czasie miał miejsce rozwój górnictwa w rejonie Góry Machnowicy, a więc w sąsiedztwie młyna Jarząbek. Prace prowadzili górnicy z Kostomłotów i Niewachlowa, wsi należących do *...hutek Nowej i Niewachlowskiej*, w tym Jan i Szymon Malowie (Mała), siedzący na Łanie Jakubików (*Jacubicow*) w Niewachlowie. Jak wieść niesie, w 1646 r. na Górze Machnowskiej wydobyć miano trzy wielkie bryły ołowiu przez Hilarego (takie imię to podaje odnotowana w połowie XVIII w. tradycja) Małę, górnika z Niewachlowa. Z inicjatywy starosty kieleckiego Stanisława Czechowskiego, któremu sprawy „górne” podlegały, z brył wykopanych przez Małę wyrzeźbiono trzy postaci. Były to rzeźby: św. Barbary, umieszczona w klasztorze na Karczówce, Matki Bożej w kolegiacie kieleckiej, a trzecia św. Antoniego w kościele w Borkowicach. Ta ostatnia rzeźba wskazuje może na miejsce pochówku Jana Gibboniego, ojca Jakuba, a dziadka Jana⁷.

Jan Gibboni począwszy od lat 30. XVII w. przejmował zakłady metalowe (głównie produkcji żelaza) w kluczu kieleckim, w latach 1632-1636 został olbarnikiem chęcińskim, a od 1639 r. administrował komorą ołowiu w Kielcach. Od 1640 r. był dzierżawcą całego klucza kieleckiego, w 1647 r. dzierżawił komorę ołowiu w Kielcach. Swoją pozycję podkreślił przez fakt posiadania własnego dworu w Koniemłotach (przejętego od Jana Grabowskiego i Elżbiety z Oraczowskich). W 1654 r. otrzymał indygenat, a w 1662 tytuł podwojewodzkiego chęcińskiego (tj. pełnomocnika wojewody sandomierskiego na terenie powiatu chęcińskiego). Był też gwarkiem chęcińskim, dziedzicem wsi Skiby. W rejonie Czarnowa w 1662 r. otrzymał dożywotnią poddzierżawę Białogona od Jana Jegierowicza (który w latach 1665-1687 notowany był jako landwójt kielecki). Spadek po nim przejął jego syn Bonawentura, który nazywany był „ha-

¹ KDKK t. II, nr 257.

² ZDM III, nr 804.

³ *Inwentarz klucza Kleckiego spisany... Anno 1635*, s. 38.

⁴ *Inwentarz klucza kieleckiego z 1645 roku...*, s. 39.

⁵ *Inwentarz klucza ... Anno 1635*, s. 37-38; por. *Inwentarz klucza kieleckiego z 1645 roku*, s. 82-83.

⁶ *Kielce XVII-XVIII wiek. Słownik biograficzny...*, s. 52.

⁷ J. Wiśniewski, *Dekanat konecki...*, s. 7.

mernikiem białogońskim” i który w 1675 r. miał swój grunt (rolę) na Zakrzewiu, czyli bez wątpienia posiadał dziedzicznie część wsi Czarnów (zm. 1702 r.). W roku 1680, jeszcze przed śmiercią, prawa do przedsiębiorstw kieleckich przekazał bratu, Jakubowi Gibboniemu, podczasemu warszawskiemu (zm. 1694), a po jego z kolei śmierci, przeszły one na spadkobierców Bonawentury⁸. Niewiele wiadomo o funkcjonowaniu zakładu przemysłowego w Jarząbku po 1646 r. może w postaci huty czy też płuczki⁹, będącego filią zakładów kostomłockich¹⁰.

Wcześniej, na gruncie dawnego sołectwa kostomłockiego zbudowano hutę za przywilejem ks. kanonika krakowskiego i sekretarza królewskiego, Andrzeja Łukomskiego, archidiakona kapituły krakowskiej. W okresie pontyfikatu biskupa krakowskiego Alberta Wazy (1632-1634), prowadził on biskupie interesy w kluczu kieleckim, a po jego śmierci w 1637 r. administratorem diecezji został na krótko wybrany Szymon Kołodzki, kanclerz gnieźnieński, kanonik krakowski. Niewykluczone, że właśnie w tym czasie zaczęto używać nazwy Sufraganiec w stosunku do rzeki Łopienica.

W inwentarzu klucza z 1645 r. zapisano, że młyn jarząbkowski został nadany Stanisławowi Piotraszkowi, posiadaczowi młyna w Pietraszkach, na mocy przywileju biskupa Marcina Zadzika, a zatem po 1635 r.¹¹. W latach 70 jako właściciele młyna na Jarząbku występują Piotraszkowie: w 1674 r. Wawrzyniec syn Karola Piotrasek i Katarzyna *de Molendino Jarząbek*, w 1678 r. Jakub syn Andrzeja Piotraska *et Anna de Molendino Jarząbek* i w 1681 r. ich syn Jan; w 1684 r. odnotowano Franciszka Piotraszka.

Pomiędzy pierwszą a drugą dekadą XVIII w. młyn zamknięto, a na gruncie pozostała karczma z rolą, obsługująca ruch na szosie piekoszowskiej a także

pracowników w kopalniach na Górze Machownica, której istnienie potwierdzono w 1784 r. Jej opis zawiera lustracja klucza kieleckiego z 1789 r.:

Karczma w Jarząbku wjezdna na trakcie do Małogoszcza, wrota do niej podwójne, z tarcic na biegunach, z wrzeciędzem, i skoblami. Do izby szynkowej drzwi na zawiasach hakach, z klamką, wrzeciędzem, w niej okna dwa w ołów oprawne, w tych szyb stłuczonych sześć, stół jeden z ławą, szafa przy drzwiach komin kapiasty z blachą i sztabą w czeluściach żelaznymi, piec ceglany i powała z tarcic, podłoga z dylów. Z izby do komory drzwi na zawiasach, hakach z wrzeciędzem i skoblami, antabą w komorze, podłoga i powała z dylów, drzwi drugie na podwórze na zawiasach zasuwą drewnianą, w stajni żłoby u drabiny dobre, podłogi nie masz komin na sztagach wylepiony.

Obok stajni drzwi do stajenki na bydło na biegunie, która w ścianach dobra, dach złym powały nie masz, z stajni dużej na wyjazd, wrota podwójne na biegunie z wrzeciędzem, i skublami. Ta karczma w ścianach dobra, dach cały zły, w tym miejscu niepotrzebna, należałoby się ją przestawić pod wieś Szczukowskie Górkę, dla szynku lepszego¹².

W kolejnych latach nie ma już w Jarząbku karczmy. Na gruncie zbudowano domy komornicze. Na marginesie Mapy Galicji Zachodniej (1804) miejscowość Jarząbek oznaczona została w widłach rzeki Łopienica (Sufraganiec) i Niewachłowskiego Strumienia. Oszacowano ją na 4 chałupy, 2 mężczyzn i 2 konie. Osady tej nie ma na Mapie Kwatermistrzostwa (1839), zaś z jej terenów utworzono grunty folwarczne przyłączone do folwarku Czarnów. Obecnie to część miasta Kielce, z ulicami Jarząbek i Stawki.

Obecnie po osadzie jedynym śladem jest nazwa ulic o tej nazwie w sąsiedztwie ulicy Piekoszowskiej. Znajduje się tu podocyszczalnia ścieków z terenu Niewachłowa i wód opadowych z terenu Kielc.

⁸ *Kielce XVII-XVIII wiek. Słownik biograficzny...*, s. 67; 52-53.

⁹ Na podstawie nazwy Pradło określającej część doliny na południe od szosy, sądzić należy, że *plukano* przy grobli stawu Jarząbkowskiego miejscową rudę.

¹⁰ H. Kmieć, s. 138.

¹¹ Lustracja 1645 s. 39.

¹² Lustracja klucza kieleckiego 1789 roku, AP w Radomiu, ZDP, sygn. 5a, k. 471 (236).

Kaczorów koło Chmielnika

Wielka historia małej miejscowości dedykowana Jurkowi Osieckiemu, który ma jakieś sobie wiadome powody, by kochać to miejsce

Kaczorów to niewielka miejscowość znajduje się na wschód od kościoła parafialnego w Chmielniku, a stanowi obecnie przysiółek wsi Zrecze Duże. Powstał on na gruntach dawnego folwarku pańszczyźnianego o tej nazwie, należącego do dóbr Zrecze. Dwór, o zapewne jeszcze XVI wiecznej proveniencji zbudowany był nieco na północ, na terenie dzisiejszego Zrecza Małego.

Cała okolica rozciągająca się wokół wsi ma niezwykle ciekawą historię, ale nie tylko tę opartą o przekazy pisane, ale również i tę opisaną przez archeologiczne badania, a zatem z czasów sprzed pojawienia się pisma. Najstarsze osadnictwo ludzi lokalizować można na północnym brzegu doliny, w miejscu gdzie zbiegają się rzeki płynące – jedna z połączonych strumieni z Lubani i Łagiewnik (Zreczka?), które powyżej zabudowy łączą się w jedno koryto, oraz rzeki Wschodniej płynącej dawniej z trzech źródeł od Chmielnika. Swoje siedziby mieli tu ludzie od czasów epoki kamiennej.

Nazwa wsi zapisywana była jako *Wdrzeczce* (XIV w.), *Wsrzeczce* (XV w.), *Zdrzecz* (1529), *Wielkie Zrecze*, *Zrzycz* (XVIII w.). Jej powstanie miało zapewne związek ze słowami „debrz”, „zbrza”, w mowie polskiej określającej wąską dolinę rzeczną, lub też samego słowa „rzeka, rzeki”, lub też „porzeczem”.

Centrum osadnicze dla mieszkańców wsi we wczesnym średniowieczu znajdowało się w Gnojnie, miejscowości o starej metryce, gdzie powstał kościół



Folwark Kaczorów, młyn Źródła oraz kopalnia odkrywkowa (K.O.) na Mapie Wojskowej Instytutu Geograficznego z 1915 r.

parafialny pw. św. Jana Chrzciciela. Po raz pierwszy źródłowo poświadczono zostało w 1326 r. na terytorium dekanatu kijskiego, kiedy jej plebanem był niejaki Gosław.

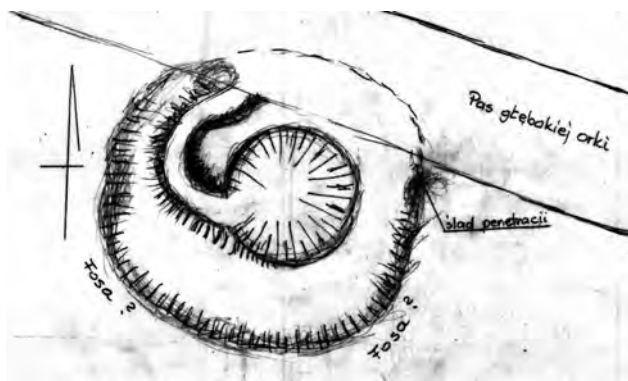
Według Eugeniusza Wiśniowskiego początki parafii sięgają XII stulecia. Podobne stanowisko zajął Stanisław Smolka wskazując, że najstarsze ośrodki duszpasterskie w Kijach, Gnojnie, Stopnicy na przełomie XI i XII w. ufundowane były przez przedstawicieli rodu Janinów¹.

Wynika z tego, że pierwszymi dziedzicami tego terenu był ród Janina, który mógł mieć we wsi Gnojno swoje

¹ MPV t. 1, s. 154; E. Wiśniowski, *Prepozytura wiślicka...*, s. 45; S. Smolka, *Mieszko Stary i jego wiek*, Warszawa 1959, s. 587, 618, 619.

gniazdo rodowe. Znajduje się tu wczesnośredniowieczne grodzisko, zlokalizowane w centralnej części wsi ...na kulminacji wąskiego cypla wysoczyzny, wcinającego się głęboko w dolinę potoku, lewo-brzeżnego dopływu Wschodniej; cypel wznosi się stromymi stokami kilkanaście metrów ponad dno wspomnianej doliny. Część wschodnią stanowiska zajmuje kościół parafialny².

Na podstawie znalezionych ułamków ceramiki można stwierdzić, że obiekt w Gnojnie jest pozostałością wczesnośredniowiecznej siedziby możnowładczej w formie gródka stożkowatego, użytkowany intensywnie do XIII w. przez ród Janinów i skoligaconych potem z nimi Grzymałów. Ród ten w okolicy pojawił się w średniowieczu – w czasach Jana Długosza Grzymalicy Lubańscy posiadali wsie: Grabowiec w parafii Piotrkowice, a także wsie: Gnojno, Kotlice, Raczyce, Suskrajowice – wszystkie leżące w parafii Gnojno³.



Domniemany Kopiec Tatarski z 1241 r. na terenie wsi Łagiewniki. Rys. J. Mróz.

Tereny te najechane zostały podczas pochodu wojsk tatarskich, o czym wzmiankuje Jan Wiśniewski: ...Inwentarz z XVII w. zawiera podanie, że po krwawej bitwie z Tatarami w dn. 18 marca 1241 r. pod Chmielnikiem, kościół w Gnojnie był okropnie zrabowany i zabudowania zniszczone...⁴.

Do dnia dzisiejszego nie jest pewnym, gdzie dokładnie odbyło się owo spotkanie wrogich wojsk. Murowany postument upamiętniający to wielkie zdarzenie znajduje się na skrzyżowaniu ulic Ko-

nopnickiej i Szydłowskiej w Chmielniku, a data 1241 r. widnieje na frontonie ratusza. Niezwykle ciekawie prezentuje się kopiec we wsi Łagiewniki, łączony tradycyjnie z rozegraną pod Chmielnikiem bitwą. Wydaje się jednak, że związany jest z jedną z kultur okresu kamienia – wokół niego znajduje się dziś jeszcze wiele odłamków krzemienia czekoladowego. Ma zarys wieloboku nadany podczas orki, z dostawioną w XIX w. czasie rampą ziemną w celu dogodnego wejścia na jego szczyt.

Teren bitwy rycerstwa polskiego z oddziałami Mongołów w dniu 18 marca 1241 r., zwanej Bitwą pod Chmielnikiem miał znajdować się na *Wesołym Polu*, na gruntach folwarku Kaczorów⁵. Nie tak dawno udało się odnaleźć mapę gruntów Folwarku Kaczorów w gminie Gnojno z 1877 r. Z łatwością odnaleźć można na niej Wesołe Pole ciągnące się w kierunku północnym od zabudowań folwarcznych, zaś na zachód jeszcze Mogiłki!

Tu także miały znajdować się „Tatarskie Mogiły” wzmiankowane w XIX i XX wieku⁶. W ciągu XIX wieku doszło do zniekształcenia przekazu dotyczącego terenu bitwy jak i ewentualnej mogiły poległych. Oprócz zwykłej w takich razach recesji w pamięci lokalnej, braku kwerendy źródłowej, ważnym były losy dwóch sąsiednich majątków związanych z wielkimi rodami dziedziczącymi w tej okolicy. Przyjrzyjmy się zatem historii Zrecza, a także powstałych w wyniku podziału Zrecza Małego i Zrecza Dużego. W pewnej chwili dwie wdowy prowadzącego szlacheckie majątki w drugiej połowie XIX wieku dokonały zamiany gruntów, w ten też sposób, to co należało do jednego majątku znalazło się w drugim...

Nazwa wsi Zrecze wymieniana jest w dokumencie z 1365 r., w którym dokonano jej rozgraniczenia od wsi Szyszczycze⁷. Od najodleglejszych czasów współtworzyła klucz dóbr ziemskich określane jako dobra chmielnickie obejmujące wsie: Chmielnik, Jasień, Łagiewniki, Zrzecze, Pożogi i Niedźwiadę.

² A. Matoga, *Archeolog na probostwie...*, s. 334–348, przyp. 92.

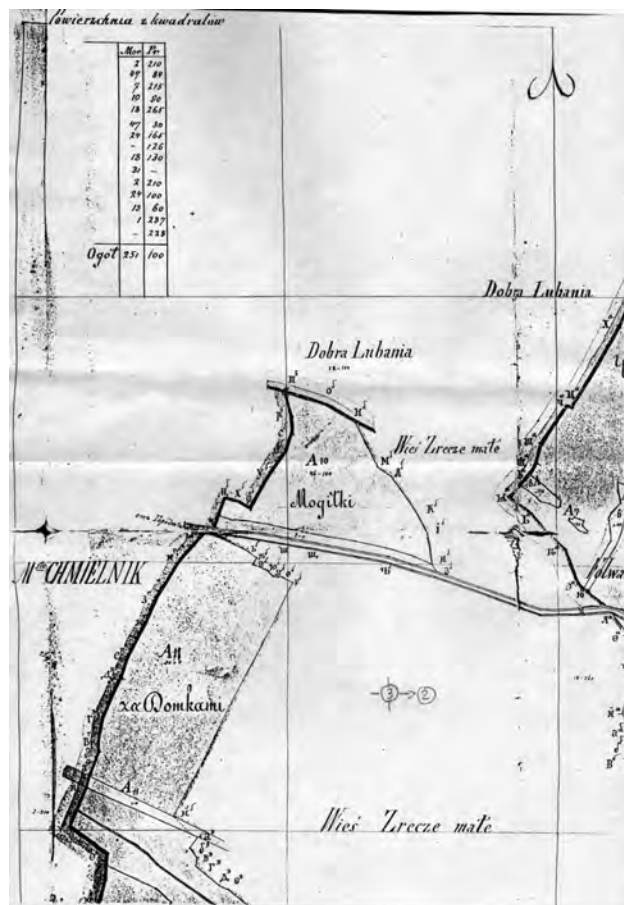
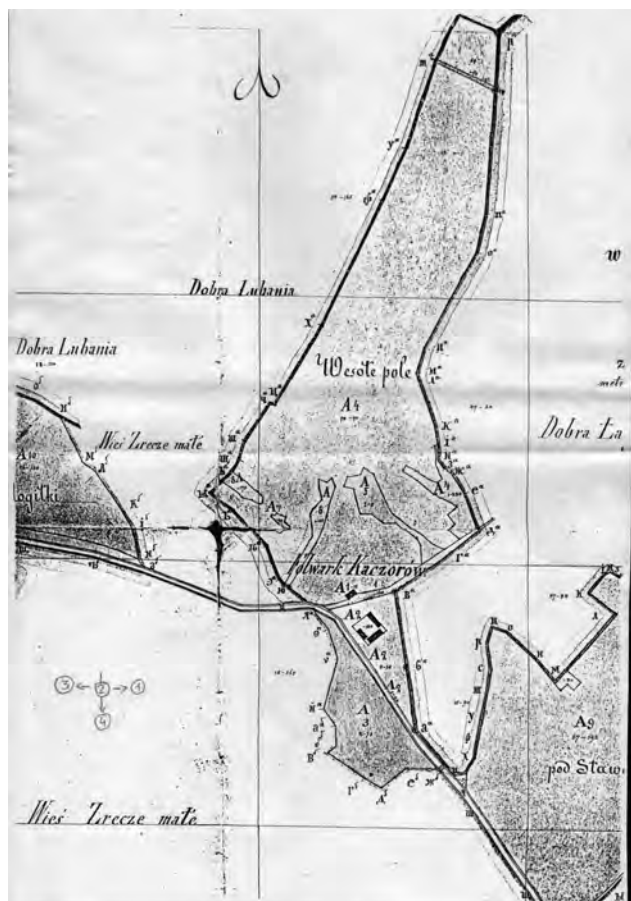
³ J. Wroniszewski, *Nobiles Sandomirienses...*, s. 123

⁴ J. Wiśniewski, s. 84.

⁵ S. Krakowski, *Polska w walce z najazdem tatarskim*, „Rocznik Muzeum Świętokrzyskiego”, t. 8, s. 196.

⁶ J. Wiśniewski, *Historyczny opis... w Stopnickiem...*, s. 41–42.

⁷ KDM t. 3, nr 381 (dokument podrobiony).



Część środkowa gruntów folwarku Kaczorów na mapie z 1877 r. Widoczna lokalizacja Wesołego Pola, według Długoszowego opisu (XV w.) miejsca bitwy z 18.03. 1241 r.

Były one pierwotnie własnością rodu Odrowążów, a z czasem przeszły one na gałąź rodu piszącą się ze Sprowy. Od Andrzeja Odrowąza, który był ostatnim jej przedstawicielem na ziemi chmielnickiej, w 1456 r. drogą kupna stały się Zrecze własnością rodziny Jana Oleśnickiego zwanego Głowacz, pieczętującego się herbem Dębno⁸. Po śmierci Jana Głowacza zaszłej w 1466 r. dokonano podziału majątku pomiędzy Janem Soleckim, Andrzejem, Zbigniewem oraz Janem Feliksem. Z nich Andrzej i Zbigniew stali się wspólnie właścicielami dóbr chmielnickich i węgleszyńskich, a gdy Zbigniew poszedł drogą duchownego, Andrzej stał się głównym dziedzicem klucza, w skład którego wchodziła wieś Zrecze, a także klucze pińczowski i węgleszyński. Tak wielką majątność trudno było zarządzać jednej tylko osobie, dlatego poszczególne klucze wydzierżawione zostały przez braci. Klucz chmielnicki został oddany w 1475 r. Franciszkowi Gliwiczowi z Krakowa za 500 florenów. W opisie Jana Długosza (1470-1480)

dziedzicem wsi *Wsrzecz* w parafii w Gnojnie odnotowany został już sam Andrzej Oleśnicki. Było w niej wówczas osiem łańów kmiecych, trzy karczmy z rolami. Dawało to obszar aż jedenastu zagospodarowanych łańów, z których dziesięcinę oddawano prebendzie zwanej *Pierzchnicka* funkcjonującej przy kolegiacie kieleckiej⁹.

W kolejnych dziesięcioleciach nadeszły spore zmiany. Po śmierci Andrzeja Oleśnickiego w 1512 r. majątek po nim pozostały posiadli jego synowie Stanisław, Jan, Feliks, Piotr jako tzw. bracia niepodzieleni. Najważniejszą wśród nich rolę odgrywał Stanisław Oleśnicki, kanonik gnieźnieński i sekretarz królewski, i zapewne pod jego wpływem doszło do zmiany instytucji, którym przekazywano dziesięciny wybierane z wsi położonych w dobrach chmielnickich. W *Księdze dochodów beneficjów diecezji krakowskiej* z 1529 czytamy, że prebendarz w Chmielniku pobiera dziesięcinę z Lubani (z ról folwarcznych), z Woli (z ról folwarcznych), z Gór (z ról folwarcz-

⁸ K. Górski, *Ród Odrowążów w wiekach średnich...*, s. 1-107.

⁹ LB t. 1, s. s. 139-140.

nych) i Zrecza (z ról folwarcznych). Natomiast prebenda zwana *Chmielnicka* przy kościele katedralnym w Krakowie otrzymywała dziesięcinę z Chmielnika (z całej wsi), z Suchej Woli (z całej wsi), z Lubani (z części ról kmiecych), z Łagiewnik (z całej wsi), z obu wsi Zrecze (z całych), z Jasienia (z całych), z Falek (z całej wsi) oraz z dwóch łąnów w Lubani należących do prebendy św. Mikołaja przy kościele chmielnickim. Zapewne więc w drugiej dekadzie XVI w. pojawiły się dwie niezależne wsie Zrecze Małe z folwarkiem i Zrecze Duże¹⁰.

Wieś Zrecze Małe pojawia się w 1579 r., stanowiła własność dziedziczną Prokopa Balickiego herbu Topór. We wsi było wówczas 2 ½ łąna i dwa kolejne należące do folwarku¹¹. Należały do niego nieodległe wsie Balice, Palonki, Zawada, które dziedziczył w 1582 r. z braćmi: Stanisławem, Gabrielem i Krzysztofem, Małoszów, a także położone w okolicy Chmielnika – Szyszczyce, Śladków Duży i Śladków Mały. Jako dziedzic Zrecza Małego występuje w 1622 r.¹².

Nie znamy dalszych losów Zrecza Małego w następnych dekadach XVII w. Dopiero w końcu stulecia pojawia się jako dziedzic Zrecza Małego Seweryn Gołuchowski herbu Leliwa, podczaszy kijowski. Z żoną Heleną z Maciejowskich miał synów: Samuela, Seweryna, Mieczysława, Mścisława, Krzysztofa, o których niewiele wiemy. Zapewne doszło do działów rodzinnych, w wyniku czego Seweryn Gołuchowski w 1727 r. dokonał zapisu czynszu opisanego na dobrach Zrecze Małe z dworem i folwarkiem na fundowane w Kielcach Seminarium Duchowne¹³. Zrecze Małe posiadał Samuel Gołuchowski, rzekomy stolnik kijowski (1765–1767), który poślubił Ludwikę Dębicką. Wskazuje na to funkcjonująca po dziś dzień nazwa Zrecze Dębińskie, w którym zlokalizowany był dwór dziedziców, a przy nim przydworską kaplicę odnotowaną w 1748 r.¹⁴. Dobra te po nich otrzymał ich syn Celestyn Piotr Gołuchowski, cześnik wiślicki (1785), podstoli wiślicki (1785–1787), podczaszy wiślicki (1778–1791)¹⁵.

¹⁰ LR s. 272; 165.

¹¹ Pawiński, s. 222.

¹² Boniecki, t. 1, s. 86; J. Pielas, *Oleśnicy herbu Dębno...*, s. 316; *Rejestry pospolitego ruszenia...*, s. 36; 42.

¹³ Boniecki, t. 6, s. 213-216

¹⁴ E. Wiśniowski, *Prepozytura wiślicka...*, s. 40, 49.

¹⁵ Boniecki, t. 6, s. 213-216.

Zapewne drogą kupna Zrecze Małe z dworem przyszły na miecznika sandomierskiego Józefa Sołtyka (ok. 1715–1780)¹⁶. Był on najstarszym synem kasztelana sandomierskiego Michała Aleksandra i Józefy z Makowieckich. Zmarł w 1780 r. pozostawiając żonę i czworo dzieci: dwie córki: Józefę (późniejszą żonę Adama Parysa) i Barbarę (żonę Józefa Antoniego Komorowskiego), oraz dwóch synów: Jana Kantego szambelana królewskiego i stolnika sandomierskiego oraz Michała.

Michał Sołtyk otrzymał od ojca wieś Zrecze Małe, a nie jak błędnie podaje Jan Wiśniowski, jego słynny współrodowiec biskup krakowski Kajetan Sołtyk. Realizował on karierę duchownego, był także referendarzem koronnym, pisarzem i działaczem gospodarczym. W roku 1782 objął dziekanę krakowskiej kapituły katedralnej, plebanem w Pacanowie, a następnie został powołany do Komisji Kruszcowej. Prowadził osobiście działalność gospodarczą we własnych wsiach dziedzicznych Kobylanach, Konarach, Słupi, Wielborowicach i w Zreczu Małym. Produkował wapno palone, a niewykluczone, że jemu przypisać należy powstanie znanej odlewni żeliwa. Zmarł w 1815 r. z dala od swoich dóbr podchmielnickich.

Sukcesorami po zmarłym zostali bracia – Karol i Władysław Sołtykowie, od których Zrecze Małe dzierżawił od 1812 r. Bonawentura Wąsowicz. Po wygaśnięciu umowy dzierżawnej w dworze, czy też pałacu, zamieszkał właściciel Władysław Sołtyk z żoną Emilią z Wąsowiczów i synem Emilem. Byli oni dziedzicami obu wsi: Zrecza Dużego i Zrecza Małego. Niedługo po 1819 r. majątek został sprzedany Piotrowi i Juliannie z Korulskich Tymienieckim, a w 1822 r. przekazany w posagu ich córce Leokadii Tymienieckiej. Wniosła go wraz ze swoją ręką w dom Józefa Broniewskiego, syna Józefa Broniewskiego i Henryki z Kalów zamieszkałych w Zagrodach. Małżeństwo zdecydowało się jednak majątek spieniężyć, i drogą kupna w jego posiadanie wszedł Jan Kanty hr. Bobrowski. W 1826 roku przystąpił on do Towarzystwa Ziemińskiego Kredytowego jako dziedzic Zrecza Małego, Zrecza Dużego z przyległością zwaną Piaski¹⁷. Hrabia zmarł w 1840 r. w swoim

¹⁶ „Regestr diecezjów” *Franciszka Czaykowskiego...*

¹⁷ APK 1RGR sygn. 4935.



Młyn amerykański źródła 1887 r.

dworze w Zreczu Małym, w którym funkcjonował zbór protestancki.

Wdowa w trzy lata potem (tj. w 1843) wyszła za ewangelika Henryka Wielowiejskiego, syna Andrzeja i Anny Wielowiejskiej z Żeleńskich, wdowca po Pelagii Różyckiej. Za jego czasu doszło od urzędu wsi i lasu, budowy urządzeń przemysłowych. Majątek Zrecza Małe (1886) obejmował 1046 mórg, z czego grunty orne obejmowały 507 mórg, łąki 117, pastwiska 2, las 133, a nieużytki 37. Znajdowały się tu także pokłady kamienia wapiennego i torfu. Budynków murowanych było 13, a drewnianych także 13, a wśród nich: młyn amerykański, młyn wodny, tartak, folusz i olejarnia. Wieś była już na nowo „urządzona” i liczyła 30 domów i 296 mieszkańców¹⁸. Folwark Kaczorów w 1879 r. oddzielony od majątku Zrecze Małe i Zrecze Duże Gmina szaniec, par Chmielnik, miał rozległości 251 mórg, z czego grunty orne obejmowały 202 ha, łąki 23, wody 1, nieużytki i place 1. Budynków murowanych było 4¹⁹.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, gdy już ustalone zostały granice i kształt ustrojowy państwa, podjęto się niewiarygodnie trudnej reformy rolnej. W jej wyniku, w kilku etapach dokonano na wsi polskiej wielkich zmian. Majątki ziemskie

zostały podzielone, na grunty dworskie i wiejskie przeznaczone dla osadników. Taki los dokonał się i na gruntach folwarku Kaczorów²⁰. Z dawnego folwarku pozostała tzw. Resztówka.

Na zakończenie wspomnieć jeszcze wypada o wypadku, zeszłym przed dwoma miesiącami na gruncie folwarku Kaczorów, należącego do Łagiewnik. Chłopcy pasący bydło, swawolnie napastowali dwoje najmłodszych spomiędzy siebie, którzy z tego powodu schronili się do powstałego przez wybranie piasku, sąsiedniego wąwozu. Oberwana ziemia, w skutek skakania na wierzchu stojącej gromady chłopców, spadając z wysokości 2. sążni przygniotła jednego z chłopców, drugi zaś ująć zdołał.

Zastraszony jednak przez swych towarzyszy, że podobnie zasypany będzie, dopiero w trzy tygodnie wyjawiał los, jaki tamtego spotkał. Nieszczęśliwym tym był Józef Topolski lat 11 mający, służący Ignacego Szewczyka.

Saturn.

[*Gazeta Kielecka* – Nr 8 z 27.I.1875 r. – str. 2-3]

Teren dawnego folwarku Kaczorów przepełniony jest ludzką obecnością – od czasów kamienia łupanego przez kolejne okresy historii, aż do czasów nam współczesnych. Odnależliśmy tu teren bitwy z Mongołami, może groby naszych rycerskich obroń-

¹⁸ SGKP t. 14, s. 665-666; AP w Kielcach, Urząd Gubernialny Kielecki do spraw Włościańskich, Zrecze Duże i Zrecze Małe, Kaczorów, gmina Gnojno (właściciel Wielowiejski) – urządzenie lasów] (1864–1912), Sygn. 21/40/0/6.2/4109; AP w Kielcach, Urząd Gubernialny Kielecki do spraw Włościańskich [Zrecze Duże i Zrecze Małe, gmina Gnojno – urządzenie lasów] (1878–1885), Sygnatura 21/40/0/6.2/4110.

¹⁹ SGKP t. 3, s. 6.

²⁰ AP w Kielcach, Okręgowy Urząd Ziemski w Kielcach, Sprawa częściowej parcelacji majątku prywatnego Kaczorów, pow. stopnicki, gm. Gnojno (1924-1925), Sygnatura 21/105/0/9/4139; AP w Kielcach, Okręgowy Urząd Ziemski w Kielcach, Sprawa parcelacji części majątku prywatnego Kaczorów, pow. stopnicki, gm. Gnojno (1926-1928), Sygnatura 21/105/0/9/4140.

ców?... Tuż obok, w majątku Zrecze przy starym dworze szlacheckim funkcjonował mało znany zbór Braci Polskich a wcześniej zbór kalwiński. Rodziny katolickich i protestanckich wiernych rozprawiły o rzeczach Najwyższych, zaś Żydzi, wzywając tego samego Boga, pokolenie za pokoleniem nazywały tę ziemię swoją Ojczyzną. Były tu okropności wojny i pokoju, była miłość i nienawiść – zawsze były śmierć i jakieś narodziny. Zawsze był pierwszy i ostatni oddech. Zawsze na tę ziemię padały krople krwi i pot.... Tematów do długich rozmów przy wakacyjnym ognisku jest o wiele, wiele więcej.... Martwi natomiast zupełny brak materialnych śladów – domów, pałaców, dworów i zborów, nawet grobów.... a co najgorsze – pamięci u ludzi.

Może więc tak miało być. Może tam powinno być (powtórzmy z wiarą), że śmiech dzieci bawiących się beztrąsko na łące jest odpowiedzią na te smutne myśli przychodzące zniemacka, niczym burza letnia... Proszę, pozwólcie mi Państwo, że powtórzę w tym miejscu moje słowa niegdyś już powiedziane:

Bowiem tak się już tu dzieje, że Człowiek w życiu swoim gromadzi rzeczy, spotyka ludzi, dotykają go wydarzenia – i tę materię próbuje układać w swój tylko sobie należny sposób. O ile rzecz dotyka zwykłych, codziennych spraw – układają się one w codzienność, i jak to już jest: obfitują dobrym i złym, a wiatr rozwiewa to po polu.

Z rzeczami, które wyrastają ponad widoczną terażniejszość jest inaczej. Gdy już raz pojawią się wśród świadomości im współczesnych – nie ulegają całkowitemu zniszczeniu gdy przysypie je ziemia. Są to dobra, lub raczej: Dobro, które tak mocno odciska się w rzeczywistości, że gdy przychodzi, rzecz normalna, zniszczenie, nie znika całkiem – lecz utrwała się w pamięci potomnych. I choćby zburzone zostały wszystkie utrwalone przez ludzi w materii uczucia i pragnienia – domy, dwory, zamki czy kościoły, cały świat sąsiedztwa – czyli wsie i miasta – pozostaje tęsknota za tym co było. Po ten ogień sięgają, ci, którzy chcą zobaczyć na powrót oczy ludzi dawno umarłych – rozumieją te słowa osoby, które chodzą z tym światłem ich drogami z nadzieją, że zrozumieją gdzie one prowadzą. Po naszych umiłowanych Przodkach pozostała Prosta

Prawda – o tym co kochali, czego się bali, czego pragnęli, a co ukryć się starali. Jest ona tak czysta, że wydaje się naszym oczom przezroczyście jak powietrze. Wciągnijmy je zatem w nozdrza.



Ad vocem

Niestrudzony badacz dziejów naszego regionu, znany historyk Darek Kalina, sprawił mi tym tekstem niebywałą radość, za co jestem mu niezmiernie wdzięczny. Bowiem folwark Kaczorów, to miejsce, w którym trzykrotnie jako mały chłopiec wraz z rodzicami i moimi dwiema siostrami spędzałem wakacje. Było to w latach 1953–1955. Właścicielem Kaczorowa był wówczas Franciszek Lech, brat mojej babci Marianny z Lechów Osieckiej. Wujek Franciszek z wykształcenia był matematykiem i uczył w jakiejś szkole w Busku lub Szydłowie. Nie wiem, czy ukończył pełne studia, czy seminarium nauczycielskie. W Kaczorowie miał drewniany dom i spory kawał ziemi. A co dla mnie najważniejsze – olbrzymie podwórze i sad. Przypominam sobie, że w czasie naszych letniskowych pobytów tutaj, przyjeżdżali do wujka na korepetycje uczniowie z Szydłowa i Chmielnika, którzy mieli poprawki z matematyki.

Na moje sielskie wspomnienia z Kaczorowa w pierwszym rzędzie składa się wujek Franciszek, człowiek o ogromnej wiedzy i nadzwyczaj opiekuńczy; dzisiaj należałoby powiedzieć – empatyczny. Przy tym dosyć wobec mnie tolerancyjny, co musiało oznaczać – gość o stalowych nerwach, bowiem byłem mocno rozbrykany, a do tego stale miałem liczne zestawy pytań, na które wujek cierpliwie odpowiadał. Najważniejszy problem stanowił dla mnie jeden stale zamknięty pokój wujka, który nazywaliśmy gabinetem, a który krył przede mną swoje nigdy nieodkryte tajemnice. Szczególnie cierpiałem z powodu tajemniczego biurka, które widziałem przez dziurkę od klucza, a które, jak mniemałem, musiały kryć fantastyczne skarby w postaci niezliczonej ilości ołówków, piór, kałamarzy, stalówek, kartek i karteluszków oraz innych przyborów do pisania. Ten ból był mi dobrze znany już wcześniej, gdyż podobnie cierpiałem w domu moich dziadków w Kielcach;



Wujek Franciszek z moją mamą oraz nami – od lewej Marychna, ja, Ania

dziadek Hieronim dobrze wyczuwał zagrożenie z mojej strony i zamykał przede mną swój magiczny pokój. Przeciwnie – babcia Maria, która podczas nieobecności męża, udostępniała mi dziadkowe biurko. Do dzisiaj mam kilka książek dziadka z moimi autografami, to jest pomazanych przeze mnie ołówkami, nierzadko tzw. kopiowymi, co decyduje o ich (tych autografów) niezniszczalności. Nie zdarzyło się, by dziadek przeoczył kiedyś moją wizytę w okolicy owego biurka. Za każdym razem dla mnie, dla babci zresztą też, oznaczało to zasłużoną burę.

Pamiętam, że wujek Franciszek miał w swoim kaczorowskim azylu duże zapasy starych gazet, które wertowałem w czasie obowiązującej mnie poobiedniej sjeisty. I, uwaga! – wygrzebałem kiedyś tom opowiadań Gogola i przeczytałem jego znaną humoreskę Nos. Miałem wtedy niecałe 8 lat. Pamiętam, że ta lektura wywarła na mnie duże wrażenie i pobudzała moją wyobraźnię. W swojej domowej bibliotece mam do dzisiaj czterotomowe solidne wydanie *Pism wybranych* Gogola (Czytelnik, 1957), które oczywiście przeczytałem „od deski do deski”. Klasyka humoru i satyry.

Magia, *genius loci* Kaczorowa wynikała także z faktu, że w owych czasach było to miejsce otoczone reszt-



Na zdjęciu trzy plany. Na pierwszym ja z Marychną, na drugim mama z Anią, na trzecim – widok domu wujka

kami wysokiego muru, uzupełnionego wiekowymi drzewami. Szczególnie jedno z nich, stara ogromna lipa była ulubionym miejscem, gdzie z siostrą Anią na kocu grywałem w tak zwane „hacele”. Hancel, to, jak informuje Wikipedia, śruba o łbie w formie stożka, graniastopy bądź ostrosłupa, zwykle stalowa, wkręcana w zakończenia ramion podków, aby zapobiec ślizganiu się konia na miękkiej ziemi czy lodzie. Sama gra ma charakter zręcznościowy. Wywodzi się podobno ze Starożytności i mieści się w kategorii gry w kości. W „hacele” grywałem z kolegami później dość często, lecz prawdziwe hacele zastępowaliśmy zwykle odpowiednio dobranymi kamykami (koble). Ta gra zawsze kojarzyć mi się będzie ze starą lipą w Kaczorowie.

Kaczorów miał jeszcze inne zaczarowane miejsca. Były tu więc ruiny jakiejś zabudowy, zapewne pozostałości pomieszczeń gospodarskich. Tak jak w romantykach stare mury pobudzały poetyckie natchnienie, tak i dla mnie kryły one niezgłębione tajemnice. Dotykałem tu jakiejś magii. Jeden z chłopców parę lat ode mnie starszy, pobierający u wujka korepetycje, siadywał ze mną na kamieniach w tych ruinach i opowiadał o swoich planach budowy jakiejś maszyny latającej. Opowiadał tak sugestywnie, że święcie w jego bajki wierzyłem, tym bardziej że, jak mnie zapewniał, kiedyś polecimy razem. Miał on takie powiedzenie, które powtarzał wielokrotnie: „ja, jak się uprę, to nawet ciotka z Buska nie pomoże”. Najwyraźniej w jego imaginariu ta ciocia była jakąś ważną osobistością, mieszkającą w niewyobraźalnie wielkiej metropolii.



Tryumfująca gromadka tuż przed katastrofą – raz się jest na wozie, raz pod wozem...

Doskonale pamiętam też, że mogłem w tych starożytnych, jak mi się wydawało murach, gdy spotkałem jakichś rówieśników, bawić się w wojsko oraz w chowanego.

W kilku piwnicznych pomieszczeniach ruin, które się zachowały, wujek Franciszek trzymał króliki; łapanie ich, to była zabawa! A gdy tata sprawił mi wspaniałą niespodziankę i przywiózł z Kielc prawdziwą sznurowaną piłkę do „nogi” wraz z pompką, to już był raj! Postanowiłem zostać mistrzem piłkarskiej żonglerki, a droga do tego, jak do każdego mistrzostwa prowadzi tylko poprzez intensywne treningi. No i stało się: raz udało mi się piłkę odbić 12 razy bez dotknięcia ziemi. Nie pamiętam, czy był to rekord świata, lecz byłbym wtedy skłonny w to uwierzyć.

Wujek Franek miał jakieś łąki i pola, a był czas żniw. Ogromną frajdę sprawiała mi, podobnie jak moim siostram, podróż wozem drabiniastym wyładowanym do granic możliwości skoszonym zbożem. Prezentuję dowód – fotografia, na której

z siostrami i jeszcze jakimiś koleśkami stoimy tryumfalnie na szczycie załadowanej fury. Za chwilę miało się okazać, że ładunek był zbyt duży i ku naszej radości nastąpiła katastrofa – konie ruszyły i wóz runął. Z tym zbożem skoszonym wiąże się kolejna frajda; niezapomniane noce na sianie w stodole. Dzisiaj z pewnością bym się nie odważył.

W drugiej połowie lat 60. XX w. zaczęła dojrzewać we mnie pasja regionalistyczna. W 1970 r. ukończyłem kurs przewodników świętokrzyskich. Z literatury wiedziałem, że w 1241 r. miała miejsce wielka bitwa z Tatarami, jak przekazuje historia (Jan Długosz?) u Chmielnika. I oto teraz dowiaduję się od Darka Kaliny, że bitwa ta toczyła się na polach mojego wujka Franciszka w Kaczorowie. Skończyła się tragicznie dla polskiego rycerstwa, a w konsekwencji dla naszego regionu, lecz tak czy inaczej było to duże historyczne wydarzenie w dziejach Ziemi Kieleckiej oraz Rzeczypospolitej! Nie wykluczam, że gdyby mongolscy barbarzyńcy wiedzieli, że pole należy do mojego wujka Franka, poszliby łąć się gdzie indziej. Dzisiaj w okolicy na polach i łąkach odkopuje się mnóstwo ludzkich niepogrzebanych szczątków, a na powierzchni wprawne oko dojrzy tajemnicze kopce. Czy rzeczywiście znajdują się tutaj owe „tatarskie mogiły”? Kogo dzisiaj to jeszcze obchodzi? A Kaczorowa na mapach szukać daremnie.

Zdjęcia 6x6 wykonane zostały przez naszego tatę pseudolustrzanką Voigtlander Brillant z lat 30. XX w. Aparat stoi cały czas w moim kredensie i przypomina beztrudne lata dziecięce, podobnie jak wiele zdjęć w rodzinnych albumach.

Już kończę. Jeszcze kilka lat temu nie odważyłbym się pisać o czymś tak bardzo banalnym, osobistym i mało ważnym dla innych, jak wakacyjne wspomnienie odległych wakacji. Odważyłem się dzięki Oldze Tokarczuk, według której każdy człowiek powinien opowiadać oraz zapisywać „swoją historię”. To, co nieopowiedziane, niezapisane – ginie, ulega zapomnieniu. To, co zapisane, jak twierdzi nasza wielka noblistka, ma szansę stać się częścią literatury. Czuję się jak „czuły”, dodam – „sentymentalny” narrator.

Jerzy Osiecki

Opowieści ostatnie

Lubił rozmawiać. Siadaliśmy przy stole. Była obowiązkowa mocna herbata. Zbudował własny świat wartości, z tradycji, z obyczaju, doświadczeń dziewięćdziesięciu lat życia, polegania na własnej pracy na ziemi ojców i ograniczonym zaufaniu do politycznych dobrodziejów. Nie niósł starości jak brzemienia. Poczut potrzebę opowiedzenia siebie. Wcześniej nie mówił o sobie w taki sposób. Wspominał przeszłość tak, jakby niewiele zapamiętał. Zdawkowo, w jakichś strzępach zdarzeń. Nagle, w wieku, kiedy traci się pamięć, on opowiadał, dbając o szczegóły. Może potrzebny był mu słuchacz. A znalezienie dobrego słuchacza nie jest sprawą prostą. Dziś ludzie nie chcą słuchać. A jeśli już słuchają, to w pośpiechu, niedbale. Tłumaczą się brakiem czasu, zobowiązaniami. A po prawdzie nie są cierpliwi, nie potrafią słuchać ze zrozumieniem.

Dzieciństwo

Wieś, w której się urodził i wychował przylgnęła do wysokich na dwadzieścia, trzydzieści metrów brzegów doliny. Wjeżdżało się do niej przez wąskie wrota wyznaczone skarpami porośniętymi sosnowym lasem. Dalej były domy i budynki gospodarskie przyklejone do ścian ogromnej niecki, budowane przez okolicznych cieśli – architektów według potrzeb gospodarzy. Łączył je istny labirynt drózek, uliczek, ścieżek spinających prawie sto domostw umieszczonych na dole i na górze. Nikt obcy tego systemu połączeń nie znał. Przybysz mógł poruszać się drogą główną prowadzącą od wrót doliny do brzegu Rzeki szerokiej na kilkaset metrów. Jeśli chciał z niej zbiec, musiał pytać o drogę do kogoś, wymieniając nazwisko i przydomek, bo wielu mieszkających w dolinie nosiło te same nazwiska.

Strzegły wsi na jej krańcach kamienne krzyże z napisami zapewniającymi o ufności w Boga i jego opiekę.

Od strony rzeki dodatkowo ustawiono figurę Świętego Jana Nepomucena, powierzając mu ochronę przed powodzią. Wywiązywał się z tej roli znakomicie, zwłaszcza od kiedy wybudowano masywny, wysoki na kilka metrów wał przeciwpowodziowy.

Zło nie miało do wsi dostępu. A jeśli niekiedy ludzie go doświadczali, to brało się z ludzkiego grzechu ich samych, bądź miało postać siły potężnej, na którą żadną miarą wpływu nie mieli. Mogła mu się przeciwstawić jedynie jeszcze większa siła. Ze zwykłego grzechu zaś mogła uratować człowieka spowiedź i pokuta, a bywało, że i sądowa kara.

Dziwiny

Zło tajemnicze, nieznanne, diabelskie, ale pospolite nie wchodziło mieszkańcom doliny w drogę. Wyznaczyli mu miejsce o milę od wsi. Miało swoją dolinę długą, o wysokich ścianach porośniętych jałowcami i drzewami splątany gąszczem krzewów tarniny,

jeżyn i dzikiej róży. Zajrzeć do wnętrza doliny z jej brzegów nie było sposobu. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że dolina strzeże swojej tajemnicy. Nazwali ją Dziwin. Żaden mieszkaniec nie miał odwagi wdrzeć się do Dziwin, choć wielu o tym myślało. Kiedy opowiadał mi o tym miejscu, głos łamał się i widać było na jego twarzy emocje. Mówił, że tajemnicę Dziwin chciał poznać od dzieciństwa, choć rodzice przestrzegali przed chodzeniem do doliny.

Jakoś ze dwa albo trzy lata po wojnie z bolszewikami, z której wuj Władek wrócił ranny, ojciec nakazał mu pasać krowy razem z innymi chłopakami. Kiedyś pognali bydło nad brzeg tajemnej doliny. O zachodzie słońca dostrzegli dym unoszący się z dna Dziwin. Ciekawość wzięła górę. Przedarli się przez gęstwinę, z wysoka, ukryci przyglądali się dziwnym postaciom czarnych skrzących wysokich na mniej niż metr, które w jakimś tajemniczym tańcu płasały wokół płonącego ogniska. Skąd wzięły się te postacie, ich ruchy i powykręcane nienaturalnie ciała? Ogarnął ich strach. Uciekali z Dziwin przez gęstwinę i gnali bydło do obór. Kiedy po dwóch dniach większą gromadą, odważniejsi wspólną odwagą patrzyli z zarośli na dół doliny, nie było śladów ogniska. Rosły jałowce i zielona trawa. Starsi mówili, że nie oni pierwsi próbowali odkryć tajemnicę Dziwin. Wiadomo było, że nawet drogą do Buczyn, która wiodła u wlotu doliny tajemnej, lepiej nocą nie chodzić, bo nie wiadomo co też tam może człowieka spotkać. Myślał nieraz o przejściu Dziwin, od początku do końca, żeby wszystko dokładnie zobaczyć. Ale nigdy się nie odważył.

Rzeka

Świat jego dzieciństwa odgradzony od południa Dziwinami, od wschodu zamykała Rzeka. Była potężna. Toczyła ogromne masy wody, w której pływały ryby. Bał się Rzeki, bo też miała swoje tajemnice. Płynizny zmieniały się w podwodne urwiska. Jeden błąd, ruch lub krok nieprzemyślany mógł sprawić, że człowiek pozostawał w Rzece na zawsze. Mówił, wyraźnie to przeżywając. Najbardziej zaprzyjaźniony z Rzeką był ojciec. Była ona częścią jego życia. Ojciec każdy dzień zaczynał od pójścia na brzeg Rzeki. Ścieżką, pomiędzy drzewami kwitnącymi wiosną. Tą samą ścieżką, wydeptaną w grubej warstwie śniegu, szedł każdego zimowego dnia w ciężkich butach i kożuchu

kupionym od Abrahama Rozenwajga, który z kolei kupował od niego ryby. Potem wracał do chałupy, siadał przy palenisku i ogrzewał ręce i twarz, a na jego długich wąsach topiły się kryształki lodu. Matka patrzyła na ten ojcowski rytuał z pobłażaniem, a czasem reagowała kpinią. – No i co, sprawdziłeś, płynie na północ, czy się zawróciła? – pytała ojca.

Na Rzece kołysały się ojcowe łódki przytwierdzone do nadbrzeżnych topól cienkimi łańcuchami. Sieci przynosił na brzeg sam, czasem pomagał mu Abraham. Kiedy miał piętnaście lat, ojciec uznał, że czas na rybacki chrzest. Zbudził go o trzeciej nad ranem. Idziemy na Rzekę – powiedział. Zaspany szedł za ojcem, niosąc wiosła. Potem polecił mu wejść do łodzi i popłynęli. Było szaro.

Na środku Rzeki ojciec nakazał mu wysoko zawinąć nogawki portek i wyjść z łódki. Bronił się, ale przeważały stanowcze: wysiadaj! Woda w tym miejscu nie była głęboka. Stał bosymi stopami na piasku, zanurzony powyżej kolan. Trzymał sieć. Ojciec odpłynął, zniknął we mgle. Stał i kłął. Przysięgł sobie i Rzece, że nigdy nie będzie rybakiem.

Wojna

Wojna była w jego życiu najbardziej dramatyczna. Przyszła do wsi nagle. Niemieckie wojsko było zmotoryzowane. Spieszyli się, pędzili na wschód. Dwaj żołnierze na trzykołowym motocyklu jechali tak szybko, że nie zauważyli, iż droga kończy się stromym urwiskiem wysokim na piętnaście metrów. Spadli. Zabili się, czyli polegli ku chwale swojej hitlerowskiej ojczyzny. Miejscowi chłopci nie mogli pojąć, jakiemu ulegli złudzeniu owi Niemcy na motocyklu, nie dostrzegając urwiska. Żołnierze zajęli zabudowania. Zorganizowali własne zaplecze do spania, jedzenia, prania. Czekali na urządzenie przeprawy na Rzece. Most był zniszczony. Matka potraktowała ich zwyczajnie, nie jak wrogów, ale młodych ludzi zabranych z domów na wojnę. Była chyba zbyt życzliwa. W dowód wdzięczności przynieśli jej męską koszulę, która po jakimś czasie, w wojennej biedzie i niedostatku przydała mu się i była przyczyną kłopotów, kiedy Niemcy wracali ze wschodu pędzeni przez Rosjan. Zanim front stanął na Wiśle wysiedlili Niemcy wszystkich, odsuwając na jakieś dziesięć kilometrów od Rzeki, do innych wsi. Wciśnięci do ciasnych ob-

cych chałup, do komórek i szop zimą wegetowali, przymierając z głodu i zimna. Jego dwoje małych dzieci umarło. Teren, na którym znajdowały się ich domy zamknęło wojsko okupacyjne. Zakazano wstępu do własnych gospodarstw. Mimo to odważył się przedostać, by wziąć trochę ziemniaków z piwnicy i proste przedwojenne radio słuchawkowe schowane w ścianie domowego pieca chlebowego. Niestety, został dostrzeżony przez niemieckiego wartownika i doprowadzony do dowódcy tego odcinka umocnień frontowych. Ten rozpoznał niemiecką koszulę, którą miał na sobie, podarowaną matce przez żołnierza we wrześniu 1939 r. Otrzymał potężny cios w głowę i został oskarżony o przynależność do partyzantki, czyli bandytów, którzy zabijają Niemców. Bo skąd miałby mieć koszulę. Jednak nie zastrzelono go na miejscu, choćby za przyfrontowe szpiegostwo. Pod bronią został odstawiony do odległego o osiem kilometrów aresztu i zamknięty w budynku folwarcznym strzeżonym przez wartowników. Miał czekać na osądzenie. Czuł, że może zginąć. Postanowił uciec, kiedy strzegący aresztantów wartownik zdrzemnął się na pryczy, ukradł mu bagnet, wybił szybę niewielkiego okienka, przecisnął się przez nie i spadł z wysokości kilku metrów. Uciekał. Pomógł mu gospodarz z sąsiedniej wsi, karmiąc i wyprowadzając z zagrożonej strefy. Leżał zakopany w oborniku, kiedy szukali go w miejscu czasowego zamieszkania. Udało się. Przeżył. Wcześniej niejedną raz rozmawiali o śmierci z Ludwikiem, kuzynem i przyjacielem, starszym od niego o kilkanaście lat. Wspierali się w złych wojennych czasach. Razem organizowali struktury Batalionów Chłopskich. Z jednej wsi kilkunastu mężczyzn zdecydowało się złożyć przysięgę. Ludwik miał przecucie śmierci. Teraz kiedy mówi o nim, łzy płyną po jego twarzy. Opowiada, jak w Wigilię 1943 r. podczas składania życzeń i łamania się opłatkami nagle usłyszał z ust Ludwika dziwne życzenie: chciałbym, żebyś był przy mojej śmierci. Potem myślał o tym wielokrotnie. Kiedy w styczniu 1945 r., po przejściu frontu wrócili do zniszczonej w siedemdziesięciu procentach rodzinnej wsi, zabrali się do odbudowy, do naprawiania ścian i dachów, do szukania drzwi domów, które Niemcy zabrali, by umocnić ściany okopów. Naprawiał zniszczony dach, kiedy od strony rzeki usłyszał odgłos wybuchu. Dotarł na miejsce i zobaczył Ludwika we krwi. Wszedł na niemiecką minę, kiedy próbował znaleźć drzwi od swojego domu. Wyciągnął przyjaciela, ułożył na słomie i chciał dowieźć wozem

do odległego o trzydzieści kilometrów szpitala. Niestety, nie dowiózł. Ludwik zmarł z upływu krwi. Był ostatnią ofiarą działań wojennych na tym terenie.

Po sforsowaniu Rzeki na polach i łąkach nadrzecznych leżały setki trupów żołnierzy Armii Czerwonej, którzy forsowali Rzekę. Zgłosił się do niego lejtnant. Przekładał z ręki do ręki pistolet maszynowy. Upewnił się, że trafił do sołtysa i obwieścił, że będzie organizował pochówki dla poległych bohaterów. Zrobił dłuższą pauzę w przemowie. Przełożył broń z ręki do ręki, usiadł na pieńku i zapytał, czy ma w domu wódkę. Nie miał. Dostał więc rozkaz, by znalazł. Poszedł szukać u sąsiadów. Znalazł butelkę bimbru, który ktoś zakopał przed wysiedleniem. Zadowolony lejtnant wypił bimbier, zjadł ugotowane ziemniaki i poszedł. Nie wrócił więcej. Miejscowi chłopcy pochowali zabitych żołnierzy na polach. Leżą tam do dzisiaj.

Pszczoły

Kiedy mówi o pasiece, ożywia się i uśmiecha. Ule stały tuż za domem, zaledwie kilka metrów od wejścia. Było ich ponad trzydzieści. Pszczoły traktowane łagodnie, kiedy nikt nie zakłócał ich życia i pracy nie stanowiły żadnego zagrożenia. Jego ojciec zajmował się pasieką do swojej śmierci w 1942 roku. Leżał ciężko chory, kiedy zawołał go do siebie. Przekazał mu pasiekę i zobowiązał do opieki nad nią. Powiedział jakie prace pszczelarskie powinien zrobić, którymi ulami należy zająć się bez zwłoki. Przyjął ten testament pszczelarski, bardzo go przeżył. Nie mógł spać w nocy. Myślał o tym, jak poradzi sobie z wykonaniem ojcowskich poleceń. Woli ojca, by został rybakiem, nie przyjął. Życzenie, by przejął pasiekę i został pszczelarzem, przyjął bez protestu. Wcześniej obserwował ojca, pomagał mu czasem przy pszczołach. Kiedy został gospodarzem pasieki, uczył się szybko, zdobywał doświadczenie, by w konsekwencji zostać lokalnym pszczelarskim autorytetem. Polubił pszczoły. Spędzał przy ulach wiele godzin. Niemal każdego dnia doglądał pasieki, przez sześćdziesiąt siedem lat. Miał dziewięćdziesiąt trzy lata, kiedy zaproponował mi bym ja przejął jego pasiekę. Pomyślałem chwilę i powiedziałem, że to niemożliwe. Nie będę mógł zajmować się trzydziestoma ulami, które stoją sto kilometrów od mojego domu. Powiedział wtedy: umiera pszczelarz, to i pszczoły umrą, a z oczu pociekły mu łzy.



Pałac Biskupi w Kielcach

Grzegorz Wiatr

Powrót postów...

Fasada Pałacu Biskupów Krakowskich to wizerunkowa ikona Kielc, znana i jednoznacznie utożsamiana z tym, co jest najcenniejsze w dorobku kulturalnym regionu. Każdy kielczanin ma jakieś wspomnienia z tym pięknym budynkiem na Wzgórzu Zamkowym obok Katedry. Jednak poza wąskim kręgiem specjalistów, historyków i pasjonatów mało kto wie, że wizerunek fasady pałacu jest niepełny.



Posłowie moskiewscy

Brakuje czterech rzeźb figuralnych o dość znacznych rozmiarach. Każda z nich miała ok. 2,7 metra wysokości i ważyła blisko tonę¹. Znajdowały się ponad bramami do tzw. międzymurzy, zlokalizowanych pomiędzy fasadą pałacu a wieżami. To tam, pomiędzy zachowanymi do dzisiaj obeliskami, stały „osoby kamienne wielkie ryte cztery, z przodu po lewej stronie na kształt Moskwićinów, na prawej na kształt Szwedów”². Były to postacie posłów szwedzkich i moskiewskich, w strojach typowych dla pierwszej połowy XVII wieku. Rzeźby po prawej stronie to szwedzcy oficerowie w charakterystycznych kapeluszach z szerokim rondem i kryzach pod szyją (okrągły, marszczony, plisowany kołnierz, modny w tym okresie) kaftanie i wysokich butach. Po stronie lewej to posłowie moskiewscy, w strojach odbiegających znacząco od ówczesnej modły europejskiej. Głowy zdobiły im wysokie, szpiczaste czapy, a tułów okrywał długi, pikowany płaszcz, sięgający aż do ziemi. Wszystkie postacie trzymały w jednej z dłoni rulon, przypominający zwój pergaminu.

Powstaje pytanie skąd tak nietypowy wybór tematyki wystroju fasady głównej pałacu i co przemawiało

za umieszczeniem takich kolosów w tym miejscu? Odpowiedzią jest życiorys fundatora tej rezydencji – biskupa Jakuba Zadzik. On to, po śmierci biskupa Jana Albrechta Wazy w 1635 roku, opuścił biskupstwo chełmińskie i w podeszłym wieku został biskupem krakowskim. Miał za sobą obok kościelnej, również wspaniałą karierę polityczną, której rozpamiętywanie było inspiracją wystroju pałacu w Kielcach. Miał być swoistym pomnikiem jego osoby, akcentując dokonania, z których szczególnie był dumny. Obecność czterech posłów to ślad po pertraktacjach pokojowych, w których Zadzik jako kanclerz wielki koronny brał udział. Rozejmy ze Szwecją w 1629 i 1635 oraz pokój z Rosją w 1634 uważał za swoją osobistą zasługę³. Kielceki pałac miał o tym zaświadczać zarówno wystrojem zewnętrznym jak i wewnętrznym. Odsunięty na starość od splendorów, schorowany i świadomy upływającego czasu biskup, budował pałac w pośpiechu, nie szczędząc na to środków. Zatrudnił takie sławy jak architekt królewski Jan Trevano, budowniczy Tomasz Poncino oraz warsztat malarzski Tomasza Dolabelli. Wspomnianymi figurami oraz całym wystrojem rzeźbiarskim zajęli się dwaj czeladnicy kamieniarscy Jan Sterpnowski i Szymon

¹ Są to informacje od Grzegorza Świerczyńskiego, autora rekonstrukcji figur posłów.

² Inwentarz z 1645 r, k. 207, (aneks II)

³ J.L. Adamczyk, *Wzgórze Zamkowe w Kielcach*, Kielce 1991, s.24



Posłowie szwedzcy

Krzyżanowski, poleceni przez rzeźbiarza Janusza Oleksego z Chęcin⁴.

Fundator pałacu niestety nie zdążył zamieszkać w nowej rezydencji. Złożony chorobą umiera 17 marca 1642 r. w Bodzentynie. Pomimo iż nie doznał końca budowy, pałac został w całości wzniesiony zgodnie z jego wyobrażeniem⁵.

Fasada przez lata funkcjonowania nie ulega większym zmianom aż do lat 60 tych XIX wieku. Po przejęciu w 1789 r. dóbr biskupich roku przez skarb Rzeczypospolitej, w pałacu mieściła się Dyrekcja Górnicza ze Szkołą Akademiczno-Górnica⁶ a potem wszelkie władze administracyjne. Po powstaniu styczniowym utworzono gubernię kielecką i do pałacu wprowadza się carski gubernator. W ramach represji każe on m.in. usunąć rzeźby z fasady.

⁴ M. Wardzyński, *Nowożytny ośrodek kamieniarsko rzeźbiarski w Chęcinach. Zarys historii od 4. Ćwierci XVI do końca XVII wieku* [w:] Chęciny przez stulecia, Chęciny – Warszawa 2019, s. 93. Informację tą potwierdził również autor publikacji podczas przeprowadzonej rozmowy.

⁵ Informuje o tym tekst inskrypcji łacińskiej na marmurowej tablicy w katedrze kieleckiej.

⁶ J.L. Adamczyk, T. Wróbel, *Portrety zabytków Kielc*, Kielce 2006, s. 8

To wydarzenie najlepiej obrazuje wspomnienie naczelnego świadka, Karola Drymmera, umieszczone w roku 1932 w jednym z kieleckich wydawnictw: *[...] Przyszło powstanie. Utworzono gubernię kielecką. W zamku zamieszkał gubernator. Temu nie podobało się mieszkać, jak mówiono, w kościele katolickim. Wszystko, co przypominało w kraju świetność Polski, starano się niszczyć, burzyć. Więc w Kielcach nowe wieże zamkowe zburzono (chodzi tu o usunięcie barokowych hełmów, odnowionych kilka lat wcześniej i zastąpienie ich płaskimi, czterospadowymi daszkami – przyp. autora), wszystkie odrzwia marmurowe z insygniami biskupimi wyrwano, zmieniając je zwyczajnymi drewnianymi. Marmury poszły do soboru prawosławnego, który zaczęto budować. Figury kamienne: dwóch moskwiczinów i dwóch Szwedów, które stały nad bramami pomiędzy wieżami a głównym korpusem zamku, zrucono z piętrowej wysokości i pogruchotano na kawałki, nie pozwalając naczelnikowej Zielińskiej zabrać do swojej galerji obrazów. Ocalałą w całości głowę jednej z figur, zegarmistrz Brzechwa zabrał, aby powiększyć wagę ciężaru, przywodzącego w ruch zegar na dzwonnicy kościelnej, o czym władze, dowiedziawszy się,*



Posłowie moskiewscy



Posłowie szwedzcy



głowę zabrały i potłukły, a zegarmistrza pociągnięto do tłumaczenia się.⁷

Zajadłość z jaką potraktowano rzeźby fundacji biskupa Zadzika było znamienne i mocno utrwaliło się w świadomości ówczesnych kielczan. Postacie z fasady były świadectwem triumfu Rzeczypospolitej u szczytu potęgi, kiedy zarówno Szwedzi jak i Moskale pokornie prosili o pokój.

Po odzyskaniu niepodległości powstało szereg inicjatyw, mających na celu przywrócenie świetności dawnego pałacu biskupów krakowskich. Odbudowano barokowe hełmy, cerkiew zburzono a zrabowane z wnętrza pałacowych marmurowe portale wróciły na swoje miejsce. Od kilku lat cieszymy się rekonstrukcją ogrodu włoskiego oraz schodzących do niego schodów. Pozostały nieszczęsne figury z fasady, które już od tej wiosny stoją na cokołach po blisko 150 latach nieobecności. Pełna rekonstrukcja rzeźb posłów jest częścią projektu kompleksowego remontu budowlano-konserwatorskiego elewacji pałacu, siedziby Muzeum Narodowego w Kielcach, z ramienia którego nadzoruję prace konserwator-

skie. Miałem przyjemność brać udział m.in. w całym procesie powstawania ww. rzeźb, począwszy od prac nad modelami w skali 1:1 aż po wykonanie całych postaci w kamieniu. W odtworzenie figur zaangażowany był cały zespół specjalistów, począwszy od Akademii Sztuk Pięknych z Krakowa i Warszawy, instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego, oraz dyrekcji i pracowników Muzeum Narodowego w Kielcach. Rekonstrukcje powstały na podstawie głębokiej analizy starych rycin i archiwalnych zdjęć fasady. Przedyskutowany został każdy element ubioru oraz sposób obróbki kamienia, charakterystyczny dla warsztatu z kręgu Jana Oleksego z Chęcín.

W tym roku remont zostanie zakończony, a zamontowanie tych blisko tonowych kolosów na fasadzie jest ukoronowaniem dzieła, przysłowiową wisienką na torcie tej inwestycji. Wreszcie będziemy mogli zobaczyć fasadę pałacu wg zamysłu biskupa Jakuba Zadzika, kanclerza wielkiego koronnego na dworze dwóch królów z dynastii Wazów

Autorem prezentowanych na zdjęciach rekonstrukcji jest Grzegorz Świerczyński

Fotografie Grzegorz Wiatr

⁷ *Pamiętnik Koła Kielczan*, Tom V, Kielce – Warszawa 1933, s. 63. Szczególne podziękowania dla pana Darka Kaliny, którego rozpoznanie literatury regionalnej jest godne podziwu.



Starachowice zniszczone po I wojnie

mjr rez. dr Tadeusz Banaszek

Garnizony wojska polskiego w regionie świętokrzyskim

Garnizon Wierzbnik w pierwszych latach niepodległej Polski

Wierzbnik, obecnie część miasta Starachowice, w latach 1624-1870 i 1916-1939 był odrębnym miastem. W 1939 r. połączono Wierzbnik, osadę fabryczną Starachowice oraz wieś Starachowice i utworzono Starachowice-Wierzbnik.

Na przełomie października i listopada 1918 roku wraz z tworzeniem państwa rozpoczęto organizowanie Wojska Polskiego. Obszar ziem polskich, podległych Radzie Regencyjnej, na podstawie rozkazu Szefa Sztabu Generalnego WP gen. Tadeusza Jordana Rozwadowskiego z dnia 30 października 1918 roku podzielono na okręgi wojskowe. Powiaty: opatowski, sandomierski, iłżecki, radomski i kozienicki weszły

w skład Okręgu Wojskowego Nr IV Radom, którym dowodził płk Leon Bilewicz. Okręg ten był podporządkowany Dowództwu Okręgu Generalnego (DOGen.) Nr III Kielce i istniał do lata 1919 roku.

W skład OGen. Nr III Kielce weszły cztery okręgi wojskowe: Nr IV Radom, Nr V Kielce, Nr VI Piotrków Trybunalski i Nr VII Częstochowa, zajmujące



Gen. Tadeusz Samuel Szymon Jordan Rozwadowski herbu Trąby

ogólny obszar 29 265 km² i zamieszkały przez około 2 400 tys. ludności. OGen. Kielce obejmował czternaście powiatów przysłego województwa kieleckiego i trzy powiaty z województwa łódzkiego. W sierpniu 1919 roku w skład OGen. Kielce włączono Okręg Wojskowy Będzin (powiaty będziński i olkuski), będący dotychczas w OGen. Nr V Kraków. Natomiast powiat kozienicki wszedł w podległość OGen. Nr II Lublin. Wówczas OGen. Nr III Kielce tworzyło osiemnaście powiatów (w tym piętnaście należących do województwa kieleckiego), zajmujących powierzchnię 30 155 km² z 2 912 tys. ludności. Powiat iłżecki wraz z powiatem opatowskim wszedł w skład garnizonu Ostrowiec.

Jednymi z pierwszych instytucji tworzących terytorialną administrację wojskową były Powiatowe Komendy Uzupelnień (PKU). PKU Radom, obejmująca zasięgiem powiaty: radomski, kozienicki, opatowski, iłżecki i sandomierski, działała do września 1919 roku, kiedy wprowadzono podział kraju na pułko-

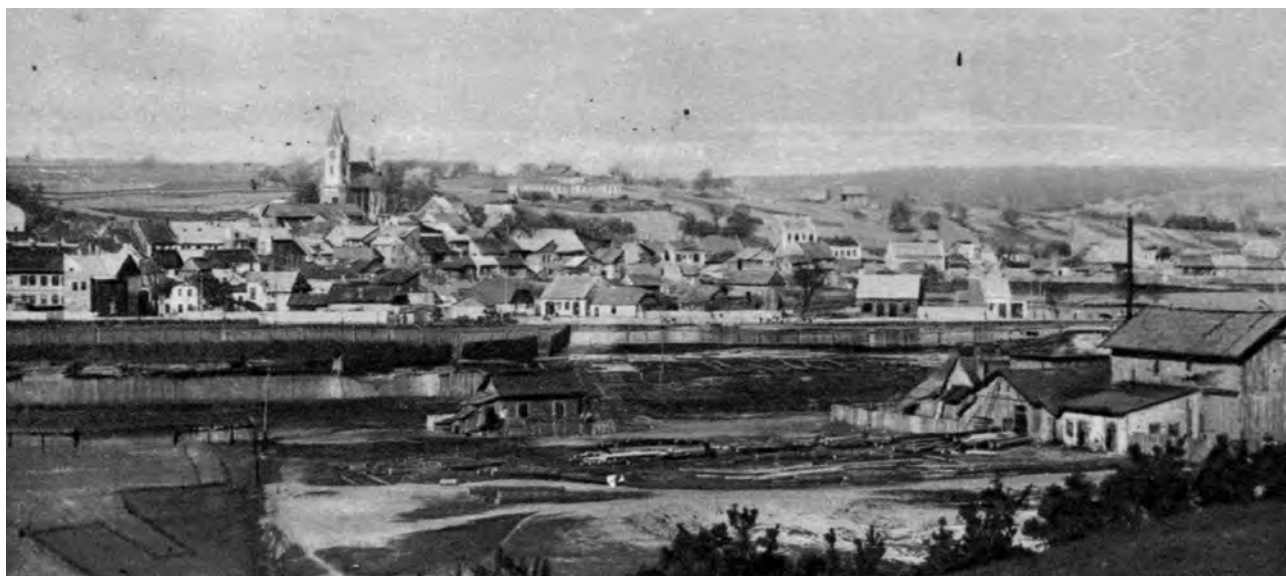
we okręgi uzupełniające. W każdym powiecie jako organ pomocniczy i wykonawczy PKU utworzono stanowiska oficera ewidencyjnego, który sprawował w powiecie zadania PKU. Do pomocy oficer ewidencyjny otrzymywał jednego pisarza i jednego szeregowego jako ordynansa kancelaryjnego. Latem 1919 roku nastąpiła likwidacja okręgów wojskowych oraz zmiana nazwy PKU – na PKU 3 pułku piechoty Legionów (ppLeg.), która odtąd obejmowała zasięgiem powiaty radomski i iłżecki.

Oficer ewidencyjny w Wierzbniku w lutym 1921 roku składał się z sześciu urzędników, wykonujących zadania związane z poborem do wojska.

W związku z nasileniem strajków w Zakładach Starachowickich, w okresie od 29 lipca do 30 sierpnia 1919 roku skierowano do Wierzbnika z Kielc III batalion 26 pp, który wcześniej powrócił z walk z Frontu Galicyjsko – Wołyńskiego. Żołnierze mieli za zadanie utrzymywać porządek publiczny w przypadku wystąpień robotniczych, czyli pełnić tzw. służbę asystencyjną.

W dniu 23 lipca 1919 roku do Ostrowca przybył z Kozienic batalion zapasowy 24 pp, którego zadaniem było przyjmowanie i szkolenie poborowych przysłanych z PKU 24 pp Opatów, a następnie wysyłanie ich jako kompanie marszowe (tzw. marszówki) do pułku walczącego na froncie. Batalion zapasowy utworzono w Radomiu pod koniec lutego 1919 roku, skąd pod koniec kwietnia został on przeniesiony do Kozienic. 24 pp wchodził organizacyjnie w skład 2 Dywizji Piechoty Leg. (DPLeg.). Batalion zapasowy składał się z: dowództwa (sztab, izba chorych, komisja kasowa, prowiantura, magazyn broni), czterech kompanii zapasowych (trzech strzeleckich i jednej ozdrowieńców), zapasowej kompanii karabinów maszynowych oraz szkoły podoficerskiej, tworzonej przy jednej z kompanii zapasowych. Dowódcą batalionu i jednocześnie dowódcą garnizonu Ostrowiec byli kolejno: ppłk Wacław Kluczyński, mjr Feliks Dobrowolski i płk Kazimierz Chromiński. Batalion zapasowy pp składał się ze stanu stałego żołnierzy (23 oficerów, 143 podoficerów i szeregowych) oraz stanu zmiennego – żołnierzy szkolonych. W batalionie pełniło służbę 23 oficerów.

Kompanie batalionu rozmieszczono w Ostrowcu, Bodzechowie, Opatowie i Wierzbniku. W Wierzbni-



Widok ogólny Wierzbnika w okresie międzywojennym

ku stacjonowała od 9 września 1919 r. 2 kompania zapasowa. W lutym 1920 r. stan 2 kompanii zapasowej wynosił ponad trzystu żołnierzy.

W związku z ofensywą Armii Czerwonej latem 1920 r. część oddziałów wojskowych z zagrożonych terenów została ewakuowana na obszar OGen. Kielce. Na teren garnizonu Ostrowiec przybyły wówczas następujące jednostki: batalion zapasowy Lidzkiego pp (do Ostrowca) dowodzony przez mjr Adasiewicza, batalion zapasowy 9 pp Legionów z Zamościa (do Opatowa), batalion zapasowy 43 Pułku Strzelców Kresowych z Krasnegostawu (do Wierzbnika i Wąchocka), szwadron zapasowy 12 pułku ułanów z Zamościa (do Bodzechowa) pod dowództwem ppłk Rudnickiego, kompania telegraficzna jazdy nr 7 (do Ostrowca) oraz PKU Chełm (do Wierzbnika). W sierpniu 1920 roku do Wierzbnika przybył batalion zapasowy 43 pp Strzelców Kresowych, który stacjonował przez trzy tygodnie. Żołnierze tej jednostki dopuszczali się nadużyć wobec ludności i władz miasta. Starosta iłżecki wniósł zażalenie na postępowanie żołnierzy do wojewody kieleckiego i dowódcy Okręgu Generalnego Kielce. Decyzją przełożonych dowódcy batalionu mjr Kowzan został ukarany naganą. PKU Chełm stacjonowała w Wierzbniku przez dwa tygodnie sierpnia.

W Wierzbniku do lutego 1921 r. funkcjonował posterunek żandarmerii wojskowej wydzielony ze składu plutonu żandarmerii w Radomiu, do którego zadań

należało pełnienie służby porządkowej w zakresie przestrzegania dyscypliny przez żołnierzy, wyłapywanie dezertersów oraz wspieranie policji w utrzymaniu porządku publicznego. Jednak ze sprawozdania starosty iłżeckiego za okres kwiecień 1920 r. – kwiecień 1921 r. wynika, iż żandarmeria nie wykazała odpowiedniej sprawności, przez co Starostwo zmuszone było wielokrotnie prosić o interwencję DOGen.”

W latach 1919-1921 relacje pomiędzy WP a władzami administracyjnymi i społeczeństwem nie zawsze układały się pozytywnie. Niekiedy miały miejsce nieporozumienia związane z zachowaniem żołnierzy czy też nadmierne żądania ze strony wojska w związku z zakwaterowaniem, wyżywieniem czy udziałem żołnierzy w działaniach asystencyjnych polegających na ściąganiu obowiązkowych kontyngentów żywnościowych od ludności.

Do miejscowości, w których zalegano z obowiązkowymi dostawami kontyngentów wysyłano karne ekspedycje wojskowe. Przykładowo żołnierze interweniowali w powiecie będzińskim, jędrzejowskim, stopnickim, pińczowskim i iłżeckim. Nierzadko żołnierze i żandarmi podczas interwencji zastraszały ludność i znęcały się fizycznie nad opornymi płatnikami, a niekiedy sami przywłaszczali sobie zarekwirowaną żywność. Chłopi z powiatu iłżeckiego skierowali na postępowanie żandarmów skargę do starosty.

Starosta iłżecki w marcu 1921 r. skarżył się o bezskutecznej prośbie skierowanej do wojewody kieleckiego



Ulica Starachowicka w Wierzbniku w okresie międzywojennym

w sprawie przydziału oddziału wojskowego w celu zabezpieczenia Zakładów Starachowickich podczas strajku powszechnego.

Powiatowa Komenda Uzuppełnień Wierzbik

W listopadzie 1921 r. w związku z przejściem WP na organizację pokojową, przeprowadzono reorganizację terytorialnych władz wojskowych (przez zlikwidowanie dowództw okręgów generalnych i utworzenie dziesięciu okręgów korpusów) oraz PKU. Województwo kieleckie pod względem wojskowym weszło w skład czterech okręgów korpusów (OK): nr I Warszawa, nr IV Łódź, nr V Kraków i nr X Przemyśl. Powiat iłżecki wszedł w skład OK Nr X Przemyśl.

W 1925 r. w Polsce istniało 107 PKU, a w lutym 1939 r. – 127 Komend Rejonu Uzuppełnień (KRU). PKU 4 ppLeg. w Kielcach przeformowano na PKU Kielce, podlegającą Dowództwu OK Nr X w Przemyślu. Instytucja zajmowała się uzuppełnianiem formacji ewidencyjnych sił zbrojnych oraz administracją rezerw osobowych. Terytorialnie PKU obejmowała powiat kielecki i do 1927r. powiat iłżecki.

W 1925 r. podzielono powiatowe komendy uzuppełnień na trzy typy, w zależności od liczby ludności zamieszkującej administrowany teren. Do I typu zaliczono komendy obejmujące obszar zamieszkały przez ponad 300 tys. mieszkańców, do II – z lud-

nością do 300 tys., a do III – do 200 tys. Z dniem 1 października 1927 r., w wyniku zmiana w podziale obszaru Polski na powiatowe komendy uzuppełnień, utworzono PKU Wierzbik obejmującą powiat iłżecki. Była jedną z jedenastu PKU w województwie kieleckim. PKU Wierzbik należała do III typu. W skład PKU wchodziły następujące komórki: Referat I (Administracji rezerw osobowych), Referat II (Poborowy), Referat III (Inwalidzki) oraz Kancelaria. W dniu 1 grudnia 1933 r. PKU składała się z: 4 oficerów, 5 podoficerów, 4 szeregowych oraz 10 urzędników państwowych. Funkcję komendanta pełnili kolejno następujący oficerowie: mjr Kołodyński, mjr Michał Walenty Paykart, mjr Lucjan Trzebiński. W swojej działalności PKU ściśle współpracowała z organami administracji państwowej oraz z wieloma organizacjami społecznymi, zwłaszcza o charakterze paramilitarnym (np. Związkiem Strzeleckim, Ligą Obrony Powietrznej Państwa, Ligą Morską i Kolonialną, organizacjami kombatanckimi). Taka współpraca miała istotne znaczenie dla ugruntowania pozycji administracji wojskowej w strukturach państwa.

Po wydaniu nowej ustawy o powszechnym obowiązku służby wojskowej w 1924 r., wszystkie czynności przygotowawcze do poboru, jak również jego przeprowadzenie, przejęły cywilne władze administracyjne. Natomiast głównym zadaniem PKU było

rozdzielanie poborowych do poszczególnych jednostek wojskowych, ewidencja rezerw osobowych i przeprowadzanie mobilizacji, żołnierzy rezerwy.

Do czynności PKU w zakresie poboru należało: wyznaczenie wojskowych członków do komisji poborowych i komisji rozjemczych, prawo sprzeciwu w sprawach przyznania skrócenia lub odroczenia służby wojskowej w komisjach poborowych, przyjmowanie zgłoszeń ochotników do wojska, przeznaczanie poborowych do poszczególnych rodzajów broni, prowadzenie drugiego egzemplarza listy poborowych, zestawienie wykazów statystycznych o wynikach poboru potrzebnych do celów wojskowych, wcielanie poborowych do jednostek wojskowych.

Istotnym problemem był stan zdrowia poborowych. Na podstawie analizy stanu zdrowotności poborowych z województwa kieleckiego rocznika 1907 w 1928 r. wynika, że z powiatu iłżeckiego choroby płuc stwierdzono u 4,5 % poborowych, jaglicę – u 2 %, a choroby serca i naczyń krwionośnych u 1,09 % poborowych. W 1933 roku podczas poboru rocznika 1912 z PKU Wierzbnik gruźlica występowała u 0,5 % poborowych, wole – 5,2 %, jaglica –

2 %, choroby serca – 1,9 do 3,2 %. Dane te świadczą o niskim stanie zdrowotnym młodych mężczyzn, pochodzących głównie z rodzin chłopskich.

Zgodnie z obowiązującymi w okresie międzywojennym przepisami największa liczba poborowych z obszaru Okręgu Korpusu Nr X wcielana była do jednostek wojskowych dyslokowanych w tym okręgu. Zasadą było również to, iż każdy pułk piechoty miał otrzymywać rekrutów zasadniczo z jednej najbliższej PKU, natomiast w przypadku niedoboru pułki otrzymywały uzupełnienie z innych PKU. Pozostałe rodzaje broni, jak np. artyleria, kawaleria, wojska saperskie, tabory, żandarmeria były uzupełniane przez wszystkie PKU znajdujące się w danym okręgu korpusu. Natomiast do broni technicznych, takich jak wojska łączności, lotnictwo, broń pancerna oraz artyleria ciężka wcielano poborowych z PKU z całego kraju. Należy podkreślić, że władze wojskowe sporządzały specjalny rozdzielnik, na mocy którego niemal całkowicie eliminowano poborowych wywodzących się z mniejszości narodowych z jednostek żandarmerii, łączności, lotnictwa, wojsk samochodowych, taborów. Przyczyną takiego postępowania były zarówno względy polityczne (obawy władz wojskowych

Tabela. Zestawienie wcielenia poborowych rocznika 1909 z PKU Wierzbnik do jednostek piechoty i artylerii jesienią 1930 r.

Nazwa jednostki wojskowej, garnizon	Liczba Polaków	Liczba Żydów	Razem
3 pułk piechoty Legionów Jarosław	30	10	40
3 pułk piechoty Legionów Jarosław – dla 25 batalionu KOP Czortków	20	1	21
2 pułk strzelców podhalańskich Sanok	40	10	50
2 pułk strzelców podhalańskich Sanok – dla 26 batalionu KOP Żytyń	10	-	10
5 pułk strzelców podhalańskich Przemyśl	30	4	34
17 pułk piechoty Rzeszów	30	3	33
17 pułk piechoty Rzeszów – dla 23 batalionu KOP Orany	35	1	36
38 pułk piechoty Przemyśl	30	2	32
38 pułk piechoty Przemyśl – dla 17 batalionu KOP Dawidgródek	20	1	21
39 pułk piechoty Jarosław	30	6	36
6 pułk artylerii ciężkiej Lwów	18	-	18
2 pułk artylerii polowej Legionów Kielce	10	-	10
22 pułk artylerii polowej Rzeszów	10	4	14
10 pułk artylerii ciężkiej Przemyśl	2	2	4
Razem	315	44	359

Źródło: Wojskowe Biuro Historyczne – Centralne Archiwum Wojskowe, Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych, sygn. I.302.4.350.

związane z działalnością wywiadowczą), jak również niski poziom wykształcenia poborowych z mniejszości narodowych.

PKU Wierzbnik powoływała do odbycia służby wojskowej poborowych głównie do następujących garnizonów: Jarosław, Rzeszów, Przemyśl, Kielce (tabela). 78 % poborowych wcielanych było do jednostek podstawowych rodzajów wojsk – piechoty i artylerii dyslokowanych na obszarze Okręgu Korpusu Nr X. Część poborowych z jednostek piechoty i kawalerii po odbyciu sześciomiesięcznego szkolenia było przenoszonych do jednostek Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP), specjalnej formacji wojskowej pełniącej służbę na granicy Polski z ZSRR, Litwą i Łotwą oraz częściowo z Rumunią i Niemcami (Prusami Wschodnimi). Do służby w KOP zgodnie z obowiązującymi wytycznymi kierowano poborowych o najlepszych warunkach zdrowotnych i odpowiednich wartościach moralnych.

PKU administrowała także żołnierzami rezerwy, którzy mieli nadane przydziały mobilizacyjne do jednostek wojskowych i powoływani byli na ćwiczenia wojskowe. Przykładowo w 1930 roku szeregowi rezerwy byli powoływani do jednostek piechoty i artylerii od pierwszej połowy maja na okres sześciu tygodni, natomiast oficerowie i podchorążowie rezerwy w kilku turnusach od maja do listopada. Turnus ćwiczeń trwał od sześciu do ośmiu tygodni.

Żołnierze rezerwy z PKU Wierzbnik na czas wojny zgodnie z planem mobilizacyjnym „W” (obowiązującym od 1 maja 1939 roku) w pierwszej kolejności byli na przydziałach mobilizacyjnych w następujących jednostkach wojskowych: 4 pp Leg., 2 pułku artylerii lekkiej Leg. i szwadronie kawalerii 2 DP Leg. w Kielcach, 5 pułku strzelców podhalańskich i 4 pułku saperów w Przemyślu, 39 pp w Jarosławiu.

Ekspozytura Centrali Odbiorczej Materiałów Uzbrojenia

Towarzystwo Starachowickich Zakładów Górniczo-Hutniczych Spółka Akcyjna było przedsiębiorstwem państwowo – prywatnym. Zakłady cieszyły się dużym poparciem władz wojskowych z uwagi na bezpieczne położenie pod względem strategicznym oraz posiadanie własnej rudy żelaza i huty do jej przetwarzania. Dysponowały unowocześnionymi w 1926

roku urządzeniami technicznymi oraz jedynym w Polsce biurem konstrukcji artyleryjskich. Skarb państwa zakupił znaczną część akcji zakładów wartości 4,85 mln zł w związku ze zwiększonymi zamówieniami armii. W tym samym roku w zakładach rozpoczęto remonty luf do armat 75 mm i 105 mm, a następnie ich produkcję. Zakłady były ukierunkowane na produkcję armat i amunicji. W 1928 roku rozpoczęto produkcję haubic 100 mm na licencji Skody oraz 155 mm haubic wz.1917 Schneider. W oparciu o szwedzką licencję Boforsa w 1936 roku przystąpiono do produkcji dział przeciwlotniczych 40 i 75 mm. Na potrzeby wojskowe przeznaczono ok. 85 procent produkcji zakładów. Zatrudnienie wynosiło w 1938 roku ok. 9 500 pracowników. Zakład mechaniczny składał się z wydziału amunicyjnego (produkcja amunicji przeciwlotniczej 40 i 75 mm, artyleryjskiej 155 mm, przeciwpancernej, zapalającej, bomb lotniczych), armatniego (produkcja armat), elaboracji.

Instytucją wojskową sprawującą nadzór nad produkcją wojskową była Ekspozytura Centrali Odbiorczej Materiałów Uzbrojenia w Starachowicach przy Zakładach Starachowickich. Do jej zadań należał nadzór jakości dostaw uzbrojenia i sprzętu wojskowego, potwierdzanie zgodności wyrobu ze specyfikacją techniczną, koordynacja terminów i ilości dostaw do zamawiającego. Ekspozytura składała się z dwóch oficerów, czterech podoficerów oraz dwóch urzędników. Kierownikiem Ekspozytury i jednocześnie starszym rzeczoznawcą byli kolejno: mjr Michał Dembiński, kpt. Wojciech Stanisław Hlawsa, mjr Bohdan Żukowski. Produkty Zakładów Starachowickich realizowane dla wojska były poddawane odbiorowi wojskowemu przez rzeczoznawców. Odbiór wojskowy regulowały umowy zawarte pomiędzy Kierownictwem Zaopatrzenia Uzbrojenia a Zakładami Starachowickimi oraz przepisy służbowe „Odbiór techniczny materiałów zaopatrzenia wojska” i „Warunki techniczne”.

Jak wspominał Marian Wakalski (w latach 1926-1937 kierownik wydziału armatniego, kierownik produkcji broni i szef działu broni w Zakładach Starachowickich):

Na rolę COMU rzucają światło następujące fakty. Pierwsza bateria 105 mm armat wz. 29 została zgłoszona do odbioru wojskowego z początkiem

października 1936 r. Odbiór jej trwa 6 miesięcy i wlecze się bez dostatecznej przyczyny. Dwie 40 mm armaty przeciwlotnicze pierwsze z seryjnej produkcji przedstawione do odbioru z początkiem stycznia 1937 roku, pozostają w odbiorze około 4 miesięcy wówczas, gdy najwyższe czynniki w kraju, zwłaszcza w wojsku, z niecierpliwością oczekują zaopatrzenia w sprzęt przeciwlotniczy, a winę opóźnienia przypisuje się Starachowickim Zakładom. Powtarzane są wszelkie próby i badania, które niezawodnie musiały być dokonane przez zakłady Bofors przed wyjściem z tym sprzętem na zagraniczny rynek. Dochodzi do tego, że oba działa wędrują po kilkanaście razy na próbę marszową i na strzelnicę. Weryfikację przyrządów celowniczych przeprowadza się około 16 razy. Odnosimy wrażenie, że tego rodzaju postępowanie COMU ma swój cel, że chodzi tu o rozmyślne opóźnienie tak ważnej sprawy i wywołanie jego następstw.

Z przedstawionych materiałów wynika, że odbiór wojskowy COMU był rygorystyczny. Skąd wojsko czerpało wzorce do przepisów odbiorczych wyjaśnia relacja inż. Witolda K. Wierzejskiego z Państwowych Wytwórni Uzbrojenia z Warszawy: „Techniczne warunki odbiorcze broni i amunicji były układane przez odnośne organa MSWojsk. w sposób wręcz dyletancki i polegały przede wszystkim na kompilacji warunków odbiorczych francuskich, austriackich, niemieckich i rosyjskich, przy czym dla poszczególnych pozycji wybierano możliwie najwyższe wymagania”.

Komenda Przynależności Wojskowej na powiat iłżecki

Od 1927 do 1936 roku powiat iłżecki pod względem PW podlegał Komendzie Rejonu 4 ppLeg. w Kielcach (wraz z powiatami kieleckim, jędrzejowskim i opatowskim). Początkowo funkcję komendanta powiatowego w Wierzbniku pełnił kpt. Adam Pasiewicz, który jednocześnie był komendantem PW na powiat opatowski (z siedzibą w Ostrowcu). Następnie stanowisko to objął por. Józef Sikorski, który według meldunku starosty iłżeckiego do wojewody kieleckiego z 1931 roku był: „lojalny w stosunku do starosty, posiadający sposób bycia zjednywujący mu powszechną sympatię wszystkich czynników społecznych i wpływ na oddziały”. Od października 1936 roku powiat iłżecki wraz z powiatami opatowskim i sando-

mierskim pod względem PW należał do Komendy Rejonu PW 2 pp Leg. w Sandomierzu.

Komendantowi powiatowemu podlegały bezpośrednio wszystkie jednostki PW działające na obszarze powiatu. Komenda Powiatowa PW składała się z komendanta – oficera w stopniu porucznika lub kapitana, personelu instruktorskiego (dwóch podoficerów zawodowych), oraz personelu pomocniczego. Komendant powiatowy kierował PW na obszarze powiatu pod względem organizacji, wyszkolenia i zaopatrzenia, w tym współpracował z władzami administracyjnymi i szkolnymi, instytucjami samorządowymi i społecznymi, prowadził ewidencję prac i członków PW. Oficerowie będący komendantami WF i PW w powiatach mieli decydujący wpływ na prace komitetów WF i PW, których zadaniem było koordynowanie działań tej tematyki na odpowiednim do ich kompetencji terenie.

Oceniając PW w powiecie iłżeckim podczas odprawy komendantów PW w Okręgowym Urzędzie WF i PW w DOK Nr X w Przemyślu w dniu 4 kwietnia 1935 roku stwierdzono, że stan wyszkolenia oddziałów był dobry, układała się dobra współpraca ze Związkiem Strzeleckim i Zakładami Starachowickimi. Problemem był występujący brak umundurowania oraz strzelnic.

W pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w Wierzbniku znajdującym się na terenie Okręgu Generalnego Nr III Kielce czasowo stacjonowały pododdziały wojskowe, w tym batalionu zapasowego 24 pp oraz posterunek żandarmerii. Oficer ewidencyjny PKU Radom wykonywał zadania związane z realizacją poboru do wojska. Powiat iłżecki wchodził w skład garnizonu Ostrowiec.

Od listopada 1921 r. do września 1939 r. Wierzbnik pod względem wojskowym był na terenie Okręgu Korpusu Nr X Przemyśl. Od 1927 roku w Wierzbniku funkcjonowała PKU, przekształcona w kwietniu 1938 r. w KRU – instytucja zajmująca się administrowaniem poborowych i rezerw osobowych z terenu powiatu iłżeckiego. Jednocześnie utworzono garnizon Wierzbnik, w skład którego weszły PKU, Ekspozytura Centrali Odbiorczej Materiałów Uzbrojenia oraz Komenda Powiatowa Przynależności Wojskowej.

Pocztówki ze zb. Krzysztofa Lorka



Ilustrowana Kronika Legionów Polskich, Warszawa, 1935

Jerzy Osiecki

Albin Fleszar „Satyr”. Żołnierz – Artysta – Uczony

W poprzednim numerze „Świętokrzyskiego” przedstawiłem sylwetkę legionowego bohatera Tadeusza „Wyrwy” Furgalskiego, który w 1914 r. w czasie formowania w Kielcach 1 pułku piechoty Legionów Polskich dowodził 4 batalionem. Zapowiedziałem wówczas prezentację jego szkolnego kolegi z I Gimnazjum Klasycznego w Rzeszowie, Albina Fleszara. Zarówno Furgalski, jak i Fleszar mieli wykształcenie przyrodnicze (po Uniwersytecie Jagiellońskim) z doskonałymi perspektywami naukowymi, obydwaj też dobrze rokowali jako oficerowie przyszłego Wojska Polskiego.

Albin Fleszar urodził się 1 marca 1888 r. w Kąkolówce koło Błażowej w Galicji, w dzisiejszym powiecie rzeszowskim. Był synem nauczyciela wiejskiego Władysława i Zofii z domu Kosiba. Ojciec matki sprawował urząd wójta Korczyny w pobliżu Krosna. Gdy rozpoczął naukę w I Gimnazjum Męskim w Rzeszowie, był chłopcem wątłym i chorowitym. Jednak w wieku 14 lat zaczął szybko rozwijać się fizycznie.

... Będąc w klasie czwartej 4 okazywał duże zainteresowanie fizyką i naukami przyrodniczymi. Odtąd ferie świąteczne i letnie wypełnione były opowiadaniem, doświadczeniami z prądem elektrycznym i budowaniem przyrządów fizycznych. Albin w tym okresie swego życia zajmował się również z zamiłowaniem zbieraniem okazów przyrodniczych i malarstwem¹.

Jego siostra wspominała, że często wstawał bardzo wcześnie, by na pobliskich wzgórzach malować pejzaże. Próbował też pisać wiersze.

W czasie nauki w I Gimnazjum Męskim w Rzeszowie 17-letni Albin zaprzyjaźnił się z o dwa lata młodszym Tadeuszem Furgalskim, lecz poważnie zachorował na gruźlicę i wysłany został na kurację do Zakopanego. Tutaj pogłębiły się jego zamiłowania do malarstwa, geografii i geologii, oraz do poezji. Z tego czasu pochodzi jego wpis do pamiętnika siostry.

Motto: Człowiek jest czymś, co należy pokonać

*Kto pewien sił z zapalu żagwią w dłoni
Idzie nieść brzask
Wśród czasu mrocznej toni
Szczęśliwy tem, że się nadzieją płoni!*

*Szczęśliwy ten, kto w łzawych dniach rozpaczy
Przemoże ból i woli ster wyznaczy
Szczęśliwy tem,
Że przyszłość sobie znaczy.*

*Lecz stokroć ten szczęśliwszy
Kto spętany wyteży moc
Odrzuci precz kajdany
I wolny Hymn zanuci Wyczekany!*

Po pokonaniu choroby, Albin przeniesiony został do gimnazjum w Przemyślu, gdzie w roku 1908 zło-

¹ Biernacki T., Bratro J., *Major Albin Fleszar „Satyr”*, Warszawa 1937.



Albin Fleszar w 1913 r.

żył egzamin dojrzałości. Stopniowo zaczął nabierać tężyzny fizycznej; z dosyć cherlawego dziecka przeistoczył się w silnego, dobrze zbudowanego mężczyznę.

Tego samego roku rozpoczął studia na Uniwersytecie Lwowskim w Instytucie Geologicznym. Bardzo szybko okazał się jednym z najzdolniejszych studentów. Tutaj poznał Reginę Daniszównę, z którą 7 listopada 1913 r. zawarł związek małżeński. Rok wcześniej zaczął publikować artykuły w tutejszym czasopiśmie „Kosmos”. W Instytucie Geologicznym Fleszar wytrzymał jedynie do 1912 roku. Wynikało to z jego oporu przeciw autokratycznemu i zamkniętemu na nowe teorie środowisku instytutu, między innymi niechętnemu hipotezie płaszczowinowej budowie skorupy ziemskiej², której Albin był gorącym zwolennikiem. Ponadto przypisuje mu się odkrycie zjawiska epigenezy lodowcowej kontynentalnej³. Fleszar przeniósł się do Instytutu Geograficznego, gdzie znalazł dużo bardziej otwarte na nowości środowisko.

² Płaszczowina to struktura tektoniczna, stanowiąca zespół warstw przemieszczonych w poziomie. Przykładem gór o budowie płaszczowinowej są Karpaty oraz Alpy. Teoria jest obecnie powszechnie uznawana w geologii i geografii.

³ Epigeneza – ogólna nazwa przemian wtórnych zachodzących w skałach w przypadku gdy te znalazły się w warunkach odmiennych od warunków ich powstania.

Tam stał się inicjatorem wielu badań nad tektoniczną budową Karpat. W 1912 r. nakładem wydawnictwa Kosmos wydał drukiem swą pierwszą pracę *O niektórych skamieniałościach karpaccich*. Po zorganizowanej w 1913 roku wyprawie naukowej w Doły Sanockie Fleszar opublikował w „Kosmos” (1914) dwie rozprawy. Pierwsza, szczególnie ważna, to *Próba morfogenezy Karpat położonych na północ od Krosna*. Był współpracownikiem prof. Eugeniusza Romera i członkiem Komisji Fizjograficznej Polskiej Akademii Umiejętności. Kolejne prace przyniosły mu duże poważanie ze strony geografów lwowskich. Wydawało się pewne, że kariera uczonego stoi przed Fleszarem otworem, który nawet w czasie walk I Brygady Legionów na Wołyniu w 1915 r. oraz w 1916 r. będzie prowadził obserwacje i badania fizjograficzne! Efekt tych badań, to rozprawa *Uwagi nad krajobrazem Poleskim. Studia między Turią a Styrem* wydana w Sprawozdaniach Towarzystwa Naukowego Warszawskiego Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego jeszcze w 1916 roku.

Od powstania Związku Walki Czynnej w 1908 r. Fleszar włączył się bardzo aktywnie w prace kierowanej przez Piłsudskiego organizacji. W 1910 r. wstąpił do Związku Strzeleckiego. Ukończył kurs oficerski, zdał egzamin i jako jeden z pierwszych otrzymał niezwykle prestiżową strzelecką odznakę, tak zwany „parasol”. Podporządkowany służbowo Komendantowi okręgu Lwowskiego Edwardowi Rydzowi „Śmigłemu”, dał się poznać jako szczególnie uzdolniony i oddany ruchowi strzeleckiemu oficer.

27 sierpnia 1914 r. objął dowództwo I batalionu 1 pułku piechoty Legionów Polskich, powołanego w Kielcach przez Józefa Piłsudskiego. Na jego czele w składzie 1 pułku opuścił Kielce 10 września 1914 r. Odbył całą kampanię na Ponidziu, boje odwrotowe nad Wisłą pod Nowym Korczynem i Opatowcem. Następnie w ramach ofensywy austro-węgierskiej uczestniczył w marszu na Dęblin. W potyczce pod Czarkową złamał rękę i musiał wyjechać do Krakowa, lecz po kilkunastu dniach powrócił w rejon Piotrkowa, gdzie powierzono mu formowanie nowych oddziałów ochotniczych. Z powierzonych zadań wywiązał się wzorowo. Z pośpiesznie szkolonych ochotników, którzy z wojskiem dotąd nie mieli do czynienia, stworzył batalion w pełnym składzie czterech kompanii. 16 listopada 1914 r. objął komendę nad VI batalionem 1 pułku, który w dniach 17-18 listopada stoczył krwawy bój pod Krzywopłotami i Załężem. Oddział poniósł duże straty, 54 zabitych, 130 rannych; to blisko połowa batalionu. Odtąd dręczyło Fleszara poczucie winy za śmierć i rany podkomendnych. Odtąd też taki stan towarzyszył mu przed każdą bojową akcją. A wypadki wojenne coraz częściej stawiały go w sytuacji, gdy decyzje podejmować musiał samodzielnie, bez możliwości powoływania się na rozkazy idące od dowództwa. Tak było w czasie największej w 1914 r. bitwy pod Łowczówką nieopodal Tarnowa (22–25 grudnia), w której dowodził 5 pułkiem. Dramat dowódcy pogłębiał fakt, że bój wypadł na czas Świąt Bożego Narodzenia. Równocześnie podkomendni wspominający po latach „Satyra” wskazywali na siłę jego charakteru, wielką odwagę w walce i egzekwowanie surowej dyscypliny.

Do Salyra:

dobrze tego to nie maperajemy jutro moście
na jutro sauo nie uszprajakujemy. Kpicyauy magli
jutro to pnerobici jutro sauo o gley byi u murie
i kalabionowym.

Piłsudski.

Lac. adwincia... ~~...~~ hekalos...?

Odręczne pismo J. Piłsudskiego do Fleszara. Biernacki T., Bratro J., *Major Albin Fleszar „Satyr”*, Warszawa 1937.

Od maja 1915 r. Fleszar współtworzył oraz kilka razy w zastępstwie dowodził 7 pułkiem piechoty LP. W maju 1916 r. otrzymał awans na majora piechoty, a w czerwcu objął dowództwo 7 pułku na stałe, to jest do września tego roku. Powołanie z początkiem 1916 r. Fleszara na przewodniczącego kasy oficerskiej oraz sądu honorowego było uznaniem jego popularności i autoritetu wśród legionistów.



Fleszar w 1915 r. Biernacki T., Bratro J., *Major Albin Fleszar „Satyr”*, Warszawa 1937



Ksiądz kapelan Stanisław Żytkowiak. *Ilustrowana Kronika Legionów Polskich*



Okopy nad Stochem r. na Wołyniu w 1916 r. Za Piłsudskim idzie A. Fleszar. *Album Legionów Polskich*, Warszawa 1933.

W dowodzonych przez niego oddziałach służyli głównie żołnierze z Rzeszowszczyzny i Podkarpacia, a wśród nich tacy wybitni jak: Leopold Lis Kula czy Kazimierz Iranek Osmecki. Kapłanem jego oddziałów był kolega z rzeszowskiego gimnazjum ksiądz Stanisław Żytkiewicz.

Major Fleszar uznawany był przez swoich żołnierzy za niezastąpionego nauczyciela i wychowawcę.

Tymczasem przyszłość Legionów Polskich zaczęła się mocno komplikować. Wobec braku zdecydowanych deklaracji Niemiec i Austro-Węgier co do niepodległości państwa polskiego, Piłsudski już od połowy 1915 r. ograniczał, a następnie wstrzymał nabór do podległych sobie jednostek na rzecz powołanej Polskiej Organizacji Wojskowej, jako kadry przyszłej armii narodowej.

Chciał w ten sposób wymusić na sprzymierzeńcach jednoznaczne stanowisko w sprawie niepodległości Polski. Pewna część legionistów czuła się zawiedziona i rozgoryczona postawą Niemiec i Austrii. Szlachetna i wrażliwa natura Fleszara odebrała zaistniałe komplikacje szczególnie dotkliwie. Po dymisji Piłsudskiego z dowodzenia I Brygadą oraz wycofaniu oddziałów legionowych na tyły, załamał się i 3 listopada 1916 r. w szpitalu w Słonimiu popełnił samobójstwo. Osierocił małe dziecko. Ta tragedia odbiła się szerokim echem wśród braci legionowej. Major został pochowany na miejscowym cmentarzu. W pogrzebie uczestniczył Piłsudski oraz generał – gubernator warszawski⁴ Hans H. Beseler.

⁴ Akt 5 listopada ogłoszony przez Niemcy i Austro-Węgry, zapowiadał enigmatycznie powstanie Królestwa Polskiego z ziem

Po wojnie zwłoki Fleszara ekshumowano i przeniesiono na Cmentarz Powązkowski w Warszawie. Na grobie (kwatery T, rząd 1, grób 8) umieszczono inskrypcję o treści: „uczony i żołnierz zginął w walce o wolność Ojczyzny i Honor Narodu”. W nekrologu, umieszczonym w „Kurierze Warszawskim” napisano

*Major Legionów Polskich, komendant 7 pułku
I Brygady Legionów, zm. w Słonimiu 3 listopada
1916 r. z trudów wojennych.*

23 lipca 1936 Rada Miasta Rzeszowa na uroczystym posiedzeniu uczciła pamięć 10 legionistów, w tym Albina Fleszara, patronatem dziesięciu ulic w mieście.

Postać pułkownika przedstawiona została w książkach między innymi Juliusz Kadena Bandrowskiego, Wacława Lipińskiego, Tadeusza Biernackiego, Tadeusza Kasprzyckiego, Sławoja Felicjana Składkowskiego. Liczne jego fotografie znaleźć można w *Albumie Legionów Polskich* oraz *Ilustrowanej Kronice Legionów Polskich*.

Wybrana literatura:

- *Album Legionów Polskich*, Warszawa 1933.
- Bandrowski Kaden J., *Bitwa pod Konarami*, Kraków 1915.
- Biernacki T., Bratro J., *Major Albin Fleszar „Satyr”*, Warszawa 1937.
- Cygan W. K., *Oficerowie Legionów Polskich. Słownik Biograficzny*. Barwa i Broń, t.1, Warszawa 2005.
- *Ilustrowana Kronika Legionów Polskich* red. Quirini E., Librewski S., Warszawa 1935.
- Kasprzycki T., *Kartki z dziennika oficera I Brygady*, Warszawa 1934.
- Lipiński W., *Szlakiem I Brygady. Dziennik żołnierski*, Warszawa 1928.
- Lipiński W., *Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905-1918*, Warszawa 1935.
- Milewska W., Nowak T., Zientara M., *Legiony Polskie 1914-1918*, Kraków 1998.
- Osiecki J., *Kieleckim gościńcem strzelców Józefa Piłsudskiego*, Kielce 2014.
- Piłsudski J., *Moje pierwsze boje*, Warszawa 1925.
- Składkowski F. S., *Moja służba w Brygadzie*, Warszawa 1939.
- Tarczyński Alf T. *Wspomnienia oficera I Brygady*, Londyn 1979.
- Tokarz W., *Legiony na polu walki. Działania Pierwszego pułku Legionów na lewym brzegu Wisły w sierpniu i wrześniu 1914 r.* Piotrków 1916.

odebranych Rosji. Równocześnie ustanawiał utworzenia dwóch gubernatorstw: warszawskiego i lubelskiego. Hans Hartwig Beseler mianowany został generał-gubernatorem warszawskim.



Pogrzeb Fleszara. Za trumną idą J. Piłsudski oraz H. Beseler. Major Albin Fleszar „Satyr” Warszawa 1937



Grób Albina Fleszara na cmentarzu w Słonimiu. Major Albin Fleszar „Satyr” Warszawa 1937



Grób Fleszara na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Major Albin Fleszar „Satyr” Warszawa 1937

Wierne Żłote Polskie Serce

12 września 1945 roku mieszkańcy Buska uczestniczyli w niezwykłym wydarzeniu. Ulicami miasta przeszedł kondukt pogrzebowy z udziałem harcerzy ze sztandarem, uczniów buskich szkół ze swoimi nauczycielami i licznie zgromadzonych mieszkańców miasta i okolic. Na trumnie, ozdobionej biało-czerwonymi kwiatami, widniał wizerunek krzyża Virtuti Militari. Na trasę wylegli niemal wszyscy mieszkańcy, którzy stopniowo włączali się do konduktu. Wielu obecnych w tym dniu w Busku zastanawiało się zapewne, kogo z takimi honorami żegnają mieszkańcy. Odprowadzanym na buski cmentarz był Zdzisław Zemła, harcerz, kapral Armii Krajowej ps. „Klarnet”:, zastrzelony przez Niemców 15 października 1943 roku na skraju lasów chroberskich, koło miejscowości Odrzywół. Okoliczności jego śmierci stały się powszechnie znane, a nieugięta postawa w czasie śledztwa zyskała mu miano niekwestionowanego bohatera.

Zdzisław Zemła, syn Damazego i Heleny, urodził się w 1924 roku w Pacanowie. Ojciec jego był funkcjonariuszem Policji Państwowej. W 1938 roku Damazy Zemła został zastrzelony przez bandytę w czasie akcji policyjnej. Po śmierci męża Helena Zemła, z synami Zdzisławem i pięć lat młodszym Mirosławem, przeniosła się do Buska, gdzie starszy syn podjął naukę w miejscowym Gimnazjum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Już w pierwszych miesiącach nauki Zdzisław wstąpił do drużyny harcerskiej, której drużynowym był Julian Dytkowski. Działalność w drużynie harcerskiej okazała się szkołą prawdziwego patriotyzmu i gotowości do poświęceń na rzecz Ojczyzny. Nic zatem dziwnego, że już na początku okupacji hitlerowskiej, w październiku 1939 roku, buscy harcerze założyli organizację konspiracyjną, która później otrzymała nazwę „Cel”. Członek tej organizacji – Józef Woźniak (późniejszy kpr. AK ps. „Orlik”) – tak wspominał po latach:

...organizacja ta była typowym zastępem harcerskim, ukierunkowanym początkowo na tajne nauczanie, której duchowym przywódcą był dyrektor tajnego nauczania, prof. Józef Lisak ps. „Robak”.



Zdzisław Zemła, kapral AK ps. „Klarnet”

Członkowie tajnej organizacji harcerskiej kontynuowali naukę na tajnych kompletach, ale także zdobywali wiedzę niezbędną do prowadzenia walki z okupantem. Organizacja z niewyjaśnionych przyczyn nie weszła w skład Szarych Szeregów i w lipcu 1940 roku zastęp Juliana Dytkowskiego ps. „Mały” został zaprzysiężony i włą-



Uczestnicy szkoły podoficerskiej, wrzesień 1942 r. Od lewej: Zdzisław Zemła „Klarnet”, Witold Nizioł „Sęp”, „Kret”, Zbigniew Bes „Iгнаś” Siedzą: od lewej Julian Dytkowski „Mały” i Zdzisław Wojaś „Trybik” „Konus”

czony w struktury Związku Walki Zbrojnej jako samodzielny oddział harcerski. Członkowie zastępu zajmowali się zbieraniem i zabezpieczaniem broni i amunicji po walkach wrześnieowych. Prowadzili także nasłuchy radiowe w willi Dytkowskich „Zaciszce” i u Władysława Ciesielskiego, a uzyskane informacje przekazywali do komórki redagującej tajną gazetkę „Wolna Polska”, której redaktorami byli Waclaw Zołotajkin i Jerzy Krąkowski. W późniejszym czasie, po przeszkoleniu wojskowym, uczestniczyli w akcjach dywersyjnych. W 1942 roku grupa harcerzy odbyła przeszkolenie wojskowe w ramach szkoły podoficerskiej. Po zdaniu egzaminów zostali awansowani do stopnia kaprała Armii Krajowej.

Zdzisław Zemła był jednym z najaktywniejszych harcerzy w zastępie Juliana Dytkowskiego i stał się jego najbliższym przyjacielem. Aby pomóc mamie w utrzymaniu rodziny w 1941 roku znalazł pracę w sklepie spółdzielczym w Busku. W 1943 roku Julian Dytkowski i Zdzisław Zemła zostali wyznaczeni do odbycia obowiązkowej służby w niemieckim Baudinstcie (forma przymusowej pracy Polaków na rzecz III Rzeszy w Generalnym Gubernatorstwie). Nie chcieli jednak pracować dla Niemców, w związku z czym zaczęli się ukrywać – początkowo w willi „Zaciszce”, później także w innych miejscach w Busku i okolicach. Latem 1943 roku, rozkazem

komendanta obwodu „Bór” (Busko-Zdrój) zostali obydwaj przeniesieni do placówki w Wiślicy-Konieczmostach, której komendantem był plut. pchor. Zbigniew Proskurnicki ps. „Ketling”.

Na początku lipca 1943 roku obydwaj wzięli udział w akcji bojowej w rejonie miejscowości Stawiszycy, której skutki okazały się tragiczne. Do jednego z gospodarstw, którego właściciel współpracował z Armią Krajową, przyszedł uzbrojony osobnik i wyznaczył w imieniu bliżej nieokreślonej organizacji kontrybucję w wysokości 5.000 zł. Wywiad AK ustalił, że żadna z organizacji takiej kontrybucji nie ustalała. Postanowiono urządzić zasadzkę na rabusia, w której mieli uczestniczyć „Mały” i „Klarnet”. Gdy zjawił się bandyta po odbiór gotówki z sąsiedniego pokoju wyszedł „Mały” i wezwał go do poddania się. Ten jednak błyskawicznie wyciągnął broń, strzelił do „Małego” i wyskoczył przez otwarte okno. Nie odbiegł jednak daleko – seria ze stena położyła go na miejscu. Poważnie rannego „Małego” przewieziono do Pińczowa, gdzie dr Generowicz przeprowadził operację usunięcia pocisku. Rannego należało niezwłocznie ukryć przed spodziewanym aresztowaniem. Początkowo został przewieziony do majątku w Łatanicach, a następnie do Buska, do rodziny „Orlika”. Gdy stan jego pogorszył się, został przewieziony do szpitala w Kielcach, gdzie po kilku dniach zmarł. Został pochowany na kieleckim cmentarzu pod fikcyjnym nazwiskiem – Juliusz Malicki.

Śmierć „Małego” miała dalsze konsekwencje, które dotknęły boleśnie rodzinę Dytkowskich. W październiku 1943 roku Niemcy aresztowali całą rodzinę Dytkowskich. Ojciec „Małego” – Lucjan lat 45 i brat Roman lat 18 zostali wywiezieni do obozu koncentracyjnego i zamordowani. Matka – Zofia lat 43 i Helena Żurkiewicz (prowadząca kawiarnię w willi „Brzozówka”) zostały rozstrzelane na kirkucie w Busku. Brat Wiesław ps. „Sławek” został aresztowany i poddany brutalnym przesłuchaniom przez dwa tygodnie. Uratował się w nieprawdopodobnych okolicznościach: w czasie konwojowania więźnia z siedziby Sondergerichtu (willa dr Byrkowskiego) do willi „Wersal” powalił na ziemię konwojentów i zdołał uciec. Do końca wojny musiał się ukrywać.

Zdzisław Zemła „Klarnet” bardzo przeżył śmierć przyjaciela Julka. Aby odreagować, zgłaszał się do wszystkich akcji dywersyjnych i bojowych. W nocy z 2 na 3 października 1943 roku wziął udział w nocnych ćwiczeniach, zarządzonych przez placówkę „Koniczyna”. Szedł jako szperacz torem kolejki wąskotorowej w kierunku stacji Koniecmosty. W tym czasie żandarmi z Buska i Wiślicy urządzili w Koniecmostach obławę na handlarzy żywnością. Gdy niczego nie podejrzewający „Klarnet” zbliżył się do Koniecmostów usłyszał gromkie Hände Hoch!!! Zeskoczył błyskawicznie z toru do pobliskiego rowu ale tak nieszczęśliwie, że uderzył głową w kamień i stracił przytomność. Żandarmi szybko dopadli nieprzytomnego, obok którego leżał karabin. Po docuceniu zabrali go do Wiślicy i ulokowali w domu Tomaszewskich pod strażą żandarma. Rankiem „Klarnet” został przewieziony do Buska i osadzony w piwnicach Gestapo (budynek starego sądu). Przez dwa tygodnie był brutalnie przesłuchiwany i torturowany. Jego aresztowanie mogło wywołać poważne konsekwencje, znał przecież wiele osób z konspiracji, także tych na ważnych stanowiskach. Rozważano różne scenariusze: od dostarczenia mu trucizny lub broni po zbrojne odbicie. Po kilku dniach granatowy policjant Wiktor Kieroń, który współpracował z wywiadem AK, przekazał informację od „Klarneta”, żeby się nie bać, gdyż on nikogo nie wyda. Tymczasem trwały dalsze brutalne przesłuchania. Wkrótce Wiktor Kieroń przekazał kolejną informację. „Klarnet” wymyślił bajeczkę o bunkrach z bronią w lasach chroborskich, do których miał Niemców zaprowadzić. Zapewne liczył na możliwość odbicia przez któryś z oddziałów Armii Krajowej.

15 października 1943 roku około trzydziestu świetnie uzbrojonych Niemców zajechało z więźniem na skraj lasów chroborskich w rejonie miejscowości Odrzywół. Więźniowi, ubranemu w damskie pantofle na obcasie, skrępowano ręce i prowadzono na kilkumetrowej linii. Rozpoczęło się przeczesywanie lasu w poszukiwaniu bunkrów z bronią. Po godzinie bezowocnego kluczenia stało się jasne, że żadnych bunkrów tu nie ma. Wówczas Niemcy wyprowadzili więźnia na skraj lasu i strzałem w tył głowy pozbawili życia. Mimowolnym świadkiem zabójstwa była wysiedlona mieszkanka Sosnowca, która ukryła się w krzakach i widziała całe zdarzenie.

Po wojnie opowiedziała o tym swojemu znajomemu Rudolfowi Szumilasowi z Buska, który powiadomił matkę Zdzisława – Helenę Zemła.

12 września 1945 roku na skraju lasu pod Odrzywółem nastąpiła ekshumacja. Matka rozpoznała ciało syna po ubiorze i znakach szczególnych. Po złożeniu ciała do trumny ruszył kondukt przez Chroberz, Zagość, Skorocice do Buska.

W Busku pogrzeb „Klarneta” stał się prawdziwą manifestacją. Obok trumny kroczyła asysta w harcerskich mundurach, dalej kolumna harcerzy ze sztandarem, młodzież szkolna z nauczycielami i ogromny tłum ludzi. Trumnę przykrywała wiązanka biało-czerwonych kwiatów, a z tyłu umieszczono wizerunek krzyża Virtuti Militari.

Zdzisław Zemła – kapral AK ps. „Klarnet” spoczął na buskim cmentarzu w mogile obok swojego ojca Damazego (w pobliżu mogiły powstańców styczniowych). Na mogile stanął krzyż z wyrytym napisem: **„Za Wierne Złote Polskie Serce”**.

Jako uzupełnienie niniejszego opracowania przytaczam pełną treść zeznania w sprawie śmierci syna, złożonego przez Helenę Zemła przed urzędnikiem Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce w 1946 roku:

Nazwisko i imię Helena Zemła

Wiek 50 lat

Stan cywilny wdowa po śp. Damazym Zemła

Imiona rodziców Maciej i Agnieszka

Wyznanie katolicka

Karalność niekarana

Miejsce zamieszkania

Busko-Zdrój ul. Partyzantów 46

Syn mój Zdzisław, 19 lat, pracował w czasie okupacji od 1941 r. w sklepie spółdzielni w Busku-Zdroju. W marcu 1943 r. syn mój miał być powołany do junaków (chodzi o przymusową pracę w Baudinstcie R.O.), gdyż dochodził jego wiek. Syn zawsze mówił, że do junaków nie pójdzie, gdyż nie chce służyć Niemcom. Prosiłam go, aby jednak nie pozostawiał mnie, gdyż był całą ostoją mojej rodziny, składającej się ze mnie, syna Zdzisława i drugiego syna, liczącego 14 lat.



Trumna ozdobiona wizerunkiem krzyża Virtuti Militari

6 lutego 1943 r. syn mój Zdzisław, jeszcze przed otrzymaniem oficjalnego wezwania do stawiennictwa w junakach pożegnał się ze mną i powiedział jeszcze raz, że do junaków nie pójdzie i nie będzie dla Niemców pracował, bo należy do organizacji niepodległościowej. Od tego czasu syn ukrywał się przeważnie w Busku i nosiłam mu w różne miejsca bieliznę i jedzenie. Tak było do lipca czy sierpnia 1943 r. tego dokładnie nie pamiętam i w czasie tym otrzymałam przez jakąś osobę wiadomość, by obiadu synowi nie przynosić, gdyż opuszcza Busko.

Zdaje się, że na początku września 1943 r. dowiedziałam się, że syn mój jest gdzieś koło Jurkowa pod Wiślicą i w to miejsce posłałam mu jeszcze dwa razy bieliznę. W październiku tegoż roku dowiedziałam się, że syn mój był złapany w Koniecmostach z bronią w ręku, prawdopodobnie podczas ćwiczeń organizacji podziemnej. Po tym dowiedziałam się od znajomych, że syn został przewieziony do Buska i był jakiś czas w Busku, prawdopodobnie od 3 do 15 października 1943 r. a po 15 października wywieziony został do Lasów Chroberskich na jakieś śledztwo i tam miał być zastrzelony. Słyszałam, że podczas badań w Busku syn mój był w okropny sposób męczony, gdyż Niemcy chcieli się dowiedzieć od niego, kto jeszcze należał do organizacji. Syn mój jednak przez kogoś powiedział, aby wszyscy byli spokojni, gdyż nikogo nie wyda.

Przez kogo syn był zatrzymany i rozstrzelany – nie wiem, a tylko w czasie, kiedy syn był zatrzymany ja dowiedziałam się od ludzi, że przycho-



Kondukt pogrzebowy na rynku w Busku-Zdroju

dzili do mnie gestapowiec Peters i Kühn, lecz ja, obawiając się zatrzymania uciekłam, a przybyli do mojego mieszkania gestapowcy rozmawiali tylko z moją sąsiadką. Niemcy rozpytywali o mnie i moich synów.

W 1945 r. już po ucieczce Niemców doszły do mnie wiadomości, że syn mój pochowany jest gdzieś pod Wiślicą koło Złotej. Dowiedziawszy się dokładnie o miejscu pochowania syna, udałam się tam w towarzystwie mieszkańca Buska-Zdroju Rudolfa Szumilasa i po ustaleniu miejsca odkopaliśmy zwłoki i stwierdziłam, po częściach ubrania i po brakującym zębie, że to był mój syn Zdzisław. Zwłoki sprowadziłam do Buska i pochowane są na cmentarzu parafialnym. Było to w sierpniu 1945 r. (faktycznie 12 września 1945 r. R.O.).

Na tym zeznaniu odczytano i podpisano.

Fot. ze zb. ojca autora, Zdzisława Osińskiego

Bój pod Zagajowem – prawdy i fikcje

Zagajów to niewielka miejscowość, położona w powiecie buskim, kilka kilometrów na zachód od Solca-Zdroju. 15 lipca 1944 roku na skraju tej miejscowości kwaterowało zgrupowanie partyzanckie Armii Krajowej, dowodzone przez por. „Wichra”. W godzinach popołudniowych zgrupowanie to zostało zaatakowane przez silny oddział żandarmerii niemieckiej, z bronią maszynową i moździerzem. Wywiązała się walka, która przeszła do historii pod nazwą boju pod Zagajowem lub boju w lesie zagajowskim.

W monografii Okręgu Radomsko-Kieleckiego ZWZ -AK „JODŁA” (wyd.II, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1988) na str. 226 autor opracowania – Wojciech Borzobohaty – tak opisał przebieg walki:

24 lipca grupa „Orlika”(Józef Woźniak) w sile 18 żołnierzy uzbrojonych w 2 lkm, 4 kb, 12 stonów, colty i granaty, otrzymała rozkaz udania się do Zagajowa i dołączenia do oddziału por. „Wichra” (Witold Krukowski) w celu wsparcia go przy zdobywaniu posterunku żandarmerii w Nowym Korczynie. W akcji w Nowym Korczynie nie wzięli jednak udziału, ponieważ Niemcy, otrzymawszy wiadomość o koncentracji oddziałów partyzanckich, skierowali w rejon lasu Zagajowskiego znaczne siły żandarmerii. Niespodziewane natarcie zaskoczyło partyzantów i spowodowało znaczne zamieszanie. Oddział por. „Wichra” zaczął się wycofywać w kierunku Solca, z wyjątkiem kilku żołnierzy, którzy pozostali przy grupie „Orlika”. „Orliki” mimo gwałtownego ognia przeważających sił nieprzyjaciela wytrwali przez parę godzin



Wacław Ćmakowski „Srogi” ppłk. AK,
Komendant Obwodu Busko

aż do zmierzchu na zajętych stanowiskach. Wtedy otwierając huraganowy ogień i pozorując natarcie zmuszono Niemców do odwrotu. Przyczynił się do tego głównie ogień obu lkm, obsługiwanych przez kpr. „Jaskółkę (Józef Kuc) i kpr. „Kamienia” (Ludwik Kułaga). Wykorzystując chwilową przerwę w ogniu niemieckim, grupa „Orlika” rozpoczęła wycofywanie w kierunku Solca. W czasie odwrotu zginął kpr. „Jaskółka”, a 2 żołnierzy zostało rannych.

Relacja ta, zwłaszcza na początku lat dziewięćdziesiątych, wywołała gwałtowną polemikę zarówno w prasie jak też w środowisku akowskim. Autorowi zarzucano nierzetelność, błędy w datach i nazwiskach, przemilczanie niewygodnych faktów. Faktycznie tekst zawierał pewne nieścisłości – walka miała bowiem miejsce 15 lipca, a nie 24 lipca a por. „Wicher” – Paweł Raszyk – używał w owym czasie nazwiska Zenon Krukowski a nie Witold Krukowski. Jeśli chodzi o przebieg walki to relacja „Wichra” znacznie się różniła od relacji tych, co uczestniczyli w walce.

22 września 1991 roku w Busku-Zdroju miało miejsce uroczyste poświęcenie sztandaru Koła Nr 9 Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Jednym z ojców chrzestnych sztandaru był Józef Stanisław Woźniak – w czasie wojny kapral AK ps. „Orlik” – dowódca grupy, która walczyła pod Zagajowem. Nadarzyła się więc znakomita okazja do usłyszenia relacji od naocznego świadka i to dowódcy oddziału. Z zapartym tchem przez kilkadziesiąt minut słuchałem niezwyklej relacji.

Na zakończenie zaproponowałem „Orlikowi” spisanie relacji z całego okresu działalności konspiracyjnej. Któregoś dnia, porządkując papiery z archiwum mojego ojca – kaprała AK ps. „Durbin” – znalazłem obszerny maszynopis, zawierający relację „Orlika” z lat 1939-1945. Przytaczam zatem obszernie fragmenty relacji, dotyczące boju pod Zagajowem, zachowując przy tym oryginalną pisownię autora.

Pierwszego czerwca 1944 r. otrzymałem od szefa Kedywu rozkaz zameldowania się trzeciego czerwca w Łagiewnikach, w miejscu postoju dowódcy obwodu. Jednocześnie zostałem uprzedzony, że w związku z tym muszę zniknąć z terenu



Józef Stanisław Woźniak kpr. AK „Orlik” dowódca oddziału „Orlików”

Buska na czas nieograniczony. Wówczas postanowiłem podać wiarygodną dla otoczenia wersję, że zostałem powołany do Baudienstu w Kielcach. [...]

W dniu 3 czerwca w godzinach popołudniowych zameldowałem się w Łagiewnikach. Tutaj zastałem komendanta obwodu „Srogiego” i szefa Kedywu Feliksa Rajcę „Kafel”, który powiadomił mnie, że z dniem dzisiejszym zostaję mianowany dowódcą oddziału dywersyjnego, podległego bezpośrednio szefowi Kedywu. Dobór ludzi do oddziału dokonuje osobiście szef Kedywu. Do zadań oddziału należy wykonywanie wszelkich zadań dywersyjnych i sabotażowych zleconych przez dowództwo. Broń na wyposażenie oddziału otrzymaliśmy z magazynu znajdującego się na miejscu. W stodole, gdzie spędziłem noc, spotkałem pierwszych kolegów, z którymi rozpoczynaliśmy działalność. Byli to: Ludwik Kułaga „Kamień”, Zbigniew Bes „Ignas” i Henryk Połetek „Pilot”.



Ludwik Kułaga kpr. AK „Kamień”



Hieronim Stężowski „Rybiarz”



Michał Lasak „Kaczmarek”

Oddział liczący początkowo 4 osoby szybko się powiększał i w dniu 15 lipca stan oddziału wynosił 19 osób. Oddział był uzbrojony w 2 karabiny maszynowe (MG-34) zwane przez nas klarnetami, 4 karabiny zwykłe, 12 stenów. Rewolwery SmithWesson, pistolety Lamma, Parabellum posiadali dowódca, celownicowie i ci, których była to własność prywatna. Prócz tego oddział posiadał angielskie zrzutowe granaty typu Mills. [...]

Około 10 lipca 1944 r. do naszego miejsca postoju dotarł rozkaz, aby nazajutrz udać się do Smogorzowa i po północy przy południowej stronie majątku połączyć się z patrolem, który doprowadzi nas na miejsce koncentracji. Moje odczucia po przybyciu do oddziału Pawła Raszyka „Wicher” w Zagajowie były przykre, ponieważ nie przedstawiono nam powodów połączenia naszych oddziałów, a „Wicher” chciał nas potraktować jako dostarczycieli broni. Jako tych, którym będzie można drogą prób groźb i rozkazów zabrać broń, a przynajmniej jeden z dwóch posiadanych przez nas niemieckich karabinów maszynowych MG. Gdy „Wicher” wyczerpał swe argumenty za oddaniem broni, poprosił mnie do kwatery dowództwa. Poszliśmy tam obaj z moim zastępcą Ludwikiem Kułagą „Kamień” i kategorycznie odmówiliśmy wydania karabinu maszynowego. Wychodząc z kwatery dowództwa usłyszeliśmy groźbę „to zabierzemy siłą”. Po przybyciu do oddziału poleciłem zamarkować ustawienie karabinów maszynowych na stanowiskach, by mając stodołę z tyłu, odeprzeć przypuszczalny atak i wycofać się

do lasu. Należy tu wyjaśnić, że broń była ceniona w oddziałach najwyżej, a ja nie otrzymałem rozkazu jej przekazania, toteż nie mogłem pozwolić na jej utratę. Widząc moją determinację „Wicher” po kilku godzinach oświadczył, że dzielić nas nie będzie i „Orliki” będą stanowiły pierwszą drużynę połączonego oddziału. [...]

15 lipca daje się zauważyć w obozie wzmożony ruch i pewne elementy rozprężenia. Do naszej grupy dociera znany mi Michał Lasak „Kaczmarek” z trzema młodymi tarnowiakami, którzy uciekli z Baudienstu i brali już udział w kilku akcjach, między innymi w likwidacji Petersa. Proszą oni o przyjęcie do mojego oddziału. Przyjmuję ich chętnie, bo broni mamy wystarczającą ilość. Są to: Adam Kozioł „Tarzan”, Hieronim Stężowski „Rybiarz” i Jerzy Trybulski „Figaro”. W ten sposób grupa liczyła już 19 żołnierzy.

W godzinach południowych zaczyna się likwidacja obozu. Zbiórka oddziału do wymarszu następuje w późnych godzinach popołudniowych. Oddział zostaje sformowany nad strumykiem odprowadzającym wodę ze stawu. My „Orliki” stoimy pierwsi. Przed nami „Wicher” a dalej za nim trochę na prawo zabudowania gospodarze. Po prawej stronie stawy. Po lewej stronie tabory. W pewnym momencie dostrzegam biegnącego po grobli wartownika, który zbliża się do „Wichra” od tyłu z lewej strony. Podchodzę bliżej, aby słyszeć meldunek przerażonego wartownika. Z dwuszeregu „Orlików” odrywają się postacie amunicyjnych. Jeden z nich wskakuje na wóz, który ruszył po spostrzeżeniu

biegnącego wartownika. Amunicyjny wyrzuca z wozu plecaki z amunicją. Wartownik melduje: „panie poruczniku Niemcy w lesie”. „Wicher” zbladł, uczynił kilka nieskoordynowanych ruchów, a wartownik powtórzył trzykrotnie: Radtke, Radtke. Radtke (było to nazwisko żandarma z Nowego Korczyna). „Wicher” odezwał się: „Czemu nie strzelałeś!” Wartownik, podnosząc bron do góry: „Zaciął się!”

Ponieważ nie padł żaden rozkaz, a odbywał się jedynie jałowy dialog, oświadczam, że „Orliki” idą na spotkanie z nadchodzącymi Niemcami. Jakże innej reakcji oczekiwałem od dowódcy! Oczywiście reakcji działania. Rozkazu! Ponieważ nic takiego nie nastąpiło, zbliżam się do „Orlików”. Na groblę, którą przybył wartownik, wbiegamy gęsiego, zachowując zwiększone odległości między sobą. Na grobli jako ostatni dołączył do mojego oddziału por. „Florek”. Pozostała część grupy, wraz z „Wichrem”, uciekła w kierunku wsi. W naszym kierunku padają strzały z lasu. Padamy, wykorzystując zasłonę, jaką jest grobla. Ogień żandarmów staje się bardzo intensywny, szczególnie z broni maszynowej. My odpowiadamy równie energicznie, jednak na razie ani nasz, ani ich ogień nie jest skuteczny. Następuje chwila przerażająca. Przed nami na skraju lasu i na polu porośniętym małymi krzakami rozrywają się pociski z moździerza, wystrzeliwane z krzaków znajdujących się po drugiej stronie stawów, to jest za naszymi plecami. Jesteśmy wzięci w dwa ognie! Żandarmów mamy przed sobą i za plecami. Przeżyście to tylko czas potrzebny na wstrzelanie się moździerza. Uciszyć tych, co za plecami, to myśl główna. Wydaję rozkaz: „Pilot” z karabinem maszynowym i połową oddziału oraz „Jaskółka” z tarnowiakami – uciszyć moździerze! Partyzanci wykonują rozkaz natychmiast, wykorzystując groblę jako osłonę. Ale Niemcy już przestawili celownik i pociski rozrywają się na powierzchni stawów, za naszymi plecami. Jaszcz chwila, jeszcze jedno ustawienie celownika, a wszyscy zginiemy. Czy „Jaskółka” zmusi ich do zmiany stanowiska ogniowego? I jeszcze jedno pytanie: a może „Wicher” uderzy od tyłu na nacierających żandarmów? Może ktoś z jego kadry poderwie jakąś drużynę do ataku?

Siła naszego ognia zmniejszyła się i Niemcy nacierają z większą furją. Lecz „Kamień” i „Suseł” częstymi zmianami stanowisk i długimi seriami uciszali i po-

wstrzymywali nacierających. Grobla chroniła nas przed pociskami, a przy zmianie stanowisk zanurzałyśmy się w wodzie, wystawiając na powierzchnię głowę i broń. Udało się przetrwać ciężką sytuację. „Jaskółka” zdołał unieszkodliwić przeciwnika. Moździerz zamilkł i do końca walki już się nie odezwał. Jednocześnie jakby nastąpiło uspokojenie w prowadzeniu ognia, ale Niemcy doskonale chronili się, wykorzystując podszybie lasu. Nam zaczynało brakować amunicji i z tego powodu dalsze prowadzenie walki było niemożliwe.

Postanowiłem najpierw przekazać rozkaz wycofania się oddziałowi, który został wysłany dla zlikwidowania moździerza. Z rozkazem tym został wysłany „Sęk”, który już niejednokrotnie dawał dowody swego męstwa i odwagi w wykonywaniu najtrudniejszych zadań. Przekazał czas, sposób i kierunek wycofywania się „Jaskółce”.

Kierunek naszego odskoku wybrałem nie przez wieś, aby nie narażać na zemstę ludności cywilnej, lecz strumieniem odprowadzającym wodę ze stawów. Zarośla porastające strumień, jak również jego niższe położenie w stosunku do terenu, dawały lepszą osłonę podczas wycofywania się i chroniły przed pociskami. „Kamieniowi”, mojemu zastępcy rannemu w nogę, poleciłem prowadzenie oddziału do kępy drzew widocznej na horyzoncie, tam wyznaczając miejsce zbiórki. Niezależnie od tego, że przez specjalnego łącznika poleciłem wycofanie się oddziału walczącego po przeciwnej stronie stawu, sam wycofywałem się stawem, brodząc po barki w wodzie, ręką wskazując kierunek odwrotu.

Po dotarciu do strumyka odprowadzającego wodę ze stawu oczekiwałem na tych, którzy jeszcze nie wycofali się. Dołączali oni do mnie kolejno. Wówczas dowiedziałem się, że „Jaskółka” w pewnej chwili przejął karabin maszynowy od Henryka Poletka „Pilot”, sądząc, że lepiej go wykorzysta i prowadził z niego ogień na grobli. Inny powracający przyniósł uszkodzony karabin maszynowy stojący na grobli. Wycofał się również lekko ranny w rękę amunicyjny tego karabinu, Jan Kubicki „Kanciarz”. Wszystkim wskazywałem kierunek wycofywania się i miejsce zbiórki. Jako ostatni wycofali się dwaj tarnowiacy. Jeden z nich był ranny w brzuch a drugi w nogę i nie mogli iść o własnych siłach. Począ-



Józef Kuc kpr. AK „Jaskółka” poległ pod Zagajowem

kowo usiłowałem nieść ich kolejno na plecach, ale zapadałem się w muliste dno strumyka. Obu rannych zostawiłem w zaroślach i pobiegłem do wsi, skąd ze stajni zabrałem konia. Wróciłem po obu rannych, których umieściłem na koniu i zawiozłem na miejsce zbiórki.

Tam okazało się, że brakuje trzech kolegów, to jest: Tadeusza Krzysztofika „Kra”, Józefa Kuca „Jaskółka” i Henryka Połętka „Pilot”, lecz Jan Kubicki „Kanciarz” oświadczył, że wycofali się oni za por. Anatolem Borzędowskim „Florkiem” w kierunku północnym to jest w kierunku drogi prowadzącej przez wieś. Por. Anatol Borzędowski „Florek”, jedyny z oddziału „Wichra”, który dołączył do „Orlików” i razem z nimi walczył, wycofał się na własną rękę i po drodze zbierał rozproszonych żołnierzy „Wichra”.

Czterech naszych rannych dowiozłem do doktora Anyżka w Solcu, który ich opatrzył. Byli to: Adam Kozioł „Tarzan” – przestrzelone udo bez naruszenia kości, Jerzy Trybulski „Figaro” – rykoszet od kolby stena uszkodził skórę i mięśnie brzucha, Ludwik Kułaga „Kamień” – niegroźny postrzał w nogę i Jan Kubicki „Kanciarz” – niegroźny postrzał w rękę. Wszyscy oni pozostali w grupie i po pewnym czasie wrócili do pełnej sprawności.

W walce pod Zagajowem zginął kpr. Józef Kuc „Jaskółka” lat 34, który zlikwidował niemiecką obsługę moździerza, przez co uchronił od zagłady oddział „Orlików”. Był to doskonale wyszkolony żołnierz, który przeszedł całą kampanię wrześniową. Ponadto był kochającym mężem i ojcem, starającym się o zabezpieczenie bytu rodzinie.[...]

„Wicher” podaje w swoich wspomnieniach, że wiosną 1945 roku rozmawiał z Komendantem Obwodu Busko w Będzinie o Zagajowie i „Srogi” nic nie wspominał o fuzji z „Orlikami”.

Mnie Komendant Obwodu kilkanaście dni po Zagajowie składał gratulacje z powodu właściwej, jak to określił – bohaterskiej postawy pod Zagajowem – przekazałem je kolegom.

Dziwię się, że „Wicher” nie podał nazwisk swojej kadry spod Zagajowa, jak również temu, że nieprawdziwie przedstawił swój udział w tych wydarzeniach. Deformacji faktów podanych przez „Wichra” jest tak dużo, że nie zamierzam z nimi polemizować. W sposób zasadniczy zmieniają one przebieg wydarzeń. Rzeczywisty przebieg wydarzeń przedstawiłem w swoich wspomnieniach”.

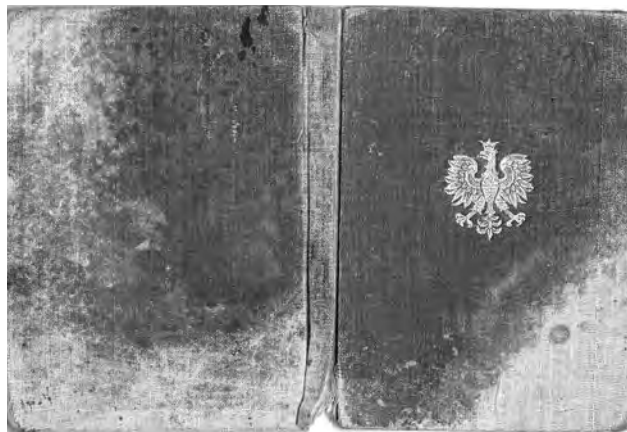
Fot. ze zb. ojca autora, Zdzisława Osińskiego



Feliks Rajca (z prawej) ppor. AK „Kafel” dowódca Kedywu Obwodu Busko

Józef Franciszek Bacz – niezwykły człowiek w niezwykłych czasach

Kiedy w moje ręce wiele lat temu trafiła KSIĄŻECZKA STANU SŁUŻBY OFICERSKIEJ Józefa Bacza, wzbudziła ona moje duże zainteresowanie – niezwykłym człowiekiem, świadkiem i uczestnikiem ważnych chwil naszej odradzającej się Ojczyzny. Dodatkowym motywem było to, że Bacz urodził się we Lwowie i bronił swojego miasta – miasta moich korzeni po mieczu.



Józef Franciszek Bacz – ur. we Lwowie 15 marca 1898 r.

Przebieg służby w Legionach Polskich i Wojsku Polskim:

Legiony Polskie:

4 sierpnia 1914 r. – 31 maja 1918 r. w stopniu: szeregowy;

Wojsko Polskie:

1 listopada 1918 r. – 23 lutego 1919 r.; od 24 listopada 1918 r. – obrona Lwowa; w stopniu: plutonowy;

24 listopada 1918 r. – 18 listopada 1920 r. – Pociąg Pancerny Lis-Kula; w stopniu: sierżant;

19 listopada 1920 r. – 10 lutego 1921 r. kurs podoficerski przy D.O.G. Lwów;

11 lutego 1921 r. – 31 października 1921 r. Intendentura 6 Armii;

1 listopada 1921 r. – 30 października 1924 r. Intendentura D.O.K. VI. Lwów; w stopniu: sierżant tytularny;

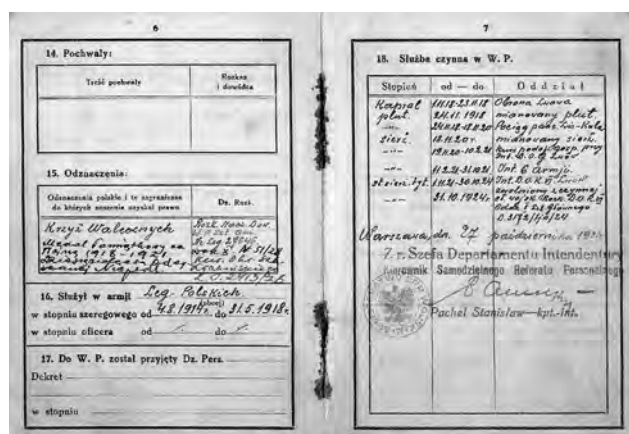
31 października 1924 r. zwolniony z czynnej służby wojskowej;

1 lipca 1925 r. mianowany podporucznikiem rezerwy;



Okładka i strona imienna KSIĄŻECZKI STANU SŁUŻBY OFICERSKIEJ z 1931 r.

1 stycznia 1936 r. mianowany porucznikiem rezerwy; 31 sierpnia 1939 r. zgłosił się do czynnej służby wojskowej.



Opis przebiegu służby wojskowej i uzyskanych odznaczeń



Krzyż Walecznych



Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918-1921



Medal Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości

Odniesiony i wyróżniony:

- Krzyż Walecznych
- Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918-1921
- Medal Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości.

Tyle suche fakty – daty z KSIĄŻECZKI STANU SŁUŻBY OFICERSKIEJ. Uważny czytelnik zapewne zwrócił uwagę na pierwszą datę – datę wstąpienia do Legionów Polskich. Józef Bacz był w czołówce polskich patriotów myślących o wolnej Ojczyźnie. W chwili wstąpienia do Legionów liczył sobie zaledwie 16 lat z niewielkim okładem. Końcowa data służby w Legionach Polskich, czyli 31 maja 1918 r., też jest zastanawiająca. Być może Józef Bacz znalazł się w Polskim Korpusie Posiłkowym (PKP – formacja wojskowa utworzona przez Austro-Węgry 20 września 1916 r. z Legionów Polskich).



Lokomotywa Pociągu Pancernego „Lis-Kula”

Józef Bacz 1 listopada 1918 r. rozpoczyna służbę w Wojsku Polskim – czas wielkiej próby Obrony Lwowa – polsko-ukraiński konflikt zbrojny o Lwów, trwający od 1 listopada 1918 do 22 maja 1919 r., Obrona Lwowa w 1918 była częścią wojny polsko-ukraińskiej (1918-1919). 24 listopada 1918 r. zostaje przydzielony do załogi Pociągu Pancernego „Lis-Kula”, który w błyskawicznym tempie (od 7 listopada 1918 r.) został zbudowany w głównych warsztatach kolejowych we Lwowie, ostrzał tych warsztatów spowodował przeniesienie budowy pociągu do małych warsztatów – ogrzewalni (dla lokomotyw parowych). Prace rozpoczęto od opancerzenia blachą żelazną o grubości 10-15 mm lokomotywy austro-węgierskiej serii 178 numer 92 oraz dwóch wagonów bojowych.

Pierwsze trzy pociągi pancerne Wojska Polskiego to:

- P.P. 1 „Piłsudczyk”
- P.P. 2 „Śmiały” (ex „Piłsudczyk”)
- P.P. 3 „Lis-Kula” (ex „Lwowianin”, „Pepetrójka”) – ukończony 28 listopada 1918 r., przemianowany na „Podpułkownik Lis-Kula” w kwietniu 1919 r.

Józef Bacz w Wojsku Polskim służył do dnia 31 października 1924 r. a później wreszcie nastąpił czas zajęcia się swoim życiem – edukacją. W 1931 r. był już absolwentem Seminarium Nauczycielskiego ze zdaną maturą. W latach 30. XX w. losy rzuciły go do Koszyc w ówczesnym powiecie pińczowskim. Tam pracował w szkole do 31 sierpnia 1939 r., kiedy to zgłosił się do czynnej służby wojskowej.

Takich życiorysów wojskowych było wiele i szkoda, że często Ci bohaterowie odchodzą w całkowite zapomnienie. Myślę też, że lekcje z takim nauczycielem, o takim życiowym doświadczeniu musiały być arcyciekawe.

Oferty dla podróżnych w Kielcach w latach trzydziestych XX wieku (Według „Księgi adresowej Polski 1930”)

Kielce jako miasto o ciekawej historii i zabytkach oraz ładnym położeniu w dolinie Silnicy, było od dawna przedmiotem zainteresowania historyków, geologów, pisarzy, poetów, malarzy i osób innych profesji. Nie mniej pociągające były i są okolice Kielc.

Dojazdy do Kielc organizowano w przeszłości różnie. Początkowo wędrowano prywatnymi lub pocztowymi powozami i bryczkami. W XVIII wieku pojawiły się w Polsce dylizansy¹ z inicjatywy Piotra Steinkallera, przemysłowca i finansisty. (W niektórych krajach Europy używano ich już w XVI w.) Dylizansy wymagały utwardzonej nawierzchni, dlatego omijały miejscowości, które nie spełniały tych warunków.

Od początku XIX w. kursował dylizans na trasie Kraków – Warszawa, lecz nie przez Kielce, ze względu na zły stan drogi. Trasa przejazdu prowadziła wówczas przez miejscowości: Kraków – Iwanowice – Gołcza – Żarnowiec – Sieńsko – Oksa – Małogoszcz – Łopuszno – Radoszyce – Końskie – Opocz-



Pierwszy dworzec kielecki z 1895 r.

no – Drzewica – Nowe Miasto – Mogielnica – Stara Wieś – Tarczyn – Raszyn – Warszawa²

W 1834 r. utwardzono drogę przez Kielce, dzięki czemu stworzono wędrującym możliwość dojazdu do centrum regionu świętokrzyskiego dylizansem, który zaczął kursować z Krakowa do Warszawy i z powrotem inną trasą: Kraków – Michałowice – Miechów – Wodzisław – Jędrzejów – Podzamcze [Chęcińskie] – Kielce – Suchedniów – Szydłowiec – Orońsko – Radom – Jedlińsk – Białobrzegi – Grójec – Tarczyn – Sękocin – Warszawa.

¹ Dylizans – wieloosobowy kryty pojazd konny używany w XVI – XIX w. do przewożenia pasażerów i przesyłek pocztowych (Słownik języka polskiego PWN, 1983 t.1)

² J. Krasieński, Przewodnik dla podróżujących w Polsce i Rzeczypospolitej Krakowskiej... Warszawa (w Drukarni N. Glucksberga) 1821

Na krótszych odcinkach jeździły nadal bryczki i karety. Z czasem inicjatywę transportową w Kielcach przejęli Żydzi. W 1871 r. Judka Cukierman uruchomił linię omnibusową z Kielc do Piotrkowa Trybunalskiego, w następnym roku zaczął kursować też omnibus z Kielc do Warszawy³. Omnibus, podobnie jak dylizans, był konnym pojazdem krytym o wielu miejscach, lecz o mniejszym komforcie jazdy i mniejszej elegancji.

W 1885 r., 25 stycznia uruchomiono kolej żelazną przez Kielce, z Dębłina (Iwanogrodu) do Dąbrowy Górniczej, co znacznie wspomogło podróżowanie. Tak w skrócie można przedstawić sposoby podróżowania do Kielc w XIX wieku i na początku XX wieku.

Rozwój komunikacji kolejowej oraz samochodowej w XX w. przyniósł duże ożywienie w przemieszczaniu się ludzi i związanych z podróżowaniem usługach.

Na podstawie Księgi adresowej Polski z 1930 r. można prześledzić, jakie warunki pobytu dla podróżnych, oferowało miasto Kielce.

Stolica regionu świętokrzyskiego została tak przedstawiona w tym wydawnictwie: „Kielce – miasto wojewódzkie z przedmieściami: Baranówek, Barwinek, Piaski. Siedziba sądu grodzkiego i sądu okręgowego, sądu apelacyjnego w Lublinie. Liczba mieszkańców – 41.365 Wojewoda – Władysław Korsak, starosta – Andrzej Stanisław Boryssowicz, prezydent Kielc – Roman Cichowski, prezes Rady Miejskiej – Edmund Massalski”. Podano też nazwy i adresy ważniejszych urzędów: Urząd Wojewódzki – Pl. Panny Marii, Starostwo – ul. Mickiewicza 2, Komenda Wojewódzka Policji Państwowej – ul. Mickiewicza 3, Komenda Powiatowa Policji Państwowej – ul. Mickiewicza 2, Komisariat Policji Państwowej – ul. Wesoła 34, Izba Skarbowa – ul. Seminaryjska 5, Urząd Skarbowy Podatków i Opłat – ul. Seminaryjska 5 ... itd.

Adresy te były pomocne dla osób przyjeżdżających w sprawach służbowych.

Zarejestrowano kursy pociągów do Kielc i przez Kielce: Kielce – Kraków, Kielce – Ostrowiec Św.,

Kielce – Solec, Kielce – Suchedniów, Skarżysko – Strzemieszyce (przez Kielce), Kielce – Częstochowa.

Podróżnych przybywających do Kielc na kilka dni interesowały często hotele. W 1930 r. było ich 7:

- Hotel Bristol – ul. Sienkiewicza 26⁴ (właściciel R. Piwowarski);
- Hotel Europejski – ul. Duża 9 (właśc. Wł. Kołtoński);
- Hotel Górnośląski – ul. Sienkiewicza 67;
- Hotel Polonia – ul. Sienkiewicza 55 (właśc. Sz. Kwiecień);
- Hotel Polski – ul. Sienkiewicza 29;
- Hotel Wersal – ul. Staszica 2 (dzierżawca St. Wilczyńska);
- Hotel Wiktoria – ul. Sienkiewicza 38 (właśc. B. Grunberg).

Kto nie dostał noclegu w hotelu, mógł też szukać miejsca w Zajeździe u Stanisława Stachowicza przy ul. Kilińskiego 1 (obecnie ul. Mała).

Dla podróżnych przydatny był też kantor wymiany walut, który mieścił się w centrum miasta przy ul. Dużej 17, a prowadził go Leon Szarogroder.



Hotel Wersal, ul. Staszica 2

³ K. Urbański, *Kieleccy Żydzi*. Kielce [1993], s. 30

⁴ Podano numerację domów z 1930 r.



Hotel Wiktoria, ul. Sienkiewicza 38



Zajazd, ul. Kilińskiego 1, obecnie Mała 1

Osoby przebywające w Kielcach kilka dni i dysponujące wolnym czasem, mogły pójść do Teatru przy ul. H. Sienkiewicza, jeżeli akurat w tym terminie dawał przedstawienia jakiś zespół przyjezdny (stałego zespołu jeszcze nie było), lub do kina „Palace” przy ul. S. Staszica 6. Było też kino „Union” przy ul. Sienkiewicza 17 należące do Sp. z o.o.

Przy ul. Leonarda 14 znajdowało się Muzeum Krajoznawcze, życzliwe dla turystów oraz Oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Przy ul. Hipotecznej 25 miał swoją siedzibę Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Podróżnych interesują zwykle restauracje, kawiarnie, herbaciarnie itp. Księga adresowa 1930 wykazuje 22 restauracje w Kielcach.

- Przy ul. H. Sienkiewicza: pod nr 26 – w Hotelu Bristol; pod nr 31 – Fr. Majchera; pod nr 34 – S. Bilskiego; pod nr 36 – w Hotelu Versal.
- Przy ul. Warszawskiej: pod nr 3 – J. Semika; pod nr 22 – Sz. Manela; pod nr 8 – R. Stolarskiej; pod nr 78 – Julii Green.
- Przy ul. Dużej: pod nr 10 – S. Gajdzińskiego; pod nr 21 – W. Morawieckiego.
- Przy Pl. Wolności: pod nr 4 – „Znakomita” W. Wojdy; pod nr 4 – St. Miszczyka.
- Przy ul. Niewachlowskiej: pod nr 15 – A. Paradowskiego; pod nr 100 – M. Sochańskiego.
- Przy Rynku pod nr 20 – K. Maciaszek.
- Przy ul. Starowarszawskiej pod nr 35 – F. Zielińskiego.
- Przy ul. Wesolej pod nr 22 – M. Bunio

- Przy ul. Kilińskiego pod nr 1 (obecnie Mała) – W. Wojtasika.
- Przy ul. Hipotecznej pod nr 11 – Ch. Rozenblat.
- Przy ul. Domaszowskiej pod nr 25 – M. Pendola.
- Przy ul. 3 Maja pod nr 16 (obecnie Jana Pawła II) – E. Jabłońskiej.
- Przy ul. Bodzentyńskiej pod nr 16 – B. Szap-szowicz.

Oprócz restauracji było 26 jadłodajni. Przy ul. Warszawskiej aż pięć, przy ul. Bodzentyńskiej cztery, przy ul. 3 Maja (obecnie Jana Pawła II) cztery, przy ul. H. Sienkiewicza dwie, po jednej przy ulicach: Dużej, Niewachlowskiej, Częstochowskiej, Aleksandra (obecnie Szpitalna), Hipotecznej, Czystej (obecnie Paderewskiego), Placu Wolności, Rynku, Kilińskiego (obecnie Mała). Nazwiska właścicieli są podane w Księdze adresowej.

Były też w Kielcach herbaciarnie. Zarejestrowano ich 14.

- Przy ul. Bodzentyńskiej trzy pod nr: 22,30,25;
- przy ul. Dużej dwie pod nr 21 i 22;
- oraz po jednej:
- przy ul. Bazarowej pod nr 8 (dziś Śniadeckich);
- przy ul. Karczowskiej nr 3 (dziś Karczówkowska);
- przy ul. Kilińskiego nr 6 (dziś Mała);
- przy ul. 3 Maja nr 26 (dziś Jana Pawła II);
- przy Pl. Wolności nr 3; przy
- ul. Sienkiewicza nr 52;
- przy ul. Silnicznej nr 10;
- przy ul. Szerokiej nr 25 (dziś S. Żeromskiego);
- przy ul. Warszawskiej nr 26.



Cukiernia Kazimierza Smoleńskiego zajmowała parter budynku przy ul. Sienkiewicza 24

Imiona i nazwiska właścicieli herbaciarni w większości wskazują na ich żydowskie pochodzenie.

Picie kawy nie było jeszcze rozpowszechnione. Istniały tylko trzy kawiarnie:

- przy ul. Kilińskiego 10 (dziś ul. Mała) – Hejmana Hersza;
- przy ul. Sienkiewicza 36 – Jana Króla;
- przy ul. H. Sienkiewicza 65 – Andrzeja Osmana.

Osoby spragnione słodczy miały do wyboru 10 cukierni:

- Przy ul. Sienkiewicza było sześć: pod nr 24 – Kazimierza Smoleńskiego; pod nr 27 „Royal” (brak nazwiska); pod nr 29 – J. Ołędzkiej; pod nr 31 – „Bombonierka” Edwarda Babeckiego; pod nr 34 „Bajka” Zofii Spiechowicz; pod nr 39 Natalii Czubińskiej.
- Przy ul. Kilińskiego 18 (dziś Mała) – Chany Grundman; pod nr 8 – H. Majmana.
- Przy ul. Dużej 7 – Józefa Króla;
- przy ul. Starowarszawskiej 37 – Arona Horowicza.



Herbaciarnia, ul. Bodzentyńska 30

Trzeba dodać, że na terenie Kielc istniało w 1930 r. ponad 30 piwiarni, w tym przy ul. Warszawskiej aż siedem.

W centrum Kielc można było kupić elegancką biżuterię. Przy ul. Dużej pod numerami 9 i 10 sklepy jubilerskie prowadzili Sender i Szymon Kanerowie. Także pod nr 12 biżuterię sprzedawał Józef Steigman. Przy sąsiedniej ulicy Kilińskiego 17 (Małej) oferował również wyroby jubilerskie A. Haslingier.

Śledząc w „Księdze adresowej 1930” liczbę sklepów spożywczych oraz z ubraniami odnosi się wrażenie, że zaopatrzenie w Kielcach było na poziomie dobrym. Działo ponad 40 sklepów z galanterią i 48 z obuwiem. Sklepów ogólnospożywczych było ok. 170, ale były też specjalizujące się w jednej dziedzinie. Pieczywo można było kupować w 40. piekarniach. Np. przy ul. Warszawskiej było 8, przy ul. Bodzentyńskiej 5, przy ul. Sienkiewicza 4.

Osoby poszukujące książek miały do dyspozycji dziewięć księgarni.

- Przy 3-go Maja 1 (dziś Jana Pawła II) działała Księgarnia „Jedność” S.A.;
- przy ul. Dużej 1 miał księgarnię osławiony Icek Karminer;
- pod nr 6 – Józef Unger,
- przy ul. Hipotecznej 5 – Salomon Korman;
- pod nr 11 – Z. Ptasińska;
- przy ul. Sienkiewicza 23 prowadzili księgarnię Leona Spadkobiercy;
- pod nr 20 – Wolf Steiman;



Hotel Europejski, ul. Duża 9

- pod nr 19 – Cz. Wernik;
- przy ul. Leonarda 9 – Moszek Walden.

Osoby, chcące zwiedzić Kielce oraz bliższe i dalsze okolice mogły wynająć powóz u Wincentego Gąsiorowskiego przy ul. Dużej 21.

Można też było powóz kupić. Firmy sprzedające powozy prowadzili – J. Djament przy ul. Warszawskiej 28 oraz A.N. Sutowicz przy ul. Zagnańskiej 1.

Funkcjonowała również komunikacja samochodowa. Wypożyczalnie samochodów prowadzili:

- R. Frejzyngier – ul. Sienkiewicza 28;
 - Jan Konstanciniak – ul. Składowa 12;
 - Wł. Sierpacki – ul. Żelazna 12;
 - Spółka z o.o. „Ekspress” – ul. Żelazna 14;
 - M. Tułeczki – ul. Młynarska 20 (dziś Mielczarskiego);
 - Jan Groman – ul. Czysta (dziś Paderewskiego).
- Można było również wynająć samochód z kierowcą.

Sprzedają samochodów zajmowali się:

- J. Borkowski – ul. Sienkiewicza 34;
- Stanisław Przygodzki – ul. Duża 24;
- firma „Proauto” – ul. Sienkiewicza 55
- oraz firma „Sair” – ul. Karczowska 9 (dziś Karczówkowska).

Amatorzy jazdy rowerowej mogli skorzystać z usług wypożyczalni rowerów prowadzonej przez Lejzora Borensztajna przy ul. Sienkiewicza 19, a ich sprzedażą zajmowała się firma Kłodawski i Ska przy ul. Sienkiewicza 27.



Kawiarnia Jana Króla, ul. Sienkiewicza 36

Kwiaty sprzedawał Franciszek Krysiński przy ul. Sienkiewicza 24.

Rozwojowi usług komunikacyjnych sprzyjała okoliczność, że Kielce były miejscem przesiadkowym dla osób jadących na kurację do Buska-Zdroju. Informacje o sposobie dojazdu z Kielc do Buska podawały niektóre przewodniki turystyczne znacznie wcześniej. Już w „Przewodniku ilustrowanym po Busku i okolicy” autorstwa Leonarda de Verdmon Jasquesa (186–1930), wydanym w 1900 roku znajdujemy radę, by jadąc do Buska zrobić przerwę w Kielcach „dla zwiedzenia tego zabytkowego miasta” i przenocować w hotelu. Informował, że podróż z Kielc do Buska trwa 5 godzin. Zalecał, by podjąć ją w drugim dniu, dorożką lub bryczką. W 1900 r. podróż do Buska bryczką kosztowała 3 ruble, dorożką 4 – 7 rubli, zależnie od sezonu i napływu gości. Przerwy w podróży dla popasu koni i odpoczynku podróżnych organizowano w Piotrkowicach i Chmielniku.

W 1930 r. można było dojechać do Buska również wynajętym w Kielcach autem, co znacznie skracało czas podróży. Z czasem pojawił się transport samochodowy wieloosobowy.

Na podstawie istniejącej infrastruktury i podejmowanych inicjatyw, zarejestrowanych w „Księdze adresowej Polski 1930” można sądzić, że Kielce w okresie międzywojennym były miastem odpowiadającym na potrzeby mieszkańców oraz osób podróżujących.

Fotografie autorka

Wyjątkowa wycieczka

Klubu Urzędników Państwowych w Kielcach

Blisko dwa lata temu na kieleckich Bazarach (tak, wiem – liczba pojedyncza, ale w Kielcach prawie wszyscy chodzą na Bazary) kupiłem pochodzący z 1938 r. album z fotografiami. Jest to pamiątka – kronika wycieczki, jaką odbyli członkowie Klubu Urzędników Państwowych w Kielcach w czerwcu i lipcu 1938 r.

Klub był organizacją urzędniczą utworzoną w 1922 r. Miał do dyspozycji kilka urzędowych pokoi, posiadał bibliotekę (prenumerowano wiele czasopism), bufet i stołówkę. Działał dość aktywnie organizując odczyty popularnonaukowe, koncerty, bale, dancingi wspólne wyjścia do teatru i wycieczki krajoznawcze.

W dniach 25 czerwca – 17 lipca 1938 r. Klub zorganizował wyjątkową wycieczkę autokarową na trasie Kielce-Stambuł-Kielce. Wycieczka przebiegała w następujących etapach (liczba kilometrów podana została według obecnych odległości drogowych):

KIELCE – CIESZYN – 240 KM
CIESZYN – BUDAPESZT – 400 KM
BUDAPESZT – BALATON – 135 KM
BALATON – BUDAPESZT – 135 KM
BUDAPESZT – BUKARESZT – 840 KM
BUKARESZT – VARNA – 370 KM
VARNA – ISTANBUL – 450 KM
ISTANBUL – VARNA – 450 KM
VARNA – CONSTANTIA – 150 KM
CONSTANTA – PLOESTI – 290 KM
PLOESTI – LWÓW – 760 KM
LWÓW – KIELCE – 330 KM

RAZEM: 4550 KM w 24 dni.



Okładka albumu z wymalowaną trasą wycieczki

W podróż wyruszone 32-miejscowym autobusem kursowym wyprodukowanym w Zakładach Karoserii Samochodowych Dawida Fiszera w Kaliszu – ul. Limanowskiego 4 – na podbudowie „Chevroleta 183”.

Dane historyczne mówią, że w 1938 r. autobusy kursowe obsługiwały w całym kraju ponad 970 linii. Były eksploatowane przez blisko 250 przedsiębiorstw, dysponujących 1734 autobusami. Roczny

przewóz osiągnął 40,9 mln pasażerów, wykonując 0,9 mld pasażerokilometrów.

Autobus wynajęto w kieleckiej firmie autobusowej, której głównym wspólnikiem był Jakub Goldszajd. Goldszajd w latach 30. XX w. przy ul. Focha 26 (dzi-



Autobus wyprodukowany w Zakładach Karoserii Samochodowych Dawida Fiszera w Kaliszu

siejsza Paderewskiego) założył firmę autobusową, obsługującą trasę Kielce-Radoszyce-Piotrków-Łódź. Aby ją rozwinąć, porozumiał się z dwoma Polakami: Konstanciakiem oraz Dziedzicem. Wspólnie posiadali około 10 autobusów i kilka taksówek. We wrześniu 1939 roku Niemcy skonfiskowali samochody, kończąc działalność tej firmy.

Wycieczka wystartowała z ul. Foscha w godzinach porannych w dniu 25 czerwca. Po kilku godzinach, jadąc przez Kraków do Cieszyna, wycieczka przekroczyła granicę państwową (przypomnijmy, kilka miesięcy później – w październiku 1938 r. wojska



Kielce rok 1938. Okolice obecnej ulicy Paderewskiego wówczas Focha. Na zdjęciu pierwszy z lewej to Jakub Goldszajd, założyciel i współwłaściciel firmy autobusowej, obsługującej trasę Kielce-Radoszyce-Piotrków-Łódź. Mężczyźni po prawej to zapewne Konstanciak oraz Dziedzic – współwłaściciele. Widoczny na zdjęciu autobus to odmiana „Chevroleta 183”



Piękny obraz Beskidu Śląskiego

polskie zajęły tzw. Zaolzie wraz z Czeskim Cieszy-nem). Bez dodatkowych postojów ruszono w kierunku Budapesztu przez Rużomberk (Rużomberok). Malownicze krajobrazy Beskidu Śląskiego ukazywały piękno tej ziemi.

Po dotarciu do Budapesztu nasi wędrowcy ochoczo rozpoczęli zwiedzanie miasta od Mostu Elżbiety, który łączy V. dzielnicę Pesztu z I. dzielnicą w Budzie.

Po przekroczeniu mostu wycieczkowicze dotarli do I dzielnicy w której leży Góra Gellerta, wzgórze o wysokości 235 m. Nazwę zawdzięcza biskupowi Gellertowi, który tutaj miał zostać zamordowany przez pogan; spuszczone go ze szczytu w drewnianej beczce.

Po przywitaniu się ze stolicą Węgier – z wysokości – następne kroki nasi urzędnicy skierowali na Wzgórze Zamkowe, gdzie z dużym zainteresowaniem zwiedzili kompleks zamkowy.



Most Elżbiety – zbudowany w latach 1897–1903 do 1927 r. stanowił sensację techniczną, jako jedyny most łańcuchowy na świecie o przeszle łączącym brzegi rzeki odległe aż 290 m



Pierwsze wspólne zdjęcie i po schodach do góry w kierunku pomnika



Pomnik św. Gellerta – wzniesiony w 1904 r. w miejscu śmierci Gellerta



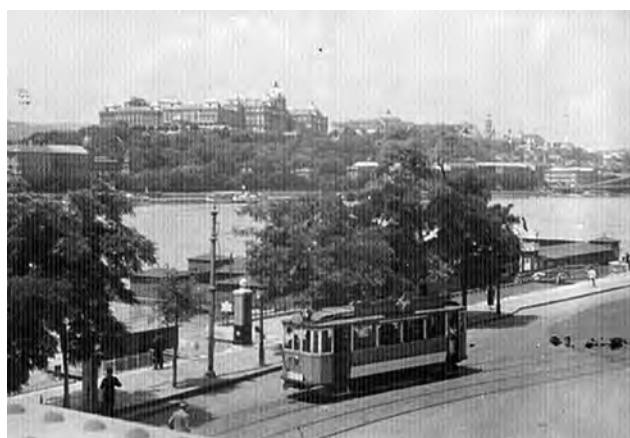
W drodze na Górę Gellerta

Po intensywnym zwiedzaniu przyszła pora na odrobinę relaksu w Łazienkach Gellerta – uznawanych za najpiękniejsze i najelegantsze w Budapeszcie.

Następny dzień zaowocował zwiedzeniem: Muzeum Sztuk Pięknych; budynek parlamentu (jeden z największych gmachów parlamentów na świecie), Placu Bohaterów poświęconego bojownikom o wolność Węgier, straconych tu po powstaniu w 1849 r.



Wzgórze Zamkowe – widziane z Góry Gellerta



Część wycieczkowiczów skorzystała z wodnych uciech; inni ograniczyli się do spędzenia czasu na galerii

Kolejny dzień poświęcony był wyjazdowi nad Balaton. Wycieczkowicze po drodze zwiedzili Székesfehérvár (dawniej: Białogród Stołeczny, lub Białogród Królewski) – miasto, pierwszą, historyczną stolicę Węgier z nekropolią królów węgierskich w tym św. Stefana.

Balaton, Jezioro Błotne – największe jezioro Węgier i zarazem Europy Środkowej, popularne miejsce wypoczynku.

Po powrocie czekała wszystkich pożegnalna kolacja z miejscowymi potrawami, Tokajem i tańcami do rytmów Czardasza.



Muzeum Sztuk Pięknych



Budynek Parlamentu Węgierskiego



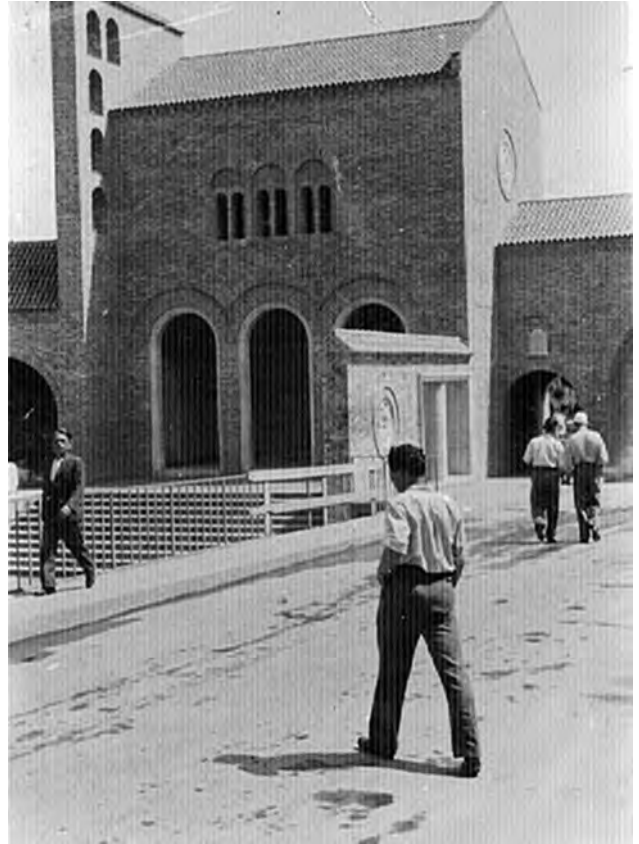
Plac Wolności – na klombie środkowym znajdowała się kompozycja kwiatowa ukazująca mapę Węgier



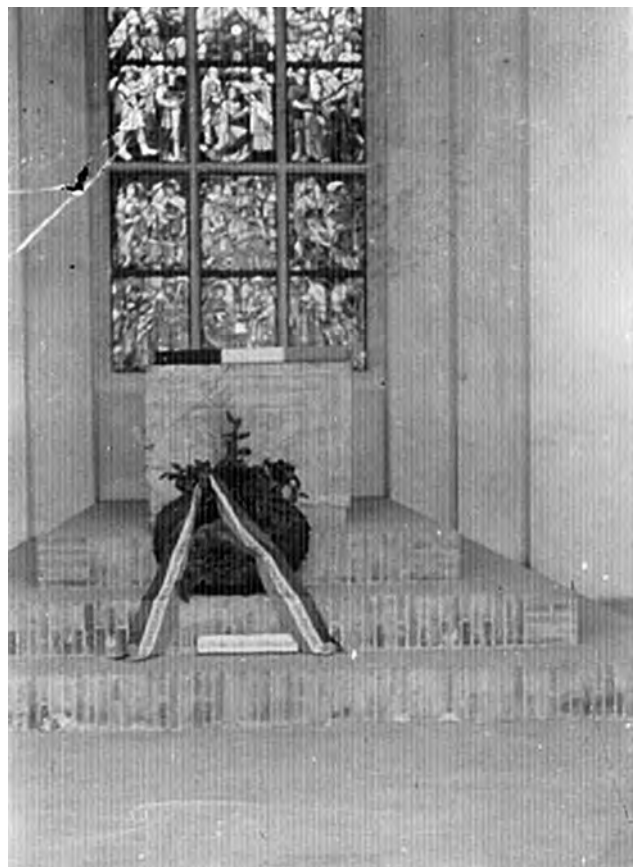
Plac Bohaterów (nazywany również placem Tysiąclecia lub placem Millenijnym) to jeden z największych i najważniejszych placów w Budapeszcie



Fotograficzne wspomnienia z Székesfehérvár.



Székesfehérvár.



Székesfehérvár. Na zdjęciu sarkofag św. Stefana księcia Węgier od 997 r., król. od 1001 r.



Kielczanie nad Balatonem

Pierwszy krótki postój wymuszony przez stadko miejscowych wołów, które powolnie przemieszczały się po szosie.

Pierwszy dłuższy przystanek nastąpił w miejscowości Cluj-Napoca – jednym z głównych miast Rumunii. Miasto położone jest na Wyżynie Transylwańskiej i było historyczną stolicą Siedmiogrodu. Tu urodził się Król Węgier Maciej Korwin. Cluj przez wieki leżało w granicach Węgier i Księstwa Siedmiogrodu, do Rumunii powróciło po I wojnie światowej.

Po wielu godzinach jazdy z krótkimi przerwami – dla wytchnienia i na obiad – autobus dotarł do miasta Sinaia położonego około 60 km na północny zachód od Ploeshti. Znajduje się tam pałac królewski – Peleş. W skład kompleksu wybudowanego dla rumuńskiej rodziny królewskiej wchodzi także pałac Peleşor.



Urokliwe kelnerki uwiecznione przez kronikarza

Chwila oddechu w Ploeshti i dalsza podróż prosto do stolicy Rumuni Bukaresztu. Mocno zmęczeni podróżnicy docierają do Hotelu „Princiar” – miejsca zakwaterowania na kilka najbliższych dni.



Woły na trasie podróży



Węgierski policjant dumnie pozuje do zdjęcia

Pobudka i wyjazd do Rumunii – jeszcze ostatni posterunek policji, odprawa graniczna i już w kolejnym państwie.



Pałac królewski w Sinai



Ploeszti



Budynki Uniwersytetu Bukaresztańskiego. Na fotografii widoczny autobus z Kielc



Rumuńskie Ateneum

Nowy dzień turyści rozpoczęli od zwiedzania urokliwej stolicy Rumunii. Pierwsze kroki skierowali do Uniwersytetu Bukaresztańskiego.

Później krótki przejazd i zwiedzanie Pałacu Królewskiego – pierwotny gmach wzniesiono w 1815 r. i mieścił najważniejsze urzędy państwowe, rezydowali w nim również gospodarowie Wołoszczyzny. Później rozbudowany przez Aleksandra Jana

Cuzę, pierwszego władcę Zjednoczonych Księstw Mołdawii i Wołoszczyzny i króla Karola I w latach 1882–1885. W 1926 r. cały budynek strawił pożar.



Pomnik Wilczycy Kapitołińskiej



Muzeum Myśliwskie



Muzeum Rzemiosła

Odbudowę – a właściwie budowę – przeprowadzono w latach 30. XX w.

Następny dzień poświęcono na zwiedzanie kilku obiektów kultury i sztuki. Kolejno były to: Rumuńskie Ateneum – sala koncertowa w centrum Bukaresztu; Plac Rzymski, gdzie znajduje się pomnik przedstawiający kopię Wilczyca Kapitolńskiej – świadectwo przywiązania Rumunów do ich rzymskiego pochodzenia; Muzeum Myśliwskie; Muzeum Rzemiosła i Muzeum Wojskowe.



Muzeum Wojskowe



Stara wieża zegarowa z XVIII w. w Giurgiu. Ostatnia pozostałość starego miasta



Przeprawa graniczno-promowa przez Dunaj – z Rumunii do Bułgarii



Para uczestników wycieczki uchwycona podczas krótkiego odpoczynku – w jakże ciekawej scenerii



Ruse – pierwsze bułgarskie klimaty w części starego miasta

I przyszła pora pożegnać gościnny Bukareszt i ruszyć w dalszą drogę w kierunku granicy z Bułgarią. Dotarli do Giurgiu – miasta w południowej Rumunii, nad Dunajem. Mieściło się tam największe przejście graniczne z Bułgarią. Po drugiej stronie rzeki znajduje się miasto Ruse (Razgrad).

Wreszcie Varna – trochę polskości i historii. 4 sierpnia 1935 r. car Borys III dokonał otwarcia symbolicznego mauzoleum poświęconego królowi Polski

i Węgier Władysławowi III Warneńczykowi. Mauzoleum powstało w miejscu historycznej bitwy wojsk europejskich z Turkami.

Po zwiedzeniu starej części Varny wycieczka lokuje się w wygodnych kajutach wycieczkowca „Car Ferdynand”. Teraz wielogodzinny rejs do Stambułu.



Mauzoleum poświęcone królowi Polski i Węgier Władysławowi III Warneńczykowi



Wycieczkowicze przed wejściem do mauzoleum



Fot. Cieśnina Bosfor – widok z pokładu wycieczkowca „Car Ferdynand”. W oddali Rumeli Hisari – osmańska forteca w Stambule, na wzgórzu na europejskim brzegu Bosforu

Po wspaniałym rejsie wycieczkowicze wpływają do Bosforu i niemal z marszu ruszają w orientalne klimaty ulic Stambułu, rozpoczynając kilkudniowy pobyt w rozłożonym na dwóch kontynentach mieście.

Kieleccy podróżnicy grupowo i indywidualnie zwiedzali place targowe, kręte uliczki pełne orientalnych atrakcji. Dokonywali zakupów pamiątek i prezentów dla oczekujących ich rodzin i znajomych.



Uczestnicy podróży podczas zwiedzania Stambułu



Kolejnego dnia w drodze do Azji – wycieczkowcem na drugą stronę Bosforu



Złoty Róg – chwila wytchnienia i przepiękna panorama Stambułu



Złoty Róg – uczestnicy wycieczki na tle panoramy Stambułu

Wspólna wędrownia do Złotego Rogu – wąskiej, głęboko wciętej zatoki Bosforu, która ogranicza od północy obszar starożytnego Konstantynopola i oddziela od położonej na północnym brzegu Galaty

I ostatnie fotografie w albumie – Plac Taksim. Jest on uważany za centrum nowoczesnego Stambułu. W 1928 r. wzniesiono tu Pomnik Republiki, przedstawiający Atatürka – pierwszego prezydenta republiki z wiernymi żołnierzami.

W ten sposób dotarliśmy do ostatnich fotografii w albumie. Zapewne istniała druga część ukazująca drogę powrotną – równie ciekawą. Opisana wycieczka, która odbyła się ponad osiemdziesiąt lat temu i dzisiaj wzbudza szacunek dla organizatorów. Przy braku telefonów komórkowych, internetu, musiała wymagać długich przygotowań korespondencyjnych, ustaleń rezerwacyjnych – bo trudno sobie wyobrazić, że kieleccy urzędnicy wyruszyli w ciemno i na żywioł. Zapewne

byli naprawdę dobrze zorganizowani i otwarci na nowe wyzwania.

Jeśli ktoś posiada informację o tej wyprawie, proszę o wiadomość – może gdzieś w szufladzie leży sobie spokojnie druga część kroniki tej wyprawy, która ukaże wycieczkową trasę po Stambule i kolejnych miejscach przeznaczenia.



Kieleccy turyści na Placu Taksim przed Pomnikiem Republiki



Przed Pomnikiem Republiki

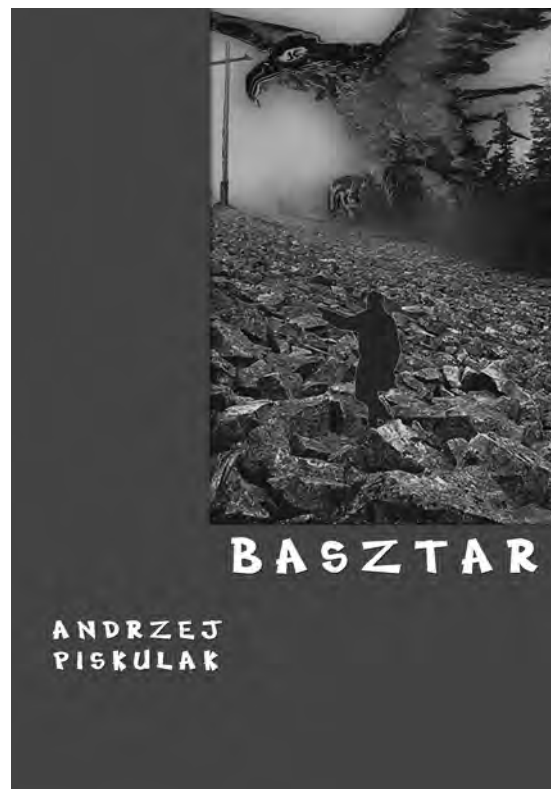
Basztar^{*}

Świętokrzyska wspinaczka duchowa

Od dłuższej chwili wspinam się samotnie na Święty Krzyż i mam nieodparte wrażenie, że z każdym krokiem otaczająca mnie natura przenika do mego wnętrza, rozrasta się we mnie, obejmuje w swoje niepodzielne władanie. Te piękne, stare drzewa są obok, lecz także we mnie, rozrastają się w moim ciele, wypełniają je szczelnie, nasycają swoją witalnością. Jest we mnie coraz więcej drzew. Niektóre są stare jak świat. Jak ten tysiącletni dąb w Zagnańsku. Cała puszcza jodłowa, ogromna prawieczna puszcza świętokrzyska.

Wielowiekowy Zagnański dąb jest moim kregostupem. Jego pień rozciąga się od nasady pleców aż po podstawę czaszki, kieruje ruchami mojego ciała. To on przekazuje mi polecenia, które z kolei wydają swoim stopom i nogom, by kroczyły w wyznaczonym kierunku. Ten samotny marsz stawia mi opór. Jakże trudno jest dźwigać zniechęcone bólem licznych cięć ciało, które pozbawione zwinności, ciężkie i bezwładne buntuje się przeciwko takim poleceniom.

Na szczęście w sukurs przychodzi mi natura. Jakby wyrosły we mnie drzewa odporne na bóle lędźwiowe, kręgow szyjnych, no i tego krzyża, który muszę dźwigać. Dlaczego się tu wspinam? Dlaczego czynię to z taką konsekwencją i determinacją? Postanowiłem bowiem pokonać tkwiące we mnie ograniczenia, własną słabość, odkryć siebie w postaci czystej, pierwotnej, odkryć tajemnice swojej duszy. Jestem przekonany, że wraz zdołam przeniknąć także duszę tego bliskiego mi regionu,



* Fragment powieści pt. „Basztar”, która ukazała się w maju 2021 r. w Wydawnictwie Jedność

owego mitycznego krajobrazu z całą jego dramatyczną historią.

Wchodzę z ufnością i wiarą pomiędzy jodły, tworzące osnowę lasu, w rozłożyste buki, klony i jowory, a nawet rzadkie dziś, a pospolite dawniej modrzewie. Wierzę, że pomiędzy tymi olbrzymami leśnymi odkryję podścielisko moich przemyśleń, miękkie mchy, rozłożyste paprocie, szałwie, konwalie i trzmieliny mojej kontemplacji.

Pragnę odurzyć się kępami kwitnących róż polnych, otrzeć o tarninę. Gdy patrzę na ten kamieniogrzmot spływający od strony klasztoru prosto do mojego serca mam nieodparte wrażenie, że jestem u siebie, że jest to moje centrum świata i że byłem tu od zawsze.

– Ja, Ryszard Karos – mówię do siebie w myślach, choć słyszę swoje słowa wyraźnie i dobitnie – przyjmuję dzisiaj na siebie wyzwanie największe. Muszę wykorzystać optymalnie tkwiący we mnie potencjał, w moim sercu i umyśle, dążyć wytrwale i skutecznie do wyznaczonych sobie celów. Każdy dzień, każda chwila musi oznaczać ruch do przodu, kolejny krok w rozwoju moich zdolności, którymi obdarzył mnie los. Nie mogę ich zmarnować, bo jeśli zmarnuję szansę otrzymaną od Boga, to mogę ją utracić bezpowrotnie. A co to znaczy dla mnie przede wszystkim? Traktować każdy dzień, jakby był mi powtórnie darowany. Nie marnotrawić czasu. Każdy dzień, każdą godzinę wykorzystywać w pełni, maksymalnie, realizować cel nie jutro lub pojutrze, lecz teraz, w tej chwili, wykorzystując dostępne mi możliwości. A to znaczy przede wszystkim wyzbywać się w sposób skuteczny nałogów, obsesji i słabości wewnętrznych.

Wspinam się równym krokiem wśród wijących się pod stopami rozłożystych paproci, szaławii, konwalii, trzmielin i mchów. I utwierdzam się w słuszności wypowiedzianych słów, choć równocześnie mam świadomość, że ich realizacja nie będzie ani prosta ani łatwa. Wprost przeciwnie, będzie ona równie trudna, jak mój marsz pod górę. Wiem, że napotkam na swojej drodze wiele przeszkód, które będę musiał pokonać. I pokonam je. Tu, w świętokrzyskim krajobrazie, w najbliższym kontakcie z naturą, próbuję wypracować teorię sukcesu w zmaganiu się z samym sobą.



Po powrocie z niedawnej wycieczki, kiedy wspólnie z Andrzejem przecierałem zapomniane ślady Gombrowicza, podjąłem próbę samodzielną, już bez przewodników. Zmierzam moimi prywatnymi śladami zapomnianego Sergiusza Piaseckiego. Jest to, oczywiście, pretekst. Autora *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy* mógłbym wymienić na każdego innego pisarza związanego z Ziemią Świętokrzyską. Po prostu odczułem potrzebę podjęcia kolejnego wyzwania. Myśl samodzielnej wyprawy zrodziła się we mnie już we Wszechświętej, podczas wspinaczki na Gaj.

Próbkę te rozumiałem jako początek procesu zmiany siebie, wejścia na drogę gruntownego oczyszczenia duchowego. Tym trudniejszą, że wymaga to nie tylko całkowitej akceptacji samego siebie, ale również innych ludzi, z którymi wchodzę w rozmaite relacje, i którzy tym samym mają ogromny wpływ na moje życie.

Wielu z bliższych i dalszych znajomych uzurpuje sobie nawet prawo do tego, by być moim sumieniem, a przecież najważniejsze decyzje nie mogą należeć do nich, lecz do mnie, i tylko do mnie. Od wielu lat mam wrażenie, jakbym był inwigilowany, jakby ktoś czytał w moich myślach i najgłębszych zakątkach duszy. Wbijałem sobie do głowy, że to po prostu nie jest możliwe. Przecież nie jestem paranoikiem.



Wreszcie doszedłem do wniosku, że przyczyna tego musi tkwić we mnie. Po tym odkryciu utwierdziłem się, że oczyszczanie mojego życia musi sięgać głębiej niż tylko do problemu nałogów i przypadłości.

Ale nie miałem najmniejszych wątpliwości, że od nich muszę zacząć, już, w tej chwili, na tej świętej górze, albo na innej, jaka się znajdzie pod moimi stopami. Gdy po powrocie z wycieczki śladami Gombrowicza rozmyślałem o tym wszystkim w domu, przed wyruszeniem na Święty Krzyż, uświadomiłem sobie, że najważniejszy jest pierwszy krok. Może być nim na przykład postanowienie, że pod żadnym pozorem nie sięgnę po papierosa. Co więcej, że w ogóle nie będę reagował na tytoń. I to właśnie wcieliłem w życie. Od powrotu z tamtej wycieczki nie palę. Jak zawsze papierosy leżały na komputerze, lecz ich nie dostrzegałem, co wreszcie zwróciło uwagę Lucyny. W domu nie było czuć dymu, który towarzyszył jej i dzieciom od lat. I to właśnie było tym pierwszym krokiem. Niby niewielkim, a przecież niezwykle ważnym i istotnym. Oznaczało bowiem, że jestem w stanie się przemóc, pokonać nałóg, wobec którego przez długie lata byłem bezbronny. A przecież chciałem mierzyć się ze znacznie poważniejszymi problemami. Chciałem nie tylko w sposób zasadniczy zmienić swoje życie, lecz także naprawić otaczający

mnie świat, przynajmniej w tym zakresie, który ode mnie zależy. Odrzucenie papierosów było swoistym testem. Jeśli potrafię to uczynić po dwudziestu pięciu latach uzależnienia, po wypalaniu nawet dwóch paczek dziennie, będzie to dla mnie znak, że także w innych sprawach dam radę.

Pamiętam, jak po drugiej operacji, zaraz po przebudzeniu z narkozy, lekarz wyjął z mojej szafki „radomskie” i poczęstował mnie nimi na sali. Nawet przypalił i włożył mi do ust, bym się zaciągnął. Gdy dostrzegł w moich oczach bezgraniczne zdumienie, rzekł.

– Proszę tak na mnie nie patrzeć. Ma pan tak zasmolowane płuca, że w każdej chwili może dojść do tragedii. Jelli smoła ta zacznie się odrywać spowoduje to gwałtowny kaszel, który może pozrywać szwy. To był, panie Ryszardzie, bardzo trudny zabieg. Po pierwszej operacji pojawiła się martwica skóry, co powodowało poważne komplikacje. Stąd ten papieros, by zaspokoić pański głód nikotynowy.

Słowa lekarza na długo zapadły mi w pamięć.

To właśnie wówczas pojawiła się we mnie myśl, że czas najwyższy wyzwolić się z nałogu. Wtedy jednak nie starczyło mi woli. Wieloletni nawyk ro-

bił swoje. I pewnie byłoby tak do dzisiaj, gdyby nie rozmowa z księdzem i będące jej konsekwencją silne postanowienie zmiany całego dotychczasowego życia. Lucyna nie mogła uwierzyć. Z niedowierzaniem patrzyła na popielniczki w mojej kanciapie, które zwykle wypełnione po brzegi śmierdzącymi petami, teraz lśniły nienaganną czystością.

Wiedziałem przecież, że to dopiero początek. Pierwszy krok na drodze, na której czekało mnie jeszcze wiele przeszkód i niespodzianek. Skończyłem z papierosami. Któregoś dnia teatralnym gestem chwyciłem leżącą obok komputera paczkę i zmiąłem ją gwałtownie, by następnie wyrzucić do kosza.

– I co dalej? – zadałem sobie w myśli pytanie. – Czym wypełnić lukę po tej wieloletniej przypadłości? Muszę za wszelką cenę znaleźć właściwe antidotum. Wiedziałem, że jeśli tego nie uczynię, wcześniej czy później nałóg może wrócić, być może nawet z jeszcze większą niż dotychczas siłą. A przecież nie chodzi tylko o papierosy. Także o hektolitry codziennie wypijanej kawy, o alkohol, zwłaszcza piwo, obżeranie się golonką i tłustym boczkiem, buszowanie w lodówce po północy, beczynne wylegiwanie się do góry brzuchem na kanapie, w ogóle brak jakiegokolwiek aktywności fizycznej. Czyli o całą filozofię życia, któremu muszę nadać konkretny sens. Ważny dla mnie i dla moich najbliższych. Nie mogę, mówiłem sobie w duchu, cały czas tkwić w defensywie, ustępować, cofać się, stosować uniki i przede wszystkim usprawiedliwiać się przed samym sobą ze swej beczynności. Życie to ruch, aktywność, dążenie do wyznaczonych sobie celów, słowem realizowanie samego siebie. Przecież, karciełem się surowo, kiedyś było to dla ciebie czymś oczywistym. Musisz wrócić do tamtego trybu. Musisz wziąć przykład z tej bujnej, pokonującej wszelkie przeszkody natury, która cię otacza.

Musisz, powtarzałem z naciskiem, zmienić swój stosunek do wszystkiego. Do każdego przedsięwzięcia podchodzić z zainteresowaniem, radością, entuzjazmem. To jest twoja szansa. Jedyna i niepowtarzalna. Nie możesz stać w miejscu, poddawać się przy najmniejszemu niepowodzeniu, ulegać bezwiednie codzienności. Przede wszystkim, prowadziłem z sobą wytrwały dialog, musisz zacząć od krytycznego spojrzenia na siebie. Jeśli chcesz żyć normalnie, nie możesz dźwigać na swoim grzbiecie tych

dziesiątków zbędnych kilogramów. Musisz pozbyć się tej ogromnej nadwagi, zważy tłuszczu zamienić w mięśnie, sprawić, że twój ospały dziś organizm zacznie funkcjonować na zwiększonych obrotach.

– To znaczy, że mam się wyzbyć części siebie? – skierowałem milczące pytanie gdzieś w głąb siebie i natychmiast usłyszałem odpowiedź. – Tak! Musisz stworzyć całkiem nowego Ryszarda Karosa!

Jeszcze niedawno ów dochodzący z mego wnętrza głos zignorowałbym bez najmniejszych skrupułów. Dzisiaj jednak to już całkiem inna sprawa. Jestem świadomy swoich celów i wierzę, że mogę je osiągnąć. Tak jak zdołałem wyzwolić się z nałogu papierosów i zrezygnować z piwa, które towarzyszyło mi przez lata, którym zaczynałem i kończyłem każdy dzień, tak potrafię pokonać inne uzależnienia i słabości. A najważniejsze jest to, że mogę to uczynić ja, Rysiek Karos, jeszcze do niedawna człowiek słaby, pozbawiony woli, obiekt żarów i kpin środowiska.

Że wiele spraw, o których bałem się nawet myśleć, jest w zakresie moich możliwości, że nie muszę się cofać, zamykać przed światem. Wręcz przeciwnie – mogę mu wychodzić naprzeciw. Tak jak dzisiaj, gdy pokonuję drogę wiodącą na Święty Krzyż, o czym kiedyś mogłem tylko marzyć. Nie przychodzi mi to łatwo, nie śmigam z lekkością sarenki, lecz powoli, konsekwentnie zbliżam się o celu. Dlaczego? Bo tak postanowiłem, bo taką wyznaczyłem sobie barierę na dziś, a jutro przesunę ją dalej, pojutrze zaś jeszcze dalej. W ten sposób właśnie staję się z dnia na dzień innym człowiekiem. Nowym Ryskiem Karosem. Owe postanowienia są dla mnie swoistą modlitwą, która motywuje mnie do stałego podnoszenia poprzeczki, potężnym środkiem dopingującym. One nie tylko umożliwiają mi osiągnięcie coraz bardziej ambitnych celów, ale są równocześnie źródłem satysfakcji, pozwalają cieszyć się czystą radością dziecka, które odkrywa uroki świata.

Mam świadomość tego, że nie żyję dla ocen, wyróżnień, pochwał, dyplomów, pucharów, medali, korzystnych recenzji lub po to, żeby uniknąć kar, czy też, by nie wpadać w konflikty. Uczę się innej miary życia. Wyzbywam się nałogów, oczyszczam organizm, duszę i umysł, po to by żyć pełniej i mądrzej, z większym pożytkiem dla siebie i swoich bliskich,



dla swojej rodziny, wcześniej zaniedbywanej przeze mnie. A także w podzięce dla Stwórcy, któremu swoje życie zawdzięczam, który mi je dał w pełnym zaufaniu, że nie zmarnuję otrzymanej szansy. Dzięki stałej z nim rozmowie wiem, że całe otaczające mnie dobro, lecz także zło, istnieje po to bym mógł dokonywać właściwych wyborów. Życie to nieustanna lekcja. Chcąc nadążyć za wzrastającym rytmem świata muszę się stale uczyć, szybko i skutecznie, tym bardziej że nie jestem już młodzieńcem. Przekroczywszy czterdziestkę mam, jak się potocznie mówi, „z górki”. Czyli muszę żyć mądrzej, wykorzystywać każdy dzień, a nawet każdą chwilę i nie tracić z oczu najważniejszych celów. Tylko wówczas życie przyniesie oczekiwane przeze mnie i moich bliskich owoce, będąc równocześnie dla mnie źródłem przyjemności i satysfakcji. Płynących wszakże nie, jak dawniej bywało, z mojego lenistwa i zaniechań, lecz realizacji coraz ambitniejszych zadań. Temu zaś musi towarzyszyć nie nadmierny, często nieuzasadniony autokrytycyzm, lecz pełna koncentracja, stanowczość i wiara, że zadania te pozostają w zakresie moich umiejętności. Mówiąc inaczej, muszę uwierzyć w swoje możliwości i zaakceptować siebie takim, jakim jestem. Nie mogę udawać, że jestem kimś innym. Nie mogę zmyślać sobie, jak to czyniłem w czasach młodości, gdy, chcąc za wszelką cenę

zaimponować rówieśnikom, wcielałem się w bohaterów przeczytanych książek, czy obejrzanych filmów. Gdy próbowałem nieudolnie naśladować moich idoli z boiska, a później – z ulicy czy knajpy. Wówczas byłem każdym, tylko nie sobą.

Dzisiaj, po latach ciężkich doświadczeń, zdałem sobie sprawę, że to kiepskie aktorstwo prowadzi donikąd, a równocześnie posiadam tę mądrość, że nie można patrzeć na siebie zbyt krytycznie. Że należy sobie, podobnie jak komuś, kogo się nie lubi, umieć wybaczyć, gdy się popełni błąd. Słowem, że należy zaakceptować siebie w pełnym wymiarze zalet i wad. Zaakceptować bezwarunkowo i całkowicie. Potrzebę i umiejętność wybaczenia sobie, akceptowania wszystkich swoich czynów i głębokiej refleksji nad nimi uczyniłem elementem moich porannych modlitw. Mam tym samym gwarancję, że wobec popełnianych błędów nie będę stosował żadnych uników. Że przyjmę odpowiedzialność za każde moje działanie lub jego brak. Że, kierując się wygodnictwem i egoizmem, nie będę szukał łatwych usprawiedliwień, lecz z każdym wyzwaniem zmierzę się w pełni odpowiedzialnie, po męsku. Że nie będę obrażał się na los, czy wręcz Pana Boga. Że źródłem porażek będę szukał przede wszystkim w sobie, w swoich słabościach, w braku umiejętności, które muszę nabyć lub w niedostatecznej konsekwencji.

Nie mogę zgłaszać pretensji do Stwórcy, lub wręcz odwracać się od niego, co w sposób lekkomyślny uczyniłem w przeszłości. Dziś wiem, że nie jest to żadne rozwiązanie, że, wręcz przeciwnie, prowadzi donikąd, mnoży problemy, których w pewnym momencie nie można będzie rozwiązać.

Snułem te refleksje pokonując kolejne metry drogi wiodącej na Święty Krzyż i zadając sobie wciąż nowe pytania. Na przykład to: jak poradzę sobie z reakcją środowiska? Bliższych i dalszych znajomych, których moja, zaskakująca dla nich, zmiana postępowania najwyraźniej prowokuje, drażni, wyzwala powątpiewanie i niechęć? Przecież nie jestem w stanie zmienić ludzi, wśród których muszę żyć i pracować. Nie jestem? Może nie mogę tego uczynić wprost, poprzez natrętną demonstrację mojej pobożności, ale pośrednio? Poprzez codzienny przykład, respektowanie bliskich mi zasad i wartości, poprzez rzetelność, uczciwość, okazywaną innym dobroć



– dlaczego nie? Mogę przecież w ten sposób zmienić, na miarę moich możliwości, warunki nie tylko własnego, osobistego, lecz także wspólnego życia.

Mogę również zmienić sposób, w jaki odbieram zachowania i działania innych. To mogę z całą pewnością. Moja postawa przecież w ogromnej mierze zależy ode mnie. Będę zamknięty w sobie, sceptyczny, podejrzliwy, czy raczej otwarty, ufny i empatyczny. To, jakie będę nadawał innym sygnały, jaki przekazywał im rodzaj energii, czy będę złośliwy, agresywny, czy też swoim słowem i postępowaniem będę rozsiewał dobroć i akceptację – to wszystko zależy ode mnie i tylko ode mnie. Od mojego rozsądku, opanowania, wrażliwości i woli. W ten sposób będę współkształtował nie tylko swoje życie, lecz także środowisko, wychodził mu naprzeciw, budował, na miarę możliwości, jego nową, bardziej przyjazną dla wszystkich jakość.

Do tej pory, zanim podjąłem walkę ze swoimi słabościami, dominowała we mnie potrzeba bezpieczeństwa, unikanie jakiegokolwiek ryzyka, godzenia się na status quo. Wmawiałem sobie, że pozostawanie w defensywie jest dla mnie najlepszym rozwiązaniem. I pewnie w sensie egoistycznie rozumianego interesu własnego w jakiejś mierze tak było. Zwłaszcza że nie

stawiałem przed sobą żadnych ambitniejszych celów, wmawiając sobie, że jest mi z tym dobrze. A przecież takie myślenie nie może prowadzić do sukcesów. Przede wszystkim dlatego, że jest życiem pozornym, nieustannym unikaniem, rejteradą, całkowitą beczynnością. To tak jakbym, chcąc wznieść się w górę, kręcił się nieustannie w kółko i przy tym narzekał, że znajduję się wciąż w tym samym miejscu.

Dlatego tak ważne jest to, iż w pewnym momencie zrozumiałem, że życie należy traktować jako ciągłe wyzwanie, wzbudzanie w sobie codziennej aktywności, dążenie do zmian, wyciąganie wniosków z każdej sytuacji życiowej. Tylko bowiem takie życie może sprzyjać efektywności podejmowanych działań, przynosić oczekiwane owoce, stwarzać nowe możliwości.

Długo nie dochodziło do mnie, że to ja sam jestem źródłem swoich niepowodzeń. Że swoim postępowaniem tworzę sobie zastępy rywali i wrogów. Nie byłem w stanie zdobyć się na prostą refleksję, co powinienem uczynić, aby ten stan rzeczy zmienić. By moje życie potoczyło się innym torem, nabrało celu i sensu. Teraz jest inaczej. Dziś mam coraz większe poczucie własnej wartości. Przeszkody i zagrożenia jakie pojawiają się na mojej drodze nie wzbudzają we mnie



panicznego lęku, potrafię się im przeciwstawić. Z zaciekawieniem podchodzę do życia. Postawa mojego ciała wyraża pewność siebie. Mój głos jest mocny, nie unikam, jak to było dawniej, kontaktu wzrokowego z rozmówcą. Nie boję się różnicy zdań, wręcz przeciwnie: widzę w niej ważne źródło inspiracji. Nie obawiam się, że zostanę niewłaściwie potraktowany, z sarkazmem, złośliwie lub obraźliwie, a równocześnie do ludzi, którzy z jakichkolwiek powodów nie okazują mi szacunku, pragną podważyć moje poczucie wartości, podchodzę ze zrozumieniem i współczuciem. Nie obrażam się. Natomiast śmiało wyrażam swoje opinie, zdecydowanie formułuję swoje stanowisko. Jestem otwarty i przyjacielski. Mam świadomość, że nie wolno mi odpłacać pięknym za nadobne, wchodzić w rolę moich adwersarzy. Złość bowiem może rodzić tylko złość, zaś dobroć – tylko dobro.

Zatrzymałem się na chwilę, by ogarnąć wzrokiem dobrze mi znany krajobraz. Patrę z uczuciem tkliwości na gołoborze obramowane od góry, z boków i od dołu zwartym, gęstym lasem, niegdyś borem, podszytym wijącą się czernicą. Czerwone jarzębiny wyrrywają się z lasu na wyścigi, by wdrzeć się w kamienne oczko wodne. Nieogarniony kamień na kamieniu kryje tajemnice prawiecznej duszy tego wyjątkowego miejsca. Różnej wielkości ostrokan-

ciaste głązy pokrywają pozbawioną drzew rozległą przestrzeń. Przyodziane są gdzieniegdzie skąpo porostami, które skradają się w kierunku lasu, pełząc po ich chropowatej powierzchni. Czasami pojawiają się wśród nich, jak żagle samotne, trójkątne liście paproci. Wszystko to płynie w kierunku leśnej gęstwy, gdzie kamienie przyoblekają się szczelnym całunem mchu i paproci, wśród którego dostrzec można rozchodnik wielki. A ja jestem jednym z tych prawiecznych i tajemniczych kamieni.

Gdy razem z Andrzejem przecieraliśmy niedawno ślady Gombrowicza, autor *Transatlantyku* uprzytomnił mi, że winienem zerwać wszystkie maski skrywające moje przypadłości, nałogi i obsesje. A czego szukam tutaj? Wchodząc do byłego więzienia, które pełni dziś funkcję muzeum, myślę o dramatycznych losach Sergiusza Piaseckiego. Kieruję swoje kroki do dawnej celi nr 22. Przed wojną siedział w niej król przemysłników w towarzystwie komunisty Jakuba Szeńskiego, bandyty Borowieckiego, Józefa Osipowicza – władcy puszczy, który czternaście lat grasował w Białowieży, i kilku innych oryginałów. Ich barwne biografie były gotowymi scenariuszami filmów sensacyjno-przygodowych, podobnie zresztą jak owego słynnego przemysłnika, rasowego wywiadowcy, a także przestępcy, który wkrótce miał się okazać dużej klasy pisarzem. Jego książki do dzisiaj cieszą się niezwykłym powodzeniem, a pisarski talent eksplodował właśnie tutaj, w grubych więziennych murach na Świętym Krzyżu. To jego wybrałem sobie za patrona mojej pielgrzymki po prawiecznej górze. Dzięki pisaniu potrafił udźwignąć swój Krzyż Pański i stworzyć sobie raz jeszcze. Tutaj wiosną 1934 roku znalazł w kuźni więziennej kawałek gazety z ogłoszeniem o konkursie literackim i zachował adres wydawcy.

Wzrokiem wbitym w ziemię przeszukuję celę jakbym miał nadzieję natrafić na ślady stalówki, którą przyszedł pisarz znaleźć podczas spaceru więziennego. Jak wspomina jego przyjaciel, starannie ją wyostrzył na kamieniu w celi. Następnie rozpuścił w herbacie kawałki ołówka chemicznego, uzyskując atrament i czekał niecierpliwie na pozwolenie pisania, bardzo rzadki przywilej w tym surowym więzieniu. Pozwolenie co prawda otrzymał, lecz nie rozwiązało to problemu. Przez dłuższy okres musiał się uzbroić w cierpliwość czekając z kolei na upragniony brulion z ponumerowanymi kartkami. Gdy go wreszcie otrzymał, przystąpił

do katorżniczej pracy. Z niezwykłą pasją i determinacją pisał bez przerwy blisko miesiąc, po 10 stron dziennie. Słowami prostymi opisał część swojej szpiegowskiej przeszłości. Powieść opatrzył tytułem *Piąty etap*. Było to niezwykle, tym bardziej, że język polski, którym wkrótce władał po mistrzowsku, opanował, jako samouk, dopiero w trzydziestym roku swego życia.

Zwykła, niewielka stalówka, a potrafiła zmienić tak wiele. Zbudowała nowego człowieka, poruszyła wielkie sumienia literackie w Polsce, ujawniła talent, którego nikt się nie spodziewał.

By się tutaj dostać, musiałem uzyskać specjalną zgodę władz parku narodowego w Bodzentynie. Podobnie jak przed wojną Melchior Wańkowicz, z tym że wielki reporter, który uległ czarowi naturalnej opowieści nikomu nieznanego więźnia, musiał otrzymać specjalny glejt od samego prokuratora Generalnego RP Witolda Grabowskiego.

To właśnie dzięki Melchiorowi Wańkowiczowi, wówczas nie tylko znanemu i cieszącemu się ogromną popularnością pisarzowi, ale również współwłaścicielowi wydawnictwa „Rój”, do którego Piasecki wysłał rękopis swojej najgłośniejszej powieści *Kochanek wielkiej niedźwiedzicy*, autor przyszłych bestsellerów mógł po jedenastu latach pobytu w więzieniu wyjść na wolność. Były przemytnik, agent wywiadu, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, a w końcu pospolity przestępca skazany za napad z bronią w rękę, stanął przed wielką szansą, którą wykorzystał w pełni. Jako człowiek wielkiej odwagi i silnego charakteru nie tylko pokonał fatum swego losu, został cenionym twórcą, lecz także ocalił życie innego wielkiego pisarza, jakim był Józef Mackiewicz, odmawiając wykonania na nim bezpodstawnego wyroku śmierci.

Dziś cele dawnego więzienia, wysprzątane i odnowione, nie sprawiają tak ponurego wrażenia jak przed laty. Choć trudno w to uwierzyć, przed wojną w celi o dwóch metrach kwadratowych przebywało dwudziestu skazanych. Pisanie w takich warunkach wymagało niezwykłego samozaparcia i wyjątkowego hartu ducha. Piasecki to potrafił. Po latach napisał:

Tymczasem dziwną dla mnie jest własna zdolność operowania bez wysiłku prozą polską, układania dialogów, dramatyzowania życia, a nawet popęd

do zagadnień filozoficznych, ku czemu kwalifikacji formalnych nie mam. Następnie: czytanie każdej treści napisanej przeze mnie sprawia mi przykrość, bo mam wrażenie, że pisze to ktoś mi obcy, a nawet mi «nieżyczliwy». Dalej: często piszę nie to, co chcę albo zamierzałem napisać, lecz nawet rzeczy sprzeczne z tym (...). Miałem nieraz wrażenie, że jestem czymś «narzędziem» do wypowiedzania się.

Ten fragment biograficzny pisarza wyjątkowo silnie utkwił mi w pamięci, bo podobne zjawisko znałem z autopsji. Rozmyślając o losach Piaseckiego patrzę na grube mury, które izolowały więźniów całkowicie od zewnętrznego świata. Nie był w stanie przebić się przez nie żaden odgłos, na przykład krzyk katowanego człowieka, ale potrafiła je skruszyć wielka siła słowa, owa iskra Boża, która powołała do życia rzadką umiejętność mistrzowskiego operowania słowem, jaka dana jest tylko wybranym. To ona pozwoliła Piaseckiemu znieść niewysłowiony trud dźwigania na swych barkach krzyża swojego dramatycznego losu, w tym również Świętego Krzyża.

Podjęta przez Wańkowicza akcja okazała się skuteczna. Będąc już na wolności, Piasecki zatrzymał się na jedną noc w hotelu „Bristol” i posłał swoim byłym towarzyszom z więzienia, co to bogom nocy byli równi, paczkę z żywnością i tytoniem. Była tam słonina, cebula i wiele innych rarytasów dla współtowarzyszy niedoli: Osipowicza, Czarnego, Antka-Borowieckiego, Chwieja i innych. Natomiast Wańkowiczowi, swemu wybawcy, który podróżował w tym czasie po Kresach, zadepeszował: „Za zdjęcie z krzyża dziękuję, dziękuję, dziękuję”.

Moje rozmyślenia przerywa delikatne wołanie kierowniczkę muzeum.

– Panie Ryszardzie, proszę kończyć zwiedzanie, za chwilę zamykamy!

Zmierzając ku wyjściu, obrzucam raz jeszcze uważnym spojrzeniem dawne więzienie, w którym ponownie narodził się Sergiusz Piasecki, człowiek niezwykłego talentu, lecz przede wszystkim wyjątkowej, niezłomnej woli i wytrwały przemytnik marzeń.

Fotografie Świętego Krzyża Jerzy Osiecki



Kurs PCK 1938 r. Maria Klepko u góry, szósta z lewej

Anna Mordeusz

Mały epizod wielkiej wojny w Kielcach Część 2

Żołdackie zabawy

Mietek zaczął odwiedzać nasz dom i nie było w nim już tak pusto i ponuro. Czasami przychodzili też koledzy Haliny, jak Tadek Fidera czy Czesiek Dudkiewicz. Byli to młodzi chłopcy, impulsywni, niegodzący się z rzeczywistością. Któregoś dnia Czesiu zasiedział się dłużej i nie usłuchał mamy, która prosiła, żeby

został i nie ryzykował chodzenia po godzinie policyjnej. Uparł się, miał do domu dosłownie kilka kroków, więc pożegnawszy się, wyszedł. Idąc ulicą Kościuszki w górę natknął się na grupę niemieckich żołnierzy. Rozbawieni i pijani zobaczyli przed sobą coś, czym można było się zabawić. Po chwili Czesiu leżał na ziemi kopany jak piłka podkutymi

buciorami. Byłam jeszcze z Jadwigą na podwórku, kiedy usłyszałam krzyk bitego człowieka. Zaalarmowałyśmy siostrę i mamę. Pomocy można mu było udzielić dopiero, jak znudzeni tą zabawą Niemcy odeszli. Był posiniaczony i miał rozbitą głowę. Swoją lekkomyślność opłacił kilkudniową chorobą.

Ci żołnierze mogli być ozdrowieńcami ze szpitali wojskowych przy ulicy Kościuszki, w szpitalu miejskim, w budynku szkoły powszechnej imienia M. Konopnickiej, z kamienicy na rogu ulicy Kopernika.

Z rannymi żołnierzami w szpitalach nie mieliśmy kontaktu. Tylko dzieci czasem wyłudzały od nich przez okno „bombony”. Gdy zwożono rannych, żandarmi blokowali ulicę i przeganiali ciekawskich Polaków. Ranni z początku zachowywali się butnie, później łagodnieli. Otwierali okna, wychodzili na balkon i wygrzewali się w słońcu. Zawsze było ich tam wielu, z zabandażowanymi kończynami, piersiami, głowami. Wieczorem śpiewali pięknie na głosy. Często stojąc w bramie Ubezpieczalni słuchałam te smętne, pełne nostalgii, melodyjne piosenki; o ojczyźnie, domu, rodzinie, które muszą zostawić, czy modnego wówczas przeboju „Lili Marlen”. Było dla mnie dziwne, dlaczego ludzie, którzy tak pięknie śpiewają, potrafią być tacy brutalni.

Na ulicy Złotej

W tym czasie często nas odwiedzała pani Kasia. Uczyła się języka niemieckiego, bowiem zmieniła pracodawcę i pracowała u Niemców. Jej pracodawca, być może folksdojcz, był kierownikiem tuczarni gęsi na Piaskach. Zajmował kilkupokojowy dom ze wspaniałym ogrodem przy ulicy Złotej. Dzień w dzień Niemcy urządzali tam przyjęcia i hulanki. Codziennie szykowano przeróżne wymyślne potrawy na przyjęcie gości. Oczywiście i tam odwiedzałam Kasię z myślą, że coś mi skapnie. Nic się niestety nie zmieniło, najczęściej nawąchałam się zapachu pieczonych mięsów i ciast.

Kiedys przyszłam w momencie, gdy szykowano jakieś wielkie przyjęcie. W kuchni urzędowała także pani domu i ucierała żółtka z cukrem, bo miały być pieczone babki piaskowe. Do miski wbiła 30 żółtek, zaś białka wylała do zlewu. Siedziałam na taborecie przy stole, gryzłam jabłko, jakim mnie poczęstowa-

no, i patrzyłam, jak pracują. Byłam bardzo głodna, a to jabłko spowodowało, że jeszcze bardziej odczuwałam ból w żołądku. W pewnej chwili folksdojczka stwierdziła, że ucieranie się nie udało, bo żółtka się zwarzyły i zawartość miski wylała do wiadra na odpadki.

Nie mogłam tego przeboleć, ale nie śmiałam zaproponować, by mi te jajka z cukrem podarowano. Wracając do domu nie mogłam się pogodzić w myślach z tą niesprawiedliwością. U nas w domu głodowaliśmy, a tam marnowano żywność.

Dla tych folksdojczów skończyły się złote czasy, gdy zbliżył się front. Opowiadano mi, że uciekli w popłochu z Kielc z małymi walizkami, a całe wyposażenie ich domu; piękne meble, obrazy, bibeloty przejęła pani Kasia i wywiozła do siebie, na wieś.

Cierpimy głód

Pomimo że Halina już u niego nie pracowała, Wójcik odwiedzał nas w Kielcach. Często, litując się nad naszą biedą, czymś tam mamę wspomagał, za co pomagaliśmy mu w drobnych, domowych czynnościach.

Któregoś dnia przypadło mi w udziale sprzątnąć mu mieszkanie. Było skromnie umeblowane. Żelazne łóżko, szafa, stół, krzeselka i to wszystko. Na szafie leżała walizka z dykty, czymś tam wypełniona. Po zapachu można było uznać, że jest w niej coś z żywności. Walizka stała się więc punktem mojego zainteresowania i zanim zaczęłam pracę poszedł w ruch nóż, którym zaczęłam odkręcać śruby od zawiasów. Wreszcie ukazała się jej zawartość, kilka paczek kawy zbożowej i kilka kostek sztucznego miodu. Same delikcje, myślałam, liżąc jedną z kostek. Wychodząc z założenia, że człowiek głodny nie ma grzechu okradając innego, zaczęłam miód jeść. Z początku czułam boską słodycz, która później zamieniła się w gorycz i mdłości. Przeliczyłam się, bo nie tylko nie zjadłam całej kostki, jak zamierzałam, ale poczułam wstręt do miodu na całe życie. Mieszkanie naturalnie wysprzątałam na wysoki połysk. Do domu wróciłam schorowana, z obolałym żołądkiem, nie przyznając się mamie do niczego.

Któregoś dnia, kiedy wracałam z lekcji, przed szpitalem wojskowym w szkole Konopnickiej zobaczyłam swojego brata. Wyciągał rękę jak inne dzieci

i prosił patrząc miłosiernie na wartownika, który stojąc z karabinem, co jakiś czas któreś z nich głośkał po głowie.

– Bitte Herr, bitte Stücke Brot!

Od czasu do czasu wychodził z budynku w wielkiej czapie kucharz i rozdawał kawałki suchego chleba. To wstrząsnęło mną do głębi, bo mama miała to na uwadze i nasz kilkulatek dostawał takie porcje jak i my. Toteż dobiegłam i wymierzyłam ma kilka klapsów krzycząc:

– Co, przyszedłeś Niemców o chleb prosić?

Żaden z Niemców na pewno nie rozumiał po polsku, ale wartownik zareagował od razu:

– Komm, komm! – zawołał, kiedy ciągnęłam za rękę rozbeczanego i rozkrzyczanego Jurka.

– To jest mój brat – tłumaczyłam, kiedy doszedł do mnie.

Niemiec pogroził mi palcem i coś pyskował.

Wybrałam się raz z Jurkiem do miasta na spacer. Na rogu ulicy Dużej i Sienkiewicza był sklep spożywczy Mainla, „Nur für Deutsche”. Na wystawie kielbasa. Staliśmy i patrzyliśmy na tą kielbasę, aż powiedziałam do brata:



Jerzy Klepko

– Jurek, idź i poproś, żeby ci sprzedali 10 deko. Jesteś mały, może ci sprzedadzą.

Wszedł i poprosił, a sklepowa wskazując drzwi:

– Wynos się, to sklep dla Niemców.

Biedny Jurek zwiesił głowę i wyszedł. Nigdy tego nie zapomnieliśmy.

Smutne święta

Przyszły pierwsze święta Bożego Narodzenia bez ojca. Z naszych radosnych, przedwojennych świąt pozostała tylko choinka. Stała samotnie w dużym i bardzo zimnym pokoju, bo przebywanie nasze w ciągu dnia ograniczało się tylko do kuchni. Tu było względnie ciepło. Gdy przychodziło kłaść się spać, mama grzała wodę, wlewała do butelek i kładła pod kołdry. Bez tego trudno było zasnąć.

Kolacja wigilijna też była godna pożałowania. Składała się z kilku ziemniaczanych placków smażonych na starym łożu. Placki były z przemarzniętych ziemniaków. Były słodkie, jakby ktoś cukru do nich dosypał. Jedząc, czułyśmy, jak łój krzepnie na wargach. Tradycyjny był tylko opłatek, a o jakimkolwiek cieście nie było mowy. Znosiliśmy te niedostatki bez skargi, pamiętając, że ojciec na Zamkowej, w więzieniu, ma jeszcze gorzej.

Spotkanie z ojcem

Wracając z pracy, siostra poszła do parku i tam, stojąc pod drzewem, wpatrzyła się w więzienne okna. Zobaczył to jakiś przechodzący aleją Niemiec w mundurze, podszedł i zapytał:

– Co, masz kogoś w więzieniu?

Halina, płacząc, potaknęła.

– Nie płacz – pocieszył ją. – Jutro przerzucę twojego ojca do Hasagu, do pracy – powiedział i zapisał sobie nazwisko.

Halina wróciła do domu uradowana, dzieląc się z nami tą nowiną. Jakże długa była ta noc. Budziłyśmy się co chwilę wypatrując, czy już świta.

Nazajutrz koło południa mama zwolniła się z pracy i poszłyśmy na to radosne spotkanie z ojcem. Na portierni w Hasagu przywitał nas pucołowaty wartownik z czerwonym nosem, który potem dostał od nas przydomek „Nasa Fabryka”, bo często używał tych słów.

– Cego chceta – odezwał się widząc nas bezradnie stojących.

– Tu jest mój mąż, został przysłany z więzienia do pracy – tłumaczyła mama, nie będąc pewna, czy rzeczywiście tak jest.

– A co, chceta się widzieć? Ni ma mowy. W nasy fabryce ni ma casu na bumelki.

Czekałyśmy jednak cierpliwie, aż na portiernię wyszedł do żony jakiś więzień. Na prośbę mamy przyrzekł, że odszuka ojca i jeżeli jest, to każe mu przyjść. Trwało to z pół godziny, a ten czas oczekiwania był dla nas wiecznością.

I oto w drzwiach stanął ten sam, tylko może trochę zmieniony ojciec. Serdeczne było to przywitanie. Pozwolono nam kilka chwil być razem. Stałam uszczęśliwiona blisko ojca, przytulając jego rękę do mojej twarzy. Jakże pragnęłam być przy nim jak najdłużej, ale wartownik ponaglał, przerywając tę sielankę:

– No, do roboty, do roboty. W nasy fabryce nie ma bumelowania.

Umówiliśmy się, że będziemy przychodzić, gdy po pracy więźniowie będą przeprowadzani do szkoły przy ul. Karczówkowskiej¹, gdzie pod strażą umundurowanych i uzbrojonych folksdojczów nocowali. Ojciec zniknął za drzwiami, a ja długo patrzyłam, jak lekko pochylony idzie wolno w stronę hali, trzymając pakunek, w którym przynieśliśmy mu ciepłe rękawiczki, szalik i coś do jedzenia. Od tego dnia zaczęły się codzienne wizyty u ojca na Karczówkowskiej. Dzień w dzień nosiłam w torbie garnuszek z obiadem, czasem kawałek chleba lub kilka papierosów, jeżeli udało się i było za co je kupić. Werkszuce nie robili mi kłopotów. Czekałam codziennie dotąd, dopóki nie wyrazili zgody.

Do widzeń przewidziany był na parterze pokój z rozwalonym piecem. Na tym piecu każdy starał się przygrzać przyniesione potrawy. Było tam brudno. Przy ścianach stały długie ławy i były kraty w oknach. Nic nie było poza tym. Chociaż to, co przynosiliśmy było skromne w porównaniu z tym, co przywozili ludzie z okolic, ojciec nigdy się nie skarżył, a zawsze chciał się z nami dzielić, jakby przeczuwając, że jesteśmy głodne.

Rodzina Macków

Ta zima dawała się porządnie we znaki. Szyby były bez przerwy zamrożone. Kończyły się też prze-



Stanisław Klepko ojciec autorki

marznięte ziemniaki. Co dzień malała ich kupka. I wtedy, kiedy zostało ich tylko dwa koszyki, małych, grzechoczących jak orzechy, do piwnicy weszła pani Mackowa. Patrząc na ziemniaki zaczęła ubolewać nad naszym losem:

– Mój Boże, jak wy tą wojnę przeżyjecie, jak nie macie co jeść?

Poirytowana tymi słowami mama odpowiedziała:

– Da Bóg i przeżyjemy. W życiu bywa różnie, nie wiadomo, kto przeżyje, kto nie.

Sprawdziło się, bo my, mimo ciężkich przejść, przeżyliśmy wszyscy, natomiast państwo Mackowie wojny nie przeżyli.

Po wejściu Niemców dyrektorstwu powodziło się źle. Dyrektor stracił stanowisko. Martwili się też o syna jedynaka, który gdzieś się zapodział w za-wierusze wojennej. Dwa pokoje w ich mieszkaniu zajęli niemieccy oficerowie, pozostawiając gospodarzom tylko jeden pokój. Tyle tylko, że z ich obecności skorzystali, bowiem Niemcy mieli swojego kucharza i stołowali się w domu. Wymogli na gospodarzach, by ci jedli z nimi. Któregoś dnia, gdy nikogo w mieszkaniu nie było, pani Kasia, pokazała mi spiżarnię z zapasami żywności Niemców. Spiżarnia była zapchana produktami, o których nie

¹ Była to szkoła przy przejeździe kolejowym, po wojnie Szkoła Podstawowa Nr 3. (RZ)

możliśmy nawet marzyć. Na półkach był alkohol w glinianych butelkach, wędliny, nabiał, pieczywo, warzywa. Oficerów tych widziałam kilkakrotnie przechodzących przez podwórko. Zachowywali się butnie i arogancko. Kucharz był natomiast bardzo dobrym człowiekiem.

W drugim roku wojny dyrektor Macek został aresztowany. Tego dnia był u siebie w gabinecie. Gdy do budynku Ubezpieczalni weszli gestapowcy został ostrzeżony przez pracowników i przez swoje prywatne mieszkanie uciekł i ukrył się u znajomych. W odwecie aresztowano mu żonę i ogłoszono, że zostanie zwolniona jeśli on zgłosi się na gestapo. Dyrektor był szlachetnym człowiekiem, kochał żonę, więc się zgłosił. Żony nie uratował, został aresztowany a później rozstrzelany w zbiorowej egzekucji na Słowiku koło Kielc. Żonę dyrektora, Annę, wywieziono do obozu w Auschwitz. Tam, nieodporna na choroby, delikatna i krucha, po krótkim pobycie zginęła. Podobno w tym obozie, po zwolnieniu ze stalagu, znalazł się też syn dyrektora, Zbyszek. Ten jednak przeżył.

Dyrektor Macek miał dużego, pięknego, bardzo przywiązanego do siebie psa. Pies miał budę na podwórku Ubezpieczalni i dyrektor codziennie wieczorem go karmił i z nim spacerował. Kiedyś zwierzył się ojcu, że w czasie takiego spaceru podglądał nas przez okno przy wigilijnym stole i słuchał, jak śpiewamy kolędy. Podziwiał, że tworzymy taką piękną rodzinę. Gdy dyrektor został aresztowany, pies przestał jeść. Różne osoby; mama, dozorca, urzędnicy próbowali go przekonać. Budę miał obstawioną miskami. Pies cierpiał i po jakimś czasie, z żalości i wycieńczenia, zdechł.

Kucharz pacyfista

Żołnierz, który gotował niemieckim oficerom u dyrektorstwa był grzeczny, uczynny i szybko zaprzyjaźnił się z naszą rodziną. Przychodził do nas czasem, bo podobał mu się nasz dom, ta lśniąca czystość mieszkania, w które mama zawsze wkładała tyle trudu. Po polsku nie rozumiał. Był urodzonym pacyfistą. Choć był to szczyt potęgi niemieckiej, same zwycięstwa, kłął przy nas na Hitlera i na wojnę. Był też człowiekiem dobrym. Współczuł nam i w miarę swych możliwości coś tam mamie czasem podrzucił, przynosząc po kryjomu pod fartuchem. Halinie



Halina Klepko z psem dyrektora Macka

zrobił i podarował zdjęcie opatrując je podpisem wyrażającym podziw dla urody młodej Polki.

Z tym kucharzem związana jest anegdota, często potem opowiadana w rodzinie. Ulica Kościuszki była traktem, którym podążały na targ² wiejskie kobiety z Dąbrowy, Szydłówka, Domaszowic. Kucharz wychodził na ulicę i od tych kobiet kupował warzywa, nabiał. Raz widzieliśmy jak podszedł do jakiejś babciny ze „spadochronem” na plecach i zapytał:

– Haben Sie Eier?

Kobiecina wybałuszyła oczy:

– Co godocie panocku?

– Eier....haben Sie?

A ta stoi i w ząb nie rozumie, co od niej chce. Kucharz przykucnął, zatrzepotał rękoma i zagadał:

– Kokoko....

A babci rozjaśniła się twarz:

– A, jojka, mom jojka, tzeba beło tak od razu godoć.

² Targowisko było na obecnym Placu Wolności. (RZ)

Wyprawy do Bodzentyna

Po odejściu mojej siostry w knajpie Wójcika w Bodzentynie zaczęła pracować dawna służąca pana Langera, kierownika apteki w Ubezpieczalni, pani Rózia, siostra pani Kasi. Kilka razy ją tam odwiedziłam wykorzystując to, że mama miała wolne dni w pracy.

W knajpie u Rózi po głodowych miesiącach wydało mi się, że jestem w raj. Pod ladą zwoje kiełbas i kaszanek, kule salcesonów, bochny chleba. Na półce wódka, na którą schodził się cały Bodzentyn. Nareszcie najadłam się do syta.



Halina Klepko (z lewej) w Bodzentynie

Kiedyś trafiłam na dzień targowy. Stare, wąsate chłopy, poubierane w grube palta lub olbrzymie kozuchy przepasane rzemieniami, poobsiadali stoliki. Pili z dużych kufli, w które wlewali większą zawartość butelki. Wódkę zakąszali kawałami kiełbasy, maczali ją w musztardzie i jedząc, głośno, mlaskali. Rozmowa burzliwa. Najpierw sprawy błahe, a potem, na koniec, polityka. A że rozmawiano bardzo głośno, co rozsądniejszy uciszał co jakiś czas rozognioną gawiedź mówiąc:

– Cichojsza, cichojsza, bo może tu być jakaś świnia. W Bodzentynie było jeszcze dużo Żydów. Obok knajpy Wójcika była żydowska piekarnia, gdzie wypiekano smaczne chleby, chały i słodkie bułki. Innym razem pojechałam do Bodzentyna na saniach. Jechaliśmy kilka godzin. Koń, trzęsąc łbem wesoło podzwaniał dzwoneczkami. Wokoło było białe, gałęzie drzew uginały się pod grubą warstwą śniegu. Był to wspaniały widok. Do Bodzentyna zajechaliśmy dość późno, bo już w pierwszych domach zabłyśły światła dodając uroku jasnej, zimowej nocy. Zaraz na drugi dzień odwiedziłam koleżankę siostry, Żydóweczkę Sarę, która mieszkała z rodziną przy ulicy Kieleckiej. Była to ładna i zgrabna dziewczyna. Zaraz po przywitaniu pokazała mi czarną, z czerwonymi wypustkami, młodzieżową torebkę pytając: – Co, podoba ci się? – Jak będziesz mądra, ta torebka będzie twoja – dodała, chowając ją na powrót do szafy.

– Nie mam pieniędzy – powiedziałam.

A Sara na to:

– Kto tu chce pieniądze, jakie pieniądze? Przyniesiesz mi trochę kiełbasy i będzie dobrze. Przyjechałaś na kilka dni, a tam pod ladą jest dużo kiełbasy. Wiedziałam, że Żydzi nie jedzą kiełbasy. Zapytałam ją o to i dowiedziałam się, że głód usuwa wszelkie zakazy religijne. Prawdą jest, że wkrótce torebka była moja.

Ta Żydóweczka zakochała się ze wzajemnością w niemieckim żołnierzu. Choć było to niebezpieczne odwiedzał ją w domu, rozmawiał z jej ojcem. Mówił o ratunku dla niej, ale ona wykluczała jakkolwiek ratunek tylko dla siebie. Nie chciała opuścić rodziców. W czerwcu 1941 Niemiec zawiadomił ją, że wyjeżdża na wojnę z Rosją. Oboje przyjęli to ciężko. Gdy przyszła chwila rozstania i odjazdu Niemców, przyszła na miejsce zbiórki żołnierzy. Wojsko odchodziło piechotą, w kolumnie. Poszła za nimi i dotarła aż do Łagowa, gdzie się rozstali już na zawsze.

Kiedyś znów byłam w Bodzentynie kilka dni. Dostałam parę złotych za pomoc, za co kupiłam ojcu wałówkę do więzienia. Wałówkę posłałam przez jakąś panią, która też odwiedzała tam swojego męża. Z paczki ojciec był zadowolony, a szczególnie z ćwiartki spirytusu znalezionej w środku. Ten spirytus po prostu ukradłam spod lady, bo już nie miałam pieniędzy. Zastanawiałam się tylko, czy ojciec będzie zadowolony.



Stanisław Klepko (w środku) z córką Haliną

Te pobyty w „raju” nie trwały długo, bo czekały mnie obowiązki w domu.

Proza okupacyjnego życia

Zima ciągnęła się w nieskończoność, wielkie śniegi tarasowały drogi. Do odśnieżania znów zaangażowano Żydów, chociaż nie brakowało i Polaków. Ta zima była pełna uroku. Kiedy się szło przez ośnieżone aleje parku, a z poruszonych gałęzi sypał się na głowy śnieg, chciało się żyć.

Codziennie, niosąc ojcu zupę na Karczówkowską, przyglądałam się jeżdżącym w parku, na zamrzniętym stawie, dzieciom. Zazdrościłam im szczerze beztroskiej jazdy na lśniących, pięknych łyżwach. Ale mojej mamy nie było stać nie tylko na łyżwy, ale i na buty. Mimo to któregoś dnia namówiłam Jadwigę i wzięłyśmy się do dzieła. Z twardych kawałków drewna wystrugałyśmy prowizoryczne łyżwy i wypaliłyśmy w nich dziury na sznurki.

Nazajutrz znalazłyśmy się na tafli lodowej w naszych starych, ledwo trzymających się kupy butach i na drewnianych łyżwach. Zapadał zmrok, kiedy zdecydowałyśmy się zrobić sprawdzian naszych umiejętności. To nic, że inne dzieci denerwowały

się, że podjeżdżamy zbyt blisko, często je potrącając. Zdążył się niejeden upadek, ale ten wieczór należał do nas. Poczuliśmy się szczęśliwi, że możemy być razem z dziećmi, że możemy ślizgać się i cieszyć. Po takiej jeździe miałyśmy widoczne na nogach sińce, ale byłyśmy zadowolone. Po powrocie mama oglądała naturalnie przemoczone buty. Dostałam za to kilka szturchańców.

Nasze mieszkanie w Ubezpieczalni składało się z dwóch pokoi z kuchnią. Duży pokój gościnny był z weneckim oknem. Do sypialni schodziło się po kilku schodkach. Stała tam wielka szafa, dwa meblowe łóżka, przy nich nocne szafeczki. Lubiłam szczególnie ten pokój, bo był przytulny i ładny. Lubiłam oglądać obrazki ze św. Teresą wiszące na ścianach w niebieskich ramkach. Zostały one podarowane przez ciocię Andzię, siostrę mamy, kiedy wróciła z emigracji, z Belgii. Uduchowione spojrzenie św. Teresy wprowadzało w ten pokój atmosferę bezpieczeństwa i spokoju.

Któregoś dnia mama otrzymała od dyrektora Jokiel-polecenie, że mamy się z tego pokoju wynieść. Nie było odwołania i już nazajutrz przeniosłyśmy wszystkie rzeczy do pokoju gościnnego. Było teraz ciasno w mieszkaniu. Decyzję Jokiel-pa uznaliśmy za kolejną represję.

W więzieniu na Karczówkowskiej

Do ojca chodziłam codziennie. Któregoś dnia, kiedy w koszyku czekała już gorąca zupa, okazało się, że moje buty całkiem się rozleciały. Nie miał kto iść, bo siostra była w pracy, a mama wyjątkowo źle się czuła. Przeglądałam szafkę z myślą, że tam znajdę coś dla siebie. Niestety, leżały tam tylko moje czerwone, znoszone już drewniaczki i tylko w kącie stały wielkie z cholewami buty ojca. A może by tak je założyć – pomyślałam – patrząc na moje przymałe nogi. Nie mogłam przecież ojca pozbawić łyżki ciepłej zupy. Toteż owinęłam nogi grubo szmatami, wsadziłam buty i wyruszyłam w drogę.

Wyglądało to pociesznie. Za każdym krokiem nogi ślizgały się na lodzie pokrytym śniegiem. Czułam się jak na wielkich gąsienicach. Jechałam raz w tą, raz w tą, ledwo, ledwo utrzymując równowagę. Oglądali się za mną ludzie, podśmiewały się dzieci. Ale najgorsze było, kiedy weszłam w aleję parku. Tuż przy moście koło stawu potworzyły się spore, wyslizgane przez dzieci pagórki, cały szereg. Tu trzeba



Budynek przy Karczówkowskiej
gdzie był więziony Stanisław Klepko

było mieć już cyrkową zręczność, żeby przejść i nie upaść. Toteż mając ma uwadze, że w koszyku mam zupę, robiłam wszystko, żeby się nie przewrócić. Ale kiedy zrobiłam kilka kroków do przodu, zjeżdżałam jak na sankach z powrotem. Chciało mi się płakać. Wtedy usłyszałam gromki śmiech kilku stojących wojskowych Niemców. To już uraziło mnie do głębi. Żeby takie szkopy ze mnie się śmiały? Wstąpiła we mnie jakaś siła. Uważniej zaczęłam stawiać nogę za nogą i pokonałam przeszkodę. A przechodząc obok Niemców dumnie podniosłam głowę do góry. Kiedy dochodziłam do szkoły w oknie zobaczyłam stojącego ojca. Wycierał chustką oczy, tak go wzruszył mój widok. Widziałam, że z trudnością przełykał zupę, którą mu przyniosłam. I z trudem chciał coś powiedzieć. Patrzył na moje nogi i kiwał głową. Ileż to razy ojciec chciał się dzielić ze mną tym, co przyniosłam. Dopytywał się zawsze, co jadłam.

– Dużo, tatusiu, bo mama przyniosła cały dzban – odpowiedziałam, choć miałam w brzuchu pustki.

Owszem, zdarzyło się, że mama przyniosła pełen dzbanek wspaniałej ryżowej zupy, w której było chyba więcej mięsa niż ryżu. Wtedy pojedliśmy do syta, ale to było tylko raz. A po kilku dniach wydała się tajemnica. Otóż ryż przed gotowaniem nie został wypłukany. Po ugotowaniu zupy okazało się, że pływają w niej mysie bobki. Z całego kotła wzięły sobie zupę do domu tylko pracujące tam kobiety, a reszta została wylana.

– Wiedziałam, że się nie otrujecie – tłumaczyła nam mama.

Właściwie niepotrzebnie się tłumaczyła, bo nikt nie brał sobie tego do serca. Życzyliśmy sobie jeszcze raz zjeść taką zupę.

Czekając na ojca niejednokrotnie napatrzyłam się różnych rzeczy. Więźniowie zawsze wracali do szkoły

zamienionej na więzienie w kolumnach, pod strażą. Zawsze było słycać najpierw śpiew, bo w pierwszej kolejności prowadzono Żydów. Szli nędzni, wygłodzeni, obdarci, opatuleni jakimiś łachmanami, z szalikami na głowach, w powiązanych drutem rozpadających się butach. Werkszuc, który ich prowadził, kazał im śpiewać upokarzające piosenki. A więc śpiewali:

Marszałek Śmigły Rydz

Nie nauczył nas nic

Hitler kochany złoty

Nauczył nas roboty.

Werkszuc, najczęściej folksdojcz, śmiał się zadowolony z dowcipu. Było mu jednak tego dręczenia za mało, bo nagle dostrzegął, że któryś z Żydów jest brudny. Na miejscu zaraz zarządził kąpiel, pod studnią, w lodowatej wodzie.

Pozwalano mi zawsze stanąć z ojcem na podwórku, żeby mógł zjeść przyniesioną zupę. Widziałam, jak przeznaczony do kąpeli nieszczęśnik, drżąc z zimna, rozbierał się pod studnią do kalesonów, a inny Żyd wyciągał wodę wiadrem i polewał go, zaczynając od głowy. Kąpiel trwała kilka minut. A było w tym coś tak okrutnego i makabrycznego, że odwracałam głowę. Za każde najmniejsze przewinienie skazywano na chłostę. Żyd musiał spuścić spodnie, oprzeć się rękoma o mur i w dodatku liczyć razy. Krzyczał przy tym wniebogłose, bo uderzenia były bolesne. Po takim biciu na ciele pojawiały się granatowe pręgi. Mama z Jurkiem byli świadkami bicia, po którym, jak opowiadał potem ojciec, więzień zmarł.

Te okrucieństwa były dla mnie okropnym przeżyciem. Ale uśmiechałam się do wartowników, bojąc się, że jeżeli okażę im swoją pogardę, nie będę miała więcej wstępu na teren, gdzie przebywali więźniowie. Sądzę, że wpuszczali mnie dlatego, że byłam młodą dziewczyną, a wartownicy też byli młodzi.

Widziałam też, jak więźniowie obdzierali ze skóry zabitego psa. Z początku nie wiedziałam, po co oni to robią, i zapytałam ojca. Odpowiedź mnie zaskoczyła:

– Gotują i jedzą.

Podobno niejeden pies padł ich ofiarą.

Lubiłam odwiedziny u ojca w niedzielę. Można było wtedy dłużej posiedzieć. Szliśmy wtedy całą rodziną. Uszczęśliwiony ojciec patrzył na nas swoimi dobrymi oczyma, czasem pogłaskał któregoś po głowie i ubolewał, że mamy podniszczone palta czy buty. Ale czas

wizyty szybko leciał. W dodatku w rozwalonym piecu spalił się już ostatni kawałek drzewa. W pomieszczeniu robiło się chłodno, a jeszcze bardziej to się odczuwało, gdy się patrzyło na zamrożone okna. Wchodził wtedy wartownik i oznajmiał:

– No, skończone, wychodzić!

Imieniny ojca

Skończyły się mrozy i stopniały śniegi. Słońce coraz bardziej przygrzewało. Nadchodziły imieniny ojca, Stanisława.

Kuzynka Halina, która w czasie nieobecności mamy przesiadywała u nas całymi godzinami, zaproponowała, że musimy wujkowi zrobić prezent i upiec ciasto. Codziennie coś przynosiła wyciągając swojej matce, Florze, ze spiżarni.

Dzień przed imieninami zabrałyśmy się do dzieła. Ale ona ani ja nie miałyśmy zielonego pojęcia o pieczeniu. Toteż długo stałyśmy nad miską zastanawiając się, co w pierw dać. Zapadła decyzja, że sypimy i lejemy wszystko, co mamy, po kolei. Wszystko więc zostało dokładnie wymieszane łyżką, wysmarowałyśmy blachę margaryną i wlałyśmy nasz wytwór do formy. Do pieca dołożyliśmy trochę więcej niż zwykle torfu. Z początku pryskał iskrami, dusił się, wydając mdły, jasny dym. W końcu dmuchany przez nas na zmianę rozpalił się. I już można było wsadzać nasze ciasto do duchówki. Czekaliśmy z napięciem, co z tego wyjdzie. A kiedy ciasto dostało złotego koloru, zostało wyjęte z pieca. Nie wyrosło, bo i po czym. Nie dałyśmy przecież proszku ani też drożdży. Ale w smaku było niezłe.

Nazajutrz, odświętnie ubrane, z bukietem kwiatów, które zerwałyśmy w jakimś ogródku, poszłyśmy obie do ojca, ciesząc się, że mamy dla niego tyle prezentów. Znalazło się też kilka papierosów od Haliny ojca, który palił. Czekaliśmy dość długo pod bramą, gdy nareszcie dał się słyszeć śpiew Żydów i pierwsza kolumna ukazała nam się w oddali. Z początku trudno nam było uzyskać pozwolenie na widzenie. W końcu uzyskałyśmy, ale z oporami, bo był jakiś nowy wartownik. Najpierw były życzenia i kwiaty. Potem obiad, który ojciec jadł, a my mrugałyśmy do siebie i poszturczywały, czekając, aż skończy.

– No, a teraz deser, wujku – powiedziała Halina i odkryła przed nim nasze arcydzieło. Ojcu zaświeciły się oczy i sięgnął po chusteczkę.

– Ja nie będę, kochane dzieci – bronił się. – Zjedzcie to same, bo wy też jesteście głodne.

Ale jaka mowa, zmusiłyśmy ojca do degustacji, a reszta zawinięta zastała na później. – Dobre, pyszne – chwalił naszego zakalca, ale na pewno tylko tak, żeby nam zrobić przyjemność.

Ale największą przyjemność zrobiliśmy mu papierosami. Potem długo nam jeszcze kiwał, kiedy odchodziłyśmy patrząc w zakratowane okno.

Czy przyzwicie jest okradać Niemców?

Niewielką ilość zupy, jaką zanosilałam ojcu, mama przynosiła z kuchni, gdzie pracowała. Nie zdarzyło się, by przyniosła coś nielegalnego, bo to by godziło w jej poczucie uczciwości jako katoliczki. W tych sprawach była konsekwentna i niestety nie pomyślała, że okradanie Niemców nie jest grzechem, a grzechem jest narażanie dzieci na niedostatek. Takie miała zasady, albo też była tak życiowo niezaradna. Nasza kuzynka, Flora, pracowała w tym czasie w zajęтым przez Niemców szpitalu miejskim na Kościuszki. Wielokrotnie widziałam jak ma zaopatrzoną domową spiżarnię. Pod swoją długą spódnicą miała przyszyte długie kieszenie, w których wynosiła z kuchni szpitalnej, co się tylko dało. Mama komentowała to z oburzeniem, jej zdaniem było to nieuczciwe i niehigieniczne.

W pogodne dni brałam brata i szliśmy na zaplecze koszar, gdzie była duża działka. Tam w wolnych chwilach kobiety z kuchni plewiły zagony. Między nimi była też i mama. A że były już młode warzywa jak marchewka czy kalarepa, kobiety co większe przerzucały nam przez ogrodzenie. Od tej pory mieliśmy pod dostatkiem wszelkiej włoszczyzny. A i częściej widzieliśmy się z mamą. Mamie ta praca nie szła na zdrowie. Przyzwyczajona do dobrego życia, wypielęgowana i wrażliwa, niezbyt dobrze czuła się w środowisku, w którym pracowała. Najbardziej raziła ją nieuczciwość i wulgarne słowa wypowiedane przez zdenerwowane kobiety, bo takich słów w naszym domu się nie używało.

Mama z pracy zawsze wracała zmęczona i wyczerpana nerwowo, ale nie było innej rady. Gdyby nie pracowała, nie mielibyśmy z czego żyć. Z takim ciężkim losem borykała się większość polskich rodzin. Spacerując z bratem spotykałam się z koleżankami z klasy. Było mi żal, że nie chodzę do szkoły, ale i one w tej szkole nie były szczęśliwe.



Ulica Bodzentyńska lata 60

W tym czasie przyglądaliśmy się też kolumnom wojska, które poprzez Kielce ciągnęły na wschód. Szli ulicą Bodzentyńską w pełnym rynsztunku. Za nimi jechały czterokołowe wozy załadowane wojskowym sprzętem. Do tych wozów używano koni wielkich i ciężkich, idących krok za krokiem, leniwie i ospale. Wszystko to Niemcy pchali na podbój Rosji.

Przygoda z folksdojczem

Był pogodny, świąteczny dzień. Jak każdej niedzieli byłam z rodziną na widzeniu. Tym razem mama została trochę dłużej, a ja zabrałam brata i wyszłam wcześniej, bo przed bramą czekała koleżanka.

Nie śpiesząc się szliśmy przez miasto oglądając po kolei wszystkie wystawy i fotosy w kinach. Na ulicy Kilińskiego, przy cukierni pani Babeckiej, Jurek wyprosił, żebym mu kupiła ciastko. Koleżanka w tym czasie czekała na ulicy.

Kiedy wyszłam z cukierni zastąpił mi drogę pijany młody folksdojcz w hitlerowskim mundurze.

– Idziesz ze mną – powiedział i wskazał mi dłonią ulicę Leśną.

Próbowałam się bronić, ale nawet przechodzący mężczyzna nie mógł udzielić mi pomocy, i mówiąc:

– Ja o niczym nie wiem – szybko oddalił się w przeciwnym kierunku.

Tymczasem prześladowca, widząc mój opór, wyjął z kabury pistolet i pchnął mnie lufą we wskazanym kierunku. Na brata płacz zareagował wulgarnymi słowami strasząc go, że będzie do niego strzelał.

Szłam ulicą Leśną jak sparaliżowana. Jurek, tłumiąc płacz, mocno trzymał się mojej ręki, a po przeciwnej stronie szła za nami koleżanka. Nie wiedziałam jak mam się ratować, do głowy napłynęło tysiące myśli. Która z nich miała być zbawienna? Trudno było się na cokolwiek zdecydować. Kiedy doszliśmy do rogu ulicy, Rudolf, bo tak kazał na siebie mówić, wskazał mi wąską uliczkę prowadzącą do ulicy Piotrkowskiej. Tuż, może kilkadziesiąt kroków przed nami, w budynku Seminarium Nauczycielskiego, była żandarmeria, a przed budynkiem budka wartownicza.

– Słuchaj – zwróciłam się w pewnej chwili do folksdojcz – może pójdziemy do mnie, ja tu blisko mieszkam – wskazałam stojące naprzeciw budynku żandarmerii domy.

– A matka jest w domu? – spytał się zdezorientowany.

– Nie, nie ma – powiedziałam i szybko pokazałam pęk kluczy.

Kiedy byliśmy już blisko wartownika, przeskoczyłam na drugą stronę ulicy pociągając za sobą brata?

– Proszę pana! – zwróciłam się do wartownika.

Ten jednak nic nie rozumiał. Nacisnął więc guzik dzwonka i przywołał tłumacza. Rudolf w tym czasie stał jak oniemiały trzymając pistolet w opuszczonej ręce.

Tłumacz wysłuchał mnie ze spokojem i przywołał do siebie napastnika. Bez słowa wyjaśnień odebrał mu broń i pas, zerwał jakieś oznaki, po czym kazał nam iść do domu, a jego zabrał ze sobą.

Wracając do domu nie przyznałam się mamie o całym zajściu, nie chcąc jej przysporzyć zmartwień. O wszystkim dowiedziała się dopiero od mojej koleżanki.

Nareszcie razem

W czerwcu 1941 roku ojciec został zwolniony z więzienia, a w dodatku dostał dość dobrą pracę. Jako więzień pracował przy remoncie samochodów w Ha-sagu. Jego fachowość i doświadczenie spodobały się szefowi parku samochodowego w tej firmie, Niemcowi Wytychowi³, i zaangażował go jako kierowcę przy zaopatrywaniu fabrycznej kantyny. Niemcy po wyroku mogli ojca wysłać do obozu koncentracyjnego, miał więc dużo szczęścia.

Herr Wytych był pijakiem i człowiekiem interesownym, robiącym wszystko by uniknąć wojska. Tolerował Polaków, starał się im nie szkodzić. Pod koniec wojny zawdzięczał ojcu życie, gdy na drodze do Skarżyska, na Baraniej Górze, wpadli w partyzancką zasadzkę. Ojciec potwierdził, że jest to nieszkodliwy „szkop” i Wytych uniknął rozstrzelania. Odwdzięczał się ojcu kilkakrotnie, ugościł go zaraz po wypadku w knajpie, podarował materiał na ubranie, zbytnio nie kontrolował i starał się chronić. Przyznał też w rozmowie, że wie kto z jego pracowników jest zaangażowany w podziemiu. Ojciec mógł się przekonać, że Niemiec się nie myli. Nie zrobił nikomu krzywdy. Osadzony po wojnie w więzieniu prosił znanych sobie Polaków o wydanie o sobie opinii. Został zwolniony i z Niemiec przysłał do ojca podziękowanie.

Z chwilą uwolnienia ojca nakazano nam opuścić mieszkanie w Ubezpieczalni. Długo trwały poszukiwania, zanim znaleźliśmy pokój z kuchnią w suterynie na ulicy Dalekiej, w domu Lesiaków.

Daleka była ulicą peryferyjną, zabudowaną niskimi domkami, najczęściej drewnianymi. Nie było wodociągu ani kanalizacji. Za domami ogródki o charakterze wiejskim, a także łąki i pola. Była to w zasadzie polna droga, bez bruku i chodników, pełna wybojów i kolein. Po deszczu grzęzło się po kolana w błocie. W to błoto mieszkańcy powrzucali kamienie, po których z trudem dało się przejść suchą nogą. Jediną korzyścią było to, że bardzo rzadko zachodzili tu Niemcy i było trochę spokoju.

Mieszkanie nie było najgorsze, przykre było tylko to, że przez okna oglądało się nogi przechodniów.



Ulica Daleka na początku lat 50, rodzice autorki

Było jednak ciasno. Część naszych rzeczy, szczególnie mebli, stała w sieni niszcząc, ale nie było innego wyjścia.

Był na tej ulicy zwyczaj, że przed każdym niemal domem, w wolne chwile, zbierali się ludzie i siedzieli na ławkach czy stołeczkach. Kobiety przeważnie zajmowały się szydełkowaniem lub robieniem na drutach, natomiast mężczyźni dyskutowali na wiadome w czasach wojny i okupacji tematy.

Młodzież przebywała najczęściej na podwórkach. Zbierali się w kółkach koleżeńskich, siadali na trawie czy na ławeczkach w altankach i zabawiali się śpiewem czy przeróżnymi opowiadaniem. To była nasza rozrywka.

Na Dalekiej

Od pierwszych chwil na Dalekiej zapoznałam się i zaprzyjaźniłam z kilkoma koleżankami; Kazią Ziopajówną, Wandzią Smolarczyk, Sabinką Stefańską czy Miecią Bakalarz. Wszystkie pochodziły z rodzin robotniczych. Kazia mieszkała z młodszym rodzeństwem w jednym, skromnie urządzonej pomieszczeniu. Po śmierci matki ojciec opuścił rodzinę i odszedł do innej kobiety, zostawiając dzieci na pastwę losu.

Sabina też już nie miała matki. Mieszkała w ładnym domku z siostrą i ojcem, który się nimi opiekował.

³ Kazał nazywać się według niemieckiej wymowy: Wytyś. (RZ)

Była ona szczególną dziewczyną. Mimo ciężkich warunków chodziła na konspiracyjne wykłady i mówiła, że musi zostać ginekologiem. Marzenia jej spełniły się po wojnie.

Wanda natomiast żyła w wielodzietnej rodzinie i w bardzo ciasnym mieszkaniu. Ojciec, schorowany i starszy już człowiek, zajmował się szewstwem. Nikt oprócz niego w tym domu nie pracował. Tam też były opłakane warunki do życia.

Miecia nie miała już ojca, opiekowała się dziećmi z drugiego małżeństwa matki. I jej życie nie układało się po różach. Wszystkie one były szczerze i serdeczne, a naszym miejscem schadzek był niewielki ogródek na Kazi podwórku. Rosła tam rozłożysta grusza, a pod nią był kawałek trawnika.

Z koleżankami często skracaliśmy sobie czas robotkami. I tak robiłyśmy modne wówczas drewniaki używane jako buty. Spody strugałyśmy z kawałków drewna, o które nie było trudno. Potrzebny był też sznurek, skórzane paski i kilka teksików. Splecionym w warkoczyki sznurkiem objało się brzegi spodów, przybijało jakieś pasczki i takie drewniaki nieźle się prezentowały. Oprócz tego wyciągałyśmy z szaf czy kufrów stare bluzki i odświeżały przez jakiś haft czy też skracanie rękawów. Przy tych pracach schodziło nam dużo czasu.

Zdarzało się, że ktoś narobił paniki, twierdząc, że wie z pewnych ust, że ma być w okolicy łapanka. W takich chwilach młodzież rozpierzchała się na wszystkie strony i chowała po zakamarkach.

Kilka razy siedziałam w mrocznej piwnicy pod schodami, do której wejście zatarasowane było starymi gratami i jakimiś paczkami. Zakazane miałam odzywanie się, kasłanie czy broń boże kichanie. Mama od czasu do czasu, objając sobie nogi, przedostawała się do mnie, żeby mi coś podać do jedzenia czy do picia. Informowała mnie również, że na razie jest cisza, że nic się nie dzieje. Siedzenie w takiej stęchłej piwnicy nie należało do przyjemności, ale w tym czasie wszystko trzeba było przetrzymać.

Na mieście też było bardzo niebezpiecznie. Po godzinie policyjnej nie było mowy o wyjściu na ulicę bez aktualnej przepustki. Któregoś dnia siostra wróciła do domu wystraszona i zapłakana. Opowiadała, że na placu w „Henrykowie” zostali zabici jacyś ludzie. A że wypadła jej druga zmiana, a bała się sama wracać, prosiła mnie, żebym po nią po pracy wyszła.

Mimo że była godzina policyjna, wyszłam po siostrę. Miałymy pecha, bo na ulicy Żelaznej zatrzymał nas patrol banszuców. Po wylegitymowaniu siostra została zwolniona, natomiast mnie zatrzymali, bo nie posiadałam żadnych dokumentów. Nie pomogły ani płacz, ani prośby. Już mnie mieli zabrać, kiedy podszedł jakiś cywil i zapoznawszy się ze sprawą pokazał banszucowi swoje dokumenty, uwolnił nas i podprowadził do ulicy Bodzentyńskiej. Pouczył nas przy tym, że nie należy tego w przyszłości robić.

Bianka

Któregoś dnia ktoś zapukał do naszych drzwi i zobaczyliśmy Biankę, córkę wujka Bronka. Gdy Niemcy wytyczyli nowe granice, Łódź znalazła się w III Rzeszy i kontakt z naszą rodziną urwał się. Przyjechała bez dokumentów, bez przepustek, a za to z walizką napełnioną różnymi tekstylnymi towarami, bardzo na Kielecczyźnie poszukiwanymi. Mieszkała u nas kilka dni, aż sprzedała cały towar. Kupiła za to żywność: jajka, kiełbasę, mąkę. To był dobry interes, bo Łódź głodowała.

Po kilku dniach postanowiła wracać, bo na granicy w Koluszkach była umówiona z celnikami. Walizka była ciężka więc trzeba było odprowadzić ją na dworzec. Pociąg odjeżdżał o godzinie 21.00, musieliśmy, ze względu na godzinę policyjną, wrócić do domu. Po jakimś czasie przyszedł z Łodzi list. Bianka pisała, jakie wydarzenie spotkało ją na dworcu w Kielcach. Gdy już kupiła bilet i miała iść na peron, żandarmi otoczyli dworzec i zaczęli szczegółowo kontrolować ludzi. Wpadła w rozpacz. Nie miała dokumentów, przeszła przez zieloną granicę, a w walizce szmugiel. Za takie coś groził obóz koncentracyjny. Gdy rozglądała się po poczekalni szukając ratunku, podszedł do niej niemiecki oficer, młody, przystojny i elegancki. Zasalutował, podniósł z ziemi jej ciężką walizkę, wziął ją pod pachę i poprowadził przez kordon, na peron. Tam ponownie zasalutował i zostawił osłupiałą samą sobie. Była więc uratowana. Trudno zrozumieć postępek Niemca. Na dworcu było dużo oszalałych ze strachu ludzi. Zdecydowała chyba jej uroda, bo Bianka była bardzo przystojną i urodziwą dziewczyną.

Z Bianką los mnie złączył w Niemczech, wiele jej zawdzięczam.

Łudźka

Przy ulicy Leśnej mieszkała rodzina Pisarczyków. Były tam trzy siostry – Stasia, Łudźka i Wikta oraz chłopiec, Stefan. Ich ojciec, człowiek bardzo niski, przygarbiony i do tego wiecznie ponury był stróżem w magistracie. Dziewczęta były wyjątkowo ładne. Szczególnie wyróżniała się średnia, mająca nietypowe imię, Łudźka. Miała regularne jak lalka rysy twarzy, fiołkowe oczy, długie, jasnoblonde włosy, zgrabną, wysmukłą sylwetkę. Z dziewczynami tymi kolegowała się Halina. Siostra chodziła do szkoły ze Stefanem i przez niego je poznała. Łudźka była skryta, wyniosła i nad wszystkie dziewczęce przyjaźnie przekładała towarzystwo chłopaków.

Któregoś dnia Halina została zaproszona przez Pisarczykówny na tańce. Bardzo to przeżywała, bo zapowiedziały, że będą mili chłopcy. Ubrała się ładnie, powiedziała matce, gdzie idzie i pobiegła, jakby miała skrzydła. Łudźka powitała ją w drzwiach. Z głębi mieszkania dobiegały wesołe głosy, śmiech, muzyka z patefonu. Dzwoniły butelki i kieliszki. Weszły do kuchni, gdzie miała się rozebrać z palta. W kuchni Halina osłupiała. Na wieszaku zobaczyła żandarmerskie płaszcze, czapki i pasy z przypiętą bronią. Strasznie się wystraszyła, odtrąciła koleżankę i uciekła. Jak się znalazła w domu, nawet nie wiedziała. Opowiedziała rodzicom, co widziała. Zakazali jej odwiedzin w tym domu.

Potem dowiedziałyśmy się, że Łudźka współpracuje z Niemcami. Nie wiadomo, czy robiła to z premedytacją, czy też z głupoty. Spotykała się z żandarmami z ulicy Leśnej, spacerowała z nimi, piła wódkę, zapraszała do domu. Było wiele okazji, by różne informacje wyciągnąć od naiwnej dziewczyny. W efekcie wielu ludzi znalazło się przez nią w obozach, wielu zginęło. Po jakimś czasie dostała wyrok śmierci od podziemia i zaczęła się ukrywać. Ze względu na rodzinę nie chciano wykonać wyroku w domu. Próbowano więc wywabić ją podstępem na ulicę. I tak nasłano na ich dom handlarkę z pięknymi butami na sprzedaż. Dziewczyna nie dała się namówić na udanie się do mieszkania handlarki, gdzie miał być jeszcze większy wybór butów. Próbowano i innych sztuczek, ale nadaremnie. Dom był jednak pod obserwacją i cierpliwie czekano.

Któregoś dnia popełniła błąd i zeszła do sklepu, waznywniaka, w sąsiednim domu. Na czujce stał w tej chwili wyjątkowo przystojny, pełen humoru i galan-

terii chłopak. Stanął za konfidentką, jakby był klientem, i szybko nawiązał wesołą rozmowę. Dziewczynynie łasej na komplementy chłopak bardzo się spodobał. W efekcie umówili się na spotkanie, ale pod warunkiem, że on zgodzi się, że ona zabierze koleżankę. Chłopak nie miał nic przeciw temu i obiecał nawet, że dla koleżanki przyprowadzi jakiegoś atrakcyjnego kawalera. Do spotkania doszło nazajutrz, na rogu Leśnej i Małej. Powstał zaraz dylemat, gdzie iść. Dziewczyny chciały spacerować po ulicy Leśnej lub Sienkiewicza, a chłopcy po Koziej. W końcu przeważyło to, że jeden z nich nie miał w porządku papierów i bał się spotkania z Niemcami. Ruszyli ostatecznie w stronę cichej, leżącej na uboczu Koziej. Doszli do skrzyżowania z ulicą Silniczną. Tam chłopcy zaszachowali Pisarczykównę pistoletem i kazali jej koleżance uciekać. Konfidentka wyrwała się, próbowała zbiec, ale kule były szybsze. Piękna i jeszcze taka młoda dziewczyna upadła w brudny rynsztok a spod jej ciała popłynęła krew.

Rodzina bardzo przeżyła jej śmierć. Na tradycyjnej stypie był też ich kuzyn, mieszkaniec Dąbrowy koło Kielc. Wypił ledwie kilka kieliszków, ale się wstawił. Zaczął wtedy staremu robić wyrzuty: jak można było dopuścić, by córka współpracowała z Niemcami, by tyle ludzi przez nią cierpiało. Pisarczyk był małomówny, więc nic na to nie odpowiedział. Po jakimś czasie wymknął się jednak z domu i poszedł na żandarmerię. Było blisko, nikt nawet nie zauważył. Kuzyn został aresztowany, wywieziony do Oświęcimia, już nie wrócił.

Wywiad działał sprawnie. Któregoś dnia Pisarczyk zamiatał pod magistratem, na ul. Piotrkowskiej. Podeszło do niego dwóch młodych ludzi w prochowcach i długich butach. Szybko powiedzieli mu o wyroku i zastrzelili zdrajcę. Sprawiedliwości stało się zadość. Pisarczyk leżał rozkrzyżowany na chodniku. Z jednej strony stało wiadro a z drugiej miotła. Na piersi położyli mu papier z wyrokiem.

Z Wikta Pisarczyk jakiś czas kolegowałam. Wiosną 1940 roku wybrałam się z nią na spacer na Karczówkę. Był bardzo ładny dzień. Całe wzgórze było fioletowe od przyłaszczek, świeciło cudnie słońce. Pod samą górą zaczęli nas jacyś żołnierze w mundurach, ale nie mówili po niemiecku. Żołnierze coś tam kopali, chyba były to jakieś ćwiczenia. Jeden z nich łamaną polszczyzną wytłumaczył nam, że są Madziarami i że nie są wrogami Polaków. Chcieli nas poczęstować cukierkami, ale odmówiliśmy. Byłam strasznie

zdziwiona, bo nie wiedziałam, że po stronie Niemców są też inne narodowości.

Utworzenie getta

Wiosną 1941 roku Niemcy zarządzili utworzenie w Kielcach getta. Kazano wszystkim mieszkańcom nieżydowskiego pochodzenia opuścić północną dzielnicę miasta i okolice kościoła św. Wojciecha. Żydom kazano w kilka dni przenieść się do getta. Biegali szukając możliwości wymiany mieszkań z Polakami. Potem we wszystkie strony jeździły furmanki i wózki z gratami, trwała przeprowadzka, istny eksodus.

Kuzyn Czesiek Łata mieszkał na ulicy Starowarszawskie Przedmieście, miał tam pokój z kuchnią. Zgłosił się do niego jakiś Żyd i dogadali się na zamianę. Rodzina Czeška przeniosła się do dwóch dużych pokoi z balkonem i kuchnią na Rynku, w kamienicy koło św. Tekli. W ich małym mieszkanku zamieszkały trzy rodziny i Żydzi nie mieli gdzie zabrać mebli. Zostawili wszystko Łatom.

Pomagałam Czeškom przeprowadzić się. Przy przeprowadzce Żyd poczęstował mnie landrynkami z wielkiej torby. Zdziwiłam się, skąd te landrynki, bo był to jeszcze wyrób przedwojenny, charakterystyczny, w kształcie koniczynki. Już dawno takich cukierków nie widziałam i nie jadłam. Przy przeprowadzce zastała mnie godzina policyjna i musiałam u nich, w tym nowym mieszkaniu, nocować. Żona Gienka, Zoška, rozłożyła na podłodze sienniki, rozwinęła pościel i w takich polowych warunkach ułożyliśmy się do snu. W nocy poczułam, że coś po mnie chodzi i szeleści jak papier. Zapaliliśmy światło, a tu na suficie, podłodze i ścianach mrowie karaluchów i pluskiew.

Żydzi zniknęli i zostali odcięci od miasta. Granice dzielnicy żydowskiej pilnowały posterunki i krążące patrole policji niemieckiej oraz polskiej, granatowej. Tam, gdzie była przestrzeń niezabudowana i wejścia od ulic na podwórka stały płoty oraz zwoje drutów kolczastych na kozłach. Bramy i okna wychodzące na ulice poza gettem zostały zamknięte na stałe.

Getto

Któregoś dnia szłam ulicą Radomską i zobaczyłam stojącą w bramie kamienicy kuzynkę Florę. Miała z sobą worek chleba a po przeciwnej stronie, za drutami, stali ludzie, wyciągając ręce z pieniędzmi.

– Ty jesteś mniejsza, przenieś ten chleb i sprzedaj
– poprosiła Flora.

Nie namyślając się długo, złapałam worek i przeciągnęłam go na drugą stronę ulicy. Zza drutów wyciągnęły się do mnie dziesiątki rąk, zrobił się straszny rejwach. Brałam więc bochenek za bochenkiem i w pośpiechu podawałam, nie pobierając na razie pieniędzy. W pewnej chwili usłyszałam krzyk:

– Dzikka⁴, uciekaj, żandarmi idą!

Zaledwie przeskoczyłam na drugą stronę ulicy, ukrywając się w bramie, gdy usłyszałam tupot podkutych butów. A więc niewiele brakowało, abym wpadła. Kiedy żandarmi wolno przeszli kuzynka zaczęła mnie namawiać, bym poszła po pieniądze. W istocie ludzie, którzy wzięli ode mnie chleb, znów byli przy drutach. Ale mnie już brakło odwagi, nie chciałam za nic przejść na drugą stronę.

Spotkałyśmy się po kilku dniach. Byłam ciekawa, czy Żydzi zwrócili pieniądze. Okazało się, że jak najbardziej. Oni dobrze wiedzieli, że gdyby oszukiwali, nikt by nie zaryzykował życia dla niewielkiego w sumie zarobku.

Po jakimś czasie zapomniałam o strachu i wyciągnęłam jedną z koleżanek do getta. Chciałyśmy odszukać tam naszą szkolną koleżankę, Elę. Nie zdawałyśmy sobie sprawy z tego, jak się narażamy. Przecież w getcie panowała epidemia tyfusu. A po drugie gdyby nas tam schwytano, źle by się to skończyło. Ale w naszych dziecinnych jeszcze umysłach była tylko myśl zobaczyć Elę.

Na ulicy Okrzei było wejście do getta, którego pilnowali żydowscy policjanci z opaskami na ramieniu. Wyczekałyśmy moment, kiedy policjanci się zagadali i miesząc się w grupę Żydów przeszłyśmy na teren getta.

Szłyśmy przez brudne, pełne śmierdzących rynsztoków ulice, nad którymi unosiły się roje much. Mijałyśmy wynędzniałe dzieci o smutnych spojrzeniach i pochylonych ku ziemi starców. Gdzieś tam dochodził nas krzyk jakiegoś człowieka. Zrobiło się strasznie, opanował nas lęk. Kiedy próbowałyśmy wrócić, zobaczyłyśmy policjantów bacznie obserwujących bramę, przez którą nikt teraz nie przechodził. Jakiś czas błąkałyśmy się szukając wyjścia z tego labiryntu. Dopiero jakaś stara Żydówka wskazała nam nielegalne przejście w płocie. Odetchnęłyśmy, kiedy byłyśmy po drugiej stronie. To tak, jakby się człowiek narodził po raz drugi.

⁴ Mama miała na drugie imię Zdzisława i takiego, zdrobniałego, imienia w domu używano. (RZ)

Przyszły dni, że do kieleckiego getta Niemcy zaczęli sprowadzać Żydów z małych, okolicznych miejscowości. Któregoś dnia, wcześniej rano, wywołała mnie z domu Wanda Smolarczyk, krzycząc:

– Chodź szybko, prowadzą Bodzentyńską Żydów. Pobiegłyśmy, zabierając ze sobą wodę w butelkach. Szli całą szerokością ulicy konwojowani przez Niemców na koniach. Byli wyczerpani i pomordowani. Oprócz maleńkich dzieci dźwigali zawiniątka, tobołki i walizki ze skromnym dobytkiem. Większe dzieci, z roziskrzonymi od gorączki oczyma, szły, ledwo poruszając nogami, pociągani przez rodziców. Podałam jedną z butelek kilkuletniej dziewczynce. Złapała, bojąc się, żeby Niemiec jej nie odebrał i piła łączywie trzymając butelkę w chudych rączkach. O tym, że się narażam przebywając blisko tej tragicznej kolumny i do tego podając wodę, nawet nie pomyślałam.

Interesy z ojcem

Z chwilą gdy ojciec zaczął jeździć w Hasagu⁵ przestaliśmy głodować. Ojciec nie miał takich skrupułów jak mama, wiedział, że w wojnę trzeba kombinować, a etyczne jest to, żeby kombinować na wrogu, na okupancie. Ojciec, wychowany bez rodziców, żołnierz pierwszej wojny, wojny z bolszewikami i powstania na Śląsku, miał duże doświadczenie życiowe. Z niejednego pieca jadł.

Obowiązkiem ojca jako kierowcy było wożenie kierowników Hasagu, ale przede wszystkim wożenie żywności do kantyny przyfabrycznej. Od chwili gdy zaczął jeździć, praktycznie przestałam zajmować się handlem. Jeszcze zdarzało się, że niosłam pięciolitrową bańkę do znajomego gospodarza w Domaszowicach i tam sprzedawałam benzol hurtowo, w całości. Potem jednak ten interes ojciec przekazał naszemu kuzynowi, Gienkowi.

Moim nowym zadaniem było pomaganie ojcu w okradaniu Niemców. Co jakiś czas umawiałam się z nim na mieście i przynosiłam do domu coś z tego, co aktualnie wiózł do kantyny. W takich sytuacjach zawsze sobie powtarzałam, że gdyby mnie Niemcy złapali, za nic w świecie nie przyznam się, jak się nazywam i gdzie mieszkam. Zdawałam sobie sprawę, że ojciec wyszedł z więzienia i po mojej wpadce, mogło by się to dla niego tragicznie skończyć. Prawie codziennie ojciec woził

mleko z mleczarni, koło parku, przy ulicy Solnej. Umawiałam się tam z nim i przynosiłam dwie litrowe butelki z haczykami na szyjkach. Ojciec wyjeżdżał z mleczarni, stawał na ulicy i udawał, że coś poprawia przy bańkach, na skrzyni samochodu, a ja z oddali obserwowałam okolicę. Było to miejsce niebezpieczne, obok budynku gestapo. Gdy słyszałam, jak ojciec zanurza butelki w bańce, jak mleko bulgocze, drżałam ze strachu i modliłam się, by nikt nie nadszedł. Ojciec był bardziej opanowany, ale na pewno i on to przeżywał.

Nieraz ojciec podjeżdżał pod dom, by coś podrzucić. Pamiętam, że raz podjechał pod bramę, rozejrzał się, czy ktoś nie widzi, i kazał mi nadstawić ręce. Na rękach ułożył mi trzydzieści grubych, krakowskich kiełbas, ledwie udźwigałam. Nie mówił, skąd je zdobył, prawdopodobnie dostał gdzieś za benzynę.

Tak więc kryzysu już w naszej rodzinie nie było. Spiżarnia mamy szybko się zapełniła, mieliśmy co jeść i byliśmy na jakiś czas zabezpieczeni.

Kazia

W naszym domu poprawiło się, ale u wielu moich koleżanek panował głód. Kazia, która miała na utrzymaniu siostrę i brata w wieku 7. i 9. lat pracowała dorywczo. Tu umyła podłogę, tam coś uprała dostając za to niewielkie pieniądze. To wszystko jednak było mało. Nie przypuszczałam, że rodzina ta żyje tak nędznie, bo Kazia ukrywała to przed nami.

Któregoś dnia byłam w jej domu, gdy gotowała obiad. Składał się on z wody, kilku ziemniaków i ze szczypoty czarnej mąki, którą przypalała na patelni, by zupie nadać jakiego smaku. Patrząc na to zwróciłam jej uwagę, że zapomniła do zupy dodać tłuszczu.

– Tłuszczu? – powiedziała i opuściła głowę.

Dopiero po chwili przyznała się, że nie pamięta, kiedy jadła cokolwiek z tłuszczem.

Zawsze miałam miękkie serce, więc wyprosiłam od mamy trochę żywności, a potem, przez dłuższy czas, pomagałam jej, jak mogłam. Pamiętam, że dałam jej jedną ze zdobytych przez ojca kiełbas. Ukroiła do zupy kawałeczek i schowała resztę. Nie dała się przekonać, że powinna ukroić więcej.

Likwidacja getta

Był sierpień 1942 roku. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że Niemcy wywożą Żydów. W tych kilku dniach trzymaliśmy się z daleka od granicy getta.

⁵ Hugo Schneider Werk Granat Kielce. (RZ)

Ludzie przechodzili szybkim krokiem i tylko ukradkiem spoglądali.

Widziałam jak z domu przy ulicy Radomskiej wyprowadzali Żydówkę z tobołkami i wianuszkiem drobnych dzieci trzymających się spódnicy matki. Te nieistniejące już drzwi i ta scena na zawsze pozostały mi w pamięci.

Ludzie mówili o wagonach wysypanych wapnem, jakie czekały przy ulicy Mielczarskiego. Chodziła plotka, że załadunek obserwowała grupka łobuzów naigrywających się z tych nieszczęsnych ludzi. Opowiadano, że w drzwiach wagonu stanął stary Żyd i krzyknął:

– My tu jeszcze wrócimy, ale wtedy klucze od katedry będą nasze.

Nie wiadomo czy to prawda, ale taka historia krążyła wśród Kielczan.

W tych dniach myślałam bez przerwy o mojej koleżance, jasnowłosej, niebieskookiej Eli, której w domu nic, oprócz ptasiego mleka, nie brakowało.

Był to okres, kiedy działy się dookoła mrozące krew w żyłach rzeczy. Głód, cierpienia, łapanki, śmierć.

Wystraszeni ludzie z lękiem wychodzili na ulicę nie mając pewności, czy wrócą do domu. Nic jednak nie przebijało cierpienia tych biednych ludzi z getta. Po wywiezieniu Żydów miasto jakby wymarło.

Nie tylko Ela spośród znanych mi żydowskich dzieci była w tych dniach ofiarą okrutnej zbrodni. W żydowskiej ochronce przy ulicy Piotrkowskiej, niedaleko kościoła św. Krzyża, Niemcy zamordowali

dwoje dzieci kierownika apteki w Ubezpieczalni, pana Langer'a.

Janek miał 12 lat a Hanka 8. Gdy wybuchła wojna ich ojciec, zmobilizowany do wojska, prawdopodobnie zginął. Matka żyła najpierw z wyprzedazy dobytku, a potem, po zajęciu mieszkania na kwaterę przez Niemców, zaczęła handlować dolarami i złotem. W tym czasie odwiedzałam tam panią Rózię Rybę. Langerowie mieszkali przy placu Wolności, mieli tam dwa pokoje z kuchnią. Pokoje były niewielkie, kuchnia wąska, małe ubikacja z sedesem zamiast łazienki. W tym mieszkaniu kwatrowało dwóch niemieckich oficerów. Było to dziwne, bo Niemcy cenili wygodę i bez problemów mogli znaleźć mieszkanie lepsze. Widziałam, jak Langerowa swobodnie czuje się w ich towarzystwie, zawsze uśmiechnięta, żartująca. Widać było, że są w dobrej komitywie.

Któregoś dnia oskarżona przez jednego z Niemców została aresztowana i wywieziona do Auschwitz. Tam zginęła. W mieszkaniu zostały dzieci oraz Różia. Tak było około dwóch tygodni. Któregoś dnia przyszli żandarmi i zabrali dzieci do ochronki w getcie. Różia była bardzo do tych dzieci przywiązana. Co dzień przechodziła w pobliżu figurki św. Jana i wypatrywała je w oknach. Gdy przyszła ostatni raz, dom był pusty a okna ochronki pootwierane.

Szabrownicy

Kiedy getto opustoszało przeszliśmy z Wandą po jego ulicach. Wszędzie brudy i dużo pierza, dzieło sza-



Ulica Nowy Świat po likwidacji getta

browników spodziewających się znaleźć w poduszkach i pierzynach ukryte kosztowności. Okna i drzwi domów pootwierane, szyby wybite. Na domach liczne plakaty: „Uwaga tyfus”. Do mieszkań zaglądałyśmy przez okna. Na podłogach walały się poniszczone rzeczy osobiste, poobijane garnki, książki. Meble i ściany zniszczone. Z mieszkań czuć było zgnilizną. Stan domów sprawił, że dawni mieszkańcy długo zasiedlali ponownie swoje mieszkania. Jakiś czas domy stały puste. Z powodu zniszczeń nie chciała wrócić do starego mieszkania, przy Bodzentyńskiej, kuzynka Flora. Wszystkie rzeczy po Żydach, jakie nadawały się do wykorzystania, Niemcy zgromadzili w żydowskiej bożnicy przy ulicy Radomskiej. Budynek nie był bardzo pilnowany, więc byli tacy, co chcieli na tym zarobić. Tak stracił oko kuzyn, Heniek Łata. Wieczorem z kolegami wchodzili do budynku przez okno z wybitą szybą i nie zauważył odłamka szkła. Mienie żydowskie było segregowane i co gorsze rzeczy sprzedawano za grosze na licytacji, pod chmurką, na podwórku przy ulicy Koziej. Rodzice z oburzeniem komentowali fakt gromadzenia się na tych licytacjach ludzi, jednak któregoś dnia mama, dobra przecież, praktykująca katoliczka, poszła także na zakupy. Chciała kupić wyżymaczkę do bielizny i ją podkusiło. Wróciła bez zakupu, a za to z guzem. Ludzie rzucili się do wybierania co lepszych rzeczy i granatowi policjanci zaprowadzili porządek pałkami.

Gienek

Gienek Łata któregoś dnia zniknął. Jego żona, Irena, wpadła w rozpacz, musiałam ją pocieszać i pilnować. Zostałam u nich na noc. Na drugi dzień, ku naszemu zaskoczeniu, zguba się znalazła. Gienek był cały i zdrowy. Okazało się, że wpadł w łapankę. Miał być wywieziony na roboty przymusowe do Trzeciej Rzeszy. Trafił do Częstochowy, gdzie był obóz, w którym wywożonych poddawano kwarantannie. Gdy złapanych prowadzono do łaźni wyszedł z szeregu i skierował się do bramy pilnowanej przez wachmanów. W bramie uchylił kapelusza i wyszedł na wolność. Był mężczyzną postawnym, przystojnym, dobrze ubranym, pewnym siebie. Wartownicy wzięli go widocznie za pracownika obozu.

Gdy wrócił do Kielc, musiał się oczywiście ukrywać. Na strychu domu, gdzie mieszkali, urządził schowek, a poza tym powiesił na drzwiach mieszkania plakat, na którym był rysunek wszy i napis „Uwaga tyfus”.

Takie plakaty wisiały w getcie i Niemcy unikali takich miejsc jak ognia.

Zabawa na Ceglanej

Wielkanoc w 1943 roku wypadła 25 kwietnia. Dwa tygodnie przed świętami, w niedzielę, wychodząc z kościoła spotkałam koleżankę ze szkoły. Halinka Jabłkówna mieszkała z matką i rodzeństwem w jednym pomieszczeniu, w zrujnowanym budynku przy ulicy Ceglanej. Ojciec wyjechał jako ochotnik na roboty do Niemiec, zostawiając żonie na głowie wszystkie kłopoty związane z wyżywieniem i wychowaniem dzieci.

– Przyjdź do nas po południu – zagadnęła Halinka. – Wiesz, do nas przychodzą fajni chłopcy, cały zespół. Grają na akordeonie, mandolinie, bandzoli. Jest wesoło.

Tego dnia były zaręczyny Haliny. Nudziło nas to, więc powiedziałam o zaproszeniu siostrze mojego przyszłego szwagra, Jadwidze i wymknęłyśmy się pod jakimś błahym pretekstem.

Na Ceglanej nie było jeszcze nikogo. Gdy uznałyśmy, że czas wracać do domu, na podwórko weszło kilku młodych chłopców z instrumentami i kilka dziewcząt. Halinka otworzyła pusty, pomalowany wapnem pokój. Miał zmurszałą miejscami podłogę i sufit ozdobiony w brunatne plamy. Przyniesiono kilka krzeseł dla grajków.

Wkrótce poznałam tych chłopaków i zaprzyjaźniłam się z nimi. Jeden z nich, Sabat, kaleka od urodzenia, na wózku inwalidzkim, miał piękny akordeon. Był synem granatowego policjanta. Byli też Tadek Szczęśniak z bandzolą, Marian Zwierzchowski z gitarą i Zygmunt Styczeń, nazywany „Wypij Jojko”. Tak go przezywali koledzy, gdy usłyszeli jak matka woła do niego: – Zygmunt, wypij jojko. Chłopak był zagrożony gruźlicą, nie było skutecznych lekarstw i matka widziała ratunek dla niego w lepszym odżywianiu.

Chłopcy siedli w kącie i zaczęli grać dobre, stare przeboje. Gdy zagrali kilka kawałków „Wypij Jojko” podszedł do mnie i poprosił do tańca. Odmówiłam, bo nie umiałam tańczyć. On się nie zraził;

– Nie przejmuj się, to proste, patrz, tango tańczy się dwa na dwa.

Tańczyliśmy więc te „dwa na dwa” w tej niesamowitej scenerii, gdy do domu wpadł stojący na czatach chłopak:

– Uciszcie się, idzie patrol.

Przycichła muzyka, grający urwali w połowie, a od strony ulicy dał się słyszeć miarowy stukot podkutych butów. Siedzieliśmy cicho jak trusie, bo mogliby się zainteresować i skończyłoby się źle. Kiedy przeszli znów popłynęła melodia „Małego, białego domku”, „Trzynastu cegieł” i innych, tak modnych w tym czasie przebojów. Z kąta pokoju przyglądał mi się gitarzysta, dziewiętnastoletni, bardzo ładny i przystojny chłopak; śniada cera, zielone oczy i czarne włosy uczesane w mandolinę. Gdy mieliśmy się rozejść, podszedł i zaproponował spotkanie. Nie chciałam, ale nalegał. Po powrocie do domu rodzice robili nam wymówki, że opuściliśmy taką ważną rodzinną uroczystość. Nie przejęliśmy się, bo byliśmy pod wrażeniem tej zabawy. Ja tematów do rozmów z koleżankami miałam później dużo, bo na tej zabawie zapoznałam chłopaka, który został później moim mężem.

Marian

Spotkaliśmy się po tygodniu. Padał deszcz, Marian przyszedł z dużym parasolem. Spacerowaliśmy po Dalekiej. Nie miałam doświadczenia w rozmowie z chłopakami. Stanęliśmy przy jakiejś pustej posesji i milczeliśmy, aż on skwitował:

– To jest chyba świątynia dumania?

Prosił, bym przyszła w najbliższą niedzielę na potańcówkę. Nie obiecałam.

W czasie świąt był ślub Haliny z Mietkiem Zientalem. Gdy starsi byli już lekko wstawieni, znów z Jadwigą wymknęłyśmy się na Ceglaną. Znów było przyjemnie, aż zapomniałyśmy się. Gdy wróciłyśmy, obie rodziny stały na ulicy, przed bramą. Mama nic nie powiedziała, podeszła i dała mi w twarz. Nie czułam się pokrzywdzona, wiedziałam co rodzice mogli przeżywać, gdy tak długo nas nie było.

Marian zaczął mnie odwiedzać. Często stał pod bramą z bukietem ogrodowych kwiatków. Gdy nie chciałam wyjść, koleżanki mnie namawiały:

– Wyjdź, bo Marian powiedział, że jak nie wyjdiesz to się utopi w studni.

Żeby mógł mnie odwiedzać, musiał opłacić miejscowych kawalerów okupujących róg ulicy. Raz przyszedł ze Styczniem. Przywitał się z każdym chłopakiem i każdego poczęstował papierosem, Junakiem. Papierosy te robił w domu. Gdy chcieli przejść, chłopcy zastąpili „Wypij Jójko” drogę: – Manius może przejść, ale od ciebie nic nie otrzymaliśmy.

Nie traktowałam tego chodzenia poważnie. Byłam jeszcze na swój sposób dziecinna. Wstydziałam się



Marian Zwierzchowski (po lewej) z matką i bratem

powiedzieć, że mieszkam w suterynie, gdy pytał. Pokazałam piętro. Marian nie tylko przynosił kwiaty, ale pisał też dla mnie wiersze. Gdy go dręczyłam, że nie chcę z nim chodzić, wariował.

Raz, już po godzinie policyjnej, odprowadzałyśmy go z Wandą Smolarczyk. Zza rogu ulicy zobaczyliśmy idących ulicą Domaszowską, rzadko tu widywanych, żandarmów. Wyglądali groźnie z blachami na piersi, w głębokich hełmach, z rozpylaczami w rękach. Marian uparł się, że wyjdzie im na przeciw jeśli mu nie powiem, że go Kocham. Chcąc nie chcąc musiałam mu to powiedzieć, choć wątpliwe, by swą groźbę zrealizował.

Któregoś dnia zaprosił mnie z Wandą do swojego domu. Mieszkał z matką, bratem i siostrami na ulicy Polnej, niedaleko. Ojciec już nie żył. Kiedy weszłyśmy do domu, zobaczyłam tam wielu młodych ludzi. Widząc nas wchodzących poderwali się na równe nogi. Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że wszyscy byli w konspiracji i była to jakaś zbiórka.

Po jakimś czasie Marian zniknął, a potem doszła do mnie wiadomość, że zabrali go do Baudienstu⁶.

⁶ Niemiecka, obowiązkowa, służba budowlana dla młodzieży polskiej. (RZ)

Prosił, bym go odwiedziła. Poszłam z koleżanką. Junacy skoszarowani byli w parterowym domu na rogu ulic Kościuszki i Leonarda. Przed wejściem stał wachman z karabinem. Pozwolił się jednak zobaczyć. Potem, już umundurowany, odwiedzał mnie na przepustkach.

Ślub siostry

Przy zaręczynach siostry byłam bardzo krótko. Gdy ojcowie obu rodzin podpili sobie, ojciec Mietka zaczął dopytywać o posag panny młodej. Nasz ojciec był wówczas biedny jak mysz kościelna, cóż mógł córce obiecywać? Więc odpowiedział:

– Panie Ziental, czy to ja mam krowę, żebyś mógł córkę wywianować?

Te negocjacje przeszły w anegdotę rodzinną. Szwagier Mietek zawsze potem komentował to żartobliwie:

– Od teściów dostałem w posagu stare łóżko. Chwiało się i skrzypiało niesamowicie...szczególnie w nocy. Ostatecznie Halina wyszła za Mietka bez posagu. Ślub był bardzo skromny. Siostra w czarnym palcie kupionym od jakiejś Żydówki i białym kapeluszu, a Mietek w jesionce w jodełkę, a pod szyją w białym szaliku. Przyjęcie też było bardzo skromne, ograniczyło się tylko do najbliższej rodziny. Nie było czym się rządzić. Żadnej orkiestry, żadnych śpiewów. Tak jak to wówczas było powszechne.

Przed godziną policyjną, kiedy goście mieli się już rozchodzić, do drzwi ktoś zapukał. W drzwiach stanął Wytych. Przypomniał sobie, że ojciec wydaje za mąż córkę, miał pretensję, że nie został zaproszony. Był pijany, ledwo trzymał się na nogach. Coś tam bełkotał w swoim ojczystym języku. Widząc, że nikt go nie rozumie, w przypływie złości zdjął z ręki zegarek i walnął nim o podłogę. Potem kazał ojcu odprowadzić się do samochodu i odjechał. Mietek zegarek wyremontował i długo tę pamiątkę po Niemcu nosił.

Akcja partyzancka ⁷

Nasiliły się akcje partyzanckie. Ginęli niewinni ludzie, ale coraz częściej wykrywano tych, co ich sprzedawali i tych, co ich gnębili.

Znany był w naszej okolicy granatowy policjant który, nigdy nie płacąc, zabierał wiejskim kobietom w targowy dzień jajka, masło, kury. W ten sposób zaopatrywał żoniną kuchnię. Po prostu wychodził na Bodzentyńską, w pobliżu Dalekiej, rewidował i zabierał. A która z gospodyń była oporna, to nieraz dostawała „przez łeb”, jak to on mówił, kilka gum. Miał też ma swoim sumieniu i inne sprawy. O tych nie wszyscy wiedzieli. Na tej Bodzentyńskiej, w trakcie wykonywania „swoich” obowiązków został zastrzelony.

Któregoś dnia stałam z Wandą na skrzyżowaniu ulic Leszczyńskiej i Dalekiej, niedaleko domu państwa Wójcików, kiedy zza rogu wyszło dwóch młodych, przystojnych mężczyzn. Jeden był ubrany w prochowiec, drugi w krótką wiatrówkę i wysokie buty. Przystanęli, patrząc na ulicę Daleką. Było to sobotnie, późne popołudnie. Wyczułyśmy, że coś się tu szykuje. Mrugnęłam na Wandę i ukryłyśmy się za szczelnym parkanem, na podwórku u Wójcików.

Chłopcy chodzili w tą i z powrotem wzdłuż płotu, wyraźnie na coś czekając. Ulicą zaczęła zbliżać się jakaś para. Szli spacerkiem. Okazało się, że był to mieszkający przy Dalekiej policjant z żoną.

Para została przez chłopców zatrzymana i kazano im iść w kierunku Domaszowskich Łąk. Żona policjanta zaczęła krzyczeć i wtedy chłopak w płaszczu wyciągnął spod niego pistolet maszynowy. Potulnie więc ruszyli w kierunku Łąk, a partyzanci za nimi. Nikt więcej ich nie widział, zginęli jak kamień w wodzie.

Mieszkańcy ulicy plotkowali potem, że partyzanci wiedzieli, że policjant z żoną chodzą regularnie, co tydzień, po kwiaty na ulicę Wiejską.

Ktoś zawiadomił o porwaniu teściową policjanta, a ta z kolei żandarmerię. Niemcy otoczyli dzielnicę przetrząsając podwórko po podwórku, ulicę po ulicy. Nigdzie nie znaleźli żadnych śladów. Mieszkańcy przeżyli chwile strachu. Po policjancie i jego żonie zostało trzyletnie dziecko.

Mam podjąć pracę

Ze względu na niebezpieczeństwa, jakie czyhały na młodych ludzi, zrobiono rodzinną naradę i ustalono, że muszę podjąć pracę. Praca miała mi zapewnić dobre dokumenty, zabezpieczające przed wywózką na roboty przymusowe. Chociaż ojciec sprzeciwiał się i mówił, że powinnam siedzieć w domu, bo jeszcze nie ukończyłam 14. lat, mama i szwagier byli innego

⁷ Marian Sołtysiak „Chłopcy Barabasa”. Pod koniec czerwca (1943), na polecenie szefa „dwójki” „Zawa”, wysłałem czteroosobowy patrol do Kielc w celu przygotowania akcji przeciwko osławionemu Witkowi. W mieście patrol zabawił dwa dni. Na polecenie wywiadu uprowadzili z miasta pracownika Kripo, Józefowicza. Wychodząc z Kielc natknęli się na administratora Nowego Folwarku, Niemca Gomola... Józefowicz po przeprowadzonym badaniu w lesie pod Cisowem został rozstrzelany.

zdania. I rozpoczęli starania w zakładzie gdzie Mietek pracował, w „Henrykowie”.

Przez jakiś czas szwagier donosił, że sprawa jest na dobrej drodze. Czekalam więc cierpliwie na tę pierwszą w moim życiu pracę.

Była pełnia lata więc robiłyśmy z koleżankami wycieczki, na Domaszowskie Łąki, gdzie były dwa zarybione stawy i do lasu. Wybrałam się też z panią Kasią jeszcze raz do Bodzentyna, odwiedzić knajpę pana Wójcika. Pracowała tam jeszcze pani Różia, ale właściciel został wywieziony do obozu koncentracyjnego, gdzie zginął. Był pogodny słoneczny dzień. My dwie i łany zbóż rozciągające się wokoło, które wolno zaczynało dojrzewać. Idąc, oddychałyśmy rześkim powietrzem, cieszyłyśmy się z pięknej pogody. Nagle wiatr przyniósł skądś zapach spalenizny. Byłyśmy zaskoczone, skąd w szczerym polu ten zapach? Dopiero napotkany gospodarz wyjaśnił, że została spalona jakaś wieś z ludźmi. Wiadomość ta nas przeraziła. Czuliśmy się tak, jakby nie było wojny, a ona o sobie przypominała. Już blisko Św. Katarzyny usłyszałyśmy pracujące silniki. Skryłyśmy się w lesie. Szosą, na motocyklach, przejeżdżali uzbrojeni po zęby Niemcy. Jadąc rozglądali się nerwowo po mijanych krzakach.

W Bodzentynie zabawiłyśmy krótko. Tym bardziej, że czekała nas długa piesza wędrówka do domu. W dodatku nie było tam co robić. Ludzie chodzili wstrząśnięci i załamani ostatnimi wydarzeniami w tej okolicy.

Wybrałam się też kilka razy z panią Kasią po ziemniaki na wieś. Nie zawsze udało się je kupić. Ale zdarzyło się, że trafiłyśmy na dobrego gospodarza w Leszczynach. Gospodarz sprzedał nam po ćwierć metra ziemniaków, a gospodyni poczęstowała świeżo upieczonym chlebem. Kiedy ugryzłam pierwszy kęs zauważyłam w chlebie jakieś czarne punkciki. Po przyjrzeniu się stwierdziłam, że były to mysie bobki. Swoją porcję oddałam więc Kasi. Wychodziłam z założenia, że jeśli się nie widzi, można wszystko zjeść. Kasia brudów nie zauważyła i zjadła chleb z apetytem.

W pułapce⁸

Wreszcie nadszedł lipcowy dzień 1943 roku, kiedy szwagier, wracając z pracy, oświadczył:

⁸ Było to 17 lipca. Od aresztowania do przyjazdu do Ackendorfu, 24 lipca, minęło siedem dni. Przez baora mama została zameldowana 28.07.1943 r. (RZ)

– No, panna idzie już do pracy. Jeszcze tylko podpis w Arbeitsamcie – i tu pokazał mamie przyniesiony druk.

Na maminej twarzy pojawił się uśmiech, pochwaliła zięcia, że tak operatywnie potrafił wszystko załatwić. Ale ojciec spoważniał i po chwili powiedział:

– No, zobaczymy, co to będzie za praca...

Jego złe przeczucie udzieliło się i mnie. Całe popołudnie tego dnia spędziłam, nigdzie nie wychodząc, na rozmyślaniu. Ogarnęła mnie apatia. A i noc była jakaś koszmarna. Nie mogłam spać, tysiące myśli pchało się do głowy, a rano obudziłam się wyczerpana nerwowo.

Rano mamy nie było już w domu. Jak co dnia poszła po zakupy, po chleb kartkowy i mleko, które kupowało się na rogatkach od wiejskich kobiet na kwarty. W domu spał jeszcze brat. Dzień zapowiadał się słoneczny. Od samego rana było parno. Wychodząc weszłam jeszcze do pokoju pożegnać brata, czego nigdy do tej pory nie robiłam.

Ogarnęło mnie jakieś przykre uczucie. Idąc ulicą Daleką rozglądałam się na wszystkie strony. Na rogu Bodzentyńskiej przystanęłam ogarniając wzrokiem całą długość ulicy. Co jest ze mną? – myślałam kiedy zakreśliły mi się w oczach łzy.

W Arbeitsamcie panował już ruch. Nauczona w domu punktualności byłam tam co do minuty. W pokoju, do którego weszłam, siedziała jakaś młoda, wymalowana urzędniczka. Kiedy podałam jej pismo, nacisnęła guzik w biurku.

– Also – powiedziała, a po polsku: – Musisz trochę poczekać.

Nie czekałam jednak długo, bo oto wszedł jakiś woźny, zabrał od urzędniczki klucze i poprowadził mnie przed sobą do innego pokoju. Tam, ku mojemu zaskoczeniu, zamknął drzwi, przekreślił klucz i wolność została po tamtej stronie.

Niedługo siedziałam sama, bo znów otworzyły się drzwi i wpuszczono troszkę starszą ode mnie dziewczynę o imieniu Barbara. Dziewczyna zanosila się od płaczu, krzycząc głośno. Ja płakać nie mogłam, coś jakby się we mnie zatrzymało, zamarło. Byłam w szoku.

W końcu zbudziłam się z letargu i uprzytomniłam sobie, że przecież muszę dać znać rodzinie. Z okna pokoju, z drugiego piętra, zobaczyłam młodego chłopaka z rowerem. Na moją prośbę o zawiadomienie rodziny zareagował od razu i biorąc mój adres zniknął w bramie.

Tymczasem znów otworzyły się drzwi i wpuszczono trzecią ofiarę. Tym razem mężatkę. Halina krzyczała bijąc w drzwi pięściami:

– Puśćcie mnie, puśćcie!

Ale zamknięte drzwi nie ustępowały i nikt nie reagował. Wykryła w ścianie okienko do sąsiedniego pokoju, zamaskowane dużą dyktą. Zaczęła się do niego dobijać. Po chwili okienko otworzyło się i ukazała się jakaś dobrotliwa twarz urzędnika.

– Nie dobijajcie się moje dzieci, bo ja nie mogę wam nic pomóc – powiedział i okienko zamknął. Niedługo czekałam na przyjsie matki. Przyleciała jak uskrzydłona, załamując ręce i głośno płacząc. Wiem, co się działo w jej sercu, tym bardziej, że to mama zadecydowała o mojej pracy i teraz czuła się winną. Nie mogąc się uspokoić płakała w głos stojąc pod oknem pokoju, w którym byłam przymknięta jak ptak w klatce. Gdy poszła zawiadomić ojca i rodziców Barbary nas przeprowadzono do kieleckiego aresztu.

Prowadzono nas środkiem ulicy jak skazańców. Dwu granatowych policjantów z karabinami, a nas trzy. Szliśmy ulicą Sienkiewicza do Focha, a potem Solną do Zamkowej. Tam, na skraju parku, w dawnym „domku praczki”, był areszt. Ludzie oglądali się za nami ze współczuciem, a ja bardzo się wstydziłam swojej sytuacji. Zanim ruszyliśmy w drogę usłyszałyśmy od konwoju, przecież Polaków:

– Za próbę ucieczki kula w łeb.

Po drodze naiwnie któraś zapytała jednego, bardziej przystępnego policjanta:

– Jak tam w więzieniu jest, gdzie będziemy spały?

A ten odpowiedział cynicznie:

– Spokojnie, są tam tapczany.

Na miejscu okazało się, że „tapczany” to zбиты z desek podest na kilkadziesiąt kobiet i trochę zapchlonej słomy.

Areszt na zamkowej

W areszcie zamknięto nas w mrocznej celi. Było tam jedno małe zakratowane okienko i były brudne, popisane ściany, gdzie i ja wydrapałam swoje imię, nazwisko i datę pobytu. Było tu mnóstwo przeróżnych nazwisk. Zdarzały się i znajome. W rogu celi stał śmierdzący kibel. Po jakimś czasie otworzono wszystkie drzwi i wolno nam było zajrzeć do cel sąsiednich, porozmawiać z innymi więźniami.

W jednej z cel siedziały już od kilku miesięcy jakieś kobiety. Między nimi Cyganka, która wkrótce



Areszt przy Zamkowej obecnie Galeria Dom Praczki

spodziewała się dziecka. Cyganka wyjmując karty zaproponowała:

– Powrócę wam.

Mnie wywróżyła daleką podróż. Poczułam sympatię do tej kobiety i współczucie. Dochodziła może godzina szósta, kiedy granatowy policjant wywołał moje nazwisko.

– Do bramy – powiedział – tam czekają na ciebie rodzice.

Trudno przekazać moje uczucia, kiedy otworzono w bramie okienko, a po przeciwnej stronie zobaczyłam swoją rodzinę w komplecie. Wszyscy płakali nie mogąc wydusić z siebie słowa. Przynieśli mi walizkę z osobistymi rzeczami, a siostra swoje ślubne palto. Krótka trwała ta wizyta, bo policjant, odbierając walizkę powiedział:

– Koniec widzenia.

Jeszcze tylko rodzice podali mi obiad. Była to zalewajka i krajane kluski ze słoniną. Nie mogłam niczego przelknąć, obiad ten dałam Cygance za wrózenie. Wiedziałam, że ojciec czyni starania, żeby mnie wyratować, był z prośbą u swojego szefa, Wytycha. Niemiec dzwonił do Arbeitsamtu osobiście przy ojcu, ale odpowiedziano mu, że nic z tego. Wytych wskazał więc jakiegoś człowieka, który zażądał za moje uwolnienie tysiąc złotych, ale dopiero wtedy, jak uda mu się to zrobić.

Nie mieliśmy żadnych oszczędności, więc ojciec zaczął wyprzedawać z domu co cenniejsze rzeczy szykując więcej pieniędzy.

Nadchodził zmrok. Pozamykano cele, ale co jakiś czas znów kogoś dowożono i zwiększała się nasza grupa. Także i mężczyzn było coraz więcej.

Noc była ciężka. Przenikliwy mrok, tylko mały promień księżycowego światła przepychał się przez małe okienko.

Ułożyłam się obok Barbary na garstce słomy. Od pierwszych chwil, jak tylko pogaszono światła, wyszło na żer dziesiątki insektów. Pchły, których nie sposób było uchwycić, pluskwy, które pod palcami pękały i niechętnie śmierdziały i wielkie, jak ziarna pszenicy, wszy. Ogarnęła mnie rozpacz. Całą noc biłam, gniotłam, broniłam się przed tym obrzydlistwem. A zapach pluskiew czułam przez długi czas. Kiedy rozwidniło się zauważyłam, że mam pełnio czerwonych plam na ciele. Rano pobudka, rozdano śniadanie; czarną, gorzką kawę i czarny jak święta ziemia, suchy chleb. Swoją śniadaniową porcję również oddałam Cygance. Po śniadaniu wyprowadzono nas na dziedziniec, kazano zabrać swoje rzeczy i ustawiono w czwórki. Kiedy otworzyli bramę, znów zobaczyłam swoją płaczącą rodzinę. Postanowiłam, że nie będę płakać. Niech rodzice nie wiedzą, jak ciężko jest mi odjeżdżać. I to mi się udało. Zacisnęłam zęby wodząc wokoło obojętnym wzrokiem, a nawet próbując się uśmiechać, na co zwróciła mi z wyrzutem uwagę siostra. Szliśmy otoczeni kordonem granatowych policjantów. Obok nasze rodziny. Przy parku zatrzymano kolumnę i jeden z niemieckich pacholków, wyjmując z kabury pistolet, powiedział:

– Niech nikt się nie waży uciekać, bo jak co, to kula w łeb.

Wyjazd w nieznane

Zaprowadzono nas ponownie do Arbeitsamtu. Rodzice biegali szukając dróg wyjścia. Wyglądali, czy nie zjawi się zapowiadany gość, który miał mnie ratować.

Ja stałam oparta o parapet okna, gdy w pewnym momencie poczułam, że okno się otwiera i ktoś do mnie mówi:

– Wychodź przez okno, to nie pojedziesz do Niemiec. Obejrzałam się. Przy oknie stał Rudolf, mój prześladowca, z którym miałam przygodę na ulicy Leśnej. Widząc go, odeszłam od okna, bo bałam się, że to prowokacja, że może się mścić. A on tylko powiedział: – Ale głupia gęś. Człowiek chce ją ratować, a ona mówi, dziękuję.

Ustawiono nas w czwórki, pożegnaliśmy się z rodzinami. Na dziedzińcu był jeden szloch naszych matek i ojców. I wymarsz na stację. Na drodze do dworca, dokąd było bardzo blisko, jak i na dworcu, nie wolno było do nas podchodzić. Szliśmy więc z opuszczonymi głowami środkiem ulicy, smutni i załamani. Po obu stronach szły rodziny. Przyglądali się nam

przechodnie, choć nie był to dla nich widok dziwny. Ostatnio takie przemarsze zdarzały się bardzo często. Kiedy wprowadzono nas na peron, wiedziałam, że już nikogo z rodziny nie zobaczę.

Załadowano nas do jednego wagonu. Wyrzałam oknem i usłyszałam głos ojca. Coś krzyczał z daleka dając mi jakieś ostatnie wskazówki, których już nie mogłam usłyszeć. Nagromadziło się we mnie tyle goryczy, tyle żalu, coś mnie uchwyciło za gardło, po twarzy polały się łzy. Pociąg ruszał. Szukałam chusteczki, trzeba było przecież ojcu pomachać i obetrzeć twarz. Sylwetka ojca malała, uciekały drzewa, domy. Widziałam je jak przez mgłę. W końcu miasto zniknęło za horyzontem. Wokoło pola, lasy, gdzieś tam odległa wioska. Koła pociągu stukały monotonnie. Stałam w oknie żegnając się z kielecką ziemią.

W tym czasie nasi konwojenci, granatowi policjanci, zaczęli swoje niechlubne dzieło. Jeden z nich wdał się w rozmowę ze mną. Był w średnim wieku, tłuścawy, z ubytkami w uzębieniu.

– Co, żal ci odjeżdżać? – zagadnął.

– Żal – odpowiedziałam, nie wiedząc, co ma na myśli.

– A widzisz, mógłbym cię uratować, ale musiałabyś iść ze mną na kwaterę. Przenocowalibyśmy, a rano zawiózłbym cię do mamusi. No, co, zgadzasz się?

– Kretyn – odpowiedziałam – Niech się pan odcepi ode mnie.

– Głupia jesteś – odpowiedział – Jak nie chcesz, to sobie jedź.

Po mnie szukał szczęścia u Barbary, a inny „tatusz” czarował już Halinkę. Trwało to jakiś czas, potem uśmiechnął się do niej przymilnie.

– Pewnie się zgodziła – powiedziała Barbara, przypatrując się ich zachowaniu.

Było przedpołudnie. Wyszliśmy z pociągu na stacji w Częstochowie. Lipcowe słońce grzało niechętnie. Prowadzono nas przez kilka ulic, a przy jakimś zakręcie Halinka oderwała się od kolumny i zniknęła w drzwiach małego sklepiku. Obstawę miała dobrą, bo policjanci skupili się w jednym miejscu zasłaniając ją. Zapełniono lukę w kolumnie życząc jej w myślach szczęśliwego powrotu do domu. W końcu była to przecież jej rzecz, za jaką cenę okupiła wolność. A może udało się jej wykiwać granatowych?

*Fot. ze zb. rodzinnych.
Tekst opracował do publikacji
Roman Zwierzchowski.*

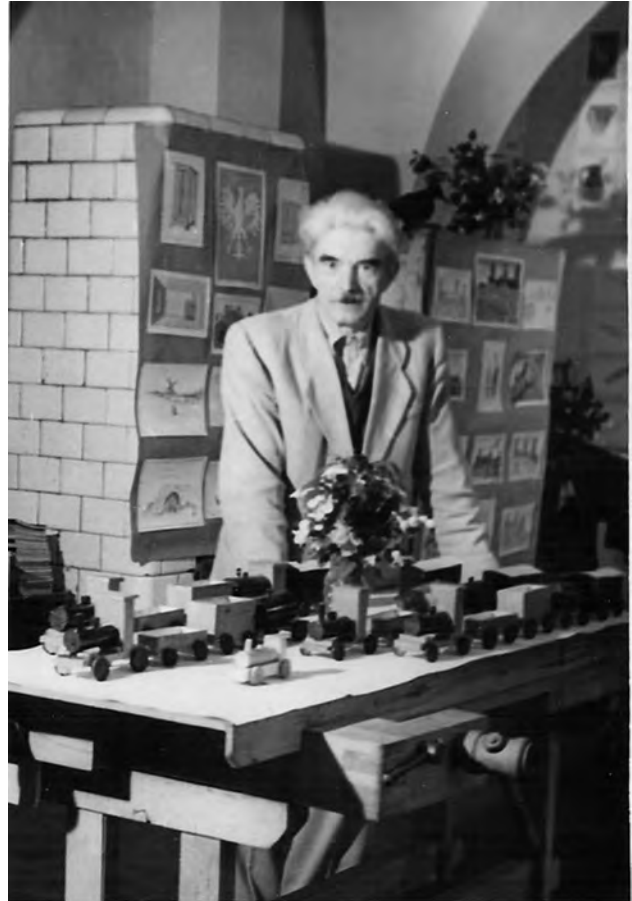
Wspomnienia nauczyciela

Urodziłem się w Chęcinach dnia 1 października 1899 roku jako syn Karola i Magdaleny z Gruszczyńskich. Miałem pięć sióstr, starsza ode mnie Maria i cztery młodsze, z których dwie zmarły w dzieciństwie. Pozostałe siostry żyją. Ojciec był rzemieślnikiem, matka zajmowała się domem i dorywczo ręcznie szyła bieliznę. Wiosną, latem i jesienią chodziła do pracy w pole jako siła najemna i to wspomagało budżet domowy.

Wynajęte mieszkanie stanowiła jedna izba, która jednocześnie była miejscem pracy ojca. Wyposażona skromnie: dwa łóżka, kołyska dla niemowlęcia, szafa na ubranie, dwa krzeselka, szafka na naczynia i warsztat ojca.

Z okresu dzieciństwa, kiedy byłem niespełna dwuletnim dzieckiem, pamiętam pożar w sąsiedztwie i strach jaki powstał u mnie letniego dnia, gdy wpadł na podwórze szczekający pies. Sięgam również pamięcią do faktu, kiedy to latem, mając niecałe cztery lata, cała rodzina nasza w popołudniową niedzielę wybrała się do lasu na jagody. Pod wieczór nadeszła burza. Ledwie dotarliśmy do chaty sąsiadującej z lasem. Była to wieś Zelejowa. Silna ulewa i wyładowania atmosferyczne stoją w mojej pamięci do dnia dzisiejszego.

Dzieciństwo swoje spędziłem z rówieśnikami. Zabawek kupnych nie posiadałem, sam robiłem wózki, kołatki, trajkotki, strzelby i inne zabawki. Często miałem pokaleczone ręce „kozikiem”. Latem biegając boso – pozbijane palce.



Stanisław Sobczyk. Fot. Ryszard Nadgowskie

Kiedy moja starsza siostra osiągnęła sześć lat, matka przystąpiła do nauki czytania na „Groszówce”. Nauce tej przysłuchiwałem się. Zapamiętałem tekst pierwszej strony tej „Groszówki”: ba, be, bi, bo, bu, ca, ce, ci, co, cu, da, de, di, do, du itd. czyli do każdej spółgłoski dodana była samogłoska. Teksty te przyswoiłem sobie dość szybko. Potrafiłem je czytać nawet wrywkowo. Na dalszych stronach tej książeczki kilkukartkowej były drukowane oderwane wyrazy w zakresie poznanych sylab i krótkie teksty związane. Tych już nie pamiętam.

Latem często chodziłem do lasu na jagody i grzyby, a w szóstym roku życia zabrał mnie z sobą ojciec na ryby, które i ja łapałem podarowaną przez niego wędką. Stąd wędkarstwo uprawiałem do przedostatnich dni drugiej wojny światowej. Zbiór jagód, grzybów, a jesienią również dzikich jabłek i gruszek urozmaicał nam jadłospis. Były to nie lada przysmaki. Moje lata szkolne przypadają na okres rewolucji 1905–1907. Szkoła prowadziła swoją działalność, nauczanie odbywało się w języku rosyjskim. Pracował jeden nauczyciel, w jednej izbie miał do 100 uczniów.



Rolnictwo u stóp Góry Zamkowej w Chęcinach

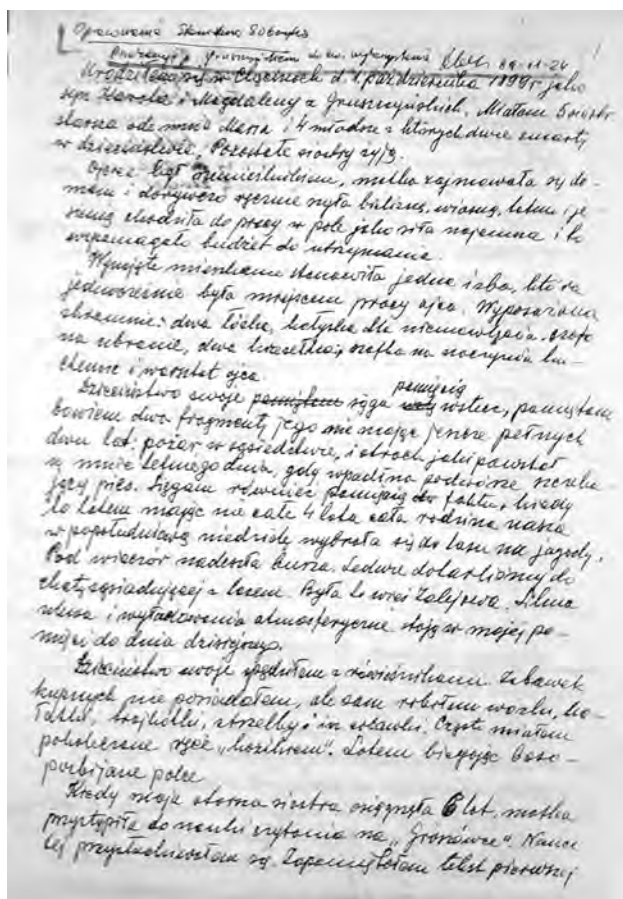
Nauka wszystkich klas odbywała się w godzinach 8–12 i 13–15.

Utarł się tu zwyczaj, że do szkoły przyjmowano dzieci, których rodzice opłacali podatki od gruntów i domów, w tym podatek szkolny. O przyjęciu decydował burmistrz z ławnikami miasta. Moi rodzice nie mieli własnego domu i ziemi, a my dzieci prawa do pobierania nauki w szkole. Ojciec, po naradzie z matką, zobowiązał się w magistracie wobec burmistrza i ławników płacić podatek szkolny i odbywać stróże nocne w mieście, kolejno wyznaczane właścicielom domów w zamian za uzyskanie prawa do posyłania dzieci do szkoły. Propozycja ojca zyskała aprobatę burmistrza. Wobec tego matka z moją najstarszą siostrą i ze mną udała się w określonym czasie do szkoły, aby nas zapisać.

Pamiętam mój egzamin wstępny, było to jeszcze w 1906 roku. Nauczyciel pytał mnie, jak się nazywam, ile mam lat, ile palców u jednej ręki, u obu rąk i wszystkich palców u rąk i nóg. Odpowiadałem na te pytania bez namysłu. Nie dałem tylko odpowiedzi na pytanie, ile mam włosów na głowie. Nauczyciel siostrę i mnie zapisał na liście.

W dniu definitywnego przyjmowania do szkoły, który był jednocześnie pierwszym dniem rozpoczęcia

nowego roku szkolnego, izba szkolna była zatłoczona, przyszły bowiem wszystkie zapisane uprzednio dzieci nowo wstępujące i uczniowie poprzedniego roku szkolnego wszystkich klas, oraz znaczna część rodziców dzieci, które miały rozpocząć naukę. Najprzód odczytano listy uczniów z poprzedniego roku szkolnego i te oddzielono ławkami, aby zmniejszyć zamieszanie. Teraz przystąpiono do przyjmowania dzieci na pierwszy rok nauki segregując według kryterium, ma prawo czy nie ma prawa. Siostra moja przeszła przez ten alembik prawny, ja natomiast zostałem dołączony do tych, które nie mają prawa. Po tym fakcie pobiegłem z płaczem do domu. Ojciec zabrał mnie ze sobą, przyszliśmy do szkoły w momencie, kiedy nauczyciel sprawdzał liczbowy stan dzieci całości: tych z lat poprzednich i nowo wstępujących. Okazało się, że do pełnej liczby brakuje jednego ucznia. Ponieważ stałem obok nauczyciela, wziął mnie za rękę i skierował na brzeg pierwszej sześcioposobowej ławki. Burmistrz i ławnicy fakt ten przyjęli z przymrużonymi oczyma. Stałem się uczniem klasy wstępnej, wulgarnie nazywanej przez starszych „osłami”. Uczył mnie nauczyciel Bulski, człowiek młody, z czarnymi włosami na głowie, o czarnych wąsach i brodzie.



Fragment rękopisu Stanisława Sobczyka

Ranna nauka odbywała się w języku rosyjskim, południowa poświęcona była językowi polskiemu. Miałem jedną książkę do języka rosyjskiego „Ruskaja riecz” i jedną do języka polskiego „ABC” Wacalewskiego. Z książek tych w domu korzystała starsza siostra. W języku polskim dawałem sobie radę, wszak umiałem czytać ba, be, bi, bo, bu itd. (Groszówka). W języku rosyjskim pomagał mi brat matki, który chodził ze mną do szkoły czwarty rok. Matematyka nauczana w języku rosyjskim sprawiała mi trudności ze względu na to, że nie rozumiałem języka rosyjskiego. Mimo tego widocznie byłem na właściwym poziomie, gdyż na końcu roku zakwalifikowany zostałem do klasy pierwszej. Na uroczystościach kończących rok szkolny byłem w grupie uczniów klasy I, która śpiewała jakąś piosenkę rosyjską, której tytułu i treści nie pamiętam. Naukę pisania rozpocząłem rysikiem na specjalnej tabliczce, na której napisany tekst przecierało się szmatką, aby na tej płaszczyźnie można było pisać dalsze litery czy teksty. Pisałem też gęsim piórem. W izbie lekcyjnej stały cztery tablice do pisania kredą, na ścianie wisiał portret Mikołaja II, mapa Europy, Azji, Afryki i Ameryki oraz obu półkul.



Automobile pod Chęcunami

W rogu izby, obok drzwi wyjściowych, stała czarna szafa, która nie była nigdy otwierana w czasie całorocznej nauki w klasie wstępnej.

Nadeszło lato. Wędrowki do lasu na jagody i grzyby a przy niedzieli i święcie z ojcem na ryby.

Minęły wakacje, nowy zapis do szkoły, pierwszy dzień przyjęcia i nauki. Rozpacz. Chodziło nas dwoje z domu. Na mieście szemranie, zwłaszcza tych, co płacili podatki a z braku miejsca nawet jedno dziecko na naukę nieprzyjęte. Tym razem przez ucho igielne nie przeszedłem. Interwencja ze strony matki przez kuchenne drzwi, tym razem z „nowego” nauczyciela rodziną – poziomki, czarne jagody, grzyby, złowiony szczupak lub jakaś inna większa ryba – nic nie pomogła. Żona nauczyciela uskarżała się przed matką na słabe zdrowie męża i nic się nie dało zrobić. Straciłem jeden rok nauki. Uczył wówczas nauczyciel Czerwiński.

Całe następne wakacje czuwał ojciec swoim połowem, czuwała również matka naszymi jagodami, malinami i grzybami przyniesionymi z lasu. Nowa zmiana nauczyciela. Przybył do Chęcın Wędzyński, człowiek żonaty z dziećmi. Matka dopięła celu, ale nauczyciel postawił warunek. Miałem przyjść do szkoły trzeciego lub czwartego dnia po rozpoczęciu nauki. Widocznie chodziło o wprowadzenie w błąd władz miejskich i rodziców, którym nie przyjęto dziecka na naukę.

W roku szkolnym 1908/9 znalazłem się w klasie I i pracę swoją wspominam dobrze. Ale system drzwi kuchennych zachowany był przez cały rok szkolny, głównie w święta. Zimą suszone grzyby, wiosną szczupak lub inna ryba. Ten system trwał przez cały czas mojej dalszej nauki. W klasie II uczyłem

mnie nauczyciel Jabłoński. Co pewien czas nakażywał mi, by przyszli matka lub ojciec. Oczywiście bywała matka, aby ojciec nie przerywał sobie pracy. Jeden z takich faktów wezwania matki był następującym powodem. Byłem pytany i nauczyciel dał mi do rozwiązania zadanie, w którym występowało pisemne mnożenie i dzielenie. Zadanie to rozwiązałem dość szybko poprawnie i bezbłędnie. Matka z ust nauczyciela w jego mieszkaniu usłyszała pochwałę i radę, bym się uczył do ukończenia szkoły. Oczywiście pochwała ta została skwitowana jakimś dodatkowym datkiem.

Nowy rok szkolny 1910/11, te same kłopoty i te same zabiegi, gdyż znowu nastąpiła zmiana nauczyciela. Przybył do Chęciny Kazimierz Pawlik. W klasie III znalazłem się bez trudności, siostra ukończyła szkołę, zdając egzamin w Kielcach. Taki bowiem był wówczas zwyczaj.

Po feriach wiosennych pierwszego dnia nauki, uczący zatrzymał trzecioklasistów i oznajmił nam, że kto pod koniec roku szkolnego chce jechać na egzamin do Kielc, musi się dodatkowo uczyć w godzinach gdy młodsze klasy zakończą naukę. Postawił nam warunek, że za dodatkową naukę będziemy płacić po jednym rublu miesięcznie. Sprawę tę zakomunikowałem rodzicom. Rano następnego dnia ojciec nakazał mi wrócić do domu po oficjalnych zajęciach, gdyż nie ma pieniędzy. Prócz mnie na te dodatkowe zajęcia nie poszło troje innych uczniów, dwu chłopców i jedna dziewczynka. Rezultatem tego powtarzałem ostatnią klasę. Gdy chodziłem na naukę trzeci i czwarty rok, a uczył wówczas K. Pawlik, rodzice starą metodą wprowadzili do szkoły moją młodszą siostrę. Ale tym razem na dodatkową naukę od ferii wiosennych do końca roku szkolnego uczęszczałem. Zależało rodzicom, bym uzyskał świadectwo.

Warunki materialne rodzicom poprawiły się, albowiem ojciec został przyjęty na inkasenta mostowego na moście nad Czarną Nidą pod Tokarnią z wynagrodzeniem 14 rubli miesięcznie i bezpłatnym mieszkaniem o jednej małej izbie. Z pobytu nad Czarną Nidą, gdzie mieszkaliśmy do końca czerwca 1914 roku mam wiele dodatnich wrażeń, głównie z połowów ryb wędką, siatką, a nawet widelcem, nie mówiąc już o codziennych kąpielach latem. W bliskiej odległości był las, a w nim grzyby i jagody.



Kościół parafialny w Jędrzejowie



Chęciny, widok ogólny

Szkołę ludową ukończyłem egzaminem w Kielcach, który odbywał się przy ulicy Czystej, obecnie Nowotki. Szkoła mieściła się w oficynie o szerokim podwórzu. Na egzaminie prócz chęciniaków byli uczniowie z Daleszyc, Bodzentyna i Suchedniowa. Składaliśmy egzamin z języka rosyjskiego pisemny i ustny, historii i geografii Rosji oraz z matematyki pisemny i ustny. Kilka wrażeń z pobytu w szkole ludowej. Jak wspominałem nauka odbywała się w języku rosyjskim, dotyczyło to również historii i geografii Rosji. Wiszące na ścianach mapy zasadniczo w czasie lekcji nie były używane, ale niepokoił mnie ich widok i cel, dla jakich były zawieszono. Po obiedzie ucząc się już trzeci rok wracałem do szkoły przed godziną 13, mieszkając zaś nad Czarną Nidą przerwę obiadową spędzałem w szkole. W tym czasie miałem swobodę poruszania się, więc przechodziłem od mapy do mapy, zapoznając się z ich treścią. Poznałem w ten sposób części świata i ich granice oblانة morzami i oceanami, wyspy i półwyspy, nazwy gór i rzek Europy i Azji, nazwy miast. Przyswojenie tego materiału przydało mi się w dalszej nauce.



Zamek w Chęcinach, widok od strony miasta

Rola nauki ówczesnej, z perspektywy czasu, to zru-syfikowanie młodego pokolenia Polaków. Duży nacisk kładziono na poprawne czytanie według akcentu, po rosyjsku wg *udarenia*, poprawne pisanie, a pisownia dość trudna, stąd częste dyktanda i kaligraficzne pismo. Historia Rosji konieczna, gdyż do szkoły przyjedzie inspektor i będzie jej pytał. Konieczna znajomość wierszy dobranych do treści historycznych. Matematyka – wymagania ograniczały się do czterech działań na liczbach całych i rozwiązywanie trudnych i skomplikowanych w treści zadań, zwłaszcza że nie opartych na systemie dziesiętnym. Pudy, funty, łuty w miarach wagi, mile, wiorsty, sążnie, arszyny itd. w miarach długości. Duży nacisk kładli nauczyciele na pamięciową znajomość tytułów domu carskiego, a więc cara, jego supruży – żony, następcy tronu, carycy – wdowy. Nadto śpiewanie hymnu „Boże cara chrani...” i inne piosenki w języku rosyjskim. Czarna szafa, stojąca w kącie izby, zawierała bibliotekę dla uczniów, wszystko w języku rosyjskim, ale nikt z tej biblioteki nie korzystał przez cały mój pobyt w szkole. Uczniowie nie upominali się, nauczyciel nie nakazywał.

W dniach galowych domu carskiego przerwa w nauce, obowiązkowe uczestnictwo uczniów i nauczyciela w kościele na nabożeństwie i modły za panującego. Na język polski mniej zwracano uwagę, chociaż wspomnienia o pracy pod tym względem nauczyciela Wądryńskiego wyróżniam. Zwracał bowiem uwagę na poprawne czytanie, ortografię i naukę wierszy. O innych nauczycielach nic chlubnego pod tym względem napisać nie mogę.

Wiadomości z historii polskiej nie przekazywano nam mimo pewnych swobód po rewolucji 1905–1907 roku, chociaż zaistniał fakt, że rodzice przybyli do szkoły



Chęciny przed I wojną światową

z żądaniem wprowadzenia nauki w języku ojczystym, gdy uczył tu nauczyciel Bulski.

Ta pewna swoboda porewolucyjna spowodowała, że w Chęcinach otwarto prywatną szkołę, której patronował J. Wójcicki, właściciel niewielkiego folwarku w Sitkówce. Faktycznie na założenie szkoły finanse dała Polska Macierz Szkolna. Izba lekcyjna tej szkoły mieściła się w budynku poklasztornym Klarysek. Uczył tam młody nauczyciel Papaj. Szkoła wyposażona była w biblioteczkę naukowo – popularną w której były broszury dotyczące przyrody, geografii i historii polskiej, np. Jan III Sobieski pogromca Turków, coś o najazdach Tatarów i najazdach Szwedów, Stefan Czarniecki, hetman Żółkiewski, Karol Chodkiewicz, bitwa pod Cecorą, obrona Jasnej Góry itp. Biblioteka była dostępna dla uczniów szkoły rządowej, z której korzystało kilku kolegów, między nimi i ja. Szkoła ta istniała nie dłużej niż dwa, trzy lata. Po wizytacji, której dokonał inspektor Nowicki – Polak, katolik, dla kariery przyjął prawosławie – szkołę zamknięto, gdyż wychowywała w duchu narodowym.

Istnienie znacznej liczby dzieci – mieszkańców wszystkich w owym czasie było przeszło 5000 – zmusiło władze do otwarcia drugiej szkoły ludowej, co nastąpiło w 1912/13 roku szkolnym. Izbę lekcyjną i mieszkanie dla nauczyciela wyznaczono w domu p. Rodziewicz, w dawniejszym kościele przy szpitalu, a uczył Kazimierz Banasiński.

Byłem ulubieńcem babki, która przy niedzieli, zimą, w godzinach popołudniowych, zabierała mnie do siebie. Bardzo oględnie opowiadała mi o bitwach jakiegoś narodu z wojskami, które zawojowały ten naród. Fragmenty bitew zlokalizowane były po lasach, po wsiach i miasteczkach o wymyślonych nazwach. O kulawych lub *bezręcznych* ludziach zranionych



Rynek w Chęcinach

w bitwach, którzy zapomnieli swoich imion i nazwisk. Opowieści te wielce mię fascynowały.

Ojciec był uczestnikiem ruchu rewolucyjnego 1905–1907. Takich działaczy było tutaj kilkunastu. Do domu naszego, najczęściej wieczorem, przybywała jakaś osoba nieznana. Nam dzieciom kazano się przedwcześnie kłaść, spać. Moja ciekawość nie pozwalała mi zasnąć, więc słyszałem szept: broń, dynamit, ścinanie słupów telefonicznych, poczta, sklep monopolowy. Niewiele z tego rozumiałem. Dopiero po wycofaniu się frontu rosyjskiego z nad Nidy w maju 1915 roku zrozumiałem sens opowieści babki o powstaniu 1863 roku i szeptanych rozmów ojca dotyczących działania konspiracyjnego przeciw carskiemu rządowi. Przez jakiś czas w naszym domu matka przechowywała środki wybuchowe, później bibułę polityczną PPS. Pamiętam z tych lat demonstracyjny pochód, na czele którego z czerwonym sztandarem szła młoda kobieta, śpiew „Na barykady ludu roboczy”, strzały na wiwat, najazd kozaków na miasto i sygnał trąbki strażackiej, umówiony znak ukrycia się konspiratorów.

Jeszcze w czasie wakacji po skończeniu szkoły ludowej nie miałem żadnych planów. Przypuszczam, że i moi rodzice w odniesieniu do mnie planu nie mieli.

Mieszkając wówczas nad Czarną Nidą w rannych godzinach przy niedzieli sierpniowej 1912 roku za-

uważyłem czterech urzędników idących od strony stacji kolejowej. Zauważyłem ich nim weszli na most od strony Tokarni, gdy zaś minęli most dwu z nich poznałem. Pierwszy znany mi był inspektor Nowicki, drugi Grinkiewicz, dyrektor kieleckiej dyrekcji naukowej, których poznałem: pierwszego podczas dwukrotnej wizytacji szkoły w Chęcinach, drugiego, który spędził bodaj dwie godziny w czasie gdy składałem egzamin w Kielcach. Rozmawiali między sobą w języku rosyjskim, a przedmiotem rozmowy było otwarcie jakiejś szkoły w Chęcinach. Po przejściu mostu postanowili zażyć kąpeli i skierowali się w prawo, w górę rzeki, gdyż na brzegu dostrzegli niewielką plażę piaszczystą. Rozmową tą zainteresowałem się, zabrałem ze sobą przynętę i wędkę, udając się za rozmówcami. Z wędką ulokowałem się za krzakami i cierpliwie oczekiwałem końca kąpeli. Gdy panowie dokończyli swój ubiór w mundury ze złotymi pugowicami – guzikami – i skierowali się w stronę szosy, wyszedłem zza krzaka z wędką, boso, z podwiniętymi do kolan spodniami i przepaszając zapytałem w języku rosyjskim, o jakiej szkole rozmawiają i dokąd się udają. Gospodin Grinkiewicz, postać niskiego wzrostu o bardzo pękatym brzuchu i wybałuszonych oczach ze zdumienia, że słyszy rosyjską mowę miał odpowiedzi na moje pytania, zapytał mnie, kto jestem i gdzie nauczyłem się mowy rosyjskiej. Odpowiedź moja brzmiała: tu mieszkam z rodzicami, a mówić po rosyjsku nauczyłem się w szko-

le. Mój rozmówca zwraca się do swoich towarzyszy podróży i mówi: *wot tot malcziszek budziet pierwym uczennikom chiencinskowo uczyliczszcza*, a zwracając się ku mnie, oświadczył, że udają się do Chęcina zbadać możliwości lokalowe do otwarcia *czteroklassowego wyższawo narodnowo uczyliczszcza*. Słyszając tę odpowiedź, ja *skazał: spasibo*. Panowie poszli do Chęcina, a ja do domu składając ojcu relację, kto są ci panowie i po co udali się do Chęcina.

Następnego dnia matka z racji targowego dnia w Chęcinach, będąc w mieście, wstąpiła do mieszkania ówczesnego nauczyciela Pawlika i od jego żony dowiedziała się o decyzji usytuowania szkoły. Z kim były prowadzone rozmowy w Chęcinach nie dociekałem, ale w moim mieście rozpoczął się ruch. Z obecnego budynku klasztornego Franciszkanek wykwaterowano mieszkańców, zwołano rzemieślników dekarzy do pokrycia dachu nowym gontem, stolarzy do zrobienia kompletu ławek, murarzy do bielienia, zduna do postawienia pieców itd. Sprawa pewna, że szkoła będzie uruchomiona. Jaka była propaganda w odniesieniu do zgromadzenia kandydatów do szkoły nic mi nie wiadomo. Miejscowy nauczyciel Pawlik miał komplet kandydatów i od września w godzinach popołudniowych przygotowywał ich do wstępnego egzaminu do klas I i II mającej powstać szkoły. Bodaj na początku listopada 1912 roku po przygotowaniu lokalu i jego wyposażeniu zebrała się młodzież męska i w niewielkiej liczbie żeńska do egzaminu. Ci, którzy ukończyli szkołę ludową i złożyli egzamin w Kielcach zostali przyjęci do klasy I bez egzaminu, inni zaś przystąpili do niego, a starsi wiekiem do klasy II. Po egzaminach nastąpiła normalna nauka.

Grono nauczycielskie składało się z osób prawosławnych: zwierzchnik szkoły Aleksiej Aleksiejewicz Krasnow z tytułem inspektora, Garszkow – nauczyciel, dwie kobiety: Maria Iwanowna Spaska i Jelena Abramowicz. Od pierwszych dni nauki inspektor zebrał pieniądze od uczniów na podręczniki, które dość szybko nadeszły do Chęcina. Podręczniki kosztowały drogo, a ponieważ nasz współuczeń, Stanisław Lachowski nie miał pieniędzy, pozostali koledzy samorzutnie zrobili składkę po kilkanaście kopiejek na rzecz jego wyposażenia. Biblioteka szkolna z punktu została wyposażona w książki, wszystkie w języku rosyjskim, wyposażono szkołę w pomoce naukowe itd.

W klasie I podyktowano nam tygodniowy rozkład lekcji. Uczyliśmy się: języka rosyjskiego, historii Rosji, geografii, przyrody, matematyki, kreślenia, rysunku odręcznego. Nauczania tych przedmiotów prowadziło prawosławne grono nauczycielskie. Języka polskiego jako przedmiotu nadobowiązkowego uczył miejscowy nauczyciel Kazimierz Pawlik 2 godziny tygodniowo, a religii miejscowy wikary, Ciećwierz. Nauka religii w wymiarze 3 godzin tygodniowo odbywała się w języku polskim. Atmosfera w szkole wybitnie rusefikatorska. Uczeń obowiązany był nosić mundur, który upodobnił nas do chłopów centralnej Rosji, coś w rodzaju Saratowa lub Kostromy, na przerwach obowiązani byliśmy rozmawiać po rosyjsku. Zalecono nam, aby z rodzicami w domu posiłkować się tymże językiem.

Bodaj w lutym 1913 wypadł *bolszoz prazdnik – triechsetlecie carstwowania doma Romanowych*. Udział uczniów i grona nauczycielskiego w nabożeństwie w kościele parafialnym, akademia z referatem o carach Romanowych, pieśni, wiersze dobrane do tych uroczystości. Pieśni ćwiczyliśmy pod kierunkiem miejscowego organisty, Jana Stachowicza. Po akademii uczniowie obdarowani byli słodyczami i przyborami do pisania; stalówkami, obsadkami, ołówkami. Najlepsi uczniowie otrzymali wydane z tej okazji książki pt. „*Trechsetletie carstwowania doma Romanowych*”.

W roku 1913/14 uczyłem się już w klasie II. Do grona przybył nauczyciel Sokołow – Rosjanin. Nauka śpiewu – przybyły z Kielc Bocheński. Gimnastyka – miejscowy aptekarz (komenda rosyjska). Języka polskiego uczył we wszystkich klasach tj. I – III Kazimierz Banasiński.

Jako uczeń klasy II omawianej szkoły należałem do zakonspirowanego zespołu liczącego siedmiu kolegów czytających polskie książki zgromadzone przez nas a uzyskane od mieszkańców miasta. Były to książki po bibliotece szkoły prywatnej, której patronował J. Wójcicki, rozwiązanej przez władze carskie. Komplet książek liczył około 20 sztuk o treści przeważnie historycznej. Książki były przechowywane w skrytce przemyślnie zrobionej pod mostkiem, wyłożonej deseczkami, owinięte w nieprzemakalny papier. Wymianą książek zajmowałem się przez pięć miesięcy ja, przez następne pięć miesięcy czynił to Marek Pytko. Wymiana książek zimą upozorowana była jazdą na łyżwach po zamarzniętej Czar-

nej Nidzie, w lecie kąpielą. Na każdej takiej zbiórce, która odbywała się dwa razy w miesiącu każdy zobowiązany był do przekazania swego fragmentu wiadomości z historii Polski. Ja przekazywałem wiadomości o działalności bojówek PPS z lat 1905, których byłem świadkiem, i o ruchach partyzantycznych 1863 roku posłyszanych z ust babki.

Dnia 1 sierpnia 1914 roku w rannych godzinach wywieszono afisze ogłaszające mobilizację rezerwistów. Rozpoczęła się I wojna światowa poprzedzona zamachem na następcę tronu Austrii w Sarajewie i głośnych oddźwiękach w prasie tego wypadku. Po ogłoszeniu mobilizacji najwięcej pracy mieli miejscowi strażacy czuwając, aby powołani wyjechali do Kielc, by ich skierowano do właściwych oddziałów. Już w pierwszej godzinie mobilizacji właściciele sklepów, a był run na sól, zapalki, pa-



Strzelcy maszerują. Akwarela Stanisława Praussa. Własność Stanisława Machały

pierosy, nie przyjmowali banknotów i żądali zapłaty monetami. Ze sklepu monopolowego strażacy wyrzucali na bruk butelki z wódką, bo był zakaz sprzedaży alkoholu. Pracownicy więzienia, Rosjanie, zwinęli najpotrzebniejsze rzeczy i podwodami wyjechali do Kielc, aby dalej wędrować pociągami. Dotarła do Chęciny wiadomość, że tunel kolejowy koło Miechowa wysadzono w powietrze, a budynki i magazyny kolejowe z zawartymi tam towarami podpalono, o czym świadczył unoszący się dym nad stacją Chęciny koło Wolicy. Więźniowie czasowo pilnowani byli przez strażników polskich, ale po tygodniu brakło dla nich żywności. Zarządzeniem miejscowego burmistrza zaczęto zwalniać tych więźniów, którzy mieli najkrótsze wyroki, lub tych,



Potyczka strzelców z Rosjanami pod Jędrzejowem

którym wyroki kończyły się. Taki uwolniony więzień zaopatrzony został w bochenek chleba i przy asyście dwu mieszczan wyprowadzany był poza miasto w kierunku ostatniego miejsca zamieszkania. Od strony Miechowa i Jędrzejowa ciągnęły podwozy w stronę Kielc, uwożące ewakuowanych urzędników carskich. Z Krakowa wyruszyła I strzelecka kompania kadrowa legionistów. Wiadomość o tym dotarła do Chęciny dość wcześnie, wiedzano o dniu w którym będzie przechodzić przez miasto.

W wielkiej tajemnicy ze Stefanem Jasińskim wybraliśmy się na ich spotkanie na most Nidy pod Brzegami z zamiarem nawiązania ze strzelcami rozmowy. Do rozmowy jednak nie doszło. My nie mieliśmy odwagi, strzelcy widocznie potrzeby. Podziwialiśmy mundury, karabiny i bagnety, plecaki, manierki i ładownice, no i polskie orzelki na maciejówkach. Z Chęciny do legionów zapisali się Antoni Znojek student UW, Stanisław Kawa szewc rodem z Tokarni, Wijas – szewc, Chobik – bez zawodu i Wilczyński – bez zawodu.

I kadrowa kompania strzelecka dotarła do Kielc, tam reprezentanci miasta zostali wezwani i zobowiązani do wyłonienia polskich władz i usunięcia tablic z językiem rosyjskim.

Pobyt legionistów w Kielcach był krótki, musieli się wycofać. Wieści o tym docierały bardzo szybko do mieszkańców wsi i miasteczek. W Chęcinach spodziewano się bitwy, ktoś to rozpowszechniał. Ludzie rozbiegli się do sąsiednich wsi nie leżących na trasie Kielce – Jędrzejów, sądzono bowiem, że ten szlak będzie najważniejszym terenem bojów. Sytuacja ta trwała kilka dni. Po tym alarmie ojciec mój zabrał swoją rodzinę, do której dołączyła nasza babka z najmłodszą córką, wyszliśmy



Wejście I Kompanii Kadrowej do Kielc. Fotografia z okładki „Światowida”, sierpień 1934 r.

za miasto na zachód i spędziliśmy noc na polu w Zatropiu. Spaliśmy na nie sprzątniętych z pola snopkach owsa, obstawieni takimi snopkami. Nad ranem ojciec poszedł do miasta dowiedzieć się o sytuacji. Idąc drogą od strony Korzecka natknął się na konnego zwiadowcę wojsk carskich, który szukał informacji o wrogu. Pytał ojca skąd i dokąd idzie, gdzie jest „awstrijec”? Odpowiedź ojca uspokoiła go, zawrócił i obaj doszli do miasta. Ojciec zbadał stan mieszkania, czy co nie zginęło i wrócił do nas. Nikt z mieszkańców nie widział wycofujących się strzelców, ani też żołnierzy carskich. Strzelcy wycofali się z Kielc szlakiem w kierunku Pińczowa. Za Nidą zaś, np. w Miąsowej był zwiad strzelecki, w Jędrzejowie podobno ich grupa.

Dzień 15 sierpnia 1914 roku po południu znowu był dniem popłochu. Spokój panujący do tej daty zachęcił mnie do wymarszu do lasu na grzyby, na które wyszedłem z koszykiem bardzo wczesnym rano, nic o tym nie mówiąc nikomu. Nikt z domowników nie został obudzony. Udałem się do lasu na Grzywy Korzeckowskie, które leżą między doliną Nidy a sąsiadującym z miastem Korzeckiem. Chodząc po lesie zbierałem borowiki, a było ich w bród. W pewnej chwili usłyszałem parsknięcie konia. Zaintrygowany rozglądałem się po lesie. W odległości około dwudziestu kroków ujrzałem dwu żołnierzy na koniach, ubranych w rosyjskie mundury, zbliżających się ku mnie. Gdy zatrzymali się przede mną w odległości 3 – 4 kroków, jeździec z gwiazdkami zapytał mnie po polsku, co tu robię o tak wczesnej porze? Pokazałem koszyk prawie pełen borowików, ale zdumiała mnie polska mowa. Następane pytanie,



Łośna, Wierna Rzeka w okolicach Małogoszcza

czy znam dobrze tutejszą okolicę? Ponieważ od sześciu lat chodziłem z ojcem na ryby, Nidę, Wierną Rzekę, Czarną Nidę i sąsiadujące z nimi wsie poznałem bardzo dobrze. Odpowiedziałem więc, gdzie która wieś leży, wskazując ręką kierunek Korzecka, Jedlnicy, Bolmina, Bocheńca, młynów Papierni, Żabieńca, Mostów, Chojen, Żernik, Brzegów i Tokarni.

W tym czasie oficer patrzył na mapę. Nie zaprzeczył moim informacjom. Wreszcie postawił mi pytanie, czy wiem, gdzie jest bród na Nidzie, wskazując dwiema w kąt ułożonymi rękami kierunek. Chwilę pomyślałem, że chodzi mu o odcinek Nidy pomiędzy młynem na Żabieńcu a początkiem wsi Żerniki. Odpowiedziałem, że na tym odcinku Nidy nigdzie nie ma brodu, lecz na wschód od Żabieńca jest ława, po której przechodzą ludzie, koń natomiast po niej nie przejdzie. Przejazd na koniu może być dokonany po moście koło młyna. Oficer odpowiedź moją sprawdził na mapie i oznajmił, że „kłamie”. Zaprzeczyłem temu, wiedząc o tym, że młyn i most jest, nie upłynęło bowiem miesiąca, jak z ojcem przechodziłem przez ten most, wyrażając jednocześnie chęć pokazania go na mapie. Oficer zdziwił się, że mogę czytać mapę, inna rzecz, że przedtem sztabowej mapy nie oglądałem. Wiedziałem natomiast z map ściennych wiele o rzekach, drogach i szlakach kolejowych. Oficer mapy mi nie udostępnił, ale zażądał pokazania młyna. Stało na tym, że najpierw w gęstych krzakach schowałem koszyk z grzybami, a towarzyszący mu żołnierz, wachmistrz, posadził mnie przed siebie i ruszyliśmy pod górę w kierunku południa. Kiedy znaleźliśmy się na skraju lasu nad wsią Mosty, zatrzymaliśmy się, zszedłem z konia, wyszukałem na polu między Mostami a młynem drzewo, aby przy jego pomocy pokazać wyglądającą kalenicę dachu

młyna. Nastąpiło wskazanie obiektu i informacja została zakończona. Ani oficer, ani asystujący mu żołnierz przez cały czas drogi na skraj lasu nie prowadził rozmowy. Wzrok ich szukał po drodze czegoś, czego ja nie rozumiałem. Przy rozstaniu ów oficer zakazał mi, aby o ich spotkaniu do nikogo nie mówić. Mam to zachować w tajemnicy. Wróciłem do domu z pełnym koszem grzybów, ale z ust ojca usłyszałem reprimendę i zakaz opuszczania domu bez jego wiedzy.

Właśnie tego dnia, to jest 15 sierpnia, w chwili wychodzenia ludzi z kościoła po sumie, patrol strzelecki wszedł na zamek chęciński i tam zastał dwu konnych zwiadowców rosyjskich. Jednemu z nich zabito konia. Ten bez konia sturlał się po zboczu góry w dół, drugi zjechał konno, zabrał swego towarzysza i obaj na jednym koniu uciekli w stronę Kielc. Ten fakt był powodem paniki i ucieczki mieszkańców. Po spożyciu obiadu, rodzina moja zabrała konieczne rzeczy, sól, cukier, chleb i coś jeszcze, ja swoje grzyby i uciekliśmy do Gałęzic. Tam zakwaterowaliśmy się w stodole u jednego z gospodarzy. Matka na kolację przygotowała ziemniaki i duszone grzyby. Po kolacji pokotem na posłanej słomie ułożyliśmy się do snu, ale wycofujący się oddziałek strzelecki spod Kielc przyszedł przed północą do Gałęzic i na nocną kwaterę trafił do tej samej stodoły, w której spaliliśmy. Strzelcy, widząc zajętą stodołę przez uciekinierów z Chęciny, poszli do innej. Był to dla mnie dzień szczególny: ранne spotkanie z żołnierzami carskimi a przed północą ze strzelcami.

O spotkaniu rannym z nikim rozmowy nie prowadziłem. Byłem wierny przyrzeczeniu, ale często nad tym spotkaniem zastanawiałem się. Upłynął czas, dopiero w drugiej połowie 1927 roku, a może 1928, będąc w domu u dr. Józefa Bellerta, legionisty z I Brygady, była rozmowa o pewnych osobliwościach legionowych. Wspomniany dr Bellert opowiadał mi jak jeden z rotmistrzów carskich wraz z wachmistrzem zdezerterowali z carskiego wojska, przekroczyli Nidę i odszukali legionistów pod Jędrzejowem, zmienili mundury. Szczegóły tego faktu, moje grzybobranie, wykazanie się znajomością terenu, wskazanie miejsca młyna itd. dopowiedziałem ja. Dezercja dotyczyła rotmistrza Orlicza-Dreszera, który będąc generałem Wojska Polskiego zginął w katastrofie lotniczej nad Bałty-

kiem na krótko przed II wojną światową. Dr Bellert nie omieszkał moje szczegóły przekazać generałowi, który w odpowiedzi na list Bellerta dopytywał się o szczegóły życia mojego, na moje ręce nadszedł list z podziękowaniami za „fachowe” skierowanie na most, a nie na bród.

Na marginesie tego faktu należy wyjaśnić, że na mapie sztabowej nie mógł być zaznaczony młyn i most, gdyż młyn postawiony był na krótko przed I wojną. Sztabówki carskie pochodzą z 1907 roku, takich bowiem używali oficerowie wojsk radzieckich przy wkraczaniu na teren Polski, co miałem możliwość sprawdzić.

Rozpoczęły się przemarsze wojsk: legionisci, wojska austriackie, niemieckie, rosyjskie a w grudniu 1914 roku otworzył się front i zamarł na zimowe leże. Na lewym brzegu Nidy i Wiernej Rzeki stały wojska rosyjskie, po prawej za Nidą austriackie, a za Wierną niemieckie.

Rok 1914/15 dla szkół i uczniów był stracony. Zainteresowałem się wojną i przemarszami zwalczających się armii. Interesowała mnie również broń, ćwiczenia stacjonujących wojsk carskich w czasie frontu nad Nidą. Mogłem wydawać komendę całej rocie piechoty, pozawierałem znajomości z podoficerami, a przy pomocy jednego z nich uczestniczyłem przy strzelaniu ciężkiej baterii, która ustawiona była za stodołą od wschodniego końca Polichna, którą najczęściej ostrzeliwała styk armii austriackiej i niemieckiej u ujścia Wiernej Rzeki do Nidy.

Obfite wydarzenia były ostatnie miesiące 1914 roku. Przez Chęciny w stronę Kielc przemaszowały wojska austriackie, doszły do pierwszych umocnień Dęblina i zawróciły. Po tym fakcie w kilka dni później od strony Małogoszcza przeszły pułki i dywizje niemieckie, lecz i te znalazły się w odwrocie, a za nimi pułki carskie na Kraków i Częstochowę. Bojów tu w większym stylu nie było. Zdawało nam się, że fala wojsk rosyjskich dotrze do celu, a wojsk niemiecko-austriackich tu nie będzie nigdy. Ze Stefkim Jasińskim komentowaliśmy sytuację prawie każdego dnia, każdy z nas czeka na dzień, kiedy Polska stanie się znowu wolna.

Pod koniec listopada 1914 roku idąc śladem kolegi Staszka Lachowskiego zająłem się handlem. Mając

znalezione 5 kopiejek kupiłem 3 pudełka zapalek za 4 1/2 kopiejki. Po godzinie sprzedałem je za 6 kopiejek, zyskując 1 1/2 kopiejki. Za tę kwotę kupiłem 4 pudełka osiągając za nie 8 kopiejek, a pod koniec dnia byłem w posiadaniu 10 kopiejek. Tak handlując zapalnikami w ciągu tygodnia powiększyłem kapitał do prawie rubla. Ponieważ żołnierze rosyjscy dopytywali się o bibułkę, ołówki, papier listowy rozszerzyłem swój handel o te artykuły i chociaż zyski były groszowe doszedłem do kapitału sięgającego prawie trzech rubli. Niestety chciało, że w czasie robienia się do snu część tych pieniędzy wysypała mi się z kieszeni, czego świadkami byli ojciec i matka. Surowa indagacja ze strony ojca zmusiły mnie do przyznania się. Ojciec nie dowierzał, nie powiedział jednak nic, ale następnego dnia chcąc powiększyć własny majątek zapytałem, czy pozwolili mi na dalszy handel. Ojciec zezwolił, sprawdził, w którym sklepie kupuje artykuły, wieczorem kazał mi wyliczyć się. Stwierdził, że powiększyłem kapitał licząc nowo nabyte zapalniki, ołówki, bibułkę papierosową, papier listowy i pozostałą gotówkę po zakupach do dyspozycji w dniu następnym. Po trzech dniach tego handlu miałem już blisko 5 rubli i zaproponowałem ojcu, aby dalszy handel prowadzić wspólnie. Ojciec włożył taki sam kapitał jaki ja posiadałem, a asortyment handlowy powiększyłem o gotowe papierosy, gdyż spotykałem klientów którzy się o nie pytali. Handel ten uprawialiśmy do czasu, aż armia carska wycofała się na wschód. Nie miałem czasu kontaktować się ze Stefkiem, ale doszedłem do grubej forsy. Mój kapitał przekroczył 100 rubli, także zyski miał ojciec, handlując dodatkowo bułkami, których sprzedawaliśmy dwa worki dziennie na drodze w stronę Korzecka i Polichna. Pieniądze te wykorzystałem na kupno podręczników w dalszych latach wojny. Spółka ojciec – syn, a raczej syn – ojciec pozwoliła mi wykazać się samodzielnością wobec ojca.

Godny uwagi fakt do zanotowania miał miejsce w pierwszą niedzielę lutego 1915 roku. W godzinach popołudniowych o słonecznej pogodzie tuż po obiedzie domownicy rozeszli się, jedni do kościoła na nieszpory, ojciec pewnie do towarzysza wędki pograć w domino. Ja siedziałem w domu, czytałem „Ogniem i mieczem”, którą to książkę gdzieś zdobył Stefek. Usłyszałem niesamowity huk i brzęk okien. Wybiegłem na podwórze i ujrzałem



Ruiny chęcińskiego zamku na pocztówce Polskiego Tow. Krajoznawczego

kłęb dymu. Faktycznie był to kłęb kurzu. Na mieście uczynił się ruch, słychać było również krzyki ludzi. Ponieważ nie mogłem odejść domu i zbliżyć się do miejsca skąd wznosił się kurz pozostałem w pozycji wyczekującej na kogoś, kto przybędzie z miasta. Po krótkiej chwili usłyszałem ciężki jęk dochodzący z dużej odległości i krótką chwilę ciszy. Wreszcie usłyszałem daleki świst, który z sekundy na sekundę stawał się głośniejszy i bliższy. Przyległe tereny gór, dachy, ulice pokryte były śniegiem. Kiedy świst zbliżył się, nastąpił nowy wybuch i w moich oczach cała Góra Zamkowa w jednej sekundzie poczerwieniała. Kiedy kurz opadł, okazało się, że środkowa baszta zamku została w połowie strącona. Ponieważ baszta środkowa, ta od wschodu również, ma nadbudowę z cegły, stąd czerwień na śniegu stała się rzeczywistością.

W sumie tego dnia na miasto spadło pięć ciężkich pocisków: jeden upadł na rynku u wylotu ul. Radkowskiej, drugi strącił pół środkowej baszty na zamku, kolejny zburzył parterowy dom na ul. Łokietka, po lewej stronie idąc z Rynku ku Nowemu Rynkowi. Zginęła tam rodzina żydowska, Żyd był fryzjerem i felczerm, następny zburzył piętrowy dom przy ul. Małogoskiej, gdzie była centrala telefoniczna, jeden pocisk upadł do rowu na ul. Kieleckiej przed starym zajazdem, gdzie obecnie usytuowany jest dom Chłopka, Zapały i Stępnia.

Noc i następny dzień były spokojne, natomiast w następnej nocy spadły na miasto dwa takie same pociski. Jeden na Rynku przed domem w którym mieści się sklep z mlekiem, drugi podobno na łąki za domem Balasińskich i Kubickich, ale nie eksplodował. Być może, że przy jakichś robotach

ziemnych w przyszłości ktoś z tym pociskiem się spotka. Obrzucenie pociskami miasta tego dnia było najważniejszym faktem I wojny światowej. Szkód zasadniczo nie było – dwa zburzone domy, ale popłoch niesamowity. Dużo ludzi, zwłaszcza Żydów, wyemigrowało do Kielc, ewakuował się lazaret umieszczony w budynkach powięziennych, ewakuowały się sztaby pułków rozlokowanych nad Nidą. Żołnierze i ich dowódcy spodziewali się, że wojska austriackie i niemieckie podejmą ofensywę. Cisza dalszych dni przywróciła życie do stanu ze stycznia. Lazaret do Chęciny nie wrócił.

Początek drugiego tygodnia maja 1915 roku wykazał pewnego rodzaju zdenerwowanie w carskim wojsku. Zaczęło wywozić zapasy amunicji. Najbliższe frontu baterie artylerii przesunięto do tyłu, a resztki zapasów załadowano na podwozy i w godzinach popołudniowych wszystkie siły zbrojne opuściły miasto, nocą zaś żołnierze z okopów pomaszrowali przez Chęciny i poszli na wschód. Stefan Jasiński, mój towarzysz gawęd i marzyciel o niepodległej Polsce, zastępując ojca wyznaczonego na podwodę też skierował się na wschód. Do kraju wrócił po rewolucji lutowej. Straciłem przyjaciela, zostałem sam.

W godzinach popołudniowych następnego dnia od strony Małogoszcza zjawił się zwiad niemiecki, po godzinie zaczęły maszerować przez miasto w stronę Kielc kompanie niemieckie, tabory, artyleria. Nie było ich wiele. Na drodze nie spotkali nieprzyjaciela. Głucha cisza dzienna, zwłaszcza nocna zmieniła codzienność poprzednią. Po kilku tygodniach zjawiła się żandarmeria austriacka i ich okupacja z generalną stolicą w Lublinie. 1 września 1915 uruchomiono szkoły ludowe z językiem wykładowym polskim. Władzę nad szkolnictwem sprawowali urzędnicy austriaccy w Lublinie, Dr Marian Reiter, autor podręcznika języka polskiego dla gimnazjum w Kielcach – inspektor szkolny. Nadeszła jesień i zima. Osamotniony rozpocząłem przemyśliwać nad przyszłością. Trzeba wrócić do książki, ale przecież nie ma dla mnie szkoły. Czego i z czego się uczyć, wszak do książki rosyjskiej nie warto, przecież zaborca tu nie wróci. Po rozważeniach doszedłem do przeświadczenia, że nawet podręcznik do matematyki w języku rosyjskim może okazać się przydatny. Dysponowa-



Jarmark w Jędrzejowie

łem podręcznikiem do teorii Kisilewa i trzema zbiornicami zadań Wereszcza i Malinina–Burinina. Przerabiając dokładnie stronica po stronicy podręcznik Kisilewa przerobiłem kolejno zadania zamieszczone w wymienionych zbiornicach. Pod koniec marca 1916 roku wszystkie zadania miałem za sobą z wyjątkiem dwu ostatnich u Malinina–Burinina. Ale i te rozwiązałem wreszcie.

Przypadek zrzucił, że od Jana Kupca dowiedziałem się, że w Jędrzejowie jest czynne seminarium nauczycielskie i on się tam uczy. Nawiązałem kontakt z dyrekcją tej szkoły prosząc o przysłanie programu wymagań do egzaminu na I kurs i wykazu podręczników. C i K Dyrekcja spełniła moje życzenia i natychmiast udałem się do Jędrzejowa, oczywiście pieszo, po podręczniki i rozpocząłem naukę jako samouk, kładąc nacisk na język polski z naciskiem na gramatykę i pisownię, na historię i geografie Polski. Wiadomości z botaniki i zoologii miałem opanowane w terminologii rosyjskiej, matematykę wyjątkowo pogłębiłem, gorzej z chemią i fizyką. Złożyłem podanie o egzamin i przyjęcie na I kurs. W wyznaczonym terminie zgłosiłem się do egzaminu, który trwał dwa dni. Drugiego dnia po południu ogłoszono jego wyniki. Egzamin złożyłem, ale nie zostałem przyjęty. Takich delikwentów jak ja było przeszło dwudziestu. Dyrektor miał zastrzeżone przez władze powiatowe Jędrzejowa, że w pierwszej kolejności muszą być przyjęci kandydaci z powiatu jędrzejowskiego z tej racji, że powiat przyczynia się swymi środkami w utrzymanie internatu.

Dyrektor Seminarium zakomunikował grupie nieprzyjętych, że jeżeli ktoś chce się uczyć, może zatrzymać ich dokumenty, które będą przesłane do Kielc, tam bowiem ma być też otwarte semi-



Jędrzejów, Seminarium Nauczycielskie w opustoszałym budynku klasztoru cystersów

narium. Dokumentów nie odebrałem, poszedłem do księgarni, kupiłem podręczniki używane na I kursie i pakę książek przydzwigałem na plecach wracając pieszo do domu.

Rozpocząłem sam się uczyć a przez znajomych starać się zbadać, kiedy i gdzie zacznie pracę ta nowo projektowana szkoła. Spędziłem nad książkami wrzesień, październik i listopad. Wiadomość o otwarciu szkoły nie nadchodziła. W początkach grudnia zwątpiłem i książki odłożyłem na bok.

Błąkając się po ulicy i domu usłyszałem, gdy matka mówiła, że piecze chleb z resztek mąki, co będziemy jedli, gdy zjemy dzisiaj upieczony chleb. Nic nie mówiąc następnego dnia rano z workiem i własnymi pieniędzmi via Jedlnica udałem się do Złotnik w powiecie jędrzejowskim kupić ćwierć żyta na chleb. W Złotnikach nie kupiłem, przeszedłem do Rembieszyc, też nie kupiłem. Poszedłem wreszcie do Zarczyc i tam z trudem udało mi się kupić. Zapadła noc, a przede mną kawał drogi do domu. Noc jako taka nie przerażała, gorzej bo wiedziałem, że Wierna Rzeka i Nida są strzeżone przez żandarmów, wychwytyjących handlarzy zbożem dzień i noc. Trudno. Do domu trzeba się dostać, może się uda. Zbliżając się do Wiernej Rzeki gdzie na jej lewym brzegu rozciąga się wieś Wymysłów, a może Nowa Wieś – dzisiaj już tego nie pamiętam – przedzierając się terenem na którym rosną krzaki jałowców usłyszałem rozmowę niemiecką. Dowód, że rozmawiają żandarmi. Znalazłem się w sytuacji, że nie minę ich w dalszej odległości, gdyż mogą mnie dojrzeć. Trzeba ryzykować przedarcie się przez rzekę. Przymrozki spowodowały, że brzegi były omarzniete lodem, rzeka jednak jeszcze nie stanęła, nie była zamarznięta. Skierowałem kroki



Rynek w Jędrzejowie

w lewo i kiedy przeszedłem około pięćdziesiąt kroków zdecydowałem się przejść rzekę w poprzek mając przeciwległy brzeg piaszczysty. Worek z żytem ulokowałem na głowie, aby ziarna nie zamoczyć, a starając się uczynić to jak najciszej zsunąłem się do wody. Głębina sięgała wyżej pasa, posuwałem się do przeciwległego brzegu wolno, głębina się zmniejszała, wreszcie dotarłem do brzegu. Należało przejść kilka kroków, aby ukryć się w zaroślach. Docierając do zarośli usłyszałem krzyk: *halt*, a po chwili strzał jeden i drugi. Kule świstały po krzakach z lewej strony. Padłem na ziemię, czołgając się i ciągnąc za sobą worek w tej pozycji przebrnąłem na brzuchu do miejsca, gdzie mogłem powstać. Tam już rósł wyższy ode mnie las. Przyspieszonym marszem bez odpoczynku dotarłem do domu wieczorem. Ubranie miałem zamarznięte, na fałdach podarte i mokrą bieliznę. Matka pomogła mi się rozebrać, ściągnąłem z trudnością bieliznę, ubrałem suchą i do łóżka. W łóżku gorąca czarna kawa i sen do białego dnia. Kiedy obudziłem się rano moje ubranie było wysuszone i wyłatane. Do łóżka podała mi matka kartkę pocztową z pieczęciami, na której przeczytałem treść: nauka w seminarium rozpoczyna się dnia 13 grudnia 1916 roku. Należy natychmiast zgłosić się i złożyć podanie o przyjęcie do internatu. Ale matka знаła treść kartki i rozmowy na ten temat nie nawiązała. Natomiast oświadczyła: przyniosłeś ziarno na chleb dla nas, ale czy ty będziesz go jadł? Czy twoje wczorajsze zabiegi nie będą przyczyną choroby, a może nawet czegoś gorszego? Odpowiedziałem: chyba nie, dzisiaj dobrze się czuję. Ojca w tym czasie nie było w domu. Już jesienią 1915 roku zmuszony koniecznością życiową i troską o rodzinę poszedł do pracy na Miedziankę, odległość od Chęcín 8 kilometrów, aby utrzymać nas przy życiu.

Dzień 13 grudnia 1916 roku wypadł na poniedziałek. Miałem trzy dni do przemyślenia. Obejrzałem książki, do każdej zajrzałem, porównałem z tym co przyswoiłem sobie, z tym co jest jeszcze do przerobienia. Okazało się, że zbliżyłem się do połowy materiału z historii, biologii i zoologii. Z języka polskiego przerobiłem około 1/4 materiału, najgorzej sprawa przedstawiała się z chemii i fizyki. Po dłuższym zastanowieniu się postanowiłem zaryzykować składanie egzaminu na II kurs, w przypadku niezłożenia pójść na I. Zakupiłem dwa arkusze papieru i starając się zrobić to najpoprawniej napisałem dwa podania: pierwsze o zezwolenie składania egzaminu na II kurs, drugie o przyjęcie do internatu.

W poniedziałek rano 13 grudnia ojcu wypadł początek pracy na Miedziance, wstawał więc w takich wypadkach przed 4 – ta rano. Czyniła to samo matka, aby przygotować ojcu gorące śniadanie, sakramentalna czarna kawa i chleb bez żadnego tłuszczu. Wstałem i ja, podania były już napisane, złożone, zamieszczone w kopercie. Ja umyty i ubrany w świąteczne ubranie zasiadłem z ojcem do śniadania. Po śniadaniu ubiera się w ciepłą odzież ojciec, to samo czynię ja. Wreszcie ojciec się pyta, dokąd to się wybieram? Oznajmiam ojcu, że do Kielc, do szkoły. Ojciec chwilę milczy, przygląda się mnie, przerzuca spojrzenie na matkę, znowu na mnie i mówi: jeśli się chcesz uczyć, ucz się, ale mówię ci, że ani ja, ani matka nie pomożemy ci, a do wyżywienia po twoim odejściu będzie nas pięcioro. Spokojnie odpowiedziałem, że chcę się uczyć, spróbuje, może dostanę stypendium, więc nie będę ciężarem. Ucałowałem rękę matki i ojca, wyszliśmy z mieszkania razem z tym, że ojciec na zachód na Miedziankę, ja natomiast krótkim odcinkiem na wschód do ulicy prowadzącej na trakt kielecki. Na ulicę Leśną w Kielcach dotarłem na 15 minut przed godziną ósmą.

Dyrektora w osobie Władysława Wyśmierskiego zastałem w kancelarii. Po zapukaniu usłyszałem: wejść. Wszedłem więc i podałem kopertę z podaniami. Dyrektor przeczytał pierwsze, drugie, wrócił do pierwszego i spojrzał na mnie, patrząc długo, ale nic nie mówiąc. Po pewnym czasie powiedział: składaj egzamin na II kurs, zobaczymy, co z tego będzie. Ukłoniłem się, powiedziałem: dziękuję,

wyszedłem na korytarz, stanąłem pod drzwiami z napisem: II KURS. Stanąłem pierwszy.

W kilka minut po 8. rozpoczął się egzamin z języka polskiego. Tematów już nie pamiętam. Przy pracy siedziałem długo, pracę oddałem ostatni. Po godzinie egzamin pisemny z matematyki, tu rozwiązane zadania miałem po 20 minutach, 10 minut poświęciłem na kontrolę, po 30 oddałem pierwszy. Prace pisemne sprawdzano, a myśmy składali egzamin ustny z historii, geografii, przyrody i pozostałych. Następnie egzaminy ustne z polskiego i matematyki. Kiedy stanąłem przy tablicy, aby dopełnić warunkami z matematyki, pan Bogucki przyglądał mi się długo i wreszcie zapytał, kto mnie uczył. Wymieniłem wszystkie nazwiska nauczycieli, którzy uczyli mnie w szkole ludowej, a w wyższej szkole w Chęcinach w klasie I i klasie II Rosjanek: Marię Sporka. Wreszcie, że w zimie 1915/16 uczyłem się sam. Spoglądał na mnie niedowierzająco i wreszcie zapytał: jak to sam? Wyjaśniłem, że posiłkowałem się podręcznikiem do matematyki wymieniając autora i trzema zbiornikami zadań, zaznaczając, że zbiorniki są trudne, zagmatwane miary długości i miary ciężaru. Jak to są zagmatwane miary? Wyjaśniłem przy pomocy kredy na tablicy zaczynając od mil, wiorst, sążni, arszynów itd. To samo dotyczyło miar wagi. Wśród monet rosyjskich jest też gmatwanina, np. 3 kopiejki. W rublu jest ich 33, ale żeby był pełny rubel, trzeba dodać do tych 33 monet jeszcze dwie monety wartości 1/2 kopiejki. To samo odnosi się do monety srebrnej 15 kopiejek. Chcąc obliczyć rubla tymi monetami należy wziąć tych monet 6 i dodać do tego monetę 10 kopiejkową. Zresztą w potocznej mowie i handlu mówią i praktykują, że w rublu jest 6 złotych i 20 groszy, czyli moneta 15 kopiejek nazywana jest u nas złotówką, a takiej nazwy w języku rosyjskim nie ma. Z tymi faktami mój egzaminator nie spotkał się, albowiem pochodził z zaboru austriackiego, a tam układ miar oparty był na systemie dziesiętnym. Po tej rozmowie pan Bogucki przystąpił do spraw formalnych. Wziął podręcznik, zerknął do niego i oznajmił: masz rozwiązać zadanie nr.... Przejąłem podręcznik, przeczytałem zadanie i zapytałem czy mam go rozwiązać głośno, czy cicho. Pozostawiam ci wybór. Odpowiedziałem, że rozwiązując głośno trzeba na to więcej czasu, cicho mniej czasu, o sposobie proszę – zadecyduje pan profesor. Rozwiązuję cicho, skoro będzie prędzej.

Rozwiązanie trwało około 12 minut, trzeba było zrobić około siedmiu działań. Prawdopodobnie rozwiązanie nie była zakwestionowana. Ale co ty umiesz z geometrii? Padł na mnie blady strach, gdyż polskiego podręcznika do geometrii nie posiadałem, a nawet się z takim nie zetknąłem. Stojąc twarzą w twarz z egzaminatorem poprosiłem, aby pozwolił mi ten egzamin składać w języku rosyjskim uzasadniając, że materiał zasadniczy mam opanowany, ale nie znam terminologii polskiej. Profesor chwilę zastanowił się i po namyśle wyraził na to zgodę z warunkiem, że zadanie postawi po polsku. Nie było wyboru, oznajmiłem – proszę. Jego zlecenie dotyczyło rodzajów trójkątów. Z tym wyrażeniem nie spotkałem się. Chwila namysłu: wyraz *trój* brzmi po rosyjsku *trie*; *kąt* – brzmi po rosyjsku *ugolnik*, czyli chodzi o *trieugolniki*. Nie bardzo pewny ale odważny odręcznie narysowałem starannie trzy trójkąty zróżnicowane bokami i w szybkim tempie po rosyjsku powiedziałam kolejno o trójkątach mających różne kąty. Przy omawianiu pierwszego trójkąta z serii próbował mi przerwać, ale udałem, że głosu nie dosłyszałem. Kończąc omawianie ostatniego trójkąta, narysowałem trójkąt prostokątny

tak, że jego wierzchołek kąta prostego stał się podstawą i oznajmiłem, że pierwszy narysowany trójkąt i ten ostatni są do siebie podobne, a wewnątrz katów wpisałem liczbę 900, łącząc łukiem ramiona katów prostych. Omawiając wszystkie trójkąty podstawilem liczby wymiarowe podstawy, narysowałem wysokości kreską przerywaną i zapisałem wzorem stosowanym na geometrii: podstawa razy wysokość dzielone przez dwa.

Pan Bogucki mój egzamin z geometrii tak zakończył z uśmiechem na ustach: Ty cholero, jeśli w ciągu dwu miesięcy nie przyswoisz sobie wiadomości z geometrii w języku polskim, pójdziesz na I kurs. Ze spokojem, bardzo poważnie odpowiedziałem: uczynię to wcześniej. Inna rzecz, że na każdej lekcji gdzie uczono nas geometrii, byłem pytany i dość szybko poznałem terminologię polską posiłkując się podręcznikiem rosyjskim wpisując w nim przy rysunkach linii, płaszczyzn i figur nazwy polskie. Komisja egzaminacyjna tego samego dnia ogłosiła wyniki egzaminu wstępnego, zostałem uczniem II kursu C i K Seminarium Nauczycielskiego Męskiego w Kielcach. Nauka rozpoczęła się 15 stycznia. Wielu z nas musiało wrócić się do domu po wyposażenie. Do Kielc wróciłem następnego dnia z matką, która zakupiła żelazne łóżko, siennik i słomę. Ulokowałem się w internacie, w którym utrzymanie kosztowało 40 koron. Miałem nadzieję uzyskania stypendium, które przeznaczę na utrzymanie.

Autor na tym zakończył swoje wspomnienia.

Stanisław Sobczyk – nauczyciel szkół powszechnych w powiecie kieleckim i pińczowskim, działacz Związku Nauczycielstwa Polskiego, w czasie okupacji nauczyciel tajnego nauczania, po wojnie zastępca inspektora szkolnego i nauczyciel. Jest autorem opracowań dotyczących oświaty na Kielecczyźnie.

Wspomnienia w rękopisie подарowane do wykorzystania Kazimierzowi Gruszczyńskiemu – regionaliście i przewodnikowi turystycznemu przez syna autora.

Opracował do publikacji Roman Zwierzchowski.

Dawne pocztówki ze zb. Krzysztofa Lorka



Budynek Seminarium Nauczycielskiego w Kielcach

Ten mały Jaś

2 sierpnia 1882 roku dwaj gimnazjaliści zażywający wakacyjnego czasu w Górach Świętokrzyskich, zatrzymali się przed stojącą u stóp Łysicy murywaną kapliczką, pchnęli kotyszące się na przerdzewiałych zawiasach drzwi i przekroczyli jej próg spróchniały, zaczem na ścianie wyryli swoje nazwiska. Do dzisiaj jest widoczny ślad ich trudu.

Starszy z nich, ówczynie męskiej już postury osiemnastolatek, swego młodszego o pięć lat, drobnej postaci towarzysza, nazwie w swych dziennikach małym Jasiem. Onże, Jan Strożecki był gościem Stefana Żeromskiego w dworku w pobliskich Ciekotach. Pisarz po latach w swym poemacie-testamencie „Puszcza jodłowa” przypomni ich przygodę i złoży hołd Janowi, który *w najsroźszy Sybir na wytrwaną z moskiewskim caratem chodził bez trwogi, a potem, po latach walki, we Francji, godnie, jak przystało na towarzysza naszej ławy w kieleckiej szkole, zginął ratując tonącego człowieka.*

Jan Strożecki przyszedł na świat w 1869 roku Chmielniku w rodzinie rejenta, który pochodził z krakowskiego domu o patriotycznych tradycjach. Miał starszego o dwa lata brata Kazimierza. W 1877 roku Strożecy przenieśli się do Kielc, synów zaś równocześnie posłali do miejscowego gimnazjum. Jan uczył się dobrze, ale stał się jedną z ofiar Apuchtinowskiego pogromu (zarządzenia, aby zwiększyć wymagania egzaminacyjne). Oblął maturę i repetował ósmą klasę. Żeromski nie przystąpił do egzaminu dojrzałości



Jan Strożecki, zdjęcie maturalne

i wyjechał do Warszawy. Będą pisać do siebie. A gdy Jan stanie na warszawskim bruku, ich wyniesiona ze szkoły przyjaźń będzie się pogłębiać.

Jan wstąpi na prawo, Stefan zrezygnuje ze Szkoły Weterynaryjnej (nie wymagała od kandydatów matury) i zacznie na siebie zarabiać guwernerką na szlacheckich dworach. W wakacje 1890 roku Jan udzielał korepetycji dzieciom posażnej rodziny Górskich w Nałęczowie, którzy chcieli go zatrzymać na dłużej, ale spieszo mu było do Warszawy, by kończyć studia. Poleciał na swe miejsce Stefana. Żeromski poznał w Nałęczowie wdowę Oktawię Rodkiewiczową. Za dwa lata wezmą ślub. Życie przyjaciół zaczyna się toczyć różnymi torami, ale będą o sobie pamiętać. Żeromskiego pochłonie literatura, Strożeckiego polityka.

Już w czasie studiów Jan Strożecki dał się porwać socjalistycznym ideom, które w listopadzie 1892 roku



Bracia Jan (z prawej) i Kazimierz Strożeczcy



W moskiewskim więzieniu Butyrki



Strożeczki w swym domu w Sriedniekołymsku

doprowadziły go do założycielskiego zjazdu PPS w Paryżu. Stał się pierwszym przywódcą i organizatorem struktur partii w Królestwie. Prawdopodobnie wtedy w Paryżu poznał dwudziestoletnią Esterę Golde, studentkę medycyny na Sorbonie, pochodzącą z żydowskiej rodziny w Płocku. Spo-



Grupa zesłańców politycznych w Jakucku. Jan Strożeczki siedzi drugi z prawej

tkanie to da początek ich uczuciu, które spełni się po dwunastu dopiero latach.

Aktywność Strożeczkiego nie uszła uwadze carskiej policji. W sierpniu 1894 roku został aresztowany



Estera Golde i Jan Strożecki (siedzą), pomiędzy nimi Henia (córka Oktawii Żeromskiej z pierwszego małżeństwa) i Adaś, syn Oktawii i Stefana Żeromskich (z prawej powyżej), Zakopane 1905



Jakuci. Strożecki fotografował ludy dalekiej Syberii



Estera Golde, narzeczona Strożeckiego

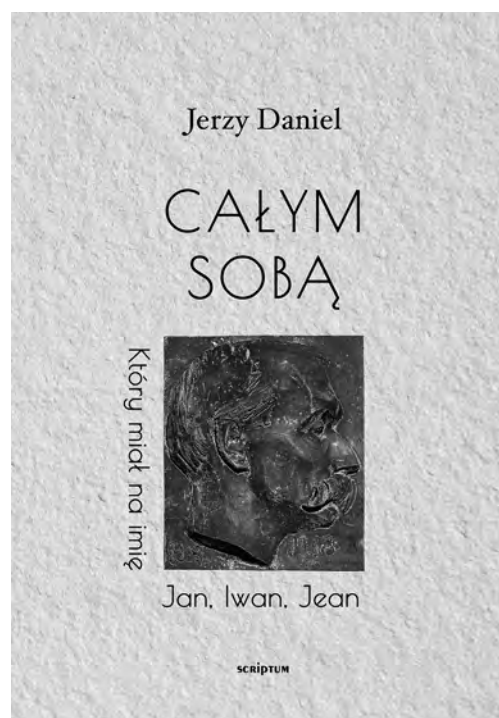


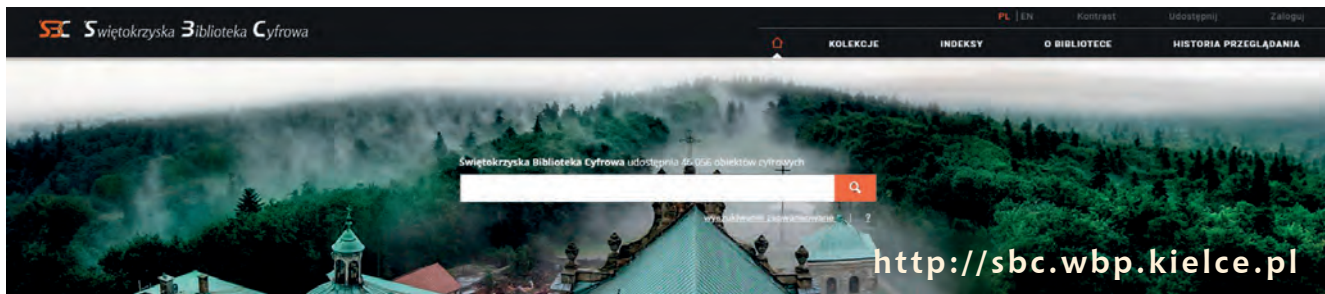
Zesłańcza orkiestra. Strożecki za stołem, gra na cytrze



Autografy przyjaciół w kapliczce w Świętej Katarzynie

i osadzony w osławionym X Pawilonie warszawskiej Cytadeli. Po dwuletnim śledztwie, z wyrokiem ośmiu lat zesłania trafił na daleką Syberię. Wiele wiadomości o przeżyciach nad ogromną rzeką Kołymą, o heroizmie w walce o każdy następny dzień, by przetrwać, zawarł w swoich listach – pisał dużo – i wspomnieniowych notatkach. Wrócił w końcu 1909 roku i podjął działalność niepodległościową. Odnowił bliskie kontakty z Żeromskim. Estera Golde, działaczka i społeczniczka, czekała... Wzięli ślub w Genewie, osiedli w Paryżu. Estera Strożecka otworzyła gabinet lekarski, Jan Strożecki założył w spółce zakład fotograficzny. Pozwalały mu na to umiejętności, które jako samouk rozwinął na zesłaniu. Mieli dwoje dzieci. W sierpniu 1918 roku rodzina Strożeckich przebywała na południu Francji. Jan pospieszył na pomoc tonącemu w rzece. Nie podołał ratunkowi, sam też zginął.





Lungar Sarmath

